



*mitość  
i sensacja*

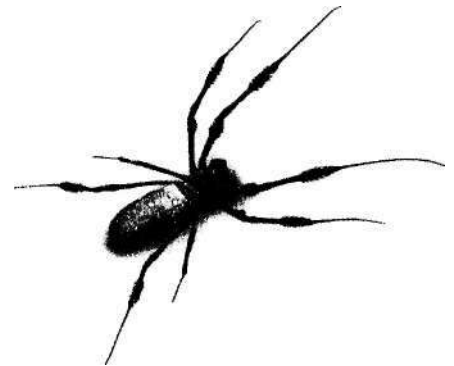
*Julie  
Garwood*



*Zemsta  
matki*

*Ex Libris*

*Julie  
Garwood  
Zemsta  
matki*



Tytuł oryginału  
KILLJOY

Copyright © 2002 by Julie Garwood

Projekt okładki  
Robert Maciej

Redaktor prowadzący  
Rafał Ciii

Redakcja  
Krystyna Borowiecka

For the Polish translation  
Copyright © 2003 by

For the Polish edition  
Copyright © 2003 by

Calcna Polskiej Książki Ap. / oo.  
ul. Dęblińska 13, 04-187 Warszawa  
tel. (22) 610-85-95  
fax (22) 612-02-86  
www.[exlibris-pl.com](http://exlibris-pl.com).pi  
e-mail: [hiiiro@exlibris-pl.com](mailto:hiiiro@exlibris-pl.com)

Skład i łamanie  
„Kolonel”

Wydanie 1

ISBN 83-8935i-12-9

*Mary K. Wahlstedt Murphy, mojej siostrze  
i przyjaciółce. Twoja niezłomna siła,  
naturalny wdzięk  
oraz cudowne poczucie humoru  
czynią ten świat lepszym.*

## Prolog

Jilly, matka Avery Elizabeth Delaney, była kompletną wariatką. Na szczęście odeszła w siną dal zaledwie w trzy dni po narodzinach Avery.

Avery była wychowywana przez swoją babkę Lolę i ciotkę Carrie. Te trzy pokolenia kobiet żyły cicho i skromnie w piętrowym drewnianym domu przy Barnett Street, odległym o dwie przecznice od rynku Sheldon Beach na Florydzie. Atmosfera przy Barnett Street całkowicie się zmieniła po odejściu Jilly. W domu, wcześniej pogrążonym w ciągłym chaosie, wreszcie zapanował spokój. Carrie znów nauczyła się śmiać, a życie przez pięć cudownych lat płynęło niemal sielankowo.

Jednakże poprzednie lata z Jilly odcisnęły piętno na babce. Lola sama późno została matką i obecnie była starą, zmęczoną kobietą. W dniu piątych urodzin Avery Lola poczuła pierwsze bóle w piersiach. Trudno jej było przystroić urodzinowy tort bez przysiadania dla odpoczynku.

Lola nie powiedziała nikomu o swoim zmartwieniu ani też nie odwiedziła swego lekarza w Sheldon Beach, ponieważ nie do końca wierzyła w jego dyskrecję. Nie była pewna, czy nie powie Carrie o jej chorobie. Umówiła się na wizytę u kardiologa w Savan-

nah i pojechała do niego samochodem, prowadząc przez całą długą drogę. Po dokładnym badaniu postawił niewesołą diagnozę. Zapisał jej leki, które miały złagodzić ból i wzmocnić serce, nakazał zwolnić tempo życia, a potem, starannie dobierając słowa, doradził, by uporządkowała swoje sprawy.

Lola puściła jego rady mimo uszu. Cóż ten doktorzyna mógł wiedzieć? Może i była jedną nogą w grobie, ale, na Boga, drugą zamierzała mocno stać na ziemi. Odpowiadała za wychowanie wnuczki i nigdzie się nie wybierała, dopóki nie spełni swej powinności.

Lola była prawdziwą mistrzynią w udawaniu, że wszystko jest w najlepszym porządku. Doszła w tej sztuce do perfekcji podczas wielu burzliwych lat, kiedy próbowała zapanować nad Jilly. Nim dotarła z Savannah z powrotem do domu, zdążyła przekonać samą siebie, że jest zdrowa jak koń.

I tyle.

Babka odmawiała wszelkich rozmów na temat Jilly, lecz Avery była ciekawa wszystkiego, co dotyczyło jej matki. Ilekroć o nią pytała, babka wydymała wargi, odpowiadając zawsze w ten sam sposób:

- Życzmy, by jej się wiodło jak najlepiej. I jak najdalej stąd. - A potem, nim Avery zdążyła zadać kolejne pytanie, babka zmieniała temat. Ma się rozumieć, że taka odpowiedź nie mogła nikogo zadowolić, zwłaszcza dociekliwej pięciolatki.

Jedynym sposobem dowiedzenia się czegokolwiek o matce było wypytywanie ciotki. Carrie uwielbiała mówić o Jilly i nigdy nie zapomniała o żadnym, choćby najdrobniejszym występku popełnionym przez siostrę. A było ich całkiem sporo.

Avery idealizowała ciotkę. Uważała ją za najpiękniejszą kobietę na świecie i z całego serca pragnęła być podobna do niej, a nie do swej niedobrej matki. Carrie miała włosy o barwie brzoskwiniowego dżemu i szaroniebieskie oczy, takie same, jakie miał puchaty biały kot, którego Avery widziała na obrazku w książce.

Carrie bezustannie stosowała jakieś diety, żeby zrzucić dziesięć kilo, lecz Avery uważała, że ciotka wygląda doskonale taka, jaka jest. Przy wroście metr sześćdziesiąt siedem uchodziła za wysoką i postawną, a kiedy podczas nauki lub domowej krzątania spinała włosy nad czołem błyszczącą spinką, wyglądała doprawdy jak jakaś księżniczka. Avery uwielbiała też zapach ciotki, kojarzący się z gardeniami. Carrie wyjaśniła jej, że to szczególnie, osobisty zapach. Kiedy Carrie była poza domem, a Avery czuła się osamotniona, zakradała się do sypialni ciotki, skrapiała sobie ramiona i nogi jej perfumami i wmawiała sobie, że ciotka jest w pobliżu, w sąsiednim pokoju.

Najbardziej jednak Avery lubiła to, że Carrie rozmawiała z nią jak z dorosłą osobą, w przeciwieństwie do babki, która traktowała ją jak małe dziecko. Opowiadając o niedobrej matce Avery, Carrie zawsze zaczynała od wyrażonej rzeczowym tonem opinii:

- Nie będę nic owijała w bawełnę tylko dlatego, że jesteś jeszcze mała. Masz prawo znać prawdę.

Tydzień przed przeprowadzką Carrie do Kalifornii Avery weszła do sypialni ciotki, żeby pomóc jej w pakowaniu. Przeszkadzała, płacząc się pod nogami, więc kiedy wreszcie Carrie miała tego dość, usadziła siostrzenicę przy toalecie, stawiając przed nią pudełko po butach wypełnione tanią, sztuczną biżuterią. Zgromadziła te rzeczy, odwiedzając garażowe wyprzedaże w sąsiedztwie, z myślą, by dać je Avery w prezencie przed wyjazdem. Dziewczynka była zachwycona błyszczącym skarbem i natychmiast zaczęła się mizdrzyć przed owalnym lustrem.

- Carrie, dlaczego musisz jechać tak daleko, aż do Kalifornii? Powinnaś zostać w domu, z babcią i ze mną.

Carrie parsknęła śmiechem.

- Powinam?

- Mama Peyton tak mówi. Peyton mówi, że jej mama mówi, że już byłaś w college'u i teraz powinnaś zostać w domu i pomóc się mną opiekować, bo jestem utrapieniem.

Peyton przyjaźniła się z Avery, a ponieważ była o rok starsza, Avery wierzyła jej bez zastrzeżeń. Carrie sądziła, że matka Peyton, Harriet, jest intrygantką, ale ponieważ miło traktowała Avery, Carrie wybaczyła jej wtrącanie się w ich rodzinne sprawy.

Carrie poskładała ulubiony błękitny sweter z angory, włożyła go do walizki, i jeszcze raz spróbowała wytłumaczyć siostrzenicy powody swego wyjazdu.

- Dostałam stypendium, pamiętasz? Zamierzam zdobyć dyplom i tłumaczyłam ci już co najmniej pięć razy, dlaczego powinnam dalej się uczyć. Muszę jechać, Avery. To dla mnie cudowna okazja, a kiedy już założę własną firmę, stanę się bogata i sławna, przyjedziecie z babcią, żeby ze mną zamieszkać. Będziemy miały duży dom w Beverly Hills, ze służbą i basenem.

- Ale wtedy nie będę mogła brać lekcji fortepianu, a pani Burns mówi, że powinnam, bo mam uszy.

Słyszac poważny ton siostrzenicy, Carrie powstrzymała się od śmiechu.

- Powiedziała, że masz dobry słuch, a to oznacza, że jeśli będziesz ćwiczyć, możesz być w tym dobra, ale lekcje gry na fortepianie możesz brać także w Kalifornii. Mogłabyś się tam również uczyć karate.

- Ale ja lubię tu się uczyć karate. Sammy mówi, że kopię coraz mocniej, ale wiesz co, Carrie? Słyszałam, jak babcia mówiła do mamy Peyton, że nie podoba jej się moja nauka karate. Mówi, że nie przystoi damie.

- Trudno - stwierdziła Carrie. - Ja płacę za lekcje i chcę, żebyś w przyszłości umiała się bronić.

- Ale dlaczego? - dociekała Avery. - Mama Peyton też pytała babcię dlaczego.

- Ponieważ, nie chcę, żeby ktokolwiek mógł tobą pomiatać, tak jak Jilly pomiatała mną. Nie będziesz dorastała w strachu. Jestem pewna, że w Kalifornii są doskonałe szkoły samoobrony, a nauczyciele są tak samo mili jak Sammy.

- Mama Peyton mówi, że babcia mówi, że Jilly wyjechała, żeby zostać gwiazdą filmową. Carrie, ty też chcesz być gwiazdą filmową?

- Nie. Ja chcę założyć firmę i zarobić mnóstwo pieniędzy. Będę robić gwiazdy z innych ludzi.

Avery odwróciła się z powrotem do lustra i założyła parę klipsów z zielonymi kamykami. Potem wydobyła w pudełka kolię stanowiącą z nimi komplet i zapięła sobie na szyi.

- Wiesz, co jeszcze Peyton mówiła? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Mówiła, że jej mama mówiła, że kiedy Jilly mnie miała, była na tyle dorosła, by mieć więcej rozumu.

- To prawda - przyznała Carrie. Wysunęła szufladę ze skarpetkami, wysypała zawartość na łóżko i zaczęła kompletować pary. - Miała osiemnaście lat.

- Ale co mama Peyton miała na myśli? Co to znaczy, że powinna mieć więcej rozumu?

- Miała na myśli to, że Jilly powinna się zabezpieczyć.

Szuflada spadła na podłogę. Carrie podniosła ją, wsunęła do komody, po czym wróciła do sortowania skarpetek.

- Ale co to znaczy? - nie dawała za wygraną Avery. Strojąc miny do lustra, założyła kolejny naszyjnik.

Carrie puściła jej pytanie mimo uszu. Nie miała ochoty wdawać się w dyskusję na temat seksu i antykoncepcji. Avery była za młoda, żeby słuchać o takich sprawach. W nadziei, że uda jej się odwrócić uwagę siostrzenicy, rzuciła:

- Wiesz, że ty to masz szczęście?

- Bo mam ciebie i babcię i się mną opiekujecie, bo jestem utrapieniem?

- To też - przyznała. - Ale masz szczęście, że Jilly nie piła jak smok i nie brała garściami pigułek na poprawienie nastroju, kiedy cię nosiła. Gdyby tak było, to urodziłabyś się z poważnymi problemami.

- Mama Peyton mówi, że mam szczęście, że w ogóle się urodziłam.

Carrie westchnęła z rezygnacją.

- Mama Peyton najwyraźniej lubi mówić o Jilly, co?

- Yhm. A te pigułki na poprawę nastroju są niedobre?

- Właśnie - potwierdziła Carrie. - Mogą człowieka wpędzić do grobu.

- No to czemu ludzie je biorą?

- Bo są głupi. Odłóż te błyskotki i chodź tu, usiądź na walizce, żebym mogła ją zamknąć.

Avery starannie zapakowała kolczyki i kolie do pudełka po butach, po czym wdrapała się na łóżko.

- Dasz mi to? - spytała, biorąc do ręki niewielką książeczkę w niebieskiej ceratowej okładce.

- Nie. To mój pamiętnik - wyjaśniła Carrie. Zdecydowanym ruchem odebrała dziewczynce notatnik i wsunęła do bocznej kieszeni. Zamknęła walizkę i z pomocą Avery dociskając wieko, zatrzasnęła zamki.

Kiedy pomagała Avery zejść z łóżka, siostrzenica zaskoczyła ją pytaniem:

- Dlaczego pakujesz się teraz, a nie za tydzień? Babcia mówi, że robisz na opak.

- Spakowanie się przed odmalowaniem pokoju dla ciebie wcale nie jest robieniem na opak. Dzięki temu moje rzeczy nie będą zawadzać i urządzimy cię tu ze wszystkim, zanim wyjadę. Jutro pójdziemy obie do sklepu z farbami i wybierzemy kolor.

- Wiem. Już mi mówiłaś, że mogę wybrać kolor. Carrie?

- Tak? - spytała, stawiając walizkę przy drzwiach.

- Czy moja niedobra mama znenawidziła mnie, kiedy mnie zobaczyła?

Carrie odwróciła się. Ujrawszy niepokój w oczach siostrzenicy, wpadła w nagłą wściekłość. Choć Jilly z nimi nie było, wciąż sprawiała im ból. Czy to się nigdy nie skończy?

Carrie przypomniała sobie, jakby to się zdarzyło wczoraj, tamten wieczór, gdy odkryła, że siostra spodziewa się dziecka.

Jilly odebrała świadectwo ukończenia szkoły średniej pewnego pogodnego majowego dnia. To był piątek. A potem wróciła do domu i zepsuła uroczystość, oznajmiając, że jest w szóstym miesiącu ciąży. Nie było niczego po niej widać.

Otrząsając się z szoku, Lola najpierw pomyślała o zamieszaniu i wstydzie, jaki rodzina będzie musiała przeżyć, ale szybko odzyskała równowagę.

- Jesteśmy rodziną - stwierdziła z mocą. - Jakoś sobie poradzimy. Znajdziemy jakiś sposób, żeby się z tym uporać. Prawda, Carrie?

Stojąc przy stole w jadalni, Carrie wzięła do ręki nóż i odkroiła sobie kawałek tortu, który Lola starannie dekorowała przez cały ranek.

- W dzisiejszych czasach i w twoim wieku trzeba być prawdziwym tumanem, żeby zająć w ciążę. Nie słyszałaś nigdy o świadomym macierzyństwie, Jilly, czy jesteś kompletną idiotką?

Jilly, oparta o ścianę, z rękami splecionymi na piersi, przeżywała Carrie wściekłym spojrzeniem. Próbując zapobiec wojnie na krzyki między córkami, Lola wtrąciła się pośpiesznie:

- Nie ma sensu silić się na złośliwości, Carrie. Przecież nie chcemy denerwować Jilly.

- To ty nie chcesz jej denerwować - poprawiła ją Carrie.

- Carrie, nie mów do mnie takim tonem.

Carrie skruszona opuściła głowę i przełożyła kawałek tortu na swój talerz.

- Myślałam o świadomym macierzyństwie - warknęła Jilly. - Pojechałam do lekarza w Jacksonville, żeby się tego pozbyć, ale odmówił. Powiedział, że jest za późno.

Lola opadła na krzesło, zakrywając twarz jedną ręką.

- Pojechałaś do lekarza...

Jilly tymczasem straciła zainteresowanie tematem. Przeszła do salonu, rozsiadła się na kanapie, sięgnęła po pilota i włączyła telewizor.

- Wywołuje dramat, a potem sobie wychodzi - mruknęła Car-

rie. - A konsekwencje mamy ponieść my. Jakież to do niej podobne.

- Nie zaczynaj, Carrie - jęknęła błagalnie Lola. Potarła czoło, jakby nagle rozboleła ją głowa. - Jilly po prostu czasami nie zastanawia się nad tym, co robi.

- A niby po co miałyby się zastanawiać? Ma ciebie, żebyś naprawiała jej błędy. Pozwalałaś, by wszystko poza morderstwem uchodziło jej na sucho, tylko dlatego, że nie możesz znieść jej ataków. Myślę, że się jej boisz.

- To niedorzeczne - wybuchnęła Lola. Poderwawszy się od stołu, wyszła do kuchni i zaczęła zmywać naczynia. - Jesteśmy rodziną i jakoś się z tym uporamy! - zawołała. - I ty w tym pomożesz, Carrie. Siostra potrzebuje twojego moralnego wsparcia.

Carrie zacisnęła pięści w bezsilnej złości. Co musi się jeszcze stać, żeby matka przejrzała na oczy i zdała sobie sprawę, jaką samolubną sukę wychowała? Dlaczego nie dostrzega, jak jest naprawdę?

Reszta lala pozostała jednym koszmarnym wspomnieniem. Jilly jak zwykle stawiała bezwzględne wymagania, a matka usługiwała jej we wszystkim. Na szczęście Carrie miała wakacyjną pracę w barze Sammy'ego i starała się brać jak najwięcej nadgodzin, byle tylko nie wracać do domu.

Jilly urodziła pod koniec sierpnia. Odbwszy poród w miejscowym szpitalu, tylko raz spojrzała na kwilące, pokryte na buzi wysypką maleństwo, które przysporzyło jej tak wiele bólu, i uznała, że wcale nie ma ochoty być matką. Ani teraz, ani nigdy. Gdyby lekarze wyrazili zgodę, kazałaby sobie wyciąć macicę jeszcze tego samego dnia.

Lola zaciągnęła Carrie do szpitala, żeby odwiedziła siostrę. Jeszcze dobrze nie weszły na salę, a już Jilly oznajmiła im, że jest zbyt młoda i ładna, żeby dać się uwiązać przy dziecku. Poza Sheldon Beach na Florydzie rozciągał się wielki świat, stojący przed nią otworem, ale przecież żaden bogaty mężczyzna nie

zwróciłby uwagi na dziewczynę obciążoną dzieckiem. Nie, macierzyństwo było nie dla niej. Poza tym zamierzała zostać sławną gwiazdą filmową. I postanowiła zacząć od zdobycia korony Miss Ameryki. Powiadomiła matkę i siostrę, że wszystko już sobie obmyśliła. Przekonana, że jest znacznie ładniejsza od tych krów, które widziała w telewizji w ubiegłym roku, jak maszerowały po scenie w kostiumach kąpielowych, była pewna, że gdy tylko jurorzy ją zobaczą, natychmiast dadzą jej koronę.

- Boże, ale ty jesteś naiwna - mruknęła Carrie. - Nie dają korony dziewczynom, które mają dzieci.

- To ty jesteś naiwna, Carrie.

- Bądźcie cicho - wtrąciła się Lola. - Chcecie, żeby pielęgniarki was usłyszały?

- Nie obchodzi mnie, czy usłyszą, czy nie - parsknęła Jilly.

- Kazałam ci być cicho - przypomniała ostrzejszym tonem Lola. - Rusz głową, Jilly. Jesteś teraz matką.

- Nie chcę być matką! Chcę być gwiazdą! - wrzasnęła Jilly.

Przerażona Lola wciągnęła Carrie do środka i kazała jej zamknąć drzwi. Ściskając w jednej ręce doniczkę z kwiatkiem przyniesionym dla Jilly, drugą przytrzymała Carrie za ramię.

Carrie kipiła złością, że jest zmuszona to znosić. Oparta plecami o drzwi, przesywała siostrę nienawistnym wzrokiem.

- Cóż, Jilly, nie obchodzi mnie, czego chcesz - powiedziała Lola drżącym od gniewu szeptem.

Matka zwykle nie odzywała się takim tonem do Jilly. Carrie z nagłym zaciekawieniem zaczęła się przysłuchiwać rozmowie.

- Będiesz odpowiedzialna - mówiła dalej Lola. Głos jej nieco złagodniał, gdy zbliżyła się do łóżka. - Będiesz dobrą matką, a Carrie i ja pomożemy ci wychować dziecko. Wszystko się ułoży, Zobaczysz. Myślę, że powinnaś zadzwonić do ojca dziecka...

Przerwał jej śmiech Jilly. Lola osłupiała.

- Co w tym śmiesznego?

- Ty - odparła Jilly bez namysłu. - Zaplanowałaś całe moje



życie, co? Zawsze próbowałam mnie zmusić, żebym się zachowywała tak, jak według ciebie powinnam. Mam, jestem już dorosła. Mam osiemnaście lat - przypomniała. - I będę robić, co zechcę.

- Ależ Jilly, ojciec ma prawo wiedzieć, że ma córkę.

Poprawiając sobie poduszkę pod głową, Jilly ziewnęła szeroko.

- Nie wiem, kto jest ojcem. Może nim być ten chłopak z college'u w Savannah, ale nie jestem pewna.

- Co to znaczy, że nie jesteś pewna? - wydukała Lola. - Mówiłaś mi...

- Kłamałam. Chcesz usłyszeć prawdę? Świetnie, to ci powiem. Ojcem może być któryś z tuzina innych mężczyzn.

Lola pokręciła głową. Nie chciała wierzyć córce.

- Nie mów tak. Powiedz prawdę.

- O Boże, Jilly - jęknęła Carrie, podnosząc wzrok na sufit.

Jilly lubiła szokować i być w centrum uwagi.

- Mówię prawdę. Straciłam rachubę facetów, z którymi spałam. Nie mam pojęcia, kto jest ojcem. - Ujrzała wyraz obrzydzenia na twarzy matki. - Zmartwiłam cię? - spytała bez śladu skruchy. - Mężczyźni za mną przepadają - dodała tonem przechwałki. - Robią wszystko, czego zażadam, byle mnie zadowolili. Dają mi drogie prezenty i pieniądze. Muszę je chować przed tobą i Carrie, żebyście nie były zazdrosne i nie zachowywały się jak świętoszki. Na pewno byście mi zabrały pieniądze i biżuterię, co? Ale ja wam na to nie pozwolę. Jestem sprytniejsza, niż ci się zdaje, mam.

Lola zamknęła oczy, powstrzymując mdłości.

- Ilu było tych mężczyzn?

- Skąd mam wiedzieć? Nie słuchałaś, co mówiłam? Powiedziałam ci, że straciłam rachubę. Ja tylko pozwalałam im przez chwilę używać mojego ciała. Oni mnie uwielbiali, a ja im na to pozwalałam. Jestem ładniejsza od wszystkich aktorek z Hollywood razem wziętych i będę od nich sławniejsza. Poczekaj tylko, to się przekonasz. Poza tym lubię seks. Jest przyjemny, kiedy faceci się dobrze spisują. Ty po prostu nie rozumiesz nowoczesnej kobiety.

Jesteś stara, mam, i wyschnięta w środku. Pewnie nie pamiętasz, czym jest seks.

- Brałaś pieniądze za uprawianie seksu? Czy wiesz, kim jesteś?

- Kobieta wyzwoloną - prychnęła Jilly.

Carrie oderwała się od drzwi.

- Nie. Jesteś zepsutą dziwką, Jilly. Tylko tym zawsze będziesz.

- Nie wiesz, co mówisz! - krzyknęła Jilly. - Mężczyźni nie pragną cię w taki sposób, jak pragną mnie. Doprowadzam ich do szaleństwa. Jestem wyzwolona, a ty jesteś po prostu zazdrosna.

- Chodźmy stąd, mam. - Carrie dotknęła ramienia matki.

- No właśnie, idźcie sobie - mruknęła Jilly, przekraczając głowę na poduszce. - Chce mi się spać. Idźcie i dajcie mi odpocząć.

Carrie musiała odprowadzić Lolę do samochodu. Jeszcze nigdy nie widziała matki tak zgnębionej i była tym przerażona. W drodze ze szpitala Lola tępo wpatrywała się w widok za oknem.

- Ty zawsze wiedziałaś, jaka ona jest, i próbowałaś mi to uświadomić, ale nie chciałam cię słuchać. Żyłam we mgle.

Carrie przytaknęła skinieniem głowy.

- Z Jilly jest coś nie tak. Jej podłość przekracza... nie jest normalna.

- Czy to przeze mnie? - zastanowiła się na głos Lola. - Wasz ojciec ją rozpieszczał, a kiedy nas zostawił, ja też ją rozpieszczałam, żeby się nie czuła porzucona. Czy to ja zrobiłam z niej potwora?

- Nie wiem.

Przez resztę drogi do domu żadna z nich nie odezwała się więcej ani słowem. Carrie wjechała na podjazd, zaparkowała samochód przed garażem i wyłączyła silnik. Otwierała drzwi, żeby wysiąść, kiedy Lola chwyciła ją za ramię.

- Przykro mi, że tak cię traktowałam. - Zaczęła płakać. - Jesteś dobrą dziewczyną, a ja cię nie doceniałam przez te wszystkie lata. Nasze życie kręciło się wokół Jilly. Mam wrażenie, że prawie całe osiemnaście lat poświęciłam na zabieganie o to, by ona była spokojna... i szczęśliwa. Chcę, żebyś wiedziała, jaka jestem z ciebie dumna. Nigdy ci tego nie mówiłam, prawda? Chyba

potrzebowałam tego koszmaru, żeby zrozumieć, jakim jesteś skarbem. Kocham cię, Carrie.

Carrie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła sobie przypomnieć, czy matka powiedziała jej kiedyś, że ją kocha. Czuła się tak, jakby właśnie wygrała jakieś zawody, tyle że walkowerem. Złote dziecko straciło blask, a ponieważ tylko ona pozostała, dostała nagrodę.

To nie wystarczyło.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie Jilly? - spytała.
- Zmuszę ją, żeby zrobiła to, co należy, oczywiście.

Carrie odsunęła się od matki.

- Nadal nie rozumiesz. Ona tego nie zrobi. Może nie jest w stanie. Nie wiem. Ona jest chora, mammo.

Lola pokręciła głową.

- Jest zepsuta, ale postaram się...
- Nadal bujasz w obłokach - przerwała jej Carrie. Wsiadła z samochodu, zatraskując za sobą drzwi, i weszła do domu.

Lola podążyła za nią do kuchni, zdjęła fartuch z drewnianego haka na ścianie i owiązała się nim w pasie.

- Pamiętasz, co się stało w moje ósme urodziny? - spytała Carrie, siadając na krześle przy kuchennym stole.

Lola nawet się nie odwróciła; miała nadzieję, że uniknie nieprzyjemnych wspomnień.

- Nie teraz, skarbie. Może nakryjesz do stołu, a ja zajmę się przygotowaniem kolacji.
- Dałaś mi tę lalkę Barbie, której tak pragnęłam.
- Carrie, nie chcę teraz o tym mówić.
- Usiądź. Musimy o tym porozmawiać.
- To się wydarzyło dawno temu. Czemu musisz do tego wracać? Tym razem Carrie nie zamierzała się wycofać.
- Tamtego wieczoru przyszłam do twojej sypialni.
- Carrie, ja nie...
- Siadaj, do diabła! Nie można tak żyć. Trzeba stawić czoło

faktom. Usiądź, mammo. - Miała ochotę złapać ją za ramiona i mocno potrząsnąć.

Lola się poddała. Usiadła naprzeciw córki po drugiej stronie stołu i splotła ręce na kolanach.

- Pamiętam, że ojca bardzo zdenerwowały twoje oskarżenia - powiedziała. - A Jilly płakała. Tamtego wieczoru postawiłaś na nogi cały dom.

- Ona chciała moją lalkę - mówiła Carrie. - Nie dałam jej i wtedy powiedziała, że wydlubie mi oczy nożyczkami. Obudziłam się około północy, a ona stała nade mną z twoimi nożyczkami w ręku. Uśmiechała się tym swoim nienormalnym uśmiechem. Przez cały czas powoli szczękała nożyczkami, które wydawały ten straszny dźwięk. A potem wzięła moją nową Barbie i wydlubała jej oczy, mammo. Cały czas się uśmiechała... tak okropnie. Nie zdążyłam krzyknąć, kiedy pochyliła się nade mną i szepnęła: „Teraz twoja kolej”.

- Byłaś zbyt mała, żeby pamiętać dokładnie, co się stało. Wyolbrzymiasz ten drobny incydent ponad wszelką miarę.

- O nie, nic podobnego. Właśnie to się stało. Nie widziałas wyrazu jej oczu, ale zapewniam cię, że chciała mnie zabić. Gdybym była wtedy z nią sama w domu, zrobiłaby to, co chciała zrobić.

- Ależ nie, ona tylko próbowała cię przestraszyć - upierała się Lola. - Nigdy by cię nie skrzywdziła. Jilly cię kocha.

- Gdyby ciebie i taty tam nie było, toby mnie skrzywdziła. Mammo, ona jest szalona. Nie dbam o to, co się z nią stanie, ale teraz przybyło niewinne dziecko. - Wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie: - Myślę, że powinniśmy namówić Jilly, żeby oddała dziecko do adopcji.

Propozycja córki wzbudziła w Loli wściekłość.

- Wykluczone! - Uderzyła otwartą dłońią w stół. - To dziecko jest twoją siostrzenicą, a moją wnuczką, i nie pozwolę, żeby ktoś obcy ją wychowywał.

- To dla niej jedyna szansa na godziwą przyszłość - stwierdziła

Carrie. - Już i tak jest mocno poszkodowana, mając Jilly za matkę. Mam tylko nadzieję, że ta skaza w charakterze Jilly nie jest dziedziczna.

- Och, na litość boską. Jediną wadą Jilly jest jej upór, ciągnąc chęć postawienia na swoim. W dzisiejszych czasach wiele młodych kobiet zadaje się z mężczyznami. To niewłaściwe - dodała szybko - ale rozumiem, dlaczego Jilly pragnęła, by mężczyźni ją kochali. Ojciec ją opuścił, więc próbowała...

- Czy ty słyszysz, co mówisz? - gwałtownie przerwała jej Carrie. - Przez krótką chwilę sądziłam, że wreszcie widzisz, jaka naprawę jest Jilly, ale najwyraźniej byłam w błędzie. Nigdy nie przejrzysz na oczy. Spytałaś mnie, czy to ty zrobiłaś z niej potwora, pamiętasz?

- Miałam na myśli to, że zachowuje się potwornie, ale Jilly jest teraz matką. Kiedy już przywiozę ją i dziecko ze szpitala, sama się przekonasz. Wszystko będzie w porządku.

Carrie miała wrażenie, że mówi do ściany.

- Myślisz, że odezwie się w niej instynkt macierzyński?

- Właśnie - podchwyciła Lola. - Sama się przekonasz - potwórzyła. - Jilly będzie postępować jak należy.

Carrie się poddała. Zbolała poszła do swojego pokoju i spędziła tam resztę wieczoru. Kiedy następnego ranka zeszła na dół, znalazła kartkę na kuchennym stole. Matka pojechała do Searsa kupić łóżeczko, niemowlęce ubranka i fotelik do samochodu.

- Marzycielka - mruknęła Carrie.

W poniedziałek rano Lola udała się do szpitala, żeby zabrać do domu Jilly i nie nazwane jeszcze żadnym imieniem dziecko. Carrie nie zgodziła się pojechać z matką. Powiedziała, że musi pracować na porannej zmianie u Sammy'ego, i wyszła z domu, zanim Lola zdążyła o cokolwiek zapytać.

Jilly czekała na matkę. Ubrana stała przed lustrem w łazience i szcztokowała włosy. Wskazując niedbałym machnięciem ręki na płaczące dziecko, które natychmiast po wyjściu pielęgniarki rzuciła

na środek rozgrzebanego łóżka, powiedziała Loli, że może je zatrzymać, sprzedać lub oddać... bo jej jest wszystko jedno. Następnie wzięła do ręki podróżną torbę i opuściła szpital z upchanymi w staniku pieniędzmi, które ukradła z oszczędności przeznaczonych na kształcenie siostry.

Potwierdzenie wypłaty przyszło z banku dopiero po dwóch tygodniach. Carrie wpadła w furię. Ciężko pracowała, żeby zgromadzić tę sumę, i była gotowa zrobić wszystko, żeby odzyskać pieniądze. Chciała zgłosić kradzież policji, lecz Lola na to nie pozwoliła.

- Sprawy rodzinne załatwia się w rodzinie - oświadczyła z mocą.

Carrie ukończyła szkołę średnią następnego wiosny i tamtego lata pracowała od rana do wieczora. Lola wspomogła ją częścią swoich oszczędności, a do tego Carrie znalazła dorywczą pracę na kampusie, co w sumie pozwoliło jej pokryć niezbędne koszty. Kiedy przyjechała do domu na ferie bożonarodzeniowe, nie miała ochoty nawet spojrzeć na dziecko.

Jednakże Avery nie należała do dzieci, które długo pozwalają się ignorować. Wystarczyło kilka zaślinionych uśmiechów, by i Carrie się uśmiechnęła. Z każdym jej powrotem do domu więz z siostrzenicą stawała się silniejsza. Dziecko dosłownie za nią przepadało, a ona, choć nigdy tego otwarcie nie przyznała, odwzajemniała to uczucie.

Avery była najśodszą, najmądrzejszą małą dziewczynką, a Carrie stała się jej zastępczą matką. Nie brakowało jej instynktu opiekuńczego właściwego matce. Gotowa była zrobić wszystko, by zapewnić Avery bezpieczeństwo.

A teraz, po pięciu latach, Jilly wciąż sprawiała im ból.

- Carrie, powiedz, czy ona mnie nienawidziła?

Carrie próbowała się skupić na pytaniu zadany przez dziecko. Wreszcie, opierając dłonie na biodrach, westchnęła:

- Jakie to ma znaczenie, co Jilly myślała?

Avery wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Posłuchaj. Twoja niedobra mama zapewne cię nienawidziła, ale nie z tego powodu, jaka byłaś i jak wyglądałaś, kiedy się urodziłaś. Byłaś wspaniałym dzieckiem. Jilly po prostu nie chciała wziąć na siebie odpowiedzialności. - Wskazała na krzesło przy łóżku. - Mam zamiar powiedzieć ci coś ważnego i chcę, żebyś uważnie słuchała, więc usiądź.

Avery skwapliwie wykonała polecenie.

- Pewnie jesteś za młoda, żeby to usłyszeć, ale i tak ci powiem. Twoja matka jest kompletną wariatką.

Avery nie kryła rozczarowania. Myślała, że usłyszy coś nowego.

- Carrie, już mi to mówiłaś. Dużo razy.

- To było jeszcze jedno przypomnienie - stwierdziła Carrie. - Jilly nigdy nie była normalna. Prawda jest taka, że dawno powinni byli ją zamknąć w domu wariatów.

Myśl o zamknięciu matki wzbudziła żywe zaciekawienie dziewczynki.

- Co to jest dom wariatów?

- Takie miejsce, gdzie idą chorzy ludzie.

- Jilly jest chora?

- Pewnie. Ale nie w taki sposób, żeby jej żałować. Jest złośliwa, wredna i po prostu szalona. Bo trzeba być szalonym, żeby odejść od kogoś tak cudownego jak ty. - Carrie pochyliła się i odgarnęła dziewczynce włosy z czoła. - Twojej mamie od początku brakowało w głowie jakiejś ważnej klepki. Może nie była całkowitą socjopatką, ale cholernie niewiele jej brakowało.

Oczy Avery zrobiły się okrągłe.

- Carrie, powiedziałaś „cholernie” - szepnęła z przejęciem.

- Wiem, co powiedziałam, i wiem, o czym mówię.

Avery zsunęła się z krzesła, usiadła obok Carrie na łóżku i uczepliła się ręki ciotki.

- Ale ja nie wiem, o czym ty mówisz - zauważyła.

- Zaraz ci wytłumaczę. Socjopata to ktoś, kto nie ma sumienia. Zanim spytasz, powiem ci, co to jest sumienie. To jest to coś

w głowie, co ci mówi, kiedy robisz źle. Wtedy sumienie sprawia, że czujesz się... winna.

- Jak wtedy, kiedy powiedziałam babci, że już ćwiczyłam na pianinie, a wcale nie ćwiczyłam, i babcia mi powiedziała, że jestem grzeczną dziewczynką, a ja nie byłam, bo skłamałam i czułam się winna?

- No właśnie - potwierdziła Carrie. - Twoja matka nie ma serca ani duszy. Taka jest prawda.

- Jak w tej piosence, którą lubisz śpiewać?

- Tak jak w piosence. Jilly nie ma w sercu miejsca na uczucia, które jej bezpośrednio nie dotyczą albo nie przynoszą jej korzyści.

Avery przytuliła się do boku ciotki i patrzyła na nią ślicznymi niebieskimi oczyma, znacznie ładniejszymi od oczu jej matki. Carrie widziała w tym spojrzeniu dziecięcą czystość i dobroć.

- Jilly za bardzo kocha siebie, żeby kochać jeszcze kogoś. Ale nie powinnaś się tym przejmować. Nie ma w tym żadnej twojej winy. Wierzysz mi, prawda?

Avery poważnie skinęła głową.

- To wina mojej niedobrej mamy.

Carrie uśmiechnęła się do dziecka.

- Zgadza się.

- A ja mam duszę?

- Tak, ty masz. Wszyscy poza twoją niedobłą mamą mają duszę.

- A zanim Jilly zrobiła krzywdę Whiskersowi, tak że umarł, to miała duszę?

- Może - zaważała się Carrie, myśląc o kotku, którego Jilly tak okrutnie ją pozbawiła.

- A gdzie ona jest?

- Dusza? - Carrie musiała się przez chwilę zastanowić nad odpowiedzią. - Jest w środku. Owinięta wokół serca. Ty masz duszę czystą jak anioł i pomogę ci, żebyś ją taką utrzymała. Ani trochę nie jesteś podobna do Jilly, Avery.

- Ale wyglądam tak jak ona. Sama mówiłaś.

- Nie jest ważne to, jak wyglądasz. Najważniejsze jest to, co masz w środku.

- Czy Jilly kocha ciebie i babcię, i tylko mnie nie?

Carrie poczuła zniechęcenie.

- Myślałam, że rozumiesz, co do ciebie mówię. Jilly nie kocha nikogo, tylko siebie samą. Nie kocha babci, nie kocha mnie i ciebie też nie kocha. Teraz rozumiesz?

Avery przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Mogę się teraz pobawić biżuterią?

Carrie uśmiechnęła się pod nosem. Widać było wyraźnie, co bardziej interesuje dziewczynkę. Carrie patrzyła, jak mała sadowi się przy toalecie i znów z upodobaniem zaczyna szperać w pudełku.

- Wiesz, co najlepszego cię spotkało w życiu?

Avery nawet nie odwróciła głowy.

- To, że jesteś moją ciocią.

- Naprawdę uważasz, że to jest najlepsze? - spytała Carrie, zaskoczona i ucieszona zarazem. - Czemu tak myślisz?

- Bo sama mi powiedziałaś, że to jest najlepsze.

Carrie wybuchnęła śmiechem.

- No cóż, jest coś jeszcze lepszego.

- Co?

- Nie musisz się ciągle bać, tak jak ja się bałam. Jilly już nigdy nie wróci. Nigdy już nie będziesz musiała jej oglądać... nigdy. Z pewnością to jest najlepsze.

W momencie wypowiedzania tych słów Carrie poczuła ciarki na plecach. Czy aby nie kusiła losu? Czy można zbudzić demona samym stwierdzeniem, że on nie istnieje? Lodowaty dreszcz był niczym ostrzeżenie. A może jak zwykle martwiła się na zapas? Otrząsnąwszy się z ponurych rozmyślań, wróciła do przerwanej pracy.

Następny tydzień okazał się bardzo pracowity. Avery wybrała różowy kolor na ściany, a Carrie dodała białą lamówkę. Według niej pokój wyglądał trochę landrynkowe ale Avery była zachwycona. Do niedzielnego popołudnia zdążyła się całkowicie

zadomowić w dużej sypialni od frontu. Wreszcie walizki Carrie wyładowały w bagażniku samochodu. Ostatnią noc Carrie miała zamiar przespać w dawnej sypialni Avery, na okropnie niewygodnej kanapie.

Tamtego wieczoru miały na kolację same ulubione potrawy Carrie, na co dzień zakazane z powodu ciągłej diety. Był smażony kurczak, tłuczone ziemniaki z sosem i fasolka szparagowa duszona na boczku. Lola przyrządziła sałatkę ze świeżych warzyw, które wyhodowała w ogródku na tyłach domu, ale Carrie ledwie jej spróbowała. Skoro już postanowiła zrobić sobie dzień wolny od diety - jeden cudowny dzień bez poczucia winy - zjadła po dwie dokładki ze wszystkich pozostałych dań i to z wielkim apetytem.

Po tym, jak babcia Lola zapakowała Avery do łóżka i przeczytała jej bajkę, Carrie przysła ucałować siostrzenicę na dobranoc. Włączyła nocną lampkę, zamknęła drzwi sypialni i zeszła na dół, żeby dopakować resztę rzeczy do bagażu podręcznego.

Znalazły się też inne sprawy do załatwienia w ostatniej chwili, więc na górę wróciła dopiero po jedenastej. Lola spała już w swoim pokoju od podwórza. Carrie zajrzała do Avery - och, jak bardzo będzie tęsknić za tym brzdącem - i omal nie wybuchnęła śmiechem na widok drobnej figurki na wielkim łóżku. Dziewczynka miała na sobie co najmniej pięć naszyjników, cztery bransoletki, a na zmierzwionych włosach pocięty diadem, z którego wypadła większość sztucznych brylancików. Spała na wznak, ściskając w ramię wytartego pluszowego misia. Carrie przysiadła na łóżku i starając się nie obudzić dziecka, delikatnie zdjęła z niego biżuterię.

Zapakowała błyskotki do pudełka i już wychodziła z sypialni, gdy dobiegł ją szept Avery:

- Dobranoc, Carrie.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na dziewczynkę, która zdążyła znów zamknąć oczy i w łagodnym świetle wyglądała jak cherubinek. Carrie pomyślała, że nie mogłaby bardziej kochać Avery, nawet gdyby była jej własnym dzieckiem. Instynkt opiekuńczy

ogarnął ją z taką siłą, że myśl o wyjeździe wydała jej się nieznośna. Czuli się tak, jakby porzucała własne dziecko.

Powtarzała sobie w duchu, że musi wyjechać. Przyszłość Avery spoczywała w jej rękach. Jeśli osiągnie stabilizację finansową, będzie mogła pomóc matce i siostrzenicy tak, jak na to zasługują. Przycięła ją poczucie winy, ale nie chciała dopuścić, by zniweczyło jej plany. Miała swoje cele i marzenia, a jedno i drugie dotyczyły także Avery i Loli.

- Postępuję właściwie - szepnęła do siebie, zmierzając korytarzem do łazienki. Wciąż próbując przekonać samą siebie, weszła pod prysznic.

Odkręcała właśnie wodę na pełny regulator, więc nie usłyszała trzaśnięcia drzwi samochodu, które obudziło siostrzenicę. Usłyszawszy głośny śmiech, Avery wstała z łóżka, żeby sprawdzić, kto tak hałasuje. Zobaczyła mężczyznę i kobietę. Stali przy starym, poobijanym aucie i pochyleni ku sobie nawzajem śmiali się i rozmawiali.

Kobieta miała jasne włosy. Mężczyzna był brunetem. Trzymał coś w ręce. Avery zerkała ostrożnie, żeby jej nie dostrzegli i nie skrzyczeli za podglądanie. Mężczyzna uniósł butelkę i długo trzymał przy ustach. Potem podał butelkę kobiecie, a ona zrobiła to samo, przechylając głowę do tyłu.

Czego oni szukają przed domem babci? Avery uklękła, chowając się za firanką. Schyliła się przestraszona, kiedy kobieta odwróciła się i ruszyła chodnikiem w stronę domu. Niemiło wyglądający mężczyzna nie poszedł za nią. Oparty o zderzak samochodu, jeszcze raz się napił, a potem cisnął pustą butelkę na jezdnię. Avery zadrżała, słysząc brzęk tłuczonego szkła. Nie wolno było śmiecić. Babcia Lola tak mówiła.

Mężczyzna nie patrzył na dom. Obserwował ulicę, więc Avery uznała, że może się wyprostować, żeby lepiej widzieć. Zobaczyła, że coś mu wystaje z tylnej kieszeni, kiedy się obrócił w stronę samochodu. Co to mogło być? Może druga butelka?

Miał na sobie brudny podkoszulek i musiał być okropnie

spragniony, bo sięgnął po tę drugą butelkę. Tylko że to jednak nie była butelka. Avery wstrzymała oddech. Ten człowiek trzymał w ręku błyszczący czarny pistolet. Dokładnie taki sam, jak w telewizji.

Była zbyt podniecona, żeby się bać. Wyobraziła sobie, jak opowiada Peyton o tym, co widziała. Może powinna obudzić babcię i Carrie i powiedzieć im o pistolecie? Może wezwałyby policjanta, żeby zabrał tego złego człowieka.

Avery aż podskoczyła, słysząc natarczywe pukanie do drzwi. Wydało jej się dziwne, że ta pani odwiedza babcię w środku nocy.

Ta pani wykrzykiwała okropnie brzydkie słowa. Avery biegiem wróciła do łóżka i skryła się pod kołdrą, na wypadek gdyby babcia do niej zajrzała, schodząc na dół, żeby uspokoić tę panią. Wiedziała, co babcia jej powie. „Chcesz obudzić umarłego?” Zawsze tak mówiła, kiedy Carrie za głośno włączała telewizor lub muzykę. Ale gdyby babcia zajrzała i przyłapała ją na tym, że wyszła z łóżka, Avery nigdy by się nie dowiedziała, o co chodzi.

Czasami trzeba się źle zachowywać, żeby odkryć ważne rzeczy. Peyton mówiła, że nie jest bardzo źle słuchać rozmów innych ludzi, jeśli się nikomu nie mówi tego, co się usłyszało.

Pukanie przeszło w łomot.

Babcia otworzyła drzwi i Avery usłyszała krzyki tej kobiety. Zrozumiała każde słowo. Już nie była ciekawa, była przerażona. Zrzuciła kołdrę, zeskoczyła na podłogę i na brzuchu wczołgała się pod łóżko. Leżała zwinięta w kłębek, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Była dużą dziewczynką, za dużą, żeby płakać. Łzy płynęły jej po policzkach tylko dlatego, że tak bardzo mocno zaciskała powieki. Zasłoniła rękami uszy, żeby nie słyszeć tych strasznych krzyków.

Avery już wiedziała, kim jest ta kobieta. To była jej niedobra mama, Jilly. Wróciła, żeby ją zabrać.

## 1

Czekanie doprowadzało Avery do szaleństwa. Siedziała w swojej małej kwadratowej kabinie, oparta plecami o ścianę, z nogą założoną na nogę, palcami jednej ręki bębniąc o blat biurka, a drugą przyciskając woreczek w lodem do obolałego kolana. Dlaczego to trwa tak długo? Dlaczego Andrews nie zadzwonił? Wpatrywała się w telefon, jakby to mogło pomóc. Nic. Głucha cisza. Odwracając się wraz z obrotowym krzesłem, po raz setny sprawdziła czas na cyfrowym zegarze. Było pięć po dziesiątej, tak samo jak przed dziesięcioma sekundami. Do tej pory powinna była już coś wiedzieć.

Mel Gibson wstał, nachylił się nad przegrodą dzielącą jego miejsce pracy od stanowiska Avery i spojrział współczująco. To było jego autentyczne imię i nazwisko; Mel twierdził, że przeszkadza mu w karierze, ponieważ nikt w agencji przestrzegania prawa nie traktuje go poważnie. Mimo to odmawiał urzędowej zmiany na Brad Pitt, co podsuwali mu życzliwi współpracownicy.

- Cześć, Brad - powiedziała Avery. Wszyscy zgodnie używali tego nowego imienia, żeby sprawdzić, jak pasuje. W poprzednim tygodniu był George'em Clooneyem. Na obydwu ich kolega

reagował podobnie - wściekłym spojrzeniem i uwagą, że nie nazywa się ani George, ani Brad, ani też Mel. Ma na imię Melvin.

- Do tej pory powinnaś już chyba coś wiedzieć - zagadnął.

Avery nie dała się wyprowadzić z równowagi. Mel, wysoki i kościsty, z mocno wystającą grdyką, miał irytujący zwyczaj używania środkowego palca do wsuwania grubych okularów w drucianej oprawie na chudy, lekko zadarty nos. Margo twierdziła, że Mel robi to specjalnie. W ten sposób dawał pozostałej trójce do zrozumienia, że czuje się lepszy.

Avery się z nią nie zgadzała. Mel nie zrobiłby niczego nie stosownego. Żył według zasad etycznych, które, jego zdaniem, uosabiało FBI. Był oddany, odpowiedzialny, pracowity, ambitny i ubierał się odpowiednio do pozycji... z jednym małym zastrzeżeniem. Choć miał dopiero dwadzieścia siedem lat, jego strój przypominał styl, w jakim nosili się agenci z lat pięćdziesiątych. Czarne garnitury, białe koszule z długimi rękawami zapięte pod szyję, cienkie czarne krawaty, czarne buty wypolerowane na wysoki połysk i krótko przycięte włosy. Avery wiedziała, że Mel co dwa tygodnie odwiedza fryzjera.

Przy wszystkich swych dziwactwach - znał na pamięć każde słowo z filmu o FBI, w którym główną rolę grał Jimmy Stewart - miał niewiarygodnie bystry umysł i doskonale się sprawdzał w pracy zespołowej. Przydałaby mu się jedynie odrobina luzu. Nic więcej.

- Nie sądzisz, że powinnaś już coś wiedzieć? - spytał z nieukrywanym przejęciem.

- Jeszcze jest wcześniej. - Po niespełna pięciu sekundach dodała: - Masz rację. Powinniśmy już coś wiedzieć.

- Nie - poprawił ją. - Powiedziałem, że ty powinnaś wiedzieć. Lou, Margo i ja nie mieliśmy nic wspólnego z twoją decyzją wezwania oddziału SWAT.

Och, Boże, co jej przyszło do głowy?

- Innymi słowy, nie chcecie oberwać, jeśli się myliłam?

- Nie oberwać - sprostował. - Wylecieć. Potrzebuję lej pracy. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko zostania agentem. Z moim wzrokiem...

- Wiem, Mel.

- Melvin - poprawił ją odruchowo. - Korzyści są ogromne.

Margo wstała, żeby się przyłączyć do rozmowy.

- Ale pensja marna.

Mel wzruszył ramionami.

- Podobnie jak warunki pracy. Ale jednak... to jest FBI.

- Nie podobają ci się nasze warunki pracy? - spytał Lou, również podnosząc się z miejsca. Jego boks znajdował się na lewo od boksu Avery, Mela miała naprzeciwko, a stanowisko Margo przylegało do boksu Lou. Ich nora - jak pieśczośliwie nazywali miejsce pracy - znajdowała się za pomieszczeniem technicznym, pełnym hałaśliwych urządzeń. - Pytam serio, co wam się nie podoba? - powtórzył z niekłamnym zdumieniem.

Avery pomyślała, że Lou jest jak zwykle rozbijający. Przypominał jej pewną postać ze starej kreskówki *Fistaszki*. Zawsze wyglądał niechlujnie. Był piekielnie inteligentny, ale kiedy jadł, miało się wrażenie, że nie trafi do ust, a na koszuli z krótkim rękawem miał zawsze przynajmniej jedną plamę. Tego ranka były dwie. Jedna po dżemie malinowym z pączków, które przyniosła Margo. Pod dużą czerwoną widniała mniejsza atramentowa, pochodząca z pióra na naboje, które trzymał w kieszonce na piersi.

Lou po raz trzeci tego ranka wpełznął za pasek wyłazące poły koszuli.

- Mnie się tu podoba. Jest przytulnie.

- Pracujemy w kącie piwnicy bez okien - zauważyła Margo

- I co z tego? - zdziwił się Lou. - Czy jesteśmy przez to mniej ważni. Jesteśmy częścią zespołu.

- Ja chciałabym być częścią zespołu, który ma okna - oznajmiła Margo.

- Nie można mieć wszystkiego. Avery, jak twoje kolano? - zmienił nagle temat.

Avery ostrożnie uniosła worek z lodem i obejrzała miejsce urazu.

- Opuchlizna prawie zeszała.

- Jak to się stało? - spytał Mel. Tylko on nie znał szczegółów dramatycznego zajścia.

Margo przeczesła palcami krótkie czarne kędziory.

- Jakaś staruszka omal jej nie zabiła - powiedziała.

- Swoim cadillakiem - dodał Lou. - To się stało na parkingu. Ta kobieta najwyraźniej jej nie widziała. Naprawdę powinny być jakieś ograniczenia wiekowe przy wznawianiu prawa jazdy.

- Potrafiła cię? - spytał Mel.

- Nie - odparła Avery. - Odskokczyłam z drogi, kiedy pędem wyjechała zza rogu. Przeleciałam przez maskę mercedesa, zahaczając kolanem o wystający emblemat. Rozpoznałam tego cadilla. Należy do pani Speigel, która mieszka w mojej kamienicy. Ma chyba z dziewięćdziesiąt lat. Nie wolno jej już prowadzić, ale co jakiś czas widzę, jak wyprawia się gdzieś samochodem.

- Zatrzymała się? - spytał Mel.

Avery przecząco pokręciła głową.

- Myślę, że w ogóle mnie nie zauważyła. Dobrze, że nikt inny nie wszedł jej w drogę.

- Masz rację, Lou - przyznała Margo. Zniknęła w swojej przegrodce, schyliła się, żeby przesunąć do rogu pudło z papierem maszynowym, a potem na nim stanęła. Nagle zrobiła się taka wysoka jak Mel. - Powinien być limit wieku dla kierowców. Avery mówiła, że ta kobieta jest tak niska, że nie było widać jej głowy nad oparciem siedzenia. Tylko obłok siwych włosów.

- Z wiekiem ciało się kurczy - zauważył Mel. - Pomyśl tylko, Margo. Po dziewięćdziesiątce w ogóle nie będzie cię widać.

Margo, kruszyna o wzroście metr pięćdziesiąt siedem, wcale nie czuła się obrażona.

- Będę nosić wyższe obcasy.



Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Avery aż podskoczyła, a potem popatrzyła na zegarek. Była dziesiąta czternaście.

- To koniec - szepnęła, kiedy rozległ się drugi sygnał.

- Odbierz - ponagliła ją Margo.

Avery podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Avery Delaney.

- Pan Carter chciałby panią widzieć w swoim biurze o dziesiątej trzydzieści, panno Delaney.

Rozpoznała ten głos. Sekretarka Cartera miała wyraźny akcent z Maine.

- Zgłoszę się.

Trzy pary oczu obserwowały, jak odkłada słuchawkę.

- O rany - szepnęła.

- Co? - odezwała się Margo, najbardziej niecierpliwa z całej

grupy.

- Carter chce się ze mną widzieć.

- Oho. To niedobrze - wyrwało się Melowi. Zaraz potem, jakby świadom tego, że powiedział coś, czego nie powinien był mówić, dodał: - Chcesz, żebyśmy poszli z tobą?

- Zrobiłbyś to? - spytała Avery, zaskoczona propozycją.

- Nie mam ochoty, ale bym poszedł.

- W porządku. Samotnie przyjmę kulę.

- Myślę, że powinniśmy pójść wszyscy - stwierdziła Margo. - Zmasowany ogień. Przecież to dotyczy nas wszystkich, prawda?

- Prawda - przyznała Avery. - Ale wy próbowaliście innie powstrzymać przed ruszaniem Andrewsa. Pamiętasz? Sama to spieprzyłam. - Wstała, odłożyła worek z lodem na szafkę z aktami i sięgnęła po żakiet.

- Niedobrze - powtórzył Mel. - Złamali służbową hierarchię. Musi być całkiem źle, kiedy włącza się szef szefa. Carter dopiero co awansował na naczelnika operacji wewnętrznych

- Co oznacza, że jest szefem szefa szefa - zauważyła Margo.

- Zastanawiam się, czy wszyscy szefowie tam będą - włączył się Lou.

- Niewykluczone - mruknęła Avery. - Może wszyscy trzej po kolei chcą mnie wywalić. - Zapięła guziki żakietu, po czym spytała: - Jak wyglądam?

- Jakby ktoś cię próbował rozjechać - ocenił Mel.

- Masz podarte rajstopy - dodała Margo.

- Wiem. Myślałam, że mam w szufladzie zapasową parę, ale nie mam.

- Ja mam.

- Dzięki, Margo, ale ty jesteś filigranowa, a ja nie całkiem. Mel, Lou, odwróćcie się albo usiądźcie.

Gdy tylko się odwrócili, uniosła spódnicę, ściągnęła rajstopy i wsunęła szpilki na bose stopy.

Pożałowała, że założyła kostium. Zwykle nosiła spodnie i bluzkę, ale tego dnia była umówiona na lunch, więc chcąc wyglądać jak najlepiej, wybrała kostium od Armaniego, który ciotka Carrie przysłała jej w prezencie przed dwoma laty. Materiał miał cudowny odcień szarości, podobnie jak wycięta pod szyją bluzeczka bez rękawów. Spódnica początkowo miała z boku nieprzyzwoite rozcięcie, ale Avery od razu je zaszyła. To był naprawdę śliczny kostium. Odtąd będzie jej się kojarzył z dniem, w którym została wyrzucona z pracy.

- Łap! - zawołała Margo, rzucając paczuszkę z rajstopami. - Mają uniwersalny rozmiar. Na pewno będą dobre. Musisz mieć rajstopy, znasz przecież przepisy dotyczące stroju.

Avery przeczytała etykietkę na opakowaniu. Rzeczywiście, rajstopy powinny na nią pasować.

- Dzięki. - Znów usiadła. Miała długie nogi i bała się, że rajstopy pękną, kiedy będzie je podciągać na biodra, ale nic takiego się nie stało.

- Spóźnisz się - rzucił Mel, kiedy poprawiała spódnicę. Czemu wcześniej nie zauważyła, że jest taka krótka? Ledwie sięgała kolan.

- Mam jeszcze cztery minuty. - Przeciagnęła po ustach – błyszczącą szminką, spięta włosy na karku i na koniec sięgnęła po buty. Dopiero wtedy zauważyła, że prawy obcas ledwie się trzyma. Musiał się złamać, kiedy wpadła na maskę tamtego samochodu.

Cóż, nie była w stanie nic na to poradzić. Wzięła głęboki wdech, wyprostowała ramiona i niepewnie wyszła z boksu. Przy każdym kroku w lewym kolanie odzywał się ból.

- Życzcie mi szczęścia.

- Avery! - zawołał Mel. Począł, aż się odwróci, i rzucił jej identyfikator. - Chyba powinnaś to przypiąć.

- Racja. Będą chcieli mi to zabrać, zanim ochrona wyprowadzi mnie z budynku.

- Hej, Avery, spójrz na to z innej strony - próbowała ją pocieszyć Margo. - Jeśli cię wyleją, nie będziesz się musiała martwić tymi stertami papierów, jakie się tu nazbierają, kiedy wraz z ciotką będziesz się włóczyć po modnych kurortach.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji, czy się z nią spotkam. Ciotka nadal myśli, że nianczę dzieci pod Waszyngtonem.

- Teraz, kiedy będziesz wolna, dobrze byś zrobiła, gdybyś dała się trochę porozpieszczać - dorzuciła Margo.

- Racja, powinnaś pojechać - poparł ją Lou. - Powinnaś pomieszkać w Utopii przez cały miesiąc i przemyśleć sobie, co trzeba.

- Nie pomagacie mi, kochani - rzuciła Avery, nie oglądając się za siebie.

Gabinet Cartera mieścił się cztery piętra wy/ej. W innych okolicznościach weszłaby po schodach, traktując to jako gimnastykę, ale lewe kolano za bardzo ją bolało, a prawy obcas za bardzo się chwiał. Zmęczyło ją już samo dojście do windy. Czekać na dźwig, próbowała wymyślić, jak się wytłumaczyć przed Carterem..

Drzwi windy się otworzyły, Avery zrobiła krok do środka... i poczuła szarpnięcie. Obcas jej buta utkwiał w szparze między kabiną a podłogą. Wyrwała nogę z buta i odwróciła się. Ponieważ

była sama, zadarła spódnicę i przyklekła na zdrowym kolanie, żeby wydostać but z pułapki. Wtedy drzwi się zsunęły, ściskając jej głowę.

Przeklinając w duchu, cofnęła się gwałtownie. Ledwie zdążyła się chwycić poręczy, gdy winda ruszyła w górę. Ściskając urwany obcas w dłoni, pozbierała się na nogi, a już drzwi otwarły się na pierwszym piętrze. Nim dotarła na czwarte piętro, licznie dosiadający po drodze ludzie zepchnęli ją pod tylną ścianę kabiny i musiała się przepychać, żeby wysiąść. Czuła się jak idiotka.

Na nieszczęście gabinet Cartera znajdował się na końcu długiego korytarza. Szklane drzwi były tak odległe, że nawet nie mogła odczytać nazwiska wypisanego na środku.

Nie mając innego wyjścia, pokuśtykała przed siebie. W połowie drogi przystanąła, żeby sprawdzić czas i dać odpocząć chorej nodze. Została jej równo minuta. Uznała, że jeszcze może zdążyć. Spinka zsunęła jej się z włosów, lecz zdołała ją chwycić i wpiąć z powrotem. Zaczynała żałować, że pani Speigel jednak jej nie przejechała. Nie musiałyby wówczas się tłumaczyć, a Carter mógł zadzwonić do szpitala i zwolnić ją przez telefon.

Niech to diabli, pomyślała. Chyba nie mogło być gorzej.

Jasne, że mogło. Dokładnie w momencie, gdy otwierała drzwi, poczuła, że rajstopy się z niej zsuwają. Gdy stała przed biurkiem sekretarki, krok miała już prawie przy kolanach.

Postawna brunetka w eleganckim kostiumie od Chanel sprawiała wrażenie lekko zaskoczonej jej widokiem.

- Panna Delaney?

- Tak - potwierdziła.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Jest pani punktualna. Panu Carterowi się to spodoba. Bardzo przestrzega terminów.

Kiedy sekretarka podniosła słuchawkę telefonu, żeby ją zaanonsować, Avery pochyliła się ku niej i zapytała:

- Jest gdzieś w pobliżu damska toaleta?

- W korytarzu, za windami, po lewej stronie.

Avery obejrzała się za siebie, oceniając sytuację. Mogła się spóźnić na spotkanie, przebiec ten cholernie długi korytarz i zedrzyć z siebie te przeklęte rajstopy albo...

- Pan Carter czeka na panią. - Sekretarka przerwała jej rozpaczliwe kalkulacje.

Avery stała jak wryta.

- Może pani wejść.

- Chodzi o to...

- Tak?

Avery wyprostowała się ostrożnie. Rajstopy po/ostały w miejscu.

- No to wejdę - bąknęła, uśmiechając się niepewnie.

Wciąż z uśmiechem, trzymając się krawędzi biurka, próbowała iść tak, jakby nadal miała obcas. Przy odrobinie szczęścia Carter mógł nawet niczego nie zauważyć.

Kogo ona chciała nabrać? Przecież spostrzegawczość była jego cechą zawodową.

Kiedy weszła do gabinetu, Tom Carter wstał. Był wysokim, dostojnie wyglądającym mężczyzną o siwych włosach i mocnym, szerokim podbródku. Avery miała ochotę rzucić się na krzesło przy jego biurku, ale wypadało poczekać na zachętę gospodarza.

Carter wyciągnął do niej dłoń ponad biurkiem. Avery pochyliła się, żeby ją uścisnąć, i właśnie w tym momencie rajstopy ostatecznie ją zawiodły. Spanikowana pochwyciła wyciągniętą rękę Cartera i potrząsnęła nią energicznie. Zbyt późno sobie przypomniała, że wciąż ściska w prawej dłoni urwany obcas. Oblała się polem, mocniej niż podczas egzaminu dyplomowego.

- Bardzo mi miło. To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Chciał się pan ze mną widzieć? O rany, ale tu gorąco. Nic będzie panu przeszkadzać, że zdejmę zakiet?

Paplała bez końca, jak nakręcona. Jednakże uwaga na temat temperatury wzbudziła żywe zainteresowanie gospodarza. Dzięki Bogu, plotki okazały się prawdziwe. Carter rzeczywiście miał

własny termostat i lubił utrzymywać w swoim gabinecie lodowaty chłód. Jak w grobie na Alasce. Avery zdziwiła się, nie widząc obłoczka pary, i to jej uświadomiło, że wstrzymuje oddech.

Uspokój się, powiedziała sobie w duchu.

Carter pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem. Nawet nie wspomniał o obcasie, który upadł na stertę papierów na biurku.

- Byłem przekonany, że tu jest za ciepło, ale mój asystent ciągle narzeka, że marznie. Pozwoli pani, że przykręcę trochę termostat.

Nie czekała, aż pozwoli jej usiąść. Gdy tylko odwrócił się plecami, porwała z biurka obcas, przy okazji dostrzegając na teczkach swoje nazwisko oraz nazwiska trójki pozostałych użytkowników nory. Opadła na krzesło. Rajstopy miała zwinięte w obwarzanki tuż nad kolanami. Pośpiesznie rozpięła zakiet, zdjęła go i położyła sobie na kolanach.

Ramiona natychmiast pokryły się gęsią skórka.

Próbowała sobie wmawiać, że wszystko będzie dobrze. Kiedy Carter usiądzie za biurkiem, będzie mogła niepostrzeżenie pozbyć się tych cholernych rajstop. Carter niczego nie zauważy.

Plan był doskonały i pewnie by się powiódł, gdyby szef zechciał współdziałać, ale nie wrócił na swój fotel. Zamiast tego okrążył biurko i przysiadł na krawędzi blatu. W porównaniu z Margo Avery nie była niska, ale i tak musiała zadrzeć głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. Zdawało jej się, że dostrzegła mrugnienie, które wydawało się dziwne w tych okolicznościach... chyba że wywalanie ludzi z pracy sprawiało mu przyjemność. Boże, może i ta plotka była prawdziwa.

- Zauważyłem, że pani kuleje. Co się pani stało w kolano? - spytał. Schylił się, żeby podnieść spinkę, która znów zsunęła jej się z włosów i tym razem upadła na podłogę.

- Miałam wypadek. - Wzięła od niego spinkę.

Z pytającego spojrzenia Cartera wynioskowała, że odpowiedź nie była dość wyczerpująca.

- Pewna starsza pani... mocno starsza, kierująca dużym pojazdem, nie zauważyła mnie, kiedy szłam do swojego auta na parking. Musiałam odskoczyć, żeby mnie nie rozjechała. Wpadłam na mercedesa, złamałam sobie obcas i stłukłam kolano. - Nie dając mu czasu na jakikolwiek komentarz, mówiła dalej: - Właściwie obcas tylko się obluzował. Złamał się w windzie, kiedy drzwi zatrzasnęły mi się na głowie. - Patrzył na nią jak na wariatkę. - Proszę pana, miałam niezbyt udany ranek.

- Zatem na pani miejscu wziąłbym się garść - rzekł ponurym tonem. - Bo będzie jeszcze gorzej.

Opuściła bezradnie ramiona. Carter wreszcie wrócił za biurko i usiadł. Wykorzystała okazję. Manipulując rękami pod żakietem i spódnicą, zsunęła z nóg rajstopy. Było to trudne, ale wykonalne i choć musiała wyglądać, jakby siedziała na gorących węglach, osiągnęła cel. Kiedy Carter otworzył teczkę i zaczął czytać notatki, które on sam lub ktoś inny sporządził na jej temat, sięgnęła po rajstopy i zwinęła je w kulkę. Nim podniósł wzrok, miała już buty z powrotem na nogach.

- Dostałem telefon od Mike'a Andrews'a zaczął. Znow mówić chłodnym, bezosobowym tonem.

Żołądek podszedł jej do gardła.

- Tak, proszę pana?

- Rozumiem, że pani go zna?

- Tak, proszę pana. Niezbyt dobrze - dodała szybko. - Znalazłam jego numer i zadzwoniłam do niego przed wyjściem z biura.

- I podczas tej rozmowy telefonicznej przekonała go pani. żeby wysłał oddział SWAT do First National Bank przy... - Zerknął do akt, żeby sprawdzić lokalizację.

Szybko podsunęła adres, dodając:

- Ta filia banku znajduje się niedaleko granicy stanu.

Odchyliwszy się na oparcie fotela, Carter skrzyżował ramiona na piersi.

- Proszę mi powiedzieć, co pani wie o tych napadach.

Wzięła głęboki oddech, próbując zapanować nad nerwami. Znalazła się na pewniejszym gruncie. Ponieważ wpisywała raporty wszystkich agentów do komputera i przeglądała taśmy z banków, poznała i dość dobrze zapamiętała wszystkie szczegóły.

- Bandyty nazywali siebie „politykami” - zaczęła. - Wszyscy trzej.

- Proszę mówić dalej - ponaglił.

- W ciągu trzech ostatnich miesięcy były trzy napady. Ci ludzie, wszyscy ubrani na biało, weszli do pierwszego banku, do First National Bank and Trust przy Twelfth Street, piętnastego marca, dokładnie trzy minuty po otwarciu. Za pomocą broni zastraszyli personel i jednego klienta, ale nie strzelali. Mężczyzna wydający rozkazy trzymał nóż przy szyi strażnika. Kiedy dwaj pozostali biegli do drzwi, przywódca pchnął strażnika nożem, potem upuścił nóż i wyszedł. Strażnik w żaden sposób nie sprowokował zabójcy. Nie było absolutnie żadnego powodu, żeby go zabijać.

- W istocie, nie było - przyznał Carter.

- Drugi napad miał miejsce trzynastego kwietnia, na Bank of America w Maryland. Podczas tego napadu została zabita kierowniczka banku. Przywódca bandytów wychodził już, gdy nagle się odwrócił i strzelił. I tym razem nie było żadnego powodu, ponieważ personel nie stawiał oporu.

- A trzeci napad?

- Odbył się piętnastego maja na Goldman's Bank and Trust w Maryland. Jak pan wie, nastąpiła eskalacja przemocy. Dwie osoby zginęły, a trzecia cudem uniknęła śmierci.

- W porządku, to są fakty. Teraz proszę mi powiedzieć, jak pani wpadła na to, że niewielka filia First National Bank w Wirginii będzie następnym celem?

Nieugięte spojrzenie Cartera nieco zbijało ją z tropu. Na chwilę opuściła wzrok, żeby zebrać myśli. Wiedziała, jak doszła do swojego odkrycia, ale wyjaśnienie tego szefowi operacji wewnętrznych okazało się dość trudne.

- Chyba można powiedzieć, że wszystko polega na sposobie patrzenia na tę sprawę. Wszystko znajduje się tu... a przynajmniej większość, w aktach.

- Nikt inny tego nie widział - zauważył Carter. I ol!;d atakowali różne banki, ale pani przekonała Andrewsa, że tym razem napadną na tę filię First National.

- Istotnie, tak było.

- To... zdumiewające, jak pani go przekonała.

- Niezupełnie - powiedziała z nadzieją, że Andrews nie powtórzył Carterowi każdego jej słowa.

- Posłużyła się pani moim nazwiskiem.

Skuliła się w sobie.

- To prawda.

- Powiedziała pani Andrewsowi, że rozkaz wyszedł ode mnie.

Zgadza się, panno Delaney?

Już po mnie, pomyślała.

- Tak, proszę pana.

- Wróćmy do faktów, dobrze? Interesuje mnie kilka rzeczy. „Politycy” zaatakowali piętnastego marca, trzynastego kwietnia. a potem piętnastego maja. Nie wiedzieliśmy, dlaczego wybierają akurat te dni, ale pani wiedziała, prawda? Tak pani powiedziała Andrewsowi - przypomniał. - Jednak nie podała pani dokładniejszych wyjaśnień.

- Nie było czasu.

- Teraz jest. Jak pani dokonała swojego odkrycia?

- Dzięki Szekspirowi, proszę pana.

- Szekspirowi?

- Tak. Wszystkie napady odbyły się według tego samego schematu, jakby stanowiły coś w rodzaju rytuału. Przejrzałam wydruk z pierwszego banku, przedstawiający operacje z tygodnia poprzedzającego napad. Zrobiłam to samo w przypadku obu pozostałych banków. Pomyślałam, że może znajdę coś, co je łączy. - Przez chwilę milczała, kręcąc głową. - Miałam całe sterty

wydruków i w końcu znalazłam w nich coś ciekawego. Na szczęście miałam też dyskietki z banków i mogłam je sprawdzać i porównywać na komputerze.

Carter potarł szczękę, przerywając jej tok myślenia. W jego oczach dostrzegła zniecierpliwienie.

- Już przechodzę do rzeczy. Otóż pierwszy bank został obrabowany piętnastego marca. Czy ta data z czymś się panu kojarzy? - Nie dając mu czasu na odpowiedź, podsunęła: - Idy marcowe. *Juliusz Cezar*.

Przytaknął kiwnięciem głowy.

- To właśnie musiało mi chodzić po głowie wczoraj wieczorem, kiedy czytałam te wydruki, bo zauważyłam, że jedna z wypłat została dokonana przez człowieka o nazwisku Nate Cassius. Wtedy jeszcze nie miałam pełnej jasności - przyznała - ale uświadomiłam sobie, że jeśli mam rację, a bardzo chciałam ją mieć, to przywódca „polityków” zostawia nam wskazówki. Może planował jakąś przewrotną grę? Może chciał się przekonać, jak długo nam zejdzie, nim się połapiemy.

Carter wyraźnie zastrzygł uszami.

- Proszę mówić dalej - ponaglił.

- Jak już wspominałam, te daty mnie niepokoiły, więc musiałam to zbadać. Zjrzałam do rzymskiego kalendarza i dowiedziałam się z niego, że obliczając długość miesiąca, Rzymianie wiedzieli, kiedy przypadną idy. Ze sztuki Szekspira *Juliusz Cezar* wiemy, że idy marcowe przypadają piętnastego. Ale nie w każdym miesiącu jest tak samo. Czasami jest to trzynasty. Dlatego, przyjmując taką logikę, wróciłam do rejestru wypłat w tygodniach poprzedzających drugi i trzeci napad. I niech pan zgadnie, co znalazłam?

- Czyżby Nate Cassius wypłacał pieniądze również z tamtych banków?

- Nie. Ale w jednym banku zrobił to jakiś William Brutus, a w drugim Mario Casca... a wypłaty miały miejsce dwa dni przed napadami. Myślę, że w ten sposób zapoznawali się z topografią banków.

- Co dalej? - Carter pochylił się ku niej z nieukrywaniem zaciekawieniem.

- Nie łączyłam tego aż do ostatniej chwili. Musiałam zdobyć spis transakcji odbytych jedenastego i w następane dni, ze wszystkich banków w obrębie trzech stanów.

- Ponieważ tamte dwie wypłaty nastąpiły dokładnie dwa dni przed napadami.

- Właśnie - potwierdziła. - Spędziłam prawie całą noc przy komputerze, sprawdzając dane z jedenastego, i znalazłam. Pan John Ligarius dokonał wypłaty w tej małej filii First National, o trzeciej trzydzieści pięć rano. Wszystkie te nazwiska - Cassius, Brutus, Casca, Ligarius - to byli ludzie spiskujący przeciwko Cezarowi. Nie miałam czasu sprawdzać posiadaczy kart, których użyto, ale odkryłam, że wszystkie te karty zostały wydane przez banki w Arlington. Wszystko złożyło się w całość. Ligarius dokonał wypłaty z First National Bank, zatem First National Bank był kolejnym celem. Czas uciekał, a mój zwierzchnik, pan Douglas, był nieosiągalny. Wybrał się w czterogodzinną podróż samolotem, więc nie mogłam go powiadomić. Wykazałam się inicjatywą - zauważyła z naciskiem. - Wolałam raczej się pomylić i stracić pracę, niż siedzieć cicho i dowiedzieć się po fakcie, że miałam rację. Moje wnioski i wynikające z nich działania będą w raporcie, który właśnie piszę, i kiedy pan go przeczyta, przekona się pan, że biorę pełną odpowiedzialność za wszystko. Moi współpracownicy nie mieli nic wspólnego z moją decyzją i telefonem do Andrews. Na swoją obronę muszę jednak dodać, że podobnie jak reszta osób w moim wydziale, mam magisterium, a wszyscy jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy. Nie tylko przenosimy informacje agentów do bazy danych, ale także je analizujemy.

- Robi to również program komputerowy.

- W istocie, ale komputer nie ma serca ani instynktu. My mamy. A skoro już jesteśmy przy temacie obowiązków służ-

bowych, to chciałabym zauważyć, że płace minimalne wzrosły, a nasze zarobki nie.

Carter zamrugął.

- Czyżby pani nagabywała mnie o podwyżkę?

Avery skrzywiła się bezwiednie. Może się trochę zagalopowała, ale skoro już miała stracić pracę, niech przynajmniej Lou, Mel i Margo coś zyskają. Nagle ogarnęła ją złość, że i ona, i jej współpracownicy są tak bardzo niedoceniani. Splatając ręce na piersi, spojrzała Carterowi prosto w oczy.

- Teraz, kiedy przedstawiałam panu fakty, jestem tym bardziej przekonana, że miałam rację. Nie miałam innego wyjścia, niż powiadomić Andrews, a on nie kiwnąłby palcem, gdyby nie pańskie nazwisko. Wiem, że przekroczyłam swoje kompetencje, ale po prostu nie było czasu i musiałam...

- Złapali ich.

Avery na moment zaniemówiła.

- Słucham? - wydukała, odzyskawszy głos.

- Powiedziałem, że Andrews i jego ludzie ich złapali.

Nie wiadomo, dlaczego była całkowicie szokowana nowiną.

- Wszystkich?

Skinął głową.

- Andrews czekał na miejscu ze swymi ludźmi i dokładnie trzy minuty po dziesiątej trzej mężczyźni wtargnęli do banku.

- Czy ktoś ucierpiał?

- Nie.

- Dzięki Bogu - westchnęła.

Carter znów kiwnął głową.

- Byli ubrani na biało. Domyśla się pani, co miał znaczyć ten kolor?

- Jasne. Rzymscy senatorowie nosili białe togi.

- Cała trójka jest teraz przesłuchiwana, ale rozumiem, że pani już odkryła, na czym miała polegać ich gra.

- Zapewne uważają się za anarchistów i próbują obalić rząd.

Powiedzą wam, że próbowali zabić Cezara, może nawet uważają się za męczenników. Ale wie pan co? Jeśli się przekłuje ten nienaturalnie nadęty balon, okaże się, że chodzi o to samo co zawsze. Prawdziwym motywem była chciwość. Próbowali ją tylko ubrać w wyszukaną, sztuczną otoczkę. - Uśmiechała się, zadowolona z siebie, gdy nagle coś jej się przypomniało. - Mówił pan, że ten dzień będzie jeszcze gorszy. Co pan miał na myśli?

- Ma się odbyć konferencja prasowa... - Urwał, żeby spojrzeć na zegarek. - Za dziesięć minut. A pani będzie jej główną atrakcją. Rozumiem, że ma pani awersję do stawiania w świetle reflektorów. Ja też nie lubię konferencji prasowych, ale pewnych rzeczy nie da się uniknąć.

Avery poczuła, jak wzbiera w niej panika.

- Na konferencji powinien wystąpić Mike Andrews i jego ludzie. To oni aresztowali podejrzanych. Ja tylko wykonywałam swoją pracę.

- Jest pani taka skromna czy też...

- Wolałabym wizytę u dentysty - przerwała mu zdecydowanie.

Powstrzymał uśmiech, ale w jego wzroku pojawiły się wesołe błyski.

- Taki występ zdaje się pani gorszy od bólu zęba?

- O wiele. - Była mu wdzięczna za wprowadzenie łżejszego nastroju, ale nie mogła powstrzymać narastającego lęku. - Mogę pana o coś spytać?

- Tak?

- Dlaczego trzyma pan na biurku moje akta. Przecież przestrzegałam procedury... najlepiej, jak się dało - przypomniała. - A jeśli nie planuje pan mnie zwolnić...

- Chciałem się zapoznać z pani wydziałem - wyjaśnił, biorąc teczkę do ręki.

- Mogę spytać dlaczego?

- Otrzymacie nowego zwierzchnika.

Nie spodobało jej się to, co usłyszała. Zarówno ona, jak i pozostali dobrze się rozumieli z Douglasem i byli niechętni zmianom.

- Więc pan Douglas przechodzi na emeryturę? Mówi o tym od czasu, gdy zaczęłam tu pracować.

- Tak - potwierdził Carter.

A to próżniak, pomyślała Avery.

- Mogę spytać, kto będzie moim nowym szefem?

Carter podniósł wzrok znad papierów.

- Ja. - Dał jej chwilę na przełknięcie nowiny, po czym dodał: - Wszyscy czworo przechodziecie do mojego wydziału.

- Dostaniemy nowe pomieszczenie biurowe? - spytała z nadzieją. Natychmiast pozbawił ją złudzeń.

- Nie, zostaniecie tam, gdzie jesteście, ale od poniedziałku będziecie składać raporty bezpośrednio na moje ręce.

Starła się robić wrażenie zadowolonej.

- To znaczy, że musimy biegać cztery piętra w górę za każdym razem, kiedy będziemy chcieli z panem porozmawiać? - Miała świadomość, że zabrzmiało to nie najlepiej, ale słowa już padły i nie dało się ich cofnąć.

- Mamy przecież windy. Większość naszych pracowników z nich korzysta, zrezygnujmy od wadzenia głowy między drzwiami. Nie przejęła się jego ironicznym tonem.

- Tak, proszę pana. A mogę spytać, czy dostaniemy podwyżki? Od dawna nie byliśmy oceniani pod tym kątem.

- Właśnie teraz panią oceniam.

- Aha. - Żałowała, że od razu o tym nie wspomniał. - I jak wypadłam?

- Ta rozmowa stanowi część oceny, więc pozwoli pani, że ja będę zadawał pytania, a pani będzie na nie odpowiadać. Zwykle tak się to odbywa.

Znów otworzył teczkę i skupił się na czytaniu. Zaczął od danych osobowych, które podała, ubiegając się o tę pracę, a potem przeniósł wzrok na dodatkowe informacje.

- Do jedenastego roku życia mieszkała pani z babką, Lolą Delaney.

- Zgadza się.

Obserwowała, jak przegląda stronę za stroną, najwyraźniej sprawdzając fakty i daty. Miała ochotę spytać, po co wraca do jej życiorysu, lecz wiedząc, że mogłoby to zrobić złe wrażenie, siedziała cicho, mocno zaciskając dłonie na kolanach. Carter był jej nowym zwierzchnikiem i wolała, żeby ich współpraca zaczęła się pomyślnie.

- Lola Delaney została zamordowana późnym wieczorem...

- Czternastego lutego - dokończyła bez emocji. - W dzień świętego Walentego.

Popatrzył na nią znad papierów.

- Pani to widziała?

- Tak.

Ponownie zagłębił się w notatkach.

- Dale Skarrett, człowiek, który zabił pani babkę, był już wcześniej poszukiwany. Obejmował go nakaz aresztowania w związku z kradzieżą klejnotów, podczas której został zabity właściciel sklepu i zginęły nieoszlifowane kamienie wartości przeszło czterech milionów. Diamentów nie odnaleziono, a Skarrett nigdy nie został oficjalnie oskarżony.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Istniały przeciwko niemu jedynie dowody pośrednie, więc wyrok skazujący był wątpliwy.

- Istotnie - przyznał Carter. - Jill Delaney także była poszukiwana, żeby złożyć zeznania w sprawie tego rabunku.

- Tak.

- Nie było jej w domu tamtego wieczoru, kiedy pani babka została zamordowana.

- Nie, ale jestem pewna, że wysłała Skarretta, żeby mnie porwał.

- Jednak pani nie dała się porwać.

Avery poczuła ucisk w żołądku.

- Nie.

- Nikt nie wiedział, co się stało, aż do następnego dnia rano.

Nim przyjechała policja, Skarrett był daleko, a pani znajdowała się w stanie krytycznym.

- On myślał, że nie żyję - wtrąciła.

- Została pani przewieziona drogą lotniczą do szpitala dziecięcego w Jacksonville. Miesiąc później, kiedy pani doszła do siebie - co graniczyło z cudem, zważywszy na wielkość obrażeń - pani ciotka Carolyn zabrała panią do swego domu w Bel Air w Kalifornii. - Odchylił się na oparcie fotela. - To tam Skarrett dopadł panią powtórnie, prawda?

Napięcie w niej narastało.

- Tak - przyznała. - Byłam jedynym świadkiem, który mógł go posłać do więzienia na resztę życia. Na szczęście miałam swojego anioła stróża. FBI chroniło mnie bez mojej wiedzy. Skarrett pokazał się w szkole, kiedy wychodziłam po lekcjach.

- Był nieuzbrojony i jak potem zeznał, chciał tylko z panią porozmawiać. Został aresztowany i oskarżony o morderstwo drugiego stopnia. Skazano go i obecnie odbywa karę na Florydzie. Kilka lat temu ubiegał się o zwolnienie warunkowe, ale mu odmówiono. W tym roku będzie miał prawo znów wystąpić z taką prośbą.

- Wiem. Regularnie kontaktuję się z biurem prokuratora i zostaną powiadomiona, kiedy wyznaczą datę przesłuchania.

- Będzie pani musiała pojechać.

- Na pewno pojedę.

- A co z nowym procesem? - zastanowił się na głos. Postukał palcami w papiery. - Ciekawe, czemu jego obrońca uważa, że ma podstawy się o to ubiegać?

- Obawiam się, że ma takie podstawy - przyznała Avery. - Złożył oświadczenie, w którym oskarża prokuratora o zatajanie ważnych informacji. Moja babka miała problemy z sercem. Lekarz, który ją leczył, zgłosił się po przeczytaniu w gazecie o jej śmierci. Ta wiadomość nie została przekazana obrońcy Skarretta.

- Ale nie wie pani jeszcze, czy odbędzie się nowa rozprawa?



- Nie, proszę pana, nie wiem tego.
  - Wróćmy do pani - rzekł spokojnie.
- Avery nie była w stanie dłużej się powstrzymywać.
- Mogę spytać, dlaczego tak pana interesuje moja historia?
  - Podlega pani ocenie - przypomniał jej rzeczowo. - Dwa tygodnie po skazaniu Skarretta pani matka, Jill Delaney, zginęła w wypadku samochodowym.
  - Tak.

Avery zapomniała większość faktów ze swego dzieciństwa, ale tamtą rozmowę telefoniczną pamiętała wyraźnie. Świątowały właśnie urodziny Carrie, trochę spóźnione, jako że Avery dopiero co wróciła ze szpitala. Pomagała gospośi nakrywać do stołu, przy którym wkrótce mieli wszyscy zasiąść. Avery stawiała ubite ziemniaki przy talerzu wujka Tony'ego. kiedy ciotka Carrie odebrała telefon. Kierownik domu pogrzebowego zawiadomił, że Jilly spłonęła podczas wypadku samochodowego, ale zostało dość szczątków, żeby napełnić urnę. Chciał się dowiedzieć, co ma zrobić z prochami i resztkami rzeczy osobistych, między innymi nadpalonym prawem jazdy. Avery stała przed oknem zajmującym całą ścianę, obserwując kolibry, kiedy podsłuchiwała, jak Carrie mówi temu człowiekowi, żeby je wyrzucił do najbliższego kubła na śmieci. Pamiętała każdy szczegół tamtej chwili.

Carter wyrwał ją z ponurych wspomnień, raptownie zmieniając temat.

- Studiowała pani na Uniwersytecie Santa Clara, zaliczając egzaminy z nauk politycznych i historii oraz uzyskując licencjat z psychologii, a potem na Uniwersytecie Stanforda zrobiła pani magisterium z prawa karnego. - Powiedziawszy to. zamknął teczkę. - W liście motywacyjnym napisała pani że już w wieku dwunastu lat wiedziała, że w przyszłości chce być agentem FBI. Dlaczego?

Wiedziała, że Carter zna odpowiedź na to pytanie. Wyczytał ją z podania, które złożyła, starając się o pracę w tej instytucji.

- Pewien agent FBI, niejaki John Cross, uratował mi życie. Gdyby mnie nie ochronił... gdyby Skarrett zabrał mnie wtedy ze szkoły, byłoby już po mnie.

Carter pokiwał głową.

- Wierzy pani, że może coś zmienić dzięki tej pracy?
- Wierzę.
- Dlaczego nie została pani agentem operacyjnym?
- Przez biurokrację - odparła bez namysłu. - Wyłądowałam na moim obecnym stanowisku. Miałam zamiar odczekać kolejne pół roku i wtedy poprosić o przeniesienie.

Przerwał im jego asystent.

- Panie Carter, czekają na pana.

Avery ogarnęła nowa fala paniki.

- Naprawdę to Mike Andrews powinien wziąć udział w konferencji prasowej. Jemu i jego ludziom należą się wszelkie splendory.

- Nikt z nas tego nie lubi - uciął Carter. - Ale to była wyjątkowa sprawa, a tak szczerze mówiąc, większość osób cieszyłaby się z okazji zdobycia pewnej popularności.

- Ja i moi współpracownicy wolelibyśmy raczej podwyżkę... i okna. Bardzo byśmy chcieli mieć okna. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że nasz pokój znajduje się za pomieszczeniem technicznym?

- Mamy trudności lokalowe - przyznał. - Skąd pani przyszło do głowy, że my coś negocjujemy?

Wyprostowała się sztywno.

- Przy ocenie...

Przerwał jej w pół zdania.

- Powiedziała pani, że działała sama, wzywając Andrewsa.
- Tak, zgadza się, ale... reszta mnie zgodnie wspierała. Pomagali mi w wyszukiwaniu tych nazwisk.
- Rozumie pani, że kłamstwem nie zdobędzie podwyżki, prawda? - Przymrużył jedno oko.

- Mel, Lou, Margo i ja stanowimy zespół. Naprawdę mi pomagali. Po prostu nie byli tak mocno przekonani jak ja...

Zabrzącał interkom na biurku. Carter zniecierpliwiony wcisnął guzik.

- Zaraz tam będę - rzucił.

Patrząc na Avery surowo, włożył marynarkę.

- Niech się pani odpręży, panno Delaney - rzekł w końcu. -

Nie będę pani zmuszał do udziału w konferencji prasowej.

- Dziękuję panu - odsapnęła z ulgą.

Podniosła się z miejsca, ukrywając zwinięte rajstopy pod żakietem przerzuconym przez ramię. Carter przystanął w drzwiach i odwrócił się. Wciąż miał groźnie ściągnięte brwi.

- Proszę nigdy więcej nie używać mojego nazwiska bez pozwolenia, panno Delaney.

- Tak, proszę pana.

- I jeszcze jedno - dodał.

- Tak"

- Dobra robota.

## 2

Małżeństwo nie jest dla nadwrażliwców. Zarówno mąż, jak i żona muszą dopuścić w sobie do głosu wewnętrzne dzieci, jeśli chcą, by ich małżeństwo przetrwało i rozkwitło. Muszą pozwolić, by wewnętrzne dziecko, które tkwi w każdym z nich, tarzało się w błocie. Błędy, rzecz jasna, będą nieuniknione, ale strumień miłości i przebaczenia obmyje związek i pozwoli na uzdrowienie.

Co za bełkot! Carolyn Delaney Salvetti siedziała z szeroko otwartymi oczyma, słuchając bredni, które wygłaszał doradca małżeński, opierając się na wydanym przez siebie poradniku, zatytułowanym: *Pozwól swemu wewnętrznemu dziecku się ubrudzić*. Czy ten głupek mówił o małżeństwie, czy raczej o zapasach w błocie? Carrie nie wiedziała i w tej chwili niewiele ją to obchodziło.

Dyskretnie uniosła mankiet jedwabnej bluzki i spojrzała na zegarek od Cartiera. Jeszcze dziesięć minut. Boże, czy wytrwa tak długo?

Odetchnęła głęboko, opuściła rękaw i umościła się wygodniej w pluszowym fotelu, co jakiś czas kiwając głową, żeby jej mąż i ten głupek myśleli, że słucha.

- Małżeństwo nie jest dla nadwrażliwców - powtórzył doradca

niskim, nosowym barytonem. W brzmieniu jego głosu było coś irytującego, co przypominało odgłos skrobania szczotką po metalowej powierzchni.

Sam doradca był nadętym, grubym, pompatycznym oszustem. Z uporem przypominał, by nazywać go doktorem Pierce'em. ponieważ uważał, że pełne nazwisko, doktor Pierce Ebricht, byłoby zbyt oficjalne przy rozważaniach na tak intymne tematy. Ostatecznie miał im pomóc się odsłonić. Po pierwszej sesji Carrie przezwała go doktorem Prykiem. Jej mąż Tony wybrał go jako aktualnie najmodniejszego w branży. Doradca, ze swoim mocno podejrzanym tytułem naukowym, był najnowszym guru, do którego w owczym pędzie ciągnęły wszystkie sławy, pragnące reanimować swoje małżeństwa. Tak czy inaczej, doktor Pryk był kompletnym bufonem.

Podobnie jak Tony. Siedział obok Carrie, spocone dłonie miał złożone jak do modlitwy, cały zamieniony w słuch, niczym drewniana marionetka, którą doradca zręcznie manipulował, potakując skwapliwie, ilekroć doktor Pryk, przerywając czytanie swojej biblii, rozglądał się wyczekująco.

Carrie zagryzła dolną wargę, bo tylko to mogło ją powstrzymać od śmiechu... lub krzyku. Och, jakże wielką miała ochotę krzyczeć. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Zawarła układ ze swoim niewiernym mężem nicponiem i teraz po to, żeby przez resztę życia nie płacić alimentów, musiała udawać, że próbuje ocalić ich tonące niczym „Tkanie” małżeństwo. Na myśl o takiej perspektywie czuła, że krew jej stygnie w żyłach.

Okoliczności nie były sprzyjające. Tony pochodził z długowiecznej rodziny. Jego wuj Enzo wciąż wyciskał wino z maleńkiego jak pocztowy znaczek spłachetka ziemi położonego po tej dobrej stronie Napa; miał osiemdziesiąt sześć lat i trzymał się znakomicie. Jedynym ustępstwem na rzecz zdrowego trybu życia, na jakie się zdobył w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, było rzucenie palenia - a wypalał dotąd dziennie trzy paczki cameli

bez filtra - i powiększenie ilości czosnku, którym obkładał obficie wszystko, co jadł, nie wyłączając porannej grzanki. Gdyby Tony miał się okazać równie zdrowy i krzepki jak wuj Enzo, Carrie dokonałaby żywota wyssana do centa i nic by nie zostało dla jedynej osoby, którą w życiu kochała - siostrzenicy Avery. Z drugiej strony jednak Tony obiecał, że jeśli Carrie okaże dobrą wolę i weźmie udział we wszystkich dziesięciu sesjach z doktorem Prykiem, a mimo to ich małżeństwo nie przetrwa - co według niej było dawno przesądzone - sam wycofa się z interesu i nie będzie zabiegał o alimenty.

Carrie nie była głupia. Rozsądek nie pozwolił jej polegać na słowie człowieka, którego uważała za notorycznego kłamcę i złodzieja. Na jednym z ich biznesowych kont brakowało stu dwudziestu trzech tysięcy dolarów. Nie była w stanie udowodnić, że Tony zagarnął te pieniądze, ale wiedziała, że je wzięł, prawdopodobnie po to, by kupić jakieś kosztowne świece dla swojej kochanki. Drań. Dlatego też, by się upewnić, że nie zmieni zdania i nie będzie się z nią sądził o alimenty, zmusiła go do złożenia obietnicy na piśmie, a gdy Tony podpisywał dokument, wezwała swoją asystentkę na świadka. Ów cenny papier leżał teraz bezpiecznie zamknięty w jej skrytce depozytowej w First Commeree Bank.

Zastanawiała się, jak do tego doszło. Przecież Tony był kiedyś kochającym i troskliwym mężczyzną.

Carrie przypomniała sobie tamtą noc, kiedy obudził ją rozdzierający ból. Była pewna, że zaraz umrze z powodu zatrucia - jedli kolację w nowej tajskiej restauracji, którą tak się zachwycali wszyscy jej znajomi. Odmówiła pojechania do szpitala, a Tony dosłownie wychodził z siebie ze zmartwienia. W końcu wzięł ją na ręce, zaniósł do samochodu i odwiózł do szpitala. Tamtej nocy uratował jej życie. Została przyjęta na oddział, a Tony przesiedział całą noc na krześle przy jej łóżku, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała. Do tego stopnia oczarował cały szpitalny personel,

że cierpliwie znoszono jej narzekania i spełniano wszystkie zachcianki. W dodatku przystroił cały pokój jej ulubionymi gerberami.

Tony był wówczas pełen uroku. Do licha, nadal miał ten urok i pewnie dlatego dziewczęta marzące o aktorskiej karierze tak do niego lgnęły. Czyżby pokusa była zbyt silna, żeby mógł jej się oprzeć? Ostatecznie Carrie się starzała i zaczynało to być widoczne. Czy z tego powodu dopuszczał się zdrad?

Ukradkiem znów spojrzała na zegarek, tłumiąc westchnienie. Za pięć minut ostatnia sesja dobiegnie końca i nie będzie musiała więcej udawać sympatii do doktora Pryka. A potem wyjedzie, żeby się w samotności trochę odmłodzić. Sportowe ciuchy od Prądy czekały spakowane w torbach od Gucciego, razem z najnowszym modelem laptopa, trzema kompletami baterii i dwoma telefonami komórkowymi zaopatrzonymi w ładowarki. Wszystkie te rzeczy spoczywały w bagażniku limuzyny, która miała ją zabrać z gabinetu doktora Pryka na lotnisko.

Podczas tych wymuszonych wakacji po raz pierwszy od ośmiu lat miała być z dala od swej firmy, zajmującej się wyławianiem aktorskich talentów, nic więc dziwnego, że drżała z niepokoju. Miała dobrych pracowników, wiedziała, że poradzą sobie z każdym problemem, jaki może wyniknąć pod jej nieobecność, ale jak sama przyznawała, miała bzika na punkcie osobistego dozoru i nie mogła ścierpieć myśli, że ktoś inny będzie za nią podejmował decyzje, choćby tylko przez, dwa tygodnie. Według Avery należała do osobowości typu A. Nie znosiła beczynności czy nudy. Nie zrobiła sobie wolnego nawet na miesiąc miodowy po ślubie z Tonym. Krótki weekend w Baja dłużył jej się niczym rok z dala od ukochanej firmy, co mogło się wydawać groteskowe w przypadku świeżo upieczonej mężatki.

Ozdobione złotymi tłoczeniami zaproszenie ze słynnego kurortu Utopia przyszło trzy tygodnie temu, tuż po ich drugiej sesji z doktorem Prykiem, więc Carrie wystarczył jeden rzut oka na

elegancki blankiet, by się upewnić, że to Tony krył się za spiskiem, żeby ją wywabić z Los Angeles. Wprawdzie mąż udał zaskoczenie, ale nie dała się nabrać. Od miesięcy namawiał ją na urlop, który miał posłużyć naprawie ich syjącego się małżeństwa.

Choć usilnie nakłaniała męża, żeby się przyznał, nie zdołała wyduśić z niego prawdy. Upierał się, że to nie on zrobił rezerwację i zapłacił horrendalną cenę, a ponieważ był jeszcze bardziej uparty niż ona, w końcu się poddała.

Do zaproszenia dołączona była obszerna broszura, zachwalająca luksusowe wyposażenie i bogatą ofertę zabiegów dostępnych w Utopii. Zawierała też listę uwag sławnych osób - stałych klientów ośrodka.

Carrie słyszała wcześniej o Utopii - każdy w Hollywood o niej wiedział - ale nie miała pojęcia, jak bardzo jest popularna wśród sławnych i bogatych. Sama nigdy się tam nie wybierała z powodu niewyobrażalnych kosztów takiego pobytu.

Była w rozterce. Próbowwała ocenić, czy warto tam pojechać. Jadanie w najmodniejszych restauracjach Los Angeles miało ogromne znaczenie, ponieważ było się tam widywanym i zauważanym, ale kurort... wytwornie dyskretny i spokojny? Kto w ogóle, poza miejscowymi pracownikami, będzie wiedział, że tam była? Czy właściciel poprosi ją o wpis do książki pamiątkowej? Boże, czyż, to nie byłoby cudowne? Gdyby jej nazwisko znalazło się na liście sławnych i bogatych, byłaby to świetna reklama dla firmy. W jej środowisku wszelkim działaniom przyświecał jeden tylko cel: zrobić wrażenie na innych, przyprowadzić ich o zazdrość. W Hollywood pracę dostawali tylko ci, którzy jej nie potrzebowali.

Jaką jednak mogła mieć gwarancję, że jej nazwisko znajdzie się na tej liście? Carrie dokonała obliczeń, skalkulowała co do centa, ile będzie ją kosztował każdy dzień pobytu, i postanowiła zostać w domu. Nie miała zamiaru pozwolić, by Tony tak szastał jej pieniędzmi. Postanowiła rano zadzwonić do Utopii, zażądać zwrotu zaliczki. Nie życzyła sobie wydawać takiej sumy na

zbytki. Wykrzyczała to pewnie z pięć razy, nim przeczytała na głos nazwiska tych, którzy regularnie odwiedzali kurort i wychwalali Utopię pod niebiosą. Gdy dostrzegła nazwisko Barbary Rolands, przestała krzyczeć. Wszyscy uznawali tę podstarzałą aktorkę z trzema Oscarami na koncie za przykład najlepszego face-liftingu na całym wybrzeżu. Nie dalej jak przed rokiem Barbara zniknęła na trzy tygodnie, a kiedy się potem zjawiła na ważnym przyjęciu dobroczynnym, wyglądała olśniewająco. Czyżby zajęto się nią tak właśnie w Utopii?

Carrie wyrwała Tony'emu papiery z ręki. Odczytała nazwiska konsultantów, gotowych służyć klientom w każdej potrzebie. Tę listę otwierały nazwiska dwóch chirurgów plastycznych o światowej renomie.

Czy to możliwe, by dostała się w ręce tych samych lekarzy, którzy zajmowali się niektórymi z najbardziej wpływowych postaci stulecia? Co tu kryć - potrzebowała pewnego odświeżenia. Może nie od razu face-liftingu, ostatecznie nie skończyła jeszcze czterdziestu pięciu lat, ale worki pod oczami stawały się coraz bardziej widoczne i naprawdę powinna coś z tym zrobić. Niedostatek snu, długie godziny pracy i dwadzieścia filiżanek mocnej kawy dziennie, przy ciągłym braku czasu na odpoczynek i gimnastykę, bez wątpienia odcisnęły na niej swoje piętno.

Zgodnie z tym, co wypisano w zaproszeniu, miała polecieć z Los Angeles do Denver, a potem mniejszym samolotem do Aspen. Utopia usytuowana była w górach, piętnaście minut drogi od najbliższego ośrodka narciarskiego. Dotarłaby na miejsce wieczorem, a następnego ranka od razu mogłaby się poddać oględzinom tamtejszych lekarzy. Zauważyła, że w ofercie pośród innych proponowanych zabiegów umieszczono odsysanie tłuszczu. Na drugiej pozycji, tuż pod masażem całego ciała.

Jak mogła odmówić? Zwłaszcza po tym, jak Tony wspomniał, że ten anonimowy prezent już został opłacony, a w razie niewykorzystania opłaty nie będą zwrócone. Była pewna, że wydał na

ten cel pieniądze firmy. Ten człowiek nie potrafił zaoszczędzić choćby centa. Odkąd połączyli swoje firmy i ich wspólne konto przekroczyło milion dolarów, Tony zupełnie nie liczył się z pieniędzmi. Nie miał głowy do interesów.

Tony twierdził, że nie jest ważne, kto pokrył koszty, i zapewniał ją, że powinna potraktować te wakacje jako wcześniejszy prezent urodzinowy. Uważał, że darowanemu koniowi nie należy zaglądać w zęby. Wyznał też, iż ma nadzieję, że Carrie wykorzysta ten czas na przemyślenie wszystkich mądrości, jakie doktor Pryk wygłosił na temat świętości małżeństwa. Bez wątpienia żywił nadzieję, że mając więcej wolnego czasu na zastanowienie, Carrie zrozumie, jak bardzo się myli w swoich oskarżeniach, i poczuje, że w głębi serca nadal kocha męża.

Carrie miała jednak własne plany. Poddając się odnowie, zamierzała jednocześnie pracować nad nową reklamą, która dałaby jej firmie kolejną nagrodę Clio. Od czasu gdy dostała poprzednią, minęły już prawie cztery lata i zaczynała się coraz bardziej niepokoić. Rynkiem reklamy rządziły brutalne prawa, a konkurencja, skupiona głównie na Manhattanie, była zabójcza. Do władzy dochodziło pokolenie dwudziestolatków. Niektórzy z nich nie chcieli nawet rozmawiać z ludźmi po trzydziestce - właśnie dlatego Carrie włączyła do swego personelu troje młodych, przebojowych pracowników. Nazywała tych fanatyków Nintendo swoimi dziećmi.

W interesach Carrie trzymanie ręki na pulsie było konieczne. W tej pracy dawne dokonania i osiągnięcia nie miały znaczenia. Przy tłumach nowych konkurentów napierających zewsząd, by się wedrzeć w kręgi jej wpływów, musiała bezustannie zachowywać czujność. Hollywood było niestałym miastem. Tych, którzy mieli władzę, interesowało jedno - kto aktualnie podbija bębenek. Gdyby Carrie nie zmuszała swoich ludzi do ciągłej pogoni za coraz większymi zyskami, w jednej chwili mogłaby spaść do drugiej ligi.

Pierwszą nagrodę Clio zawdzięczała swojej siostrzenicy. Poprosiła Avery o pomoc, kiedy wynajęta żywiolowa, nastoletnia aktorka urządziła histeryczną scenę, w ostatniej chwili żądając podwojenia gaży. Głupia smarkula myślała, że trzyma Poławiaczy Gwiazd w ręku, bo też gdyby Avery nie zjawiła się tamtego dnia na planie, Carrie musiałaby zapłacić tej małej suce. Avery była przerażona tym, czego oczekuje od niej ciotka, ale miała dobry głos i wspaniałe ciało, a tylko to było niezbędne. Reklama mydła okazała się bardzo udana, a Carrie jako agentka Avery z łatwością mogła załatwić siostrzenicy roczny kontrakt. Jednak Avery nie była tym zainteresowana. Po wiosennych feriach wróciła do siebie, żeby skończyć szkołę średnią, a potem poszła do college'u.

Avery pracowała dla Carrie każdego lata, ale robiła to niechętnie, unikała też spotkań z zarządem firmy. Carrie nie potrafiła zrozumieć jej zahamowań. Avery jakby nie wiedziała - a jeśli nawet wiedziała, to nie przywiązywała do tego żadnej wagi - że jest, jak często zauważał Tony, olśniewająca.

Avery z pewnością nie była ani powierzchowna, ani sztuczna. Przeciwnie, cechowała ją zdrowa prostota, a ponadto miała mocno ugruntowane poczucie, co jest w życiu ważne, a co nie jest. Ale czegoż innego można się było spodziewać? Ostatecznie to Carrie nauczyła ją rozróżniać takie rzeczy. Czyż nie było ironią losu, że sama żyła w świecie, w którym królowała gra pozorów? Okazała się straszną hipokrytką. Czy możliwe, by jeszcze kiedyś sama nauczyła się przestrzegać zasad, jakie ciągle wpajała Avery? Może gdy zarobi kolejne kilka milionów?

W końcu myśl o luksusowym wypoczynku zaczęła się Carrie podobać. Podjąwszy decyzję, że pojedzie, zadzwoniła do Avery z prośbą, by dołączyła do niej w Utopii na tydzień. Wiedziała, że siostrzenica wykorzystuje część swoich wakacji do oprowadzania nastolatków po Waszyngtonie, i próbowała ją przekonać, że tyle samo czasu należy poświęcić rodzinie. Carrie wierzyła, że Avery przyjedzie do niej chociaż na kilka dni, ale też miała świadomość,

że nie może zdradzić, ile taki pobyt kosztuje. Carrie bez wahania gotowa była zapłacić za Avery, zresztą dla swej siostrzenicy zrobiłaby wszystko, absolutnie wszystko. Pewnie dlatego, że Avery nigdy jej o nic nie prosiła. Carrie nie rozumiała, jak siostrzenica potrafi wyżyć ze swej skromnej pensji, ale choć przy każdej okazji proponowała jej pieniądze, Avery zawsze odmawiała. Radziła sobie doskonale, a przynajmniej tak twierdziła.

Avery miała zdolność sprowadzania jej na ziemię i Carrie w głębi duszy czuła, że siostrzenica nie pozwoli, by straciła głowę i poddała się wszystkim dostępnym w Utopii zabiegom.

Avery wpadnie w furję dowiedziawszy się, że ciotka ma ochotę zafundować sobie odsysanie tłuszczu. Carrie bezwiednie uśmiechnęła się na myśl o argumentach, jakie wytoczy jej siostrzenica. Chwyci się też za głowę na widok jej sportowych ciuchów, starannie dobranych i bez wyjątku noszących metki znanych projektantów. O tak, Avery wzniesie oczy ku niebu, a potem wygłosi swój ulubiony tekst o zdrowym trybie życia.

Dobry Boże, jak bardzo za nią tęskniła.

- Czemu się uśmiechasz, skarbie? - spytał Tony.

Wyrwana z rozmyślań Carrie uświadomiła sobie, że jej mąż i doradca małżeński przyglądają się jej z zaciekawieniem. Wzruszyła ramionami, żeby pokryć zmieszanie.

- Myślałam o tym wszystkim, co powinnam przemyśleć. - Nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy na poczekaniu.

Doktor Pryk sprawiał wrażenie wystarczająco przygotowanego, żeby się wytarzać w błocie razem ze swym wewnętrznym dzieckiem. Pokiwał głową, a potem wstał, dając do zrozumienia, że sesja dobiegła końca.

Tony odprowadził ją do czekającej limuzyny.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym cię odwiózł na lotnisko?

- Jestem pewna.

- Pamiętałaś, żeby zabrać rezerwację?

- Tak. - Odsunęła się od męża, gdy tylko kierowca otworzył

przed nią tylne drzwi. - Avery jeszcze się do mnie nie odezwała, chociaż zostawiłam jej trzy wiadomości. Miałam nadzieję, że z nią porozmawiam, zanim wyjadę z Los Angeles.

- Wiesz, jaka jest zajęta pracą. Pewnie nie miała czasu do ciebie zadzwonić.

- A jeśli coś się stanie pod moją nieobecność?

- Wtedy zadzwoni do mnie albo będzie próbowała dodzwonić się na twoją komórkę.

- Nie podoba mi się ten pomysł z opieką nad dziećmi. To za duże obciążenie. Ona...

- Nie robiłaby tego, gdyby jej nie sprawiało radości - zauważył Tony. - Przestań się zamartwiać. Avery jest już dorosła.

- Sprawdź moje e-maile, jak tylko wrócisz do domu - poprosiła. - Może przysłała mi jakąś wiadomość.

- Dobrze, sprawdzę i zadzwonię do ciebie.

- Posiedzenie w sprawie warunkowego zwolnienia jest wyznaczony na szesnastego. Ciekawe, czy Avery została już powiadomiona. Dostałam właśnie...

- Oczywiście, że wie. Czemu teraz się tym martwisz?

- Bo nie mogę tego przegapić - odwrknęła. - Zawsze towarzyszę Avery. Obie się wypowiadamy, zanim decyzyja...

- Skarbie, nie przegapisz tego posiedzenia, podobnie jak Avery. Ma się odbyć dopiero za miesiąc. Nie przegapiłaś poprzedniego i tego też nie przegapisz. Spróbuj się odprężyć. Chcę, żebyś się dobrze bawiła.

Pokiwała głową.

- No dobrze.

Nie zabrzmiało to szczerze. Tony zmarszczył brwi.

- Jesteś spięta, bo od dawna nie miałaś urlopu. Stąd te nerwy.

Znów pokiwała głową i schyliła się, by wsiąść do samochodu, lecz Tony przytrzymał ją za ramiona i pocałował.

- Kocham cię - szepnął. - Zawsze cię kochałem, od chwili gdy się poznaliśmy. Chcę, żeby nasze małżeństwo znów było udane.

- Tak, wiem - powiedziała, nie siląc się na przekonujący ton. Ledwie samochód oderwał się od krawężnika, Carrie sięgnęła po laptopa. Już miała dotknąć klawiszy, gdy zadzwoniła jej komórka. Spodiewając się, że to Tony jeszcze raz chce jej przypomnieć o konieczności ratowania ich małżeństwa, rzuciła szorstko;

- O co chodzi?

- Zgadnij? - odezwała się Avery.

- Cześć, kochanie. Myślałam, że to Tony. Zaczęłaś już wakacje?

- Jeszcze nie. Dopinam ostatnie szczegóły w pracy. Kilka dni temu miałam ważne spotkanie z moim nowym szefem i nie mogę się doczekać, żeby ci opowiedzieć o sprawie, którą pomogłam rozwiązać. Co powiesz na wspólną kolację w Aspen?

Carrie pisnęła z radości.

- Dołączysz do mnie? Więc moje namowy i pogrożki poskutkowały?

- Jeśli przyznam, że tak, zrobisz się jeszcze gorsza, Carrie. Poczucie winy tym razem zadziałało, ale nie myśl...

- A co będzie z tymi dziećmi, które miałaś ciągać po Waszyngtonie?

- Wycieczka została przełożona na inny termin.

- Aha. Więc wygrałam walkowerem.

- Chcesz, żebym przyjechała, czy nie?

- Oczywiście, że chcę. Natychmiast zadzwonię do Utopii. Masz już bilet na samolot?

- Właśnie patrzę na ekran komputera. Mogę złapać połączenie w Denver, ale na miejscu będę dość późno - ostrzegła.

- Ależ się cieszę. Będziemy się świetnie bawić. Daj mi znać, o której przylatujesz. Oddzwon, jak tylko zarezerwujesz miejsce w samolocie. Do zobaczenia, Avery. Kocham cię.

Samopoczucie Carrie znacznie się poprawiło. Rozłączyła się i od razu zadzwoniła do Utopii. A potem zabrała się do pracy.

Pilnie robiła notatki, dopóki lizmuzyna nie zajechała na lotnisko. Kolejka przed bramką kontrolerów przesuwała się w ślimaczym tempie. Przerzucając pasek bagażu podręcznego z jednego ramienia na drugie, Carrie wyciągnęła z torebki dyktafon i nagrała polecenia dla swojego personelu. Po starcie, siedząc wygodnie w pierwszej klasie, z kieliszkiem schłodzonego chardonnay w dłoni, znów otwarła laptopa i zajęła się pracą.

Ciągle wracała myślami do Avery. Miała ochotę do niej zadzwonić i dowiedzieć się, kiedy wylatuje. Sięgała już po telefon zawieszony na oparciu, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliła. Lepiej było poczekać. Używając telefonu dostępnego w samolocie, musiałyby przekrzykiwać hałas silników i pasażerowie siedzący w pobliżu słyszeliby każde słowo.

Po wylądowaniu w Aspen natychmiast wydostała się z tłumu podróżnych i usiadła, żeby przekopać podręczny bagaż w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Kiedy wyciągnęła już niemal wszystko, przypomniała sobie, że upchnęła komórkę w torebce. Zamykając bagaż, pomyślała, że takie niezorganizowanie jest sprzeczne z jej naturą. Podniósłszy wzrok, dostrzegła niespodziewanie mężczyznę, trzymającego tablicę z jej nazwiskiem. Po jego ciemnogatowym garniturze poznała, że jest firmowym kierowcą limuzyny. Wyglądał całkiem dostojnie i był przystojny, niczym odmłodzona wersja Seana Connery'ego. Podniosła się szybko, schowała komórkę do kieszeni blezera i zawołała:

- To ja jestem Carolyn Salvetti!

Uśmiechnął się ośniewająco.

- Dobry wieczór, pani Salvetti. - Miał uroczy brytyjski akcent. Na plakietce wpiętej w klapę jego marynarki widniało nazwisko „M. Edwards”.

- Pracuje pan dla Utopii?... Tego ośrodka? - upewniła się.

- Tak, proszę pani - potwierdził. - Ma pani przy sobie rezerwację?

Sięgnęła po torbę podróżną.

- Jest tutaj.

- Och, nie muszę jej teraz oglądać, pani Salvetti. Miałem się tylko upewnić, że wzięła pani ze sobą niezbędne papiery. Może pójdziemy odebrać pani bagaż?

Czuła się głupio, niemal biegnąc w eleganckich sandałkach na wysokim obcasie, żeby nadażyć za swym długonogim towarzyszem. Raz się pośliznęła i gdyby jej nie podtrzymał za ramię, upadłaby na twarz. Zamierzała zmienić buty przed wejściem do samolotu, ale praca tak ją pochłonęła, że zupełnie o tym zapomniała.

Kiedy mijali rząd budek telefonicznych, przypomniała sobie, że musi się dowiedzieć o czas przylotu Avery. Do licha, przecież kazała jej zadzwonić, gdy tylko zarezerwuje bilet. Właściwie domyślała się, co zaszło. Avery była tak zajęta, że załatwiała wszystko biegiem, w ostatniej chwili.

Prawdopodobnie było już za późno, by ją złapać w pracy lub w domu. Zapewne była już na lotnisku albo nawet siedziała w samolocie. Mimo to chciała spróbować. Może Avery sprawdzi wiadomości na sekretarce podczas przesiadki w Denver? Postanowiła zadzwonić, gdy tylko dojdą do miejsca odbioru bagażu.

- Czy jacyś inni goście pojedą z nami do ośrodka? - spytała.

- Owszem - potwierdził. - Są jeszcze dwie osoby. Czekają w holu. Pójdziemy do nich, gdy tylko wezmę pani bagaże.

- Ma pan w planie odbieranie kogoś po południu albo wieczorem?

- Nie, to jest mój ostatni kurs na lotnisko. Dlaczego pani pyta?

- Ma do mnie dołączyć siostrzenica, Avery Delaney.

Ta uwaga tak go zaskoczyła, że stanął jak wryty pośrodku korytarza.

- Oczekiwała pani, że panna Delaney do nas dołączy?

Czyż właśnie tego nie powiedziała?

- Tak, tylko że ona leci z Waszyngtonu. Jeśli pan nie może po nią wrócić, ośrodek musi wysłać kogoś innego.



- Tak, rzeczywiście - powiedział z namysłem.
- Nie mam wiadomości, o której przyleci, ale mogła zadzwonić do ośrodka, żeby ich powiadomić. Mógłby pan to sprawdzić? Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli na nią zaczekać. Wiem, że leci przez Denver - dodała.
- Chętnie zadzwonię do ośrodka ~ zapewnił. Rozejrzawszy się, ruchem głowy wskazał na rząd pustych foteli w opustoszałej poczekalni przed jednym z wyjść. - Może pani spocznie.

Kiedy ostrożnie układał bagaż przy jej nogach, spytała znie-  
nacka:

- Co oznacza „M”?
- Słucham?
- Pańskie imię. M. Edwards. Jakie to imię na „M”?

Nie widział powodu, żeby kłamać.

- Monk.
- Cudownie oryginalne.
- Wolę, jak klienci zwracają się do mnie panie Edwards.
- Tak, oczywiście - mruknęła, w duchu nazywając go sztywniakiem.
- Proszę mi wybaczyć... - Odszedł w stronę okna, wyciągając po drodze telefon komórkowy. Carrie porwała swój bagaż i ruszyła za nim. Chciała go poprosić, by spytał, czy w ośrodku nie czekają na nią przypadkiem jakieś wiadomości.

Był odwrócony do niej plecami, więc poklepała go lekko po ramieniu.

- Panie Edwards...
- Zaskoczony, odwrócił się gwałtownie.
- Chwileczkę - rzucił do aparatu, a potem zwrócił się do niej: - Tak?

- Mógłby pan spytać w recepcji, czy są dla mnie jakieś wiadomości?

Powtórzył jej pytanie, odczekał chwilę, a potem pokręcił głową. Carrie zrezygnowana wróciła na fotel.

Rozmowa nie trwała długo, szybko znów do niej podszedł i zbierając bagaże, przeprosił, że musiała czekać.

- Wyznaczyli inną eskortę dla panny Delaney.
- Nie moglibyśmy po prostu zaczekać?
- Przepraszam, mówiła pani coś?

Jego roztargnienie zaczynało ją irytować.

- Pytałam, czy moglibyśmy zaczekać na moją siostrzenicę.
- Obawiam się, że nie - odparł. - Tamte klientki czekały na panią. Nie mogę ich prosić, by czekały jeszcze dłużej. Mam nadzieję, że pani rozumie.

- Tak, oczywiście.
- Dziękuję. Z pewnością docenią pani dobrą wolę.
- A kto to jest? - spytała bez większego zainteresowania.
- Słucham?
- Pytałam, panie Edwards, co to za klientki.
- Pani Trapp jest z Cleveland, a samolot sędzi Collins przyleciał z Miami.

Carrie nigdy wcześniej nie słyszała żadnego z tych nazwisk; zastanawiała się, czy są sławne. Miała taką nadzieję. Zamierzała zawrzeć tyle korzystnych znajomości, ile tylko się da. Może ta sędzia jest ekspertem występującym w telewizji? Nieźle by było.

Wreszcie dotarli do punktu odbioru bagażu i dołączyli do tłumu rozpychających się pasażerów.

- Jak długo jedzie się do ośrodka?
- Niedługo - odpowiedział. - Jednak nie pojedzie pani dziś prosto do ośrodka - dodał. - Był problem z wodociągiem, ale do północy zostanie naprawiony. Żeby oszczędzić paniom niewygody, kierownik załatwił dla pani, pani Trapp i sędzi Collins nocleg w pewnym domu w górach.

Carrie już miała zaprotestować, że owszem, to jest niewygodna, bo będzie się musiała rozpakować, a potem znów spakować, gdy Edwards dorzucił niedbałym tonem:

- Zdaje mi się, że pan Cruise i jego towarzystwo mieszkali tam ostatnio.

Carrie wytrzeszczyła oczy.

- Tom Cruise?

- Zgadza się. A jutro rano - mówił dalej bez emocji - zostaną panie przewiezione do ośrodka.

- Czy moja siostrzenica też będzie nocować w tym domu?

- Nie jestem pewien. Jeśli problem z wodą zostanie rozwiązany do czasu jej przylotu, to będzie przewieziona od razu do ośrodka.

- Czy ten dom leży blisko Aspen?

- Tuż za miastem, wysoko w górach, na terenie zwanym Krainą Między Jeziorami. Bardzo tam pięknie. O tej porze roku panują zimne noce i ciepłe, przeważnie słoneczne dni. Wspaniały klimat do wędrowek i biwakowania.

- Nie jestem typem trapera, ale pan z pewnością mógłby za niego uchodzić - powiedziała, ogarniając wzrokiem szerokie ramiona i wypukłe mięśnie, napinające materiał garnitur, bez wątplenia szytego na miarę. Ciekawe, ile tu płacono kierowcom?

Stali obok siebie chyba z dziesięć minut, nim wreszcie na ruchomym pasie ukazały się bagaże.

- Ten jest mój - powiedziała Carrie, wskazując na mocno wypchaną torbę od Gucciego. - Ostrożnie, jest ciężka.

- Tylko ta jedna?

Z pewnością żartował.

- Nie, są jeszcze trzy.

- Jak długo zamierza pani przebywać w ośrodku? - spytał.

- Dwa tygodnie. Od jak dawna pan tam pracuje? - odwzajemniła się pytaniem, by skrócić czas oczekiwania na resztę bagażu. Gdyby któraś z jej toreb podróżnych zaginęła, byłaby w kłopotcie, bo miała w nich zapasowe baterie do laptopa i drugi telefon komórkowy.

- Od roku - odparł.

- To miło - stwierdziła obojętnie. Gdzie, do licha, podziewała się jej druga walizka? Odetchnęła głęboko, próbując stłumić

narastający niepokój. Odpręż się, powtarzała sobie w duchu. Jesteś na wakacjach.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i zauważywszy damską toaletę, powiedziała:

- Zanim wyjedziemy, chciałabym się trochę ochlapać zimną wodą.

- Gdyby pani mogła poczekać, aż...

- Nie mogę poczekać - przerwała. Podała mu swój bagaż podręczny, zatrzymując przy sobie jedynie torebkę. - Proszę nie wypuszczać z ręki tej torby. W środku jest mój laptop i komórka.

Szybko poszła do toalety. Myjąc ręce, przypomniała sobie, że drugi telefon komórkowy ma w kieszeni blezera. Postanowiła od razu zadzwonić do Avery.

Weszła do ostatniej kabiny, żeby nikt jej nie przeszkadzał, i modląc się, by aparat zadziałał, wcisnęła szybkie wybieranie numeru. Najpierw próbowała złapać Avery w domu, ale odezwała się automatyczna sekretarka, więc nagrała tylko prośbę, by Avery jak najszybciej do niej oddzwoniła. Następnie połączyła się bezpośrednio z numerem telefonu stojącego na biurku Avery. Poczta głosowa włączyła się już po drugim sygnale.

- Do licha, Avery, miałas mnie od razu powiadomić, o której masz lot, ale oczywiście zapomniałaś, tak? Mam nadzieję, że jesteś już w samolocie i odsłuchasz wiadomości z Denver. Wiem, jak ta twoja praca cię wciąga. Jeśli się dowiem, że nie zdążyłaś na samolot, bo tkwiłaś na którymś z tych swoich spotkań, to tak cię ochrzanię, że przez miesiąc będzie ci dzwoniło w uszach. Słowo daję, Avery, kiedy sobie pomyślę, co mogłabyś robić i jakie pieniądze zarabiać, podczas gdy siedzisz w tej norze bez okien, analizując nie wiadomo właściwie co... Marnujesz swoje talenty. Musisz sobie zdawać z tego sprawę. Żałuję, że nie pozwalasz mi sobą pokierować.

Nagle uświadomiła sobie, co wygaduje, i aż parsknęła śmiechem.

- A ja gadam i gadam jak nakręcona. Przecież już to wszystko

słyszałaś, prawda? Nieważne, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jestem już w Aspen. Chciałam poczekać, aż wylądujesz, żebyśmy mogły razem pojechać do ośrodka, ale są tu też inni goście i nie wypada ich zmuszać do czekania. Na tę noc nie jadę do ośrodka. Mają tam jakiś problem z kanalizacją, ale szofer twierdzi, że zdąży wszystko naprawić, nim przyjedziesz. Będę już wtedy smacznie spała. Wraz z dwiema innymi paniami spędzę noc w luksusowym domu w górach. Zapomniałam nazwisk tych kobiet, ale jedna z nich jest sędzią. Założę się, że jest sławna. No to do jutra. Zjawię się w Utopii i cię znajdę. - Carrie znów poczuła podniecenie. - Ten dom leży w miejscu, które nazywa się Kraina Między Jeziorami. Ostatnio mieszkał w nim Tom Cruise, więc rozumiesz, że musi tam być pięknie. On jest w końcu na topie i nie kazaliby mu mieszkać byle gdzie. Będę kończyć, bo jeszcze mój kierowca przyjdzie mnie szukać w damskiej toalecie. Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Będziemy się świetnie bawić. Ups... słyszę, jak kierowca mnie woła. Ośrodek przysłał prawdziwy kawał chłopa do dźwigania mojego bagażu. Jest trochę sztywny i oficjalny, i ma lekki brytyjski akcent. Aha... i jest sexy. Nazywa się Monk Edwards, ale wierz mi, ani trochę nie przypomina mnicha. Może po ciebie przyślą innego przystojniaka. No to pa, do zobaczenia wkrótce.

## 3

Ślad prowadził do Utopii. John Paul Renard tropił tego płatnego mordercę już od ponad roku, jak dotąd z marnym rezultatem. Ostatnie przypisywane mu zabójstwo wydarzyło się na Riwerze i była to egzekucja wykonana na poszukiwanym przez policję człowieku o nazwisku John Russel, ale od tamtej pory zabójca, znany jako Monk, jakby się zapadł pod ziemię. Krążyły słuchy, że działał także w Paryżu i Cannes, lecz nie było żadnych dowodów, które by to potwierdzały.

Aż do teraz.

Podczas służby w piechocie morskiej, a potem krótkiego okresu pracy dla CIA, John Paul nauczył się cierpliwości. Domyślał się, że zabójca w końcu wróci do Stanów. To było tylko coś w rodzaju przeczucia, ale się sprawdziło. Zaledwie trzy tygodnie temu Monk znów się pojawił. I popełnił błąd. Użył jednej ze swych starych kart kredytowych. To było głupie posunięcie, zupełnie niepodobne do człowieka, który do tej pory postępował z niezawodną ostrożnością. John Paul zastanawiał się, czy nie było przypadkiem tak, że Monk wyrzucił tę kartę, a ktoś inny ją znalazł i użył.

Warto było się przekonać. Wypłaty dokonano w pewnym

kurorcie w Kolorado, zwanym Utopią, na rzecz kobiety o nazwisku Carolyn Salvetti. John Paul sprawdził jej zdolność kredytową i odkrył, że ta kobieta ma więcej niż dość pieniędzy na swoich rachunkach i w funduszach emerytalnych, żeby sobie kupić kilka ośrodków wypoczynkowych. Czy to w jakiś sposób wiązało się z Monkiem? Czyżby wynajęła go, żeby kogoś zabił? A może była jego następną ofiarą?

John Paul sprawdził też jej nazwisko w rządowej bazie danych. Wykorzystał swoje dawne hasło dostępu, wiedząc doskonale, że gdy tylko się zaloguje, ci, którzy sprawdzają jego, natychmiast się o tym dowiedzą i wyciągną niewłaściwy wniosek, że jest gotów wrócić. Z tego powodu nie pozostał długo w sieci. W niespełna dwie minuty znalazł wszystko, co chciał wiedzieć. Salvetti była czysta jak niemowlę. Żadnych wykroczeń, żadnych mandatów za parkowanie, żadnych, choćby najmniejszych, zatargów z prawem. Jej mąż także był czysty. Carolyn Salvetti była prezesem firmy o nazwie Poławiacze Gwiazd. Tony Salvetti był wiceprezesem.

Baza danych nie dostarczyła mu żadnych odpowiedzi. Jeśli Carolyn Salvetti stanowiła następny cel Monka, to kto go wynajął? Kto chciał śmierci tej kobiety?

John Paul zamierzał się tego dowiedzieć. Jego brat Remy mieszkał w Colorado Springs, więc postanowił tam pojechać, żeby się z nim zobaczyć. W swoim rodzinnym mieście Bowen w Luizjanie John Paul uważany był za odludka, nic więc dziwnego, że rodzina i nieliczni przyjaciele byli zaskoczeni, kiedy kupił starego forda, dokonał w nim kilku zmian, podrasował silnik, po czym zapakowawszy kilka kuchennych krzeseł, które zrobił dla Remy'ego, wyruszył w drogę.

Spędził z bratem dwa dni, ale szesnastego czerwca, w dniu, w którym Salvetti miała się pojawić w uzdrowisku. John Paul czekał na nią na miejscu. Miał nadzieję, że Monk depcze jej po piętach i że zdoła dorwać tego drania.

Carolyn Salvetti się nie pojawiła. Recepcjonista, sztywny,

niezwykle nerwowy młodzieniec o dziwnie wystających zębach, powiedział mu, że pani Salvetti w ostatniej chwili odwołała rezerwację.

- Ale tu jest zanotowane, pod starą rezerwacją, że jej siostrzenica Avery Delaney zamieszka w ośrodku. Panna Delaney będzie tu tylko tydzień - dodał po namyśle. - Czy ta wiadomość na coś się panu przyda?

Zamiast odpowiedzieć, John Paul poprosił o rozmowę z kierownikiem. Recepcjonista natychmiast odwrócił się na pięcie i truchtem pobiegł po swego pracodawcę.

Tim Cannon zjawił się po minucie. Recepcjonista chował się za jego plecami. John Paul nie pracował już dla Agencji i nie miał żadnych podstaw, by grozić temu człowiekowi, więc zachowywał się tak, by go onieśmielić. Jak zwykle podziałało niczym zakłęcie. Z jakiegoś niewiadomego powodu ludzie się go bali. Jego siostra Michelle twierdziła, że przyczyną był jego wzrost oraz fakt, że rzadko się uśmiechał. I choć wydawało mu się dziwne, że wzbudza takie odczucia, często wykorzystywał tę swoją właściwość.

Cannon przyjął fałszywe założenie, że John Paul pracuje dla rządu - którego to założenia sam John Paul nie potwierdził, ale też nie uważał za konieczne mu zaprzeczać - a że nie chciał się przyznać do swoich obaw, nie wezwał ochrony, by sprawdziła stosowne dokumenty. W istocie kierownik okazał się nadzwyczaj pomocny. Zaprosił go do swego gabinetu, pozwolił korzystać z biurka i telefonu, a potem, tłumacząc się natłokiem obowiązków, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Gdy tylko John Paul został sam, włączył komputer Cannona, wszedł do systemu i wystukał kod dostępu. Nienawidził nowocześniejszej techniki, ale to był jedyny sposób uzyskania niezbędnych informacji. Chciał sprawdzić, czy w związku z Monkkiem wszczęto jakieś kroki i z przyjemnym zaskoczeniem stwierdził, że nic na to nie wskazuje. W kurorcie nie roіło się od agentów - którzy według Johna Paula zwykle rzucali się w oczy niczym zakonnice

w białych habitach - a to znaczyło, że FBI jeszcze nie wie o pojawieniu się Monka w Stanach. John Paul bynajmniej nie miał zamiaru ich o tym zawiadamić. FBI mogło jedynie wszystko spieprzyć. Jeśli Monk dostrzeże agentów, przestraszy się i znów zniknie jak kamfora.

John Paul nie miał zamiaru do tego dopuścić. Wyprzedzał FBI o krok i to mu w zupełności wystarczało. Miał osobiste powody, żeby ścigać zabójcę, i nie życzył sobie, by ktoś mu w tym przeszkadzał.

Mniej więcej przed rokiem Monk próbował zabić siostrę Johna Paula, Michelle, i gdyby nie jej mąż i jeden z przyjaciół, pewnie by mu się i udało. Monk zdołał uciec, co John Paul uważał za niewybaczalne. Przysiągł sobie wówczas, że nie spocznie, dopóki nie upoluje tego łotra i nie pośle go tam, gdzie jego miejsce, czyli do piekła.

W miarę prowadzonego śledztwa w Johnie Paulu narastała żądza zemsty. Wstrząsnął nim szczególnie jeden przypadek, kiedy jakiś ojciec wynajął Monka, by zabił jego nastoletnią córkę, umożliwiając mu zagarnięcie pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej do spłacenia hazardowych długów. FBI wiedziało, że to Monk zamordował dziewczynę, ponieważ zawsze na miejscu zbrodni zostawiał różę, i choć ojciec zatarł ślady, w pościeli ofiary znaleziono różany kolec. Dziewczyna nie miała żadnej innej rodziny, która by ją opłakiwała i upomniała się o sprawiedliwość. John Paul wiedział, że są też inne ofiary, o których FBI dotąd nie ma pojęcia. Ilu niewinnych ludzi musi jeszcze zginać, nim ktoś powstrzyma zabójcę?

## 4

Monk starał się zabawiać swoje trzy pasażerki, wioząc je do miejsca przeznaczenia. Carrie uznała, że jest czarujący i do tego doskonale wychowany. Był dla niej uosobieniem idealnego angielskiego lokaja.

Umieścił bagaże w tyle nowiutkiego, bogato wyposażonego landrowera, wyjaśniając, że terenowy samochód lepiej się sprawdza na górskich drogach i dlatego nie przyjechał po gości ośrodka limuzyną. Anne Trapp siedziała z przodu, a Carolyn z sędzią Sarą Collins z tyłu. Siedzenia obite beżową zamszową skórą były bardzo wygodne.

Wszystkie trzy były podekscytowane i zdenerwowane, ale niewiele ze sobą rozmawiały. Monk przedstawił im w skrócie historię uzdrowiska, a potem przytoczył kilka zajmujących opowieści o sławnych osobach, mieszkających wcześniej w górskim domu, do którego je zabierał.

Carrie nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo jechali. Nie spojrziała na zegarek, gdy opuszczali lotnisko, ale musiała minąć co najmniej godzina, a może nawet więcej. Opowieści Monka tak ją pochłonęły, że nie przeszkadzała jej długa jazda i lekkie objawy choroby lokomocyjnej. Podczas gdy Sara głośno zachwycała się

górkimi widokami, a Anne siedziała pogrążona w kamiennym milczeniu, Carrie wypytywała Monka o innych gości ośrodka. Politycy jej nie interesowali, natomiast bardzo była ciekawa szczegółów dotyczących gwiazd filmowych.

- Russel Crowe tutaj gościł? Jaki on jest?

Monk odpowiedział, dołączając zabawną anegdotę na temat australijskiego aktora.

- Podobał mu się ten dom - dodał na koniec. - Chciał go kupić.

- Musi być naprawdę ładny - wtrąciła Sara.

Mężczyzna zapewnił je, że budynek ma wszelkie możliwe walory, a on będzie im służył jako lokaj, dopóki nie przeniosą się do Utopii.

- Mam nadzieję, że nie będzie więcej wpadek - odezwała się Anne z irytacją.

- A była jakaś wpadka? - zdziwiła się Sara.

- Jak najbardziej - odparła Anne, odwracając się do tyłu, by spojrzeć na Sarę. - Nikt z ośrodka nie czekał na mnie przy wyjściu z samolotu, żeby mi pomóc nieść bagaż podręczny, a gdybym nie zauważyła pana Edwardsa z tabliczką, kiedy szłam po odbiór bagażu, musiałabym sama sobie radzić ze wszystkim. Byłam zmęczona. Myśl o tym, że sama będę musiała taszczyć swój dobytek na postój taksówek, była ponad moje siły.

- Przecież dookoła było pełno służby lotniskowej, mogli pani pomóc - zdziwiła się Carrie.

- Nie o to chodzi - warknęła Anne. - Nie powinnam być narażona na takie niewygody.

A to suka, pomyślała z niechęcią Carrie. Anne wyglądała co najmniej komicznie - wydymała usta jak naburmuszona ośmiolatka.

- Zapewniam panią, pani Trapp, że wszystkie pani potrzeby będą spełniane przez doskonale wyszkolony personel, a ja ze swej strony jeszcze raz przepraszam za to niedopatrzenie.

- W tym domu będzie służba? - spytała.

- Oczywiście.

- Ile osób?

- Cztery - odpowiedział. - Wkrótce przyjadą z ośrodka.

- Życzę sobie, żeby jedna z nich była do mojej dyspozycji - zażądała Anne. - Zadbaj pan o to?

- Oczywiście.

Anne pokiwała głową.

- To dobrze - mruknęła, już trochę udobruchana.

Sara z Carrie wymieniły znaczące spojrzenia.

- Jestem zadowolona, że w nocy nie będziemy same - odezwała się znów Anne. - Na wypadek gdyby coś się stało... albo zepsuło. Nigdy nic nie wiadomo.

- Dom jest wyposażony w nowy system alarmowy. Kable nie zostały jeszcze całkiem pochowane, ale działa - zapewnił. - Po włączeniu nie można otwierać okien ani zewnętrznych drzwi, oczywiście, ale nocą robi się tu dość zimno, więc nie sądzę, by któraś z pań chciała trzymać okno otwarte.

Carrie przyjrzała się swoim towarzyszkom podróży. Obie wydawały jej się dziwnie znajome, ale nie miała pojęcia, gdzie wcześniej mogła je spotkać.

Przez chwilę wpatrywała się w tył głowy Anne, a w końcu poklepała ją po ramieniu i zapytała. Blondynka o głęboko osadzonych piwnych oczach odwróciła się do niej z lekkim uśmiechem.

- Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek spotkały - odparła. - Była pani kiedyś w Cleveland?

- Nie - przyznała Carrie.

Z bliska dostrzegła wyraźnie, jak marnie Annę wygląda. W jej pozbawionych blasku oczach nie było życia, a skóra wydawała się niemal woskowa, być może z powodu mocnego makijażu. Może zafundowała sobie jakąś cudowną kurację dla swego wątłego, niemal anorektycznego ciała. Carrie oceniła, że są mniej więcej w jednym wieku.

Sędzia Sara Collins miała odwrotny problem. Przydałoby jej się zrzucić dobre kilkadziesiąt kilogramów. Może zamierzała się poddać zabiegowi odsysania tłuszczu albo zmniejszenia żołądka. Wyglądała staro, na jakieś siedemdziesiąt lat, a twarz wyraźnie zdradzała jej wiek. Może przyjechała tu na face-lifting. Carrie aż skrecało, żeby o to spytać, ale jednak się nie odważyła.

Skąd mogła znać tę kobietę? Może widziała ją w telewizji? Relacje z sal sądowych były obecnie bardzo popularne. Może Sara miała własny program, jak Sędzia Judy?

Spytałaby ją, ale kierowca zmienił się w przewodnika turystycznego i ciągnął nieprzerwany monolog na temat Kolorado. Jedna opowieść przechodziła w drugą, potem znów w następną, a że były całkiem interesujące, Carrie uznała, że nieuprzejmie byłoby mu przerywać. Tak czy inaczej, nie dawał im czasu na wzajemne poznanie się. Postanowiła się dowiedzieć, czy Sara jest sławna, kiedy już się zadamowią na miejscu.

Potem zaczęła się zastanawiać, co obie kobiety myślą o niej. Miała świadomość, że wygląda starzej niż na swój wiek. Tak, pewnie myślały, że jest starą wiedźmą.

Od pewnego czasu znajdowali się na prywatnej drodze, która stawała się coraz bardziej stroma. Ciągłe zakręty, wręcz serpentyny, nasilały u Carrie chorobę lokomocyjną. Przyszło jej na myśl, że zaraz zwymiotuje na tego nienagannego angielskiego kierowcę. Wspaniały sposób, żeby zrobić wrażenie na przyszłych współmieszkanek...

- Cały ten teren należy do ośrodka? - spytała Sara.
- Tak, proszę pani - odpowiedział Monk.
- Daleko jeszcze? - jęknęła Carrie.
- Dom jest tuż za następnym zakrętem.

Znajdowali się na zupełnym odludziu. Uświadomiwszy to sobie, Carrie poczuła coś na kształt niepokoju. Od dłuższego czasu nie widziała żadnych zabudowań, nawet szafasu. Następna myśl

była taka, że system alarmowy na nic im się nie zda. Jeśli nawet alarm się włączy, kto go usłyszy? Jeśli jest połączony z najbliższym posterunkiem policji, to gdzie jest ten posterunek? O godzinę drogi stąd? O dwie godziny? A może sygnał alarmu odezwie się w ośrodku?

Tak, z pewnością tak właśnie działał. A to oznaczało, że ośrodek musi być niedaleko. Nieco uspokojona, Carrie rozsiadła się wygodniej i próbowała odpoczywać.

Nagle ich oczom ukazał się dom. Był niesamowity. Potężny dach kryty cedrowym gontem wznosił się stromo ku niebu, a olbrzymie, sięgające piętra okna odbijały szczyty gór. Można było odnieść wrażenie, że cała ta wspaniała budowla znalazła się w tym miejscu tylko po to, by oddać hołd pięknu otaczającej natury. Kolidy podjazd prowadził do szerokiego frontowego ganku. Od zaczynającego się tuż za domem urwiska budynek odgradzony był kamiennym murkiem sięgającym pasa.

Sara aż westchnęła z zachwytem.

- Spójrzcie na ten wspaniały ganek i te cudowne bujane fotele. Muszę natychmiast je wypróbować.

Monk zaparkował landrowera na środku podjazdu i rzucił się, by otworzyć drzwi pasażerom.

- Jeśli stojąc na ganku, spojrzysz się w okno, można przez dom zobaczyć widok po drugiej stronie - powiedziała.

- Och, jest cudowny - pochwaliła Annę. - I wygląda na całkiem nowy - dodała, podchodząc do murku, żeby spojrzeć na drzewa w dole.

- Został zbudowany cztery lata temu.
- Jak. na Boga, przetransportowali tu to całe szkło? - zastanawiała się na głos Sara.
- Domyślam się, że bardzo ostrożnie - mruknęła Carrie.
- Wierzę, że będzie tu paniom wygodnie - powiedział Monk.
- Ależ tak, naturalnie. - Sara była tak zachwycona, że gdyby zaczęła klaskać, Carrie wcale by się nie dziwiła.

Czyżby Sara nie była przyzwyczajona do takiego zbytku? Była przecież sędzią, na litość boską. Z pewnością nie brakowało jej pieniędzy, podobnie jak Annę. Żadna z nich nie mogłaby sobie pozwolić na pobyt w uzdrowisku, gdyby nie były zamożne.

- Jeśli zechcą panie wejść do środka, znajdą panie szampana, schłodzonego specjalnie dla was. Ja wniosę bagaże.

Carrie otworzyła drzwi i pierwsza weszła do domu. Widząc cienkie przewody, domyśliła się, że są częścią systemu alarmowego.

- Patrzenie pod nogi - ostrzegła. - Żeby się nie potknąć o kable.

Parter stanowił jedną otwartą przestrzeń, bardzo rozległą. Na lewo od wielkiego marmurowego wejścia widniały wspaniałe kręcone schody, sięgające drugiego piętra. Pomieszczenie było zalane światłem, a spoglądając w górę w długi prostokątny świetlik, można było zobaczyć chmury.

- Piękne schody - westchnęła Sara. - To drewno... Stopnie są dwa razy szersze i głębsze niż zazwyczaj. Musiały kosztować fortunę. Popatrzcie na balustradę. Wyjątkowo doskonałe rzemiosło.

Carrie musiała przyznać jej rację.

- Góry wyglądają jak skapane w ogniu przez zachód słońca! - zawołała Annę. - Chodźcie zobaczyć.

Nawet Annę, którą trudno było zadowolić, nie potrafiła ukryć podziwu.

Carrie stała w holu, napawając się widokiem wnętrza. Kolorowe wschodnie dywany w znakomitym gatunku pokrywały jasno-brązową marmurową posadzkę salonu. Meble, utrzymane w tonacji miękkich brązów i beżów, harmonizowały barwą z otoczeniem. Kamienny kominek miał co najmniej kilka metrów wysokości i przypominał jej ten, który podziwiała w jednym ze swych ulubionych filmów - *Północ, północny zachód*. Podobnie jak tu, znajdował się w przestronnym salonie, chociaż ten salon był ładniejszy, a meble nowocześniejsze i w lepszym gatunku.

Słońce już zachodziło, napełniając całe wnętrze miękkim pomarańczowym blaskiem.

- Czuję się jak w niebie - wyznała Sara.

- Jeśli wejdzie pani po tych kręconych schodach, to naprawdę znajdzie się w niebie - zażartowała Carrie.

Annę dostrzegła na szafce pod ścianą srebrny kubełek z butelką szampana. Obok stał piękny kryształowy wazon z trzema krwistoczerwonymi różami o długich łodygach. Płatki kwiatów dopiero zaczynały się rozchyłać.

- Może napijemy się po kieliszku? - zaproponowała Annę.

- No pewnie - podchwyciła Sara.

Wszystkie trzy stanęły przed oknem wychodzącym na wspaniałą panoramę gór. Annę zabrała się za otwieranie butelki. Zaśmiała się nerwowo, kiedy korek wreszcie wyskoczył i z szyjki wydostało się trochę musującego trunku, a potem ostrożnie napełniła kryształowe kieliszki.

- Powinnyśmy wnieść toast - stwierdziła Carrie.

- Dobry pomysł - poparła ją Sara.

Annę z Sarą uniosły kieliszki, czekając, by Carrie coś powiedziała.

- Za nas - rzekła Carrie uroczystym tonem. - Niech się spełnią wszystkie nasze marzenia.

- Cudownie - pochwaliła Annę.

Usadowiwszy się na miękkich pluszowych sofach, popijały szampana i rozmawiały, starannie unikając wszelkich osobistych tematów, podczas gdy Monk wnosił bagaże na górę. Carrie wciąż czuła lekkie nudności po podróży, więc ograniczyła się do jednego niewielkiego łyka.

Monk dołączył do nich po dziesięciu minutach, wnosząc tacę z kanapkami. Kiedy układał lniane serwetki obok tacy na stoliku do kawy, Carrie usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Spojrzawszy w stronę holu przy jadalni ujrzała, że do kuchni wchodzi ubrana na czarno kobieta.



- Przyjechała służba - powiadomiła Sarę.  
 - Proszę spróbować kanapek - zachęciła Annę. - Są całkiem smaczne.

Carrie nie chciała zdradzić, że nie czuje się dobrze, a już na pewno nie miała ochoty przyznawać się do choroby lokomocyjnej.

- Chętnie. - Włożyła do ust małą przekąskę i połknęła, prawie nie gryząc. - Rzeczywiście dobra - potwierdziła.

Nie potrafiła się zmusić do zjedzenia czegokolwiek więcej; robiło jej się jeszcze bardziej mdło, kiedy patrzyła, jak Annę i Sara pałaszują z apetytem kanapki i koreczki z łososia.

Po kilku minutach wszystkie trzy zaczęły ziewać.

- Proszę za mną, to pokażę paniom pokoje - zaproponował Monk, włączając stojącą lampę. W zapadającym zmierzchu salon wypełnił się cieniami.

- Jestem taka senna - odezwała się Annę.

- Pewnie przez to górskie powietrze - powiedziała Sara. - Ja też niemal zasypiam.

Ruszyły za Monkiem na kręte schody. Patrząc w górę, Carrie zauważyła:

- Kto by pomyślał, że schody mogą być dziełem sztuki.

- Nienawidzę schodów - mruknęła Anne. - Następny dom, jaki sobie wybuduję, będzie parterowy.

Sara i Carrie zignorowały jej uwagę.

- Rozpakowałem paniom torby z rzeczami na nocleg - oznajmił Monk. - Pani Trapp i sędzia Collins mają apartamenty na pierwszym piętrze, po przeciwnych stronach korytarza. A pani. pani Salvetti, będzie piętro wyżej. Mam nadzieję, że wszystkie panie będą zadowolone.

Anne pierwsza ruszyła za Monkiem, za nią Carrie, a na końcu Sara, przytrzymując się balustrady.

- Mam wrażenie, jakbym już kiedyś była w tym domu - powiedziała Sara. - Jednak nigdy nie widziałam takich schodów, więc nie wiem, dlaczego mi się tak wydaje.

- Pewnie przez ten kominek - wtrąciła Carrie. Przystanąła, żeby jeszcze raz spojrzeć z góry na salon. - Widziała pani kiedyś film *Północ, północny zachód*? Grali w nim Cary Grant i Eva Marie Saint, a w najważniejszym momencie musieli się wspinać na głowy prezydentów.

- Pamiętam. Rzeczywiście, kominek bardzo przypomina tamten z filmu. Pewnie dlatego wydaje mi się znajomy.

- Nie widziałam tego filmu - wyznała Anne.

Carrie była zdumiona.

- Chyba pani żartuje. To jeden z najlepszych filmów Hitchcocka.

Anne wzruszyła ramionami.

- Byłam zajęta prowadzeniem interesów. Nie miałam czasu na chodzenie do kina.

- Ale to klasyka. Chyba ze sto razy puszczała go w telewizji - nie kryła zaskoczenia Sara.

- Och, nigdy nie oglądałam telewizji.

Carrie nie wiedziała, co myśleć o tej kobiecie. Zabrzmiało to tak, jakby Anne chwaliła się, że nie ogląda telewizji. Całe życie Carrie kręciło się wokół stacji telewizyjnych i sponsorów. Spojrzała na Anne jak na istotę z innej planety. Nie oglądać telewizji i nie chodzić do kina? Zdumiewające. Nic dziwnego, że Anne była taka nudna.

Nie czuła się winna, że tak ją osądza. Anne nieświadomie obraziła wszystko, co stanowiło istotę życia Carrie.

Monk pokazał Sarze jej pokój.

- Chyba od razu się położę - powiedziała. - Do zobaczenia rano.

- Dobranoc! - zawołała do niej Carrie, podążając za Monkiem długim korytarzem.

Monk wprowadził Annę do jej pokoju, a potem zwrócił się do Carrie:

- Pani apartament znajduje się bezpośrednio nad pokojem sędzi Collins. - I poprowadził ją schodami na drugie piętro.

- Więc są tu cztery pełne apartamenty? - spytała Carrie.

- Tak - potwierdził.

Przy drzwiach Monk odsunął się, żeby puścić ją przodem. Ogromna sypialnia z przyległym salonikiem utrzymane były w łagodnym bursztynowym odcieniu. Po obu stronach kominka stały miękkie fotele, a duże sosnowe łóżko miało porządną grubą materac.

Ziewnęła głośno. Ktoś, zapewne Monk lub któraś z pokojówek, położył na łóżku jej szlafrok i nocną koszulę. Na stojaku dostrzegła swój bagaż podręczny. Torba była otwarta i pusta. Już miała spytać, gdzie się podział jej laptop, gdy nagle ogarnęła ją fala mdłości. Usiadła i trzymając się ramy łóżka, oddychała głęboko.

- Wszystko w porządku, pani Salvetti?

Nie chciała sprawiać kłopotu ani narzekać jak Annę, więc stwierdziła jedynie, że jest zmęczona po długim dniu.

- Zwykle jestem jak sowa, nie kładę się przed drugą lub trzecią nad ranem, ale dziś oczy same mi się zamykają.

Monk przybrał współczującą minę.

- Przywyknięcie do górskiego powietrza wymaga pewnego czasu. Personel uzdrowiska radził, by panie wcześniej udały się dziś na spoczynek. Jutro zapowiada się dzień pełen wrażeń.

- Tak, rzeczywiście.

- Położę się ostatni - powiedział, kierując się do drzwi. - Włączę wtedy alarm. Proszę pamiętać, żeby nie otwierać okien.

- Co się stanie, jeśli alarm zadziała? Kto go usłyszy? - spytała. - Jesteśmy tu na zupełnym pustkowiu.

- Alarm ma elektroniczne połączenie z ośrodkiem. Zdawało mi się, że już o tym wspominałem. W razie potrzeby pomoc nadejdzie w niecałe trzy minuty.

- Ośrodek jest tak blisko?

Przytaknął kiwnięciem głowy.

- Gdyby nie drzewa, mogłaby pani zobaczyć zabudowania ze swojego okna. Chce pani, żebym zaciągnął zasłony?

- Nie, wolę, jak są rozsunięte. - Odwróciła się, czując, że fala mdłości podchodzi jej do gardła. Miała zamiar spytać go, gdzie się znajdują pokoje służby, lecz nie była w stanie zdobyć się na taki wysiłek.

- Dobranoc - powiedziała tylko. - Proszę zamknąć za sobą drzwi.

Natychmiast po jego wyjściu rzuciła się do łazienki, zakrywając dłonią usta. Ledwie zdążyła podnieść klapę sedesu, by zwymiotować kanapkę, którą niedawno zjadła. Przeklęta choroba lokomocyjna. Miała z nią problem od dziecka. Powinna była się odezwać i wyjaśnić, że nie może jeździć na tylnym siedzeniu. Nie powiedziała jednak ani słowa, bojąc się, co o niej pomyślą tamte dwie kobiety.

Co się z nią, u diabła, dzieje? Jakie znaczenie ma to, co o niej pomyślą obcy ludzie? Po śniadaniu pewnie już nigdy więcej ich nie zobaczy.

Na myśl o jedzeniu żołądek znów jej podskoczył do gardła. Od lat tak fatalnie się nie czuła, od czasu tamtego okropnego zatrucia. Avery miała wówczas czternaście lat, nie poszła do szkoły, żeby się opiekować ciotką. Tony także był wtedy prawdziwym skarbem. Pamiętała, jak ją trzymał, kiedy targały nią dreszcze.

Carrie czuła się zbyt słabo, żeby wziąć prysznic. Umyła zęby i twarz, po czym przebrała się w nocną koszulę. Chwiejnym krokiem wróciła do sypialni. Usłyszawszy brzęk szkła domyśliła się, że Monk sprząta na dole. Potem usłyszała kobiecy śmiech. Czyżby służąca z nim flirtowała? Właściwie dlaczego nie? Nie mieli nic lepszego do roboty, skoro goście udali się już na spoczynek. Wielkie nieba, nie minęła jeszcze dziewiąta, a ona ledwo trzymała się na nogach ze zmęczenia.

Pokój zawirował jej przed oczyma. Czuła się naprawdę okropnie. Opadła na łóżko, z wysiłkiem naciągnęła na siebie kołdrę i leżąc na boku, próbowała się odprężyć. Mdłości nie ustępowały. Powoli, ostrożnie przewróciła się na plecy. Tak było lepiej, znacznie lepiej. Zamknęła oczy i wkrótce zasnęła.

Nie wiedziała, jak długo spała, ale w pokoju było ciemno, kiedy usłyszała, że ktoś ją woła. Nie była w stanie odpowiedzieć. A potem usłyszała metaliczny szczepek, powtarzający się raz po raz. Odgłos brzmiał dziwnie, jakby ktoś ostrzył noże. Carrie nie mogła zrozumieć, dlaczego hałas nie ustaje.

Ktoś szarpnął ją za ramię, znów wołając po imieniu.

Nie miała siły otworzyć oczu.

- Tak? - szepnęła.

- Carrie.

- Tak?

Hałas nie pozwalał jej się skupić. Była tak strasznie senna. Choć próbowała, nie potrafiła unieść ręki, żeby zakryć oczy, kiedy zabłyśło światło.

- Odejdź - wychrypiała.

- Słyszałam twój toast, Carrie. Pamiętasz, co powiedziałaś?

- Nie...

- Niech się spełnią marzenia. A co z koszmarami? One także się spełniają.

Słyszała poszczególne słowa, ale nie była w stanie odnaleźć w nich sensu.

- Co? Koszmary? Nie... nie koszmary.

- Otwórz oczy, Carrie. - Hałas stawał się coraz głośniejszy. -

No, już. Popatrz na mnie.

Głos także się zmienił, był teraz bardziej natarczywy, pełen złości. Carrie wreszcie zdołała unieść powieki.

Ujrzała nożyczki. Błyszczące ostrza szczeptały tuż przy jej twarzy. To one wydawały ów nieprzyjemny dźwięk. Ale skąd się tu wzięły nożyczki?

Nagle hałas ustał, nożyczki zniknęły. W ich miejsce pojawiła się twarz, twarz z uśmiechem, drapieżnym, perfidnym, tak upiornie znajomym.

Próbowała krzyczeć.

- Nie... nie... nie, o Boże, pomóż mi... nie... Jilly.

## 5

Avery straciła poczucie czasu. Szaleńczo próbowała odwalić jak najwięcej roboty przed wyjazdem na lotnisko. Jej biurko było czyste, kiedy opuszczała norę poprzedniego wieczoru. Tego dnia zjawiła się w pracy już o wpół do siódmej, żeby ze wszystkim zdażyć.

Miała już tak zmęczony wzrok, że ledwie mogła patrzeć w ekran komputera. I wzbierała w niej złość. Ktoś, nie wiadomo kto, zwałił jej na biurko dwadzieścia dwie teczki akt, a ona miała przenieść z nich wszystkie informacje do bazy danych. Miała też przynajmniej sześćdziesiąt maili do przeczytania i odpisania, a ponadto od dwudziestu czterech godzin nie sprawdzała swojej poczty głosowej.

Jej boks wyglądał jak po przejściu cyklonu. Miała wrażenie, że otaczające ją papiery się rozmnażają. Jak to się działo?

- Nie powinnaś być przypadkiem w samolocie? - spytała Margo, próbując utrzymać w rękach jednocześnie stertę akt, pustą butelkę na wodę i pudełko pączków.

- Mam jeszcze trochę czasu - odparła Avery, wystukując odpowiedź na jeden z maili.

Lou wstał, żeby się przeciagnać.

- Margo, jest jeszcze jakiś z kremem?
  - Jeden. Avery nie zjadła swoich.
  - Często się - zachęciła Avery.
- Lou skwapliwie przechwycił pudełko od Margo i dobrał się do zawartości.
- Kiedy wyjeżdżasz?
  - Niedługo.
  - Lecisz?
  - Oczywiście, że leci - obruszyła się Margo.
  - Zaplanowałam wszystko co do minuty. Jeśli wyjdę stąd dokładnie kwadrans po czwartej, będę miała czas wstąpić do domu, przebrać się, wziąć bagaż, dojechać międzystanową na lotnisko, zaparkować na strzeżonym parkingu i zdążyć na odprawę z dużym zapasem.
- Margo wyjęła z szuflady torebkę i weszła do boksu Avery.
- A zdążyłaś zadzwonić do opiekunki pani Speigel i powiedzieć jej, żeby lepiej chowała kluczyki do samochodu"
  - Zapomniałam.
  - Chcesz, żebym odszukała jej numer i sama zadzwoniła? Musi coś zrobić, żeby chronić niewinnych ludzi przed tą kobietą.
  - Byłabym wdzięczna, gdybyś zadzwoniła - przyznała Avery. - Ale nie bądź zbyt surowa, Margo. Pani Speigel jest uroczą osobą. Wie, że nie powinna prowadzić, ale czasami traci głowę.
  - Avery, ona cię o mało nie zabiła. - Margo wydała z siebie głośne westchnienie. - No dobrze, nie będę surowa.
- Mel włączył się do rozmowy.
- Cały Waszyngton będzie jechał międzystanową. Będzie korek. Powinnaś jechać autostradą Jeffersona Davisa, a potem dziewięćdziesiątą piątą. To ci zaoszczędzi dobre dwadzieścia minut.
- Margo była innego zdania.
- Wyjedzie w godzinie szczytu. Międzystanową jest znacznie szybsza.
- Avery słuchała ich jednym uchem, nie odrywając palców od klawiatury.

- Czuję się okropnie, zostawiając was z całym tym bałaganem - powiedziała, nie patrząc na współpracowników.
  - Nie przejmuj się tym - uspokoił ją Lou.
  - Podzielimy się robotą - dodała Margo. - Lou, masz cukier puder na pasku. - Sięgnęła ponad głowę Avery, wyciągnęła chusteczkę z pudełka na półce, podała ją Lou i znów zwróciła się do Avery: - Mam zamiar obdzielić was swoimi obowiązkami, kiedy w przyszłym miesiącu pojedę do San Diego na ślub kuzynki.
  - Lepiej wypiszę ci trasę, którą powinnaś jechać na lotnisko - stwierdził Mel. - Dam ci wydruk, kiedy będziesz wychodzić.
  - Pod warunkiem że kwadrans po czwartej już mnie tu nie będzie.
  - Dopilnuję tego - obiecał Mel. - Może zsynchronizujemy zegarki?
  - To dziwactwo - parsknęła Margo. - Taki Brad Pitt nigdy by...
- Dzwonek telefonu przerwał jej wywód. Kiedy pobiegła do swojego boks, Lou podjął wątek.
- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, moi drodzy. Jesteśmy dziwakami.
  - Co w tym złego? - wtrącił się Mel. - Zobaczcie, Bill Gates jest dziwakiem, a ma się świetnie.
  - Być może, ale my nie zarabiamy jego miliardów. A poza tym wszyscy w Biurze uważają nas za dziwaków.
  - Nie wierzę - obruszył się Mel. - Wszyscy jesteśmy ważnymi członkami zespołu.
  - Agent Andrews już tu idzie! - zawołała Margo od swojego biurka. - Sekretarka Douglasa słyszała, jak pytał, gdzie jest nora.
  - Pewnie idzie ci podziękować, Avery, za to że pozwoliłaś, by na niego spłynęła cała chwała - podsunął Lou.
  - Spóźnił się - zauważyła zgryźliwie Margo. - Powinien podziękować zaraz po konferencji prasowej.
  - Andrews zabierze ci cenny czas - zmartwił się Mel. - Pójdę

wydrukować tę zastępczą trasę. Wybierzesz, którą jechać, kiedy już wsiądziesz do samochodu. Pamiętaj tylko, żeby włączyć radio i słuchać komunikatów o korkach.

Avery powstrzymała uśmiech. Mel w istocie troszczył się o najdrobniejsze szczegóły.

- Dzięki, Mel.

- Jak długo pozwolimy Andrewsowi gadać? Cztery minuty?

Pięć?

- Wystarczy.

- Potem ty mu przerwiesz - powiedział Mel do Lou. - Jesteś

w tym dobry.

Andrews zniszczył cały plan. Choć Avery wcześniej go nie znała, wystarczyła jej niecała minuta, żeby go rozszyfrować. Wydawało mu się, że jest czarujący. Zupełnie bezpodstawnie. Wprawdzie szybko uporał się z podziękowaniami, ale zaraz potem, przysiadając na brzegu biurka, zaprosił ją na kolację. Jeśli nawet nie pożerał jej wzrokiem, to był tego całkiem bliski. Lou i Mel natychmiast podjęli starania, żeby się go pozbyć.

- Avery wyjeżdża na wakacje - zaczął Mel. - Musi złapać samolot.

Andrews nie pojął aluzji, więc Lou postanowił wytoczyć cięższe działo.

- Lepiej będzie, jak pan już pójdzie. Ma bardzo napięty plan, a pan jej go zakłóca.

W odpowiedzi Andrews jedynie skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Nie trzeba było posiadać talentów śledczych, by wiedzieć, co się dzieje. Andrews cierpiał na POPS, „pożądanie od pierwszego spojrzenia”, co w żaden sposób nie czyniło go wyjątkowym. Większość mężczyzn, którzy mieli okazję znaleźć się w pobliżu Avery, ulegała czasowemu zarażeniu tą przypadłością. Mel wysnuł teorię, że jej przyczyną są wielkie niebieskie oczy Avery. Kiedy patrzyła na mężczyznę, poświęcając mu pełną uwagę, jego umysł

przestawał działać. Lou nie zgadzał się z tezami Mela. Owszem, niebieskie oczy mogły mieć pewien wpływ na wystąpienie owego syndromu, ale w istocie to zabójcze ciało Avery i jej długie, jedwabiste blond włosy zmieniały takiego nieszczęśnika w kompletnego idiotę.

Andrews stanowił najlepszy tego przykład. Doprawdy przykro było patrzeć, jak skądinąd inteligentny zawodowiec lezie w maliny.

Mel, bardziej opiekuńczy w stosunku do Avery, miał nadzieję, że Andrews się pośpieszy i od razu przejdzie do komplementów. Wszyscy to robili prędzej czy później i wówczas Avery ich odprawiała. Mel zerknął na zegarek, poganiając w myślach Andrews, żeby powiedział Avery, jaka jest piękna. Istniała obawa, że jeśli zaraz tego nie powie, Avery może się spóźnić na samolot. No, już, na co czekasz, myślał gorączkowo Mel. Powiedz jej, że jest oszałamiająca.

- Muszę panią o coś spytać - odezwał się Andrews.

- Tak? - rzuciła obojętnie Avery.

- Jak to możliwe, by taka piękna kobieta jak pani siedziała ukryta przed światem w piwnicy? - Wypowiedział pytanie modulowanym głosem, niczym piosenkarz country. - Z pani wyglądem...

- Agencie Andrews, mój wygląd nie ma tu nic do rzeczy - przerwała mu Avery, nie kryjąc irytacji. - A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam sporo pracy. Pan zapewne również. Dlatego żegnam pana.

Powiedziawszy to, wróciła do przerwanej pisania. Andrews z miną typu „co ja takiego powiedziałem?” wstał z biurka i wolno odszedł, rumieniąc się jak dziewczyna.

Mel powstrzymywał śmiech, dopóki nie był pewien, że Andrews go nie usłyszy.

- Rozumiem, że nie pójdziesz na kolację z Andrewsem po powrocie z wakacji?

- Próbuję tu pracować.

Lou wyciągnął rękę, a Mel, krzywiąc się, wyjął z portfela dolarowy banknot i wręczył koledze. Ci dwaj mieli stały zakład, dotyczący komplementów kierowanych pod adresem Avery. Ponieważ Andrews nie powiedział nic o nogach, Lou wygrał dolara. Nogi Avery były bowiem zdumiewające i większość mężczyzn od razu zwracała na nie uwagę, ale widocznie Andrews należał do tych, którzy wolą inne atuty.

- Czemu mnie się to nigdy nie zdarza? - westchnęła Margo. - Przecież jestem ładna, nie?

- No pewnie, że jesteś - zapewnił Lou.

- I chcę kiedyś wyjść za mąż i mieć rodzinę - ciągnęła, jakby nie słysząc odpowiedzi Lou. - Avery przy każdej okazji powtarza, że nigdy nie wyjdzie za mąż. To niesprawiedliwe. Byłabym wymarzoną partnerką dla Andrews. Naprawdę. Ale on nawet na mnie nie spojrział.

- Czemu uważasz, że byłabyś dla niego dobrą partnerką? - zainteresował się Lou.

- Bo Andrews to gorąca sztuka. A nikt tak w pełni nie doceni gorącego chłopaka jak ja. Bylibyśmy idealną parą - rzuciła przez ramię, wracając do swojego boks.

Mel schował portfel do kieszeni i także zajął się pracą. Piętnaście po czwartej wstał zza biurka i zawołał:

- Czas na ciebie, Avery!

- Daj mi jeszcze dziesięć minut...

Dziesięć przedłużyło się do czterdziestu pięciu i Avery opuściła norę dopiero po piątej. Na szczęście kolano już tak nie bolało i mogła biec. Mimo to spóźniła się na swój lot. Na międzystanowej był wypadek, który zablokował dwa pasy, i gdy w końcu dotarła na lotnisko, samolot był już w powietrzu.

Miała ochotę wrócić do domu i zwałić się do łóżka. Od tygodnia sypiała po cztery godziny na dobę i czuła się wyczerpana. Nie miała jednak odwagi sobie pofolgować, bo Carrie chyba by ją zabiła, gdyby spóźniła się o cały dzień.

Pobyt w Utopii nie był jej wymarzonym sposobem spędzania wakacji, miała jedynie zamiar sprawić przyjemność ciotce. Jadąc w jakieś nowe miejsce, lubiła zwiedzać okolicę, chłonać lokalny koloryt. Myśl o siedzeniu przez sześć dni w luksusowym ośrodku uzdrowskim wcale jej nie cieszyła, ale dała słowo i nie mogła się wycofać.

Na następny lot do Aspen przez Denver nie było wolnych miejsc, więc musiała lecieć z Waszyngtonu okrężną trasą. W końcu znalazła się w Grand Junction w Kolorado i zmuszona była czekać do rana, żeby odbyć jeszcze jeden lot. Kiedy już odebrała bagaż i zameldowała się w hotelu przyległym do lotniska, zadzwoniła do Carrie na komórkę. Po pierwszym sygnale odezwała się poczta głosowa. Avery domyśliła się, że ciotka podłączyła telefon do ładowarki i poszła spać - ostatecznie w Aspen była już północ. Zostawiła wiadomość, że dotrze do uzdrowiska następnego dnia około południa.

Potem zadzwoniła do Utopii, żeby powiadomić o swoim opóźnieniu. Ponieważ zostawiła już wiadomość na komórce Carrie, nie prosiła recepcjonistki o połączenie z pokojem ciotki.

Tej nocy Avery spała jak zabita. Następnego ranka przy śniadaniu, składającym się z grzanki, soku i mleka, odsłuchiwała pocztę głosową w swoim biurze. Było ponad dwadzieścia wiadomości, ale na szczęście żadnej pilnej. Słuchając robiła notatki, a potem opróżniła skrzynkę. Wiadomość od Carrie wzbudziła jej uśmiech. Ciotka była niesamowicie podekscytowana, że będzie mieszkać w domu, w którym wcześniej gościł Tom Cruise. Takie emocjonowanie się drobiazgami było typowe dla Carrie. Tę wiadomość very także skasowała, podobnie jak wszystkie pozostałe.

Kwadrans po ósmej zeszła na dół i się wymeldowała. Czekając, iż recepcjonistka wydrukuje rachunek, przejrzała mapę Kolorado. Aspen nie leżało tak znowu daleko od Great Junction, zaledwie o dwie i pół godziny jazdy samochodem. Zaraz potem usłyszała, jak para starszych ludzi rozmawia o pięknych widokach w okolicy,

i natychmiast postanowiła wynająć samochód, by odbyć nim drogę do uzdrowiska. Wróciła na lotnisko, wynajęła sedana i nie zwlekając, ruszyła w drogę.

Avery była ubrana tak jak zazwyczaj podczas weekendu - w dżinsy, gładki biały podkoszulek i tenisówki. Carrie nie pochwalałaby takiego stroju, ale Avery przedkładała wygodę ponad wymogi elegancji.

Kiedy już wjechała na autostradę i skierowała się na wschód, poczuła, że jest na wakacjach. Był piękny, rześki letni poranek. Świeciło słońce, a niebo miało tak intensywny odcień błękitu, że wydawało się wręcz sztuczne. Opuściwszy szybę, odetchnęła pełną piersią. Czuła się cudownie. Powietrze było czyste i lekkie, jakby wdychała sam tlen. Cóż za wspaniała odmiana po smogu wielkiego, przeludnionego miasta.

Zatrzymała się w McDonalddie, żeby kupić butelkę wody i dietetycznej coli. Zapłaciwszy za zamówienie usiadła przy stoliku i zaczęła studiować mapę. Przyszło jej do głowy, że w drodze do kurortu mogłaby zboczyć z trasy, żeby się trochę rozejrzeć, może zwiedzić jakiś zabytek. Wiedziała, że kiedy już dotrze do Utopii, Carrie nie puści jej od siebie na krok, a miała ochotę zobaczyć coś w Kolorado. To, co oglądała po drodze, już było piękne, ale przecież stanowiło maleńką cząstkę atrakcji, jakie stan miał do zaoferowania. I tak nie mogła uniknąć gniewu Carrie z powodu spóźnienia, więc dodatkowa godzina lub dwie nie robiły wielkiej różnicy.

Rozpostarła mapę przed sobą na stoliku i na początek postanowiła odnaleźć miejsce, gdzie Carrie spędzała noc. Jak ono się nazywało? Kraina Jezior? Nie, jakoś inaczej.

- Zgubiłaś się, słonko?

Głęboki baryton wyrwał ją z zamyślenia. I rozłościł. Nie miała nastroju do odpowiadania na zaczepki. Uniosła głowę, gotowa stanowczo odprawić intruza, ale na widok dżentelmena, który stał przed nią, tylko się uśmiechnęła. Miał co najmniej osiemdziesiąt

lat. Ubrany był w nienagannie wyprasowaną płócienną koszulę oraz dżinsy z nogawkami upchniętymi w wysokie kowbojskie buty z surowej skóry; w jednej ręce trzymał beżowy kapelusz, a w drugiej kubek parującej kawy. W wyrazistej śniadej twarzy o błyszczących piwnych oczach uwagę przyciągały sumiaste wąsy, starannie przycięte i wypomadowane. Zarówno wąsy jak i włosy były siwe.

- Słucham?

- Pytałem, czy się zgubiłaś - powtórzył. - Widziałem, że patrzysz w mapę, i pomyślałem, że może będę mógł ci pomóc, bo znam każdy zakręt i dziurę w Kolorado. We wrześniu minie osiemdziesiąt cztery lata, jak tu mieszkam.

- Po prostu wyszukiwałam ciekawe miejsca - wyjaśniła. - Właściwie przydałaby mi się pańska pomoc. Mógłby pan się przysiąść?

- Z przyjemnością - zapewnił. Postawił kawę na blacie stolika, usiadł naprzeciwko Avery i ostrożnie ułożył kapelusz na siedzeniu obok siebie. - Mogę zostać tylko kilka minut. Moja wnuczka wstąpi tu po mnie. Prowadzi mały sklepik z kowbojskimi rzeczami, a ja pomagam jej obsługiwać klientów przez dwa dni w tygodniu. Dokąd jedziesz?

- Do Aspen.

- No to nie mogłaś się zgubić. Wszędzie dookoła są drogowskazy. Aspen jest najwyżej dziesięć kilometrów stąd.

- Tak, wiem. Próbowałam zlokalizować miejsce zwane Krainą Jezior albo Wokół Jezior. Słyszał pan kiedyś taką nazwę?

- Mówisz o Krainie Między Jeziorami. Tak, słyszałem o niej. A tak nawiasem mówiąc, nazywam się Walt Centry.

- Avery Delaney - przedstawiła się, wyciągając rękę.

- Miło mi cię poznać. - Odsunął kubek z kawą, żeby go nie trącić, po czym oparł obie dłonie na stole. - Nie znajdziesz tego Miejsca na mapie, więc możesz przestać szukać. Przyjeździ spoza Kolorado nawet o nim nie wiedzą. Wiesz, ludzie przyjeżdżają tu

z Kalifornii czy Waszyngtonu i kupują kawałek ziemi. Potem budują sobie wielki dom i wydaje im się, że powinni jakoś nazwać to miejsce, jakby to była Ponderosa czy coś w tym rodzaju. Człowiek o nazwisku Parnell, Dennis Parnell, jakiś czas temu kupił czterdzieści akrów pięknego terenu wysoko ponad Aspen. To nie powinno być możliwe, ale jednak kupił - dodał, wzruszając ramionami. - A potem, mniej więcej sześć lat temu, postanowił zbudować tam swój wymarzony dom. Wykończenie go zajęło mu ponad dwa i pół roku, a ci od ochrony środowiska dostawali szału, że tak zniszczył ten piękny, dziki teren. Wielkie buldożery jeździły w górę i w dół po zboczu, wrywały drzewa, żeby zrobić miejsce pod drogę. To była zbrodnia na naturze, ale Parnellowi uszła na sucho, bo dzięki pieniądзом dostał wszelkie niezbędne pozwolenia. Nie sądzę, żeby dziś mogło się zdarzyć coś podobnego - dodał. - W ostatnich kilku latach udało nam się wprowadzić surowsze przepisy chroniące naszą ziemię. Tak czy inaczej - ciągnął - kiedy dom był gotowy, Parnell otoczył go wysokim murem. Słyszałem, że budowa kosztowała go osiem milionów, ale to było kilka lat temu, więc jestem pewien, że cena się co najmniej podwoiła. Chodziły plotki, że Parnell zapłacił gotówką i jest prawowitym właścicielem domu i ziemi. Ja tam nie wierzę plotkom, ale tutejsi ludzie wierzą, więc nie dziwota, że zastanawiali się, skąd wziął taką furę pieniędzy.

Avery słuchała ze szczerym zaciekawieniem.

- A skąd wziął?

- Mieszcowi uważali, że to muszą być pieniądze z narkotyków, ale się okazało, że Parnell miał małą firmę komputerową w Dolinie Krzemowej. Jeden z jego pracowników wynalazł jakieś nowe urządzenie, które zrewolucjonizowało cały ten interes. Ja tam się na tym nie znam - przyznał - ale ponieważ ten inżynier pracował dla Parnella, to on dostał patent. Zbił fortunę, sprzedał firmę, zanim zbankrutowała, i przeniósł się tutaj.

- Ale nie jest już właścicielem domu, prawda? - spytała,

przekonana, że Parnell musiał go sprzedać posiadaczowi Utopii na kwatery dla wyjątkowo ważnych gości.

- I tak, i nie - odparł Walt. - W tym punkcie historia przybiera paskudny obrót. Parnell wziął ślub w kościele odległym o jakieś półtora kilometra stąd. To było wielkie wydarzenie i kosztowało fortunę. Na przyjęcie weselne zaproszono pięćset osób. Słyszałem, że planowanie wielkiej uczyty zajęło cały rok. Kwiaty sprowadzono z Europy. Pewnie te, co rosną w Stanach, nie były dość dobre. Tak czy owak, planowanie małżeństwa trwało dłużej niż samo małżeństwo. Parnell był żonaty półtora roku, zanim wystąpił o rozwód. - Zamyślony pokręcił głową. - Nie rozumiem tego współczesnego świata. Ja i moja żona, Ona May, jesteśmy małżeństwem od czterdziestu siedmiu lat. Pewnie, bywało, że miałem ochotę odejść i więcej nie wracać. Wyobrażam sobie, że ona od czasu do czasu czuła podobnie, ale trwaliliśmy przy sobie, bo złożyliśmy przysięgę i traktowaliśmy ją poważnie. Teraz czytam w gazetach o nowej modzie, o „małżeństwach na próbę”. Słyszałaś o czymś takim?

Uśmiechnęła się.

- Słyszałam to określenie.

- Nie rozumiem - wyznał. - Te pary mają po prostu ze sobą zamieszkać bez składania małżeńskiej przysięgi. Według mnie Parnell uważał, że jego małżeństwo jest właśnie na próbę, skoro tak szybko zrezygnował. To naprawdę paskudny rozwód, z obrzucaniem się błotem, co prasa oczywiście chętnie opisuje. Parnell złożył pozew przeszło rok temu, a sprawa dalej się ciągnie. Wszyscy czekają, żeby się dowiedzieć, kto w końcu będzie właścicielem domu. Przyszła eks-żona zaklina się, że jej go obiecał, i uważa, że powinna być w stanie go utrzymać. Sędzia właśnie decyduje, które z nich go dostanie. Pamela Parnell twierdzi, że prędzej skona, niż odda dom mężowi, a on na to mówi, że nie ma nic przeciwko temu, by skonała. Oboje zachowują się, jakby mieli po pięć lat, moim zdaniem. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu



Parnell udzielił wywiadu, w którym powiedział, że niezależnie od decyzji sędziego, nigdy nie odda domu byłej żonie. Niezła z nich para. Chociaż ludzie, ci miejscowi i ci z Aspen, wcale nie są lepsi. Masz pojęcie, że urządzili loterię?

- Chce pan powiedzieć, że robią zakłady o to, kto otrzyma dom?

- No właśnie. Szanse są jak dziewięćdziesiąt do dziesięciu, że dostanie się Pameli Parnell, ze względu na niejasności przy uzyskiwaniu zezwoleń na budowę przez Parnella. Mówi się, że Dennis zostanie postawiony w stan oskarżenia. Sędzia, który ma zdecydować, komu z tych dwojga przypadnie dom, jest zdeklarowanym obrońcą środowiska. Czas pokaże, jak będzie. - Pochylił się, stukając palcem w mapę. - Dokładnie tu. To jest Kraina Między Jeziorami. Została tak nazwana, ponieważ leży między dwoma dużymi jeziorami o przejrzystej wodzie. Masz pióro? Mógłbym ci zaznaczyć to miejsce.

Avery sięgnęła do torebki, znalazła długopis i podała Waltowi. Miał palce powykrzywiane artretyzmem. Z trudem trzymał długopis, rysując niewielkie kółko.

- To jakieś dwie godziny jazdy stąd. Jest tam jeszcze kilka takich wymyślnych domów, ale nie można się do nich zbliżyć, bo wszystkie drogi są prywatne i zamknięte bramami.

- Myślałam, że ciotka mieszka w pensjonacie o nazwie Kraina Między Jeziorami, ale musiałam się pomylić. Może źle ją usłyszałam. Na linii były zakłócenia.

- Może mówiła o Bliźniaczych Jeziorach? - podsunął. - Kraina Między Jeziorami jest wysoko na północy, a Bliźniacze Jeziora są bardziej na południe. Zaznaczono je na mapie. - Wskazał właściwy punkt.

Avery pokiwała głową, po czym złożyła mapę i schowała do torebki. Ucisnąwszy dłoń staruszka, zaczęła się zbierać.

- Dziękuję za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł uprzejmie. - Nie zapomnij zapiąć pasów, słonko. Zdarzają się tu kierowcy

wariaci. Jeżdżą po serpentynach sto dziesięć kilometrów na godzinę. Sami się proszą o śmierć. Nie pozwól, żeby cię ze sobą zabrali.

Avery wróciła do samochodu i niezwłocznie wyruszyła w dalszą drogę. Poczucie winy nie pozwalało jej na dodatkowe wycieczki. Poza tym rozmowa z Waltem dostarczyła jej już trochę „lokalnego kolorytu”. Był uroczym człowiekiem i słuchała go z przyjemnością.

Pomyślała, że może uda jej się namówić Carrie na kilka turystycznych wypadów, ale pomysł był tak absurdalny, że aż się roześmiała. Podobno w czasach licealnych ciotka była prawdziwą sportsmenką, grała w siatkówkę, w kosza i uprawiała wiele innych dyscyplin. Avery lubiła się bawić jej tenisowymi trofeami. Ciekawe, czy ciotka dalej je przechowuje, czy wyrzuciła? Zresztą, co za różnica? Obecnie Carrie z całą pewnością nie była typem harcerki. Nie znosiła żadnych form fizycznej aktywności.

Carrie wybrała się do Utopii po to, by dać się rozpieszczać, nie po to, by nabierać kształtów i tężyzny. Avery wydała głośne westchnienie. Miała nadzieję, że ciotka nie będzie jej zmuszać do tych wszystkich dziwnych zabiegów w rodzaju kąpieli błotnych czy maseczek z wodorostów. Nie widziała w tym nic złego, ale miała tak niewiele czasu na rozrywki, że wolałaby się ubłocić, zwiędzając pieszko okolicę.

Minęła Aspen i pojechała dalej. Po godzinie była już pewna, że się zgubiła. Właśnie miała przystanąć na poboczu i zajrzeć do mapy, gdy dostrzegła drogowskaz do Utopii. Droga skręcała ostro, a potem pięła się w górę i zwięzała aż do żywego traktu. W końcu pojawiła się brama. Avery zatrzymała samochód, żeby podać swoje dane strażnikowi.

- Pani nazwiska nie ma na liście osób oczekiwanych dzisiaj.

- Mam rezerwację - upierała się Avery. - Powinno być na niej moje nazwisko.

Podszedł do samochodu, uśmiechając się przyjaźnie.

- Jestem pewien, że to tylko nieporozumienie. Może je pani wyjaśnić w recepcji.

- Dziękuję! - zawołała Avery, przejeżdżając przez bramę.

Sądząc po zachowaniu strażnika, w ośrodku panowała miła, przyjazna atmosfera. Zerknąwszy w lusterko zobaczyła, że patrzy w ślad za nią, stojąc na środku drogi.

Szpakowate włosy strażnika przypomniały jej o wujku Tonym. Poprzedniego wieczoru zapomniała do niego zadzwonić. Postanowiła to naprawić, gdy tylko ulokuje się w swoim pokoju. Tony tak się wszystkim przejmował. Avery wiedziała, że mają z Carrie problemy, ale miała nadzieję, że jakoś je rozwiążą. Prawdopodobnie nie układało im się z winy Carrie. Chociaż Avery kochała ciotkę z całego serca, nie była ślepa na jej wady. Carrie czasami bywała naprawdę trudna. Małżeństwo z Tonym było jej najlepszą życiową decyzją. Avery miała nadzieję, że wypoczynek w uzdrowisku da ciotce czas na przemyślenie sytuacji. Carrie zawsze patrzyła na swego partnera z góry, a to nie mogło służyć ich pożytku. Na szczęście Tony był cierpliwy jak święty. Chyba żaden inny mężczyzna nie wytrzymałby tego dłużej.

Wjechała w jeszcze jeden ostry zakręt. Na litość boską, gdzie ten ośrodek? Od czasu minięcia bramy musiała już wjechać do połowy góry i zewsząd otaczała ją zupełna dzicz. Kiedy już była pewna, że musiała przez pomyłkę zboczyć po drodze, jej oczom ukazała się Utopia.

Ktoś celnie wybrał nazwę.

- O rany - wyrwało jej się szeptem.

Miejsce było cudowne i wręcz promieniowało spokojem. Ozdobione bladożółtą sztukaterią zabudowania otulał gąszcz potężnych drzew iglastych. Główna konstrukcja sprawiała wrażenie wtopionej w górskie zbocze, a do otaczających ją niewielkich pawilonów prowadziły kręte kamienne ścieżki, wijące się między grubymi sosnami. Wszędzie rosły dzikie kwiaty. Słyszac szum wody, rozejrzała się i zobaczyła kaskadę, zbudowaną tak, że imitowała

naturalny potok. Spieniona woda spływała po kamiennych płytach i rozpryskiwała się o złotą kulę umieszczoną w okrągłej sadzawce.

Z bocznej drogi wyjechała ciężarówka z zaopatrzeniem. Avery zahamowała, żeby ją przepuścić, i w tym czasie, gdy załoga szybko rozładowała jakieś beczki, napawała się pięknem i spokojem otoczenia. Jej uwagę przyciągnęła para młodych ludzi, wyraźnie w sobie zakochanych. Trzymając się za ręce, spacerowali wzdłuż kaskady. Nagle przystanęli i zaczęli się namiętnie całować.

Avery poczuła ukłucie zazdrości. Zmusiła się do odwrócenia wzroku, nie mogła się jednak powstrzymać, by jeszcze raz nie zerknąć na zakochanych. Byli w sobie tacy zapatrzeni. Pomyślała, że pewnie są nowożeńcami.

Ciężarówka usunęła się z drogi i Avery podjechała stromym podjazdem na brukowany placyk. Po obu stronach marmurowych schodów prowadzących do wejścia, niczym strażnicy na posterunku, stały wielkie donice z bluszczem oraz żółtymi i różowymi kwiatami.

Ludzie wchodzili i wychodzili z ośrodka niespiesznym krokiem. Podobnie jak spotkana wcześniej para, wszyscy mieli na sobie identyczne granatowe dresy. Na bluzie, nad kieszonką na piersi, znajdowało się logo ośrodka - kula z nazwą wyhaftowaną złotymi nićmi.

Ledwie Avery zaparkowała samochód, podbiegł do niej odzwierny. Otworzył drzwi i podał jej rękę, mówiąc:

- Witamy w Utopii.

## 6

**Monk** był zakochany. Choć nie wierzył, że taki cud może się zdarzyć, spotkał kobietę swoich marzeń i od tej pory zachowywał się jak szalony, żałosny głupiec. Jilly była mu bratnią duszą. Bez wątpienia. Byli dla siebie stworzeni, mieli te same marzenia, takie same fantazje, te same cele i co najważniejsze, taką samą skłonność do nieczystej gry.

Zahipnotyzowała go od pierwszej chwili, gdy się poznali w tym parszywym barze bez nazwy, na przedmieściach Savannah. Kiedy weszła do środka, niczym zjawisko w jedwabnej czerwonej sukience i czerwonych szpilkach, Monkowi dech zaparło z wrażenia. Była po prostu... wspaniała. Tak jak zapowiedział przez telefon, czekał na nią przy narożnym stoliku, trzymając w ręce niebieski folder. Na jego widok uśmiechnęła się i natychmiast wiedział, że przepadł bez reszty.

Urok pierwszej miłości nie zbladł z upływem czasu. Wciąż kochał ją aż do bólu. Nawet zajęty pracą me przestawał się uśmiechać. Od pewnego czasu bez reszty zaprzętała mu umysł. Wykonując nudne, choć konieczne obowiązki, lubił wspominać, i to w najdrobniejszych szczegółach, ten pierwszy raz, gdy się kochali. Nastąpił dokładnie trzy godziny po tym jak się poznali.

Jilly zabrała go do swojego pokoju w hotelu, pozbawiła go ubrania oraz wszelkich zahamowań i kochała się z nim zapamiętale. Wciąż miał w pamięci jej smak, piżmowy zapach jej perfum, żar jej ciała, niemal zwierzęce dźwięki, jakie z siebie wydawała, gdy jej dotykał. Była nieokiełznana, śmiała i szorstka, tak jak lubił, a jednocześnie cudownie bezbronna.

Monk nie mógł wyjść ze zdumienia nad swym brakiem dyscypliny, kiedy chodziło o Jilly. Nigdy by mu się nawet nie śniło, że jest zdolny do głupich sentymentalnych zachowań albo że kiedyś się ożeni. Tak, dwa miesiące temu się oświadczył, tak jak trzeba, kłękając przed nią na jednym kolanie, i z radością przyjął jej zgodę. Wyznał, że jest gotów zrobić dla niej wszystko, naprawę wszystko, i postanowił tego dowieść. Za wszelką cenę chciał ją zadowolić i choć wiedział, że jest w jej rękach jak glina, jakoś zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Jilly była pierwszą osobą na świecie, której mógł z pełnym zaufaniem powierzyć swoje sekrety. On także wiedział o niej wszystko. Żyli ze sobą od czterech miesięcy, gdy pewnej nocy po miłosnym akcie, kiedy siedzieli w szlafrokach na sofie i tuląc się do siebie popijali szampana, otworzył się przed nią i opowiedział jej wszystko o swoim nędznym życiu na jałowej farmie w Nebrasce, pod opieką surowych, nieczułych rodziców. Ojciec uznawał różgę za jedyny środek wychowawczy, a matka, kobiecina bojąca się własnego cienia, nie wyściubiała nosa poza dom, nie licząc niedzielnych wyjść do kościoła. Zawsze stała z rękami założonymi do tyłu i patrzyła, jak mąż batem próbuje wybić z głowy ciekawość świata ich jedynemu dziecku. Monk wcześniej nauczył się nigdy nie skarżyć matce, ponieważ zawsze powtarzała wszystko ojcu. Nim skończył dziesięć lat, nienawidził ich oboje i przed snem wymyślał coraz to nowe tortury, którymi mógłby ich dręczyć.

Prowadził ograniczone, wręcz klaustrofobiczne życie. W nie-dziele kradł pieniądze z kościelnych skarbonek, trochę tu, trochę tam. Po ukończeniu szkoły średniej spakował swoje rzeczy do

torby na zakupy i opuścił farmę. Poszedł do college'u w Omaha. Zaoszczędził dość, żeby opłacić pierwszy semestr, a na resztę nauki otrzymał pożyczkę rządową, której zresztą nigdy nie zamierzał spłacić. Cztery lata później wyjechał z Nebraski, przysięgając sobie, że nigdy tam nie wróci.

Do dziś nie wiedział, czy jego rodzice żyją, i wcale go to nie obchodziło.

Właściwie nigdy mu na nikim nie zależało... aż do teraz.

Opowiedział Jilly o sobie wszystko. Powiedział jej, że popełnił swe pierwsze morderstwo w dojrzałym wieku dwudziestu dwóch lat. Powiedział jej także, że kiedyś marzył o pracy w teatrze. Uwielbiał się przebierać i odgrywać różne role. Chwalił się, że jest dobrym aktorem, tak dobrym, że próbował się ubiegać o główną rolę w pewnym przedstawieniu. Inny aktor wyśmiał jego grę i upokorzył go przed reżyserem. Monk tak się zdenerwował, że zawałił przesłuchanie i roli oczywiście nie dostał. Przysięgał wówczas, że wyrówna rachunki, przyczał się i po dwóch latach dopadł tamtego chłopaka. Użył wtedy noża, a zabójstwo ocenił jako podniecające i wyzwalające doświadczenie.

- Kiedy zmieniłeś imię? - spytała.

- W dniu kiedy wstąpiłem do college'u. Miałem sfalszowany akt urodzenia. Choć fałszerstwo było prymitywne, udało mi się nabrać dyrekcję.

- Ja nie poszłam do college'u - powiedziała Jilly. - Chciałam, ale matka uznała, że nie jestem wystarczająco inteligentna. Zabrała pieniądze, które zaoszczędziłam, i zapłaciła nimi za naukę Carrie.

- Jak wyglądało twoje życie, kiedy dorastałaś?

Oczy Jilly zaszkliły się od łez.

- Cudowne - westchnęła. - Nie pamiętam ojca. Odszedł, kiedy byłam małą. Przez nią.

- Twoją matkę?

- Tak. To ona przegnała go z domu. Uciekł z inną kobietą, ale patrząc wstecz, wcale go nie winię. Mama była zimną i zgorzkniałą

kobietą. Nigdy nie okazywała mi uczuć i chyba dlatego wpadłam w kłopoty... no wiesz... zaszłam w ciążę. Szukałam kogoś, kto by mnie kochał. Przyniosłam wstyd rodzinie. Nie potrafię zliczyć, ile razy matka i siostra wykrzyczały mi to w twarz. - Pokręciła głową, a potem dodała szeptem: - Byłam takim niewinnym głuptasem. Myślałam, że kiedy już urodzę dziecko, matka i siostra mi wybaczą i pomogą je wychować. Chciałam być dobrą mamą dla swojej córeczki.

- Ale tak się nie stało?

Ścisnęła go za rękę.

- Nie. To było okropne. Mama z Carrie przyjechały do szpitala. Myślałam, że chcą zabrać mnie i moją córkę do domu.

- I co się stało, kochanie? - spytał łagodnie, kiedy przerwała, zbyt poruszona, by mówić. Dolał jej szampana do kieliszka.

- Carrie wyszła ze szpitala z moją córką. Nie odezwała się do mnie ani słowem. Po prostu podeszła do łóżeczka, zabrała dziecko i wyszła. Mama chwyciła mnie za rękę, kiedy próbowałam biec za siostrą. Spytałam, dokąd Carrie idzie z moim ślicznym maleństwem, a mama odpowiedziała, że Carrie zabiera małą Avery do domu. Avery. Takie głupie imię mama wymyśliła dla mojej córki. - Końcami palców otarła łzy spod oczu. - Nawet nie pozwoliły mi wybrać imienia dla mojego dziecka. Carrie podejmowała wszystkie decyzje, mówiła mamie, co ma robić, a mama zgadzała się na wszystko, co rozkazała jej pupilka.

- I co się potem stało?

- Mama powiedziała mi, że muszę wyjechać z miasta i nie wolno mi nigdy wrócić do domu. Powiedziała, że upokorzyłam ją i Carrie po raz ostatni. Nie potrafiłam jej przekonać i choć błagałam o wybaczenie, była nieugięta. Wciąż widzę ten paskudny, zacięty wyraz jej twarzy. Taki sam, jak u Carrie. Obrzuciła mnie najgorszymi wyzwiskami, a potem wyjęła banknot studencki, rzuciła mi go w twarz i wyszła z pokoju.

- Nie było nikogo, kto by ci pomógł?

Potrząsnęła głową.

- Mama była w bliskich stosunkach z szefem policji. Owinęła go sobie wokół małego palca. Wpadał co drugą noc. kiedy my z Carrie już zwykle spałyśmy, ale jednej nocy usłyszałam jęki i stękanie, więc cicho zeszałam na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zajrzałam do salonu, a on leżał rozwalony na naszej kanapie, ze spodniami opuszczonymi do kostek. Mama kłęczała między jego nogami. Ten tłusty wieprz był żonaty - dodała. - Zrobiłby wszystko, żeby tylko mama nie powiedziała jego żonie o ich romansie. Zagroziła mi, że komendant zamknie mnie w więzieniu, jeśli od razu nie wyjadę z miasta. Wiedziałam, że mogłaby go do tego zmusić.

Zaniosła się nieopanowanym szlochem. Objął ją ramieniem, przytulił i tak długo głąskał, dopóki się nie uspokoiła. Dopiero wtedy zapytał:

- Co się stało z twoją córką?

- Carrie ją wychowała i nastawiła przeciwko mnie. Moja siostra zawsze mnie nienawidziła. Nie była taka... ładna jak ja, więc zżerała ją zazdrość. Myślę, że ukradła mi dziecko, żeby się na mnie zemścić.

- Jak poznałaś Dale'a Skarretta?

- Po wyjeździe z Sheldon Beach miałam się różnych zajęć, żeby zarobić na życie. Próbowalam zaoszczędzić pieniądze na wynajęcie prawnika i odzyskanie dziecka. Nie miałam żadnego wykształcenia, więc pracowałam w barach i restauracjach. Kilka razy ukradłam pieniądze, żeby zapłacić czynsz, sypiałam też z mężczyznami. W sumie z dwunastoma - przyznała. - Liczyłam ich... nie wiem po co, ale liczyłam i zawsze się zabezpieczałam, żeby nie złapać jakiejś paskudnej choroby. Nienawidziłam tego, ale potrzebowałam pieniędzy. Za wszelką cenę chciałam odzyskać córkę. - Odwróciła głowę, żeby ukryć cierpienie. - Wtedy pewnej nocy, kiedy pracowałam w obskurnym barze w Savannah, poznałam Dale'a Skarretta. Wydał mi się obrzydliwy, ale miał pieniądze. Specjalnie pokazał mi plik banknotów, bo chciał mnie zdobyć. Mieszkaliśmy razem przez jakiś czas. Chciałam się od niego uwolnić, ale on ciągle wracał. W końcu któregoś wieczoru

powiedział mi o tym sklepie jubilerskim, który zamierzał obrobować razem ze swoimi kumplami, Frankiem i Larrym. Larry zadawał się z córką właściciela sklepu, która lubiła chwalić się rodzinnym bogactwem. Dale sam zaplanował napad, ale ja mu pomagałam w szczegółach.

- Więc byłaś współwinna?

- Tak - przyznała. - Napad poszedł gładko, ale Frank miał niewyparzoną gębę i zaczął gadać o kupie pieniędzy, jaką będzie miał, gdy Dale sprzeda diamenty. Dale ukrył te nieoszlifowane kamienie i wszyscy się zgodziliśmy odczekać przynajmniej pół roku, zanim je upłynniemy.

- Ale sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny?

- No właśnie. Ktoś doniósł policji o przechwałkach Franka. Wzięli go na przesłuchanie i w końcu poszedł z nimi na układ. Najpierw wydał Larry'ego, a o nas nie wspomniął. Pewnie chciał zrobić jeszcze lepszy interes. Larry zadzwonił i ostrzegł nas na czas, więc zdążyliśmy uciec. Larry'emu się nie udało. Wywiązała się strzelanina, w której Larry zabił policjanta, a potem sam zginął.

Jilly znów zaczęła płakać.

- Nie zależało mi na diamentach. Dale obiecał, że pomoże mi odzyskać córkę. To miała być moja działka za to, że pomogłam im w napadzie. Pojechalśmy do Sheldon Beach i Dale poszedł do domu mamy, żeby zabrać Avery. Nie uważałam tego za porwanie. Po prostu odbierałam to, co siostra mi ukradła. Nie wiedziałam, że Carrie zmusiła mamę, żeby poszła do sądu i ustanowiła ją prawną opiekunką Avery. Sąd odebrał mi wszystkie prawa rodzicielskie i przyznał je mojej siostrze. Ona ukradła mi dziecko, Monk, ukradła mi ją...

- Wiem, że serce ci pęka, kochanie.

- Avery była jeszcze małą dziewczynką, kiedy Dale po nią poszedł, ale Carrie już zdążyła ją nastawić przeciwko mnie. Dale mówił, że próbował uspokoić Avery, powtarzając jej, jak bardzo ją kocham i że będzie ze mną szczęśliwa. Avery wpadła w histerię. Bóg jeden wie, jakich okropnych kłamstw nagadała jej Carrie, bo

mała walczyła z nim jak tygrysyca, kopała, chciała mu wydrapać oczy. Mówił, że zdjął pasek, żeby jej związać ręce, i że dał jej kilka klapsów, żeby się opamiętała.

Monk podał jej kolejną chusteczkę do otarcia łez.

- Mów dalej. Poczujesz się lepiej, kiedy wyrzucisz z siebie całą tę truciznę.

Posłusznie pokiwała głową.

- Masz rację. Krzyki Avery obudziły mamę. Przybiegła z bronią w rękę. Komendant policji dał jej pistolet dla obrony. Próbowła zabić Dale'a. Powiedział, że już się wycofywał z Avery, kiedy strzeliła. Niechcący postrzeliła moją córkę. - Zadrżała. - Dale przez długi czas nie mówił mi o tym, więc nie poszłam do szpitala, żeby ją odwiedzić.

- A co się stało z twoją matką?

- Kiedy zobaczyła, co zrobiła, zaczęła krzyczeć, a potem chwyciła się za pierś i padła nieżywa. Tak mówił Dale.

- Atak serca?

- Tak, ale nie płakałam z powodu jej śmierci. Zwróciła się przeciwko mnie, a ja zrobiłam to samo wobec niej. Nie uroniłam ani jednej łzy - wyznała z dumą.

- Rozumiem.

- Dale próbował dotrzymać obietnicy. Wyśledził Avery, kiedy przeniosła się do Kalifornii, żeby zamieszkać z moją siostrą. Obserwował jej szkołę. W nadziei że uda mu się ją porwać po lekcjach. Jednak ona miała ochroniarza, agenta FBI, który jej pilnował. Carrie najwidoczniej przekonała ich, że Dale wróci po Avery. Moja siostra jest bardzo sprytna - dodała z pogardą. - Musiała zawiadomić dyrektora szkoły, bo powiedział strażnikom, że Dale jest niebezpieczny i Avery przez cały czas była pod dozorem. Dale próbował ją złapać, kiedy szła przez szkolne boisko, ale ten agent FBI go dostrzegł i powalił na ziemię. Dale nie był uzbrojony. Został aresztowany i wysłany na Florydę, żeby stanąć przed sądem za spowodowanie śmierci mojej matki.

- I został skazany?

- Tak. Sekcja potwierdziła, że mama miała atak serca, ale ława przysięgłych mimo to uważała, że Dale ponosi odpowiedzialność za jej śmierć.

- A ty tak nie uważasz?

- Tak naprawdę nie obchodzi mnie, czy był odpowiedzialny czy nie, ale mama rzeczywiście miała słabe serce. Kochanie, muszę ci coś wyznać. Proszę, nie bądź zły. Pozwól mi wytłumaczyć.

- Nie mógłbym się na ciebie złościć. Obiecuję.

- Pamiętaj te pieniądze, które mi dałeś na spłatę moich długów?

- Te trzydzieści tysięcy?

- Właśnie - potwierdziła szeptem. Wsunęła rękę pod jego szlafrok i zaczęła go gładzić po piersi. - Większość z nich dałam adwokatowi jako zaliczkę.

- Dlaczego? - zdziwił się. - Po co ci adwokat?

- Wynajęłam go, żeby pomógł Dale'owi. Chcę, żeby go wydoستاł z więzienia, a teraz chyba jest na to szansa. Kiedy adwokat przeglądał pudła z dowodami rzeczowymi, znalazł rachunek od kardiologa z Savannah. Pojechał do niego i dowiedział się, że stan mojej matki był krytyczny. Co ważniejsze, powiedział, że zgłosił się do prokuratora z informacją, że leczył moją matkę, ale prokurator ukrył tę informację przed obrońcą z urzędu, którego przyznano Dale'owi.

Monk poczuł niepokój i złość, ale zdołał się opanować.

- Mów dalej - ponaglił.

- Adwokat, którego wynajęłam, zrobił co trzeba. Dale będzie miał nowy proces i to niedługo. Sędzia był wściekły, kiedy się dowiedział, że prokurator zataił dowód. Wygląda na to, że między tymi dwoma istniał jakiś konflikt, a ta sprawa jeszcze dołała oliwy do ognia. Adwokat powiedział, że odroczone inny proces, by jeszcze raz zająć się sprawą Dale'a. Najważniejsze, żeby Carrie Avery nie zeznawały, bo wtedy Dale zostanie w więzieniu.

- A co z przesłuchaniem w sprawie zwolnienia warunkowego? Nadal jest w planie?

- Owszem, ale do tej pory powinno być po rozprawie. Jeśli Dale nie wyjdzie z więzienia, nigdy nie dostanę tych diamentów. Myślę, że na nie zasługuję po tym wszystkim, co przeszłam. Oczywiście, wszystko, co dostanę, należy także do ciebie. Sądysz, że jestem za chytra?

- Nie, wcale tak nie uważam - zapewnił. - Ale musisz być ze mną szczerą. Czujesz coś do Dale'a?

- Ależ skąd! - wykrzyknęła. - Zawsze go nienawidziłam i wiem, jak mogę ci tego dowieść.

- Jak? - spytał, zaintrygowany jej zagadkowym uśmiechem, który tak go zawsze podniecał.

- Jak tylko Dale zaprowadzi nas do diamentów, na twoich oczach go zabiję.

Po tej obietnicy opuściły go wszystkie wątpliwości. Pocałowała go, a potem szepnęła:

- Kocham cię całym sercem. Wolałabym umrzeć, niż cię zranić. Zabicie Dale'a będzie dowodem mojej miłości, ale ja od ciebie też chcę dowodu.

-- Co mogę zrobić? - spytał. Nie miał głowy do poezji, ale starał się, by jego przysięga zabrzmiała romantycznie: - Jeśli zechcesz, bym dla ciebie chodził po wodzie, znajdę na to sposób. Zrobię dla ciebie wszystko, najdroższa Jilly. Absolutnie wszystko. Przywarła do jego piersi.

- Moja siostra i Avery zeznawały na ostatnim przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego. To przez nie Dale wtedy nie wyszedł.

- Chcesz, żebym zrobił coś, co uniemożliwi im stawienie się w sądzie? Tego ode mnie oczekujesz?

- Kochanie, nie chcę, żebyś je trzymał z dala od sądu. Chcę, żebyś na dobre uniemożliwił im zeznawanie. Chcę, żebyś je zabił.

## 7

Carrie obudziła się zrana zimnym potem. Koszmarny sen strasznie ją przeraził. Rozdygotana ze strachu, owinęła się kołdrą i próbowała uspokoić szaleńczy łomot w piersi. Czuliła się tak, jakby miała atak serca. Przyciskając dłoń do klatki piersiowej, wzięła parę głębokich oddechów. Sen był taki wyraźny. Co go wywołało? Od lat nie myślała o Jilly. Dlaczego siostra znów torturowała ją we śnie?

A może to po prostu objawy przemęczenia? Uczepiła się tej myśli. Tak, to wytłumaczenie było całkiem rozsądne. Przez ostatnie dwa miesiące pracowała po siedemdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt godzin w tygodniu, finalizując niezmiernie lukratywne kontrakty. Wszystkie umowy zostały już podpisane i teraz, kiedy mogła wreszcie zwolnić tempo, jej przeciążony umysł po prostu odmówił posłuszeństwa.

Przewróciła się na plecy, zamykając oczy przed jaskrawym światłem, wpadającym przez częściowo rozsunięte zasłony. Usiłowała sobie przypomnieć ćwiczenia jogi, których uczyła ją Avery. Trzeba brać głębokie, oczyszczające oddechy. To pamiętała dobrze. Oczyszczyć umysł i skupić się na rozluźnianiu wszystkich nieśni. Tak, zgadza się. Najpierw palce u nóg. Potem nogi. No, rozluźnij się, do diabła, powtarzała sobie w duchu.

Nie działało. Niepokój czaił się gdzieś w zakamarkach świadomości, gotów w każdej chwili nią zawładnąć.

Na litość boską, to tylko koszmarny sen. Niesamowicie realistyczny, ale jednak sen, więc nie było czego się bać.

Carrie żałowała, że valium wyszło już z mody. Wzięłaby parę pigułek na uspokojenie. Po chwili jednak i bez tego poczuła się lepiej. Serce już jej nie waliło, nie próbowało wyskoczyć z piersi, niczym jeden z tych okropnych stworów w *Obcym*.

Pomyślała, że przyda jej się porządny, długi prysznic. Odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. Która mogła być godzina? Czyżby słońce wstawało tu w górach jaśniejsze niż w Los Angeles? Oczywiście, bo tu nie było smogu.

Pomyślała o kawie. Zadzwonił po kawę. Kofeina rozwieje mgłę w jej głowie i znów będzie w stanie rozumować jak człowiek.

Spuszczała już nogi z łóżka, kiedy dostrzegła, że na stoliku, zwrócone ostrzami w jej stronę, leżały lśniące metalowe nożyczki. Skamieniała, czując, jak w gardle wzbiera jej krzyk. Nie potrafiła odwrócić wzroku, nie mogła sprawić, żeby zniknęły.

Serce znów zaczęło jej się tłuc o żebra. Czy można umrzeć ze strachu? Czy to miał być jakiś koszmarny żart? Nie. Przecież ten, kto położył przy łóżku nożyczki, nie mógł wiedzieć, co jej się śniło. Rozpaczliwie próbowała się skupić, zastanowić.

Czy one były prawdziwe? Carrie niepewnie wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć, przekonana, że ma coś w rodzaju halucynacji. Wydała z siebie zduszony okrzyk, gdy palce natrafiły na twarde, chłodny metal. Do diabła, były prawdziwe.

Musiało istnieć jakieś rozsądne wytłumaczenie. Może nożyczki były tam już zeszłego wieczoru? Nie zwróciła na nie uwagi, ale jej podświadomość wywołała nieoczekiwaną reakcję. Ta możliwość wydawała się trochę naciągana, ale nic lepszego nie przychodziło jej do głowy. Nagle zauważyła żółtą kopertę ze swoim imieniem i nazwiskiem, wypisanym starannym, odręcznym pismem, opartą o podstawę lampy. Była pewna, że wieczorem jej

tam nie było. Drżącą ręką sięgnęła po kopertę i ją otworzyła. Papier był w doskonałym gatunku, ale bez znaku firmowego Utopii. Nie było też zwrotnego adresu.

- Co się tu dzieje, u licha? - szepnęła. Wyciągnęła ze środka dwie kartki, rozłożyła i przeczytała to, co było na nich napisane.

*Carrie!*

*Nosiłaś przed laty żałobę po tym, jak się dowiedziałaś, że zginęłam w wypadku samochodowym? A może świętowałaś? Zawsze wierzyłaś, że jesteś ode mnie lepsza. Ja byłam tylko głupią dziewczyną. Pamiętasz, że mnie tak nazywałaś? Ja nigdy nie zapomniałam. Nigdy mnie nie doceniałaś. Nigdy. Z pewnością pamiętasz, że zawsze wyrównywałam rachunki. W końcu nadszedł ten wspaniały dzień i teraz, jesteś tu, gdzie chcę, żebyś była.*

*Dom jest zaminowany, Carrie, i nie ma z niego wyjścia. Jeśli otworzysz okno albo zewnętrzne drzwi... bum. Wystarczy naciśnięcie guzika, by dom się rozleciał. Zastanawiasz się, jak długo będę z tym czekać?*

*Tik. Tik. Boisz się?*

*Mam Ci powiedzieć, jak to wszystko zaplanowałam? Zaczęłam od znalezienia mężczyzny moich marzeń. Kocha mnie, oczywiście, ule oni wszyscy mnie kochali, prawda? Ten jest wyjątkowy. Perfekcjonista. Ma na imię Monk i muszę przyznać, że z początku, kiedy go uwodziłam, był strasznie uparty. Jest płatnym zabójcą, moim płatnym zabójcą, chociaż woli, żeby go nazywać zawodowcem.*

*Robi wszystko, o co go poproszę, a ja w zamian nauczyłam go, jak znajdować przyjemność w pracy. Jest dumnym mężczyzną, dumnym tego co robi, jest też uważny i staranny, więc nie pozwoli, bym popełniła jakiś błąd. W przeszłości podejmował się tylko pojedynczych zleceń, ale przekonałam go do sięgania po więcej. Zgodził się aż wysadzić dom. Trzeba było jedynie poświęcić trochę więcej czasu na zaplanowanie zabójstwa kilku kobiet w tym samym czasie.*



*Wiesz, dlaczego musisz umrzeć? Bo ukradłaś moje marzenie. Zabrałaś moje dziecko i nastawiłaś je przeciwko mnie. To są tylko dwa powody. Carrie, ale skoro już wszystko ma być powiedziane, to Twoim największym grzechem jest to, że mnie unieszczęśliwiłaś.*

*Jilly*

*PS. Nie martw się o Avery. Nij też się zajmę.*

Carrie krzyknęła, a potem zaniósła się łkaniem. Była przerażona. Roztrzęsiona wyskoczyła z łóżka i podbiegła do rozsuwanych szklanych drzwi. Jednym szarpnięciem odsunęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Potem spojrzała w dół. Zobaczyła migające czerwone światełko, wystające z pakietu materiałów wybuchowych, złowieszcze niczym oko diabła.

- O Boże, o Boże... - jęknęła.

Rzuciła się ku drzwiom. Potknęła się o własne buty i uderzyła nogą o ramę łóżka. Ból sparaliżował jej łydkę. Przeklinając, powlokła się dalej. Na moment przystanąła w korytarzu i zawołała:

- Jest tam kto?!

Nic. Żadnego odzewu. Zbyt późno uświadomiła sobie, że powinna zabrać nożyczki, by użyć ich do obrony, na wypadek gdyby ktoś czekał za drzwiami. Ale tych nożyczek dotykała Jilly. Jilly, która napisała ten potworny list. Jilly psychopatka.

Niech Bóg ma ich wszystkich w opiece.

Trzymając się blisko ściany, podeszła do schodów. Bała się spojrzeć w dół. Dobrą minutę zbierała w sobie odwagę, by się przemóc, ale nagrodą była ulga, słodka, osłabiająca ulga, że z dołu nikt na nią nie patrzy. Może we trzy, ona, Sara i Annę. były same w całym domu? Nie, nie w domu. W zaminowanej pułapce.

Zbiegła ze schodów, zmierzając do apartamentu sędzi Collins. Nie tracąc czasu na pukanie, otworzyła drzwi i wbiegła do środka.

W pokoju panowała ciemność. Carrie nie była w stanie dojrzeć nawet własnej ręki. Po omacku przeszła przez salonik, zawadzając łokciem o abażur lampy. Udało jej się ją zapalić.

Sara leżała w łóżku. Carrie dostrzegła kształt ciała skulonego pod kołdrą, ale nie widziała twarzy. Zasłony były szczelnie zaciągnięte. Rozsunęła je i spojrzała w dół.

- Sukinsyn - wyrwało się jej. Za progiem migało znajome czerwone światełko.

Wolno podeszła do łóżka, nasłuchując oddechu Sary. Słyszała jedynie szum klimatyzacji, która włączyła się automatycznie.

Łagodnie potrząsnęła śpiącą.

- Obudź się, Saro - zażądała.

Sara się nie poruszyła. Carrie potrząsnęła nią jeszcze raz, tym razem mocniej.

- No już, Saro. Musisz się obudzić. - Sara wydała z siebie zduszone mruknięcie. Carrie chwyciła ją za nadgarstek, szukając pulsu. Kiedy go wreszcie wyczuła, omal nie krzyknęła z ulgi.

Wiedziała, co się stało. Jedzenie, które im podano, było nafałszowane jakimiś środkami. Wymiotując, pozbyła się większości trucizny. Jak dużo zjadły Sara i Anne?

Chwyciła Sarę za ramiona i zaczęła nią trząść.

- Otwórz oczy, do diabła! Obudź się, Saro!

Jedyną odpowiedzią było kolejne mruknięcie. Spojrzawszy na zegar, Carrie stwierdziła, że jest już pierwsza po południu. Przeniosła wzrok na stolik przy łóżku i tak jak się spodziewała, ujrzała na nim kopertę z nazwiskiem Sary. Pismo było identyczne.

Czy powinna ją otworzyć?

- Odejdź.

Carrie aż podskoczyła na dźwięk schrypniętego głosu Sary. Śpiąca z trudem próbowała otworzyć oczy. Przewróciła się na plecy, jeszcze raz każąc Carrie odejść.

- Nie - sprzeciwiła się Carrie. - Nie zamykaj oczu. Musisz się obudzić.

Sara ją usłyszała. Starała się usiąść na łóżku, ale jej się nie udało. Bezwładnie opadła z powrotem na posłanie. Wreszcie okupiła na Carrie półprzytomne spojrzenie.

- Co... co pani tu robi?  
 - Posłuchaj - zaczęła ostro Carrie. - Zostałaś uśpiona jakimiś środkami. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Proszę, spróbuj mnie słuchać uważnie. Mamy kłopoty.

- Uśpiona? - Sara potrząsnęła głową. - Nie, nie biorę środków nasennych.

Ze zdenerwowania Carrie zaczęła krzyżeć na oszołomioną kobietę.

- Dodali je do jedzenia. Rozumiesz, co mówię?

- Tak. Mówisz, że jedzenie było zatrute?

- Zgadza się. Trzymaj oczy otwarte. Zaraz przyniosę zimny okład. No dalej, Saro. Usiądź - poprosiła.

Nim Carrie wróciła z łazienki z ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie, Sara zdołała się podnieść. Siedziała oparta ramionami o wezgłowie łóżka.

Patrzyła na Carrie, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

- Czego pani szuka w moim pokoju?

Carrie próbowała otrzeć jej twarz ręcznikiem, ale Sara zdecydowanie ją odepchnęła.

- Mamy kłopoty - powtórzyła Carrie. - Trzeba obudzić Anne. Musisz wysłuchać, co mam ci do powiedzenia. Dobrze? Możesz się już skupić?

- A ty mogłabyś się wreszcie przestać na mnie wydzierać? Nie śpię. O jakich kłopotach mówisz?

- Dom jest zaminowany.

Sara wytrzeszczyła oczy.

- Nie rozumiem.

- Jesteśmy uwięzione - wyjaśniła Carrie. - Jeśli któraś z nas otworzy drzwi lub okno, dom wyleci w powietrze. Popatrz na te szklane drzwi - poleciała. - Widzisz to czerwone mrugające światełko?

Sara nie chciała jej uwierzyć.

- To jakiś idiotyczny dowcip.

- Bynajmniej. - Carrie wzięła kopertę ze stolika. - Otwórz. Ja też dostałam. Weź ten list ze sobą do salonu, a ja przyniosę mój. Nawet jeśli mi nie wierzysz, nie otwieraj żadnego okna ani drzwi. Dobrze? Teraz muszę iść do Anne, zanim się obudzi i zechce otworzyć okno.

Sara pokiwała głową.

- W porządku. Spotkamy się na dole.

Widząc, że Sara otwiera kopertę, Carrie wybiegła z pokoju. Apartament Anne znajdował się po drugiej stronie korytarza na tym samym piętrze. Carrie weszła do środka.

Anne nie było w łóżku. Carrie usłyszała ją w łazience. Wymiotowała. Carrie podeszła do drzwi i zapukała.

- Anne, potrzebujesz pomocy?

Nie było odpowiedzi. Carrie próbowała jeszcze raz, potem następny. Stała pod drzwiami dość długo, nim w końcu Anne je otworzyła.

Ta drobna kobieta była zielona na twarzy.

- Czego chcesz? - spytała. Słaniała się na nogach.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponowała Carrie. Objęła Anne w pasie i pomogła jej wrócić do łóżka. Przeszło jej przez myśl, że talia Anne ma grubość ołówka.

- Powinnaś się trzymać ode mnie z daleka - powiedziała Anne słabym głosem. - Mam jakąś zarazę. Teraz ty ją złapiesz.

- Nie - zapewniła ją Carrie. - Nie masz żadnej zarazy. - Niemal niosła Anne przez pokój. Kiedy dotarły do łóżka, odsunęła kołdrę i pomogła chorej usiąść.

- Pół nocy byłam na nogach. Wymiotowałam - oznajmiła Anne. - Jasne, że mam zarazę. To pewnie któryś z tych jedno-  
dobowych wirusów.

Na stoliku Anne nie było koperty.

- Nie spałaś przez całą noc? - spytała Carrie. - Słyszałaś może kogoś... albo widziałaś?

- Nie - zdziwiła się Anne. - Puść mnie. Nie chcę się kłaść.

Poprawiwszy poduszki, wolno oparła się na łokciu.

- Wszystkie dostałyśmy środki usypiające - wyjaśniła Carrie. - Musiały być w jedzeniu, które nam podano.

- To niedorzeczne. Jedzenie było po prostu zepsute i tyle. Oj, usłyszają ode mnie co nieco, kiedy już będę w ośrodku. Mogłabym ich zaskarżyć - rzuciła. - I może nawet to zrobię. Najpierw brak obsługi na lotnisku, a teraz zatrute jedzenie. To niewybaczalne.

Carrie nie zamierzała się z nią spierać. Po prostu opowiedziała o kopertach, które dostały ona i Sara.

- Przede wszystkim musisz wiedzieć, że przy każdym oknie i drzwiach wyjściowych w tym domu są detonatory. Jeśli któreś z nich otworzymy, dom wyleci w powietrze.

Anne patrzyła na nią tak, jakby miała przed sobą wariatkę.

- Och, na miłość boską. Co z tobą? Próbujesz mnie w ten sposób przestraszyć?

- Nie straszę cię. Mówię prawdę. Znalazłaś kopertę ze swoim nazwiskiem?

- Nie.

Odpowiedź padła zbyt szybko, zbyt gniewnie. Carrie czuła, że Anne kłamie, ale nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

- Anne, to dotyczy nas wszystkich. Musisz powiedzieć prawdę.

- Mówię prawdę - powtórzyła Anne tonem pełnym urazy. - A teraz wynoś się i zostaw mnie w spokoju.

- Nie. Nie wiem, ile czasu nam zostało, a musimy znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać, nie odpalając ładunków wybuchowych.

Ściągnięta twarz Anne nagle zrobiła się purpurowa.

- Prosiłam, żebyś wyszła.

Carrie spróbowała z innej beczki.

- Sara i ja... potrzebujemy cię, Anne. Musimy działać wspólnie, żeby się dowiedzieć, co tu się dzieje.

Anne zmroziła ją spojrzaniem.

- Po co ja jestem wam potrzebna?

- Bo jesteś inteligentna.

- Nie wiecie, czy jestem, czy nie jestem.

- Podobno prowadzisz własną firmę? Tak mi mówiłaś.

Anne lekko uniosła podbródek. Wyglądając kołdrę na kolanach, powiedziała:

- Zaczynałam od groszowych interesów i z czasem zmieniłam moje hobby - tak ojciec nazywa moją firmę przewozową - w czterdziestomilionowy biznes. Do stycznia powiększę zyski cztery razy więcej, niż przewidywali moi księgowi.

Carrie nie miała czasu tego słuchać. Przesadą byłoby znoszenie przechwałek tej głupiej kobiety tylko po to, by ją skłonić do współdziałania. Czy Anne doprawdy nie zdawała sobie sprawy, co im zagraża? Carrie z trudem panowała nad złością.

- Jak sądzisz, możesz dołączyć do mnie i do Sary na dole w salonie, żeby porozmawiać o sytuacji? Z pewnością mogłybyśmy skorzystać z twojej... rady, co robić dalej.

Anne przekrzywiła głowę na bok i przez dłuższą chwilę przyglądała się Carrie bez słowa.

- Ty naprawdę mówisz to wszystko serio? Wierzysz...

- To prawda - przerwała jej szorstko Carrie.

Anne pokiwała głową.

- Jak masz, na imię? Bo zapomniałam.

- Carolyn - odpowiedziała Carrie, starając się nie krzyżeć. - Możesz mnie nazywać Carrie, jeśli chcesz.

- Dobrze, Carrie. Dołączę do ciebie i Sary na dole.

- Jeśli nie czujesz się dość silna, Sara i ja mogłybyśmy przyjść tutaj...

- Dlaczego uważasz, że nie jestem dość silna? - W jej głosie znów zabrzmiała irytacja.

- Słyszałam odgłosy z łazienki. Wymiotowałaś.

- Sama mówiłaś, że jedzenie było zatrute.

- To prawda.

- Dlatego wymiotowałam. Nie jestem chora.

A kogo obchodzi, czy jesteś chora, czy nie, Carrie miała ochotę krzyknąć, ale tylko westchnęła.

- W porządku. Zejdź na dół.

- Nadal nie rozumiem, o co to całe zamieszanie.

Carrie straciła resztki cierpliwości.

- Zamieszanie? - ryknęła. - Siedzimy na bombie zegarowej.

Nie słuchałaś, co do ciebie mówię?

- Słuchałam. Ale nie sądzisz, że jest lepsze wyjście? Po prostu zadzwoń do Utopii. Każ im przysłać kogoś, żeby rozbroił tę bombę.

Telefon. Dobry Boże, czemu nie przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić po pomoc? Carrie podbiegła do aparatu. Nadzieja zgąsta tak samo szybko, jak się pojawiła. W słuchawce panowała głucha cisza.

- Nie działa. - Upuściła słuchawkę na łóżko.

- A telefony komórkowe? - podsunęła Anne. - Może nie jesteśmy poza zasięgiem? - Spojrzawszy na stolik, zmarszczyła czoło. - Gdzie moja komórka? Zostawiłam ją w ładowarce, a teraz jej nie ma. Zabrałaś ją?

- To oni ją zabrali! - zawołała Carrie. Podbiegła do szklanych drzwi wychodzących na balkon i odsunęła zasłony. - Widzisz to światło? Widzisz?

- Nie wrzeszcz na mnie.

- Widzisz te kable? Cały dom jest nimi owinięty. Rozumiesz już?

- Tak - powiedziała Annę posępnym tonem.

Carrie miała nadzieję, że może Sarze uda się lepiej porozumieć z tą kobietą.

- Wracam do mojego pokoju, żeby sprawdzić, czy moje komórki też zabrali. Proszę cię, zejdź na dół. I pamiętaj, żeby nie otwierać drzwi ani okien.

- Rozumiem.

Carrie nie była o tym do końca przekonana. Nie chciała wzbudzać w Annę niepotrzebnej wrogości, więc udała, że się zgadza. Już stojąc w drzwiach, dodała:

- Zabierz ze sobą list... proszę. Sara i ja przyniesiemy swoje.

- Przy moim łóżku nie było żadnego listu - warknęła Anne. Carrie odwróciła się na pięcie.

- Nie mówiłam nic o łóżku.

Anne spuściła głowę.

- Zamknij za sobą drzwi.

Dlaczego Anne tak się zachowuje? Dlaczego kłamie? Co chce przez to osiągnąć?

Carrie nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Poszła do swojego pokoju i stanęła jak wryta tuż za progiem. Jej piękne walizki od Gucciego były porozcinane nożem, a wszystkie ubrania walały się po sofie i fotelu. Czemu wcześniej nie zauważyła tego bałaganu? Tak jak się spodziewała, jedna z komórek, ładowarki i laptop gdzieś zniknęły.

Rzuciła się do szafy.

- Boże, proszę - szepnęła, otwierając podwójne drzwi. Może Jilly nie była aż taka skrupulatna. Może nie znalazła drugiej komórki schowanej w kieszeni.

Carrie rozplakała się, widząc swój blezer na podłodze. Siostra znalazła drugi telefon. Rozejrzała się bezradnie, przytłoczona beznadziejnością sytuacji.

Po kilku minutach łkania zebrała się w sobie.

- Przegrywam - powiedziała na głos. Otarła twarz wierzchem dłoni i poszła do łazienki. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Wyglądała okropnie, oczy miała podpuchnięte, twarz nabrzmiała.

Bez pośpiechu umyła zęby i twarz. Zdjęła szlafrok z wieszaka na drzwiach i włożyła na siebie. Od razu poczuła się lepiej. Wzięła list od Jilly i zeszła na dół.

Ani Sara, ani Anne nie czekały na nią. Carrie weszła do kuchni i ze zdumieniem stwierdziła, że spiżarnia nie została opróżniona. Znalazła zapieczętowane pudełka płatków śniadaniowych, warzywa w puszkach i owoce. Zauważyła, że opakowania pokryte są

kurzeni, co znaczyło, że znajdują się tam od dłuższego czasu. Lodówka była pusta, ale w zamrażarce stał pełny pojemnik kawy.

Carrie co chwila zaglądała do holu, żeby sprawdzić, czy Sara i Anne zeszły już na dół. Co je tak długo zatrzymywało? Przygotowała dzbanek świeżej kawy i z dymiącym kubkiem przeniosła się do salonu. Umyślnie trzymała się z dala od okien, na wypadek gdyby ktoś z zewnątrz obserwował, co się dzieje w domu.

Usiadła w fotelu przy przejściu do jadalni i czekała w napięciu. Ręka jej drżała; gorąca kawa przelała się ponad brzegiem kubka, parząc jej palce. Po pięciu minutach ujrzała Sarę, schodzącą wolno po kręconych schodach. Ubrana była w kwiecisty niebieski szlafrok z jedwabiu. Schodząc, kurczowo trzymała się poręczy, co oznaczało, że czuje się jeszcze trochę oszołomiona.

- Potrzebujesz pomocy?! - zawołała Carrie, kiedy Sara po raz piąty przystanęła na stopniach. Palce aż jej zbiełały od ściskania poręczy.

- Nie, dam sobie radę. Trochę mi się kręci w głowie. Co, u diabła, było w tym jedzeniu?

- Nie wiem, co to było - odparła Carrie. - Ale miało dużą moc.

- Mogło nas zabić.

Carrie pomyślała, że może tak byłoby lepiej. Umrzeć po zjedzeniu kanapki i nigdy się nie dowiedzieć o Jilly. Siostra byłaby wściekła, gdyby tak się stało. Na tę myśl Carrie bezwiednie się uśmiechnęła.

- Chcesz kawy?

- Chyba jeszcze za wcześnie. Skąd wiesz, czy też nie została zatruta?

- Na pewno nie - zapewniła ją Carrie. - Mój list jest od mojej siostry. Zadała sobie wiele trudu, żeby mnie przestraszyć. Najwyraźniej chce, żebym cierpiała przed śmiercią, a trucizna działa za szybko.

- To dlaczego zatruta żywność?

- Żeby nas ogłuszyć. - Carrie odczekała, aż Sara zajmie miejsce

naprzeciw niej, nim dodała: - Przyszła do naszych pokoi wczoraj wieczorem.

- Ktoś tu był - potwierdziła Sara. - On czy ona przeszukała wszystkie moje rzeczy. Moja komórka i laptop zniknęły.

- Stacjonarny telefon też nie działa.

- Wiem, sprawdzałam.

Do Carrie nagle dotarło, że sędzia jest całkiem spokojna. Spytała ją, jak to możliwe.

- Nie widzę powodu, żeby wpadać w histerię. Co by to dało? Wolę poświęcić całą energię na znalezienie jakiegoś sposobu, żeby się stąd wydostać... w jednym kawałku.

Carrie napiła się kawy. Była już letnia i gorzka, ale to jej nie przeszkadzało.

- Moja siostra wróciła z zaświatów.

- Słucham?

- Moja siostra... myślałam, że zginęła w wypadku samochodowym przed laty - wyjaśniła Carrie. - Powiedziano mi, że jej ciało spłonęło w pożarze wraku, ale znaleziono kilka rzeczy w jej torbie, która ocalała, wyrzucona z samochodu siłą uderzenia, i te rzeczy przekonały policję, że ofiarą była moja siostra. Byłam głupia, że w to uwierzyłam. Jilly była wówczas poszukiwana przez policję, miała być przesłuchana.

- Więc upozorowała własną śmierć - podsunęła Sara, kiwając głową. - Sprytne.

- O tak - zgodziła się z nią Carrie. - Jilly zawsze była przebiegła i sprytne. - Podała Sarze swój list. - Wynajęła płatnego zabójcę.

- Własna siostra zrobiła ci coś takiego?

Głos Sary nie zdradzał zaskoczenia, raczej zaciekawienie. Carrie była zdumiona taką reakcją. W normalnych rodzinach, jeśli w ogóle istniało coś takiego, siostry kłóciły się ze sobą. Mogły się nawet nienawidzić, ale ile z nich posunęłoby się do wynajęcia płatnego zabójcy?

- Nie jesteś zaszokowana - zauważyła Carrie.

- Nie, nie jestem.

Carrie potrząsnęła głową.

- Nie znałaś nikogo takiego jak Jilly.

- Chcesz się założyć? - rzuciła cierpko Sara. - Wsadziłam za kratki setki mężczyzn i kobiet, którzy popełnili obrzydliwe zbrodnie. Myślę, że słyszałam i widziałam już wszystko przez te dwadzieścia dwa lata przesiedziane w sędziowskiej ławie. Już nic nie jest w stanie mnie zszokować.

- Nie liczyłabym na to - powiedziała Carrie lekko kpiącym tonem. - Powiedz mi, Saro, kto chce twojej śmierci?

Sara starannie poprawiła pasek od szlafroka, a potem złożyła ręce na kolanach.

- Kto chce mojej śmierci? Och, wyobrażam sobie, że całkiem sporo ludzi.

Podawała swój list i obserwowała, jak Carrie go czyta. Był krótki i rzeczowy.

*Sędzio Collins!*

*Powiedziałem Ci, że się odplące, a ja dotrzymuję słowa. Teraz Twoja kolej, żeby cierpieć. Żałuję, że nie mogę na to patrzeć... z odpowiedniej odległości, ma się rozumieć. Wkrótce umrzesz.*

*Zgnij w piekle, suko!*

Carrie odłożyła list na stolik do kawy, a potem podała Sarze ten, który sama otrzymała od Jilly.

- Kiedy będziesz czytać, przyniosę sobie świeżą kawę.

- Ja też już jestem gotowa na filiżankę - powiedziała Sara.

Carrie udała się do kuchni, a kiedy po minucie wróciła z dwoma kubkami, Sara położyła jej list obok swojego na stoliku. Carrie wręczyła jej kubek, ostrzegła, że kawa jest gorąca, i usiadła.

- Twoja siostra cię nienawidzi.

- O tak.

- Oskarża cię o to, że ukradłaś jej dziecko i nastawiłaś przeciwko niej.

- Wcale tak nie było.

- Ona najwyraźniej wierzy, że ty ponosisz winę za wszystkie jej niepowodzenia i że twój sukces tak naprawdę powinien należeć do niej, tylko go jej ukradłaś.

Carrie przytaknęła ruchem głowy.

- Jilly zawsze miała wyjątkowy talent do odwracania kota ogonem. Kiedy coś powiedziała, natychmiast zaczynała w to wierzyć.

- To brzmi, jakby była psychopatką.

- Bo jest - potwierdziła Carrie. - Nigdy nie postawiono oficjalnej diagnozy, ale jestem pewna, że nią jest.

Słuchając Carrie, Sara pocierała palcami zmarszczkę na czole. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Była tak głęboko zamyślona, że prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

- Co się stało z dzieckiem?

- Z Avery - uściśliła Carrie. - Ma na imię Avery i jest teraz dorosła. Jilly zostawiła ją w szpitalu. Powiedziała matce i mnie, że możemy ją zatrzymać, sprzedać albo oddać. Nie obchodziło jej, co się stanie z małą. - Łzy napłynęły jej do oczu. Była zła na siebie, że okazuje słabość przed obcą osobą, ale nic nie mogła na to poradzić. - Jilly chce się dobrać także do Avery. Mój Boże, już mogła ją gdzieś uwięzić. Siostrzenica miała do mnie dołączyć w uzdrowisku... - Ukryła twarz w dłoniach. - Musimy się stąd szybko wydostać. Musimy znaleźć jakieś wyjście.

- Twoja siostra zadała sobie wiele trudu, żeby cię zranić - zauważyła Sara.

Carrie opowiedziała Sarze o tym, jak nocą Jilly przyszła do jej pokoju, a jej się zdawało, że to koszmarny sen. Sara była dobrym słuchaczem; jej spokój dodał Carrie trochę otuchy.

- Jilly umiała być bardzo cierpliwa, kiedy naprawdę czegoś chciała, a uwielbiała skomplikowane plany. Nic nigdy nie mogło być proste.

Sara odstawiła kubek z kawą i pochyliła się ku Carrie.

- Jak sądzisz, ile mamy czasu?
- Urządzenie tego wszystkiego kosztowało ją sporo fatygi.

Będzie chciała przedłużyć moją agonię.

Obie co chwila zerkały w stronę schodów, oczekując pojawienia się Anne.

- Sprawdziłam już wszystkie okna, do których miałam dostęp.

Wszystkie są okablowane - powiedziała Carrie.

- Spodziewałam się tego.
- Chciałabym być taka opanowana jak ty.
- Nie jestem opanowana - zaprotestowała Sara. - Jestem... podminowana.

Wybór tego słowa wywołał mimowolny uśmiech na twarzy Carrie.

- Ja też.
- Myślę...
- Tak?
- Jakie to dziwne, że jesteśmy w tym domu razem, we trójkę.

Co mamy ze sobą wspólnego? - zastanowiła się na głos Sara.

- Nie wiem - przyznała Carrie. - I nie wiem, czy będziemy miały czas się dowiedzieć.

- Wydostaniemy się stąd.

Zdecydowanie Sary podniosło Carrie na duchu.

- Tak, musimy.
- Zastanawiam się, co powstrzymuje Anne.
- Z nią będzie problem.
- Tak sądzisz?

Carrie pokiwała głową.

- Nie przyznała się do otrzymania listu.

- Może jest w szoku.

Carrie doszła do wniosku, że Sara może mieć rację.

- I zaprzecza taktom.
- Będziemy musiały działać razem, ale nie wiem, na ile ja się

przydam. Zrobię, co będę mogła. Mam sześćdziesiąt osiem lat. - Sara wzruszyła ramionami. - I jestem w nie najlepszej formie. Kiedy dostałam zaproszenie na darmowy dwutygodniowy pobyt w uzdrowisku w ramach promocji, pomyślałam sobie, dlaczego by nie? Eksperci twierdzą, że nigdy nie jest za późno, żeby odmienić swoje życie. Postanowiłam nabrać lepszych kształtów. Jak sama widzisz, mam nadwagę i kiedy już stąd wyjdziemy... a znajdziemy na to jakiś sposób - dodała z przekonaniem - ...nie będę w stanie zejść daleko. Powinnam była kilka lat temu poddać się operacji obu kolan. Teraz ledwie chodzę.

- Anne i ja ukryjemy cię gdzieś... w jakimś bezpiecznym miejscu w lesie, i same pójdziemy po pomoc.

Na odgłos zamykanych drzwi obie równocześnie spojrzały w górę. Anne w końcu zdecydowała się do nich dołączyć. Carrie aż otworzyła usta, kiedy drobna kobieta zaczęła schodzić ze schodów. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Anne była ubrana w jaskraworóżowe spodnie. Złote kolczyki w jej uszach stanowiły komplet z guzikami spodniemu. Zadała sobie trud, żeby zrobić makijaż i ufryzować włosy. Znalazłszy się na dole, powitała je uśmiechem i ruszyła w ich stronę przez salon. Wysokie obcasy stuknęły o marmurową posadzkę. Co ona sobie wyobraża, że dokąd się wybiera? Na oficjalne spotkanie przy lunchu?

- O rany - szepnęła Sara.

- Dzień dobry paniom - odezwała się Anne. - A raczej miłego popołudnia.

Jej głos brzmiał tak radośnie... Carrie przestraszyła się, że Anne wariowała. Już miała ją o to spytać, kiedy Sara zaproponowała Anne, by usiadła.

- Dobrze pani spała? - spytała Anne Sarę. Nie dając jej czasu na odpowiedź, mówiła dalej: - Nie mogę uwierzyć, że spałam tak długo. To pewnie przez to wspaniałe górskie powietrze. Doprawdy, cudowna odmiana po Cleveland.

- Może kawy? - zachęciła Sara. Przyglądała się Anne uważnie, jakby chciała odkryć przyczynę jej dziwnego zachowania.

- Jeszcze nie teraz. Zadzwoń, jak będę gotowa.

- Mówiłam ci, że będą z nią kłopoty - zwróciła się Carrie do Sary.

- Przepraszam, co pani mówiła? - spytała Anne. Usiadła, zakładając nogę na nogę.

- To nie przez to cudowne górskie powietrze spałaś tak długo, Anne - powiedziała Carrie z naciskiem. - Wszystkie zostałyśmy uśpione.

- Bzdura. Spójrzcie, gdzie się znajdujemy. Kto zrobiłby coś podobnego w takim pięknym...

- Przyniosłaś swój list? - przerwała jej ostro Carrie.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Teraz rozumiesz? - Pytanie było skierowane do Sary.

Sędzia Collins przejęła pałeczkę.

- Anne, Carrie i ja dostałyśmy listy. Leżą tam, na stoliku do kawy. Przeczytaj je, proszę.

Carrie zauważyła, że kiedy Anne sięgała po listy, ręka mocno jej drżała. Wzięła je i natychmiast z powrotem odłożyła na stolik.

- Nie muszę ich czytać.

- Owszem, musisz - powiedziała łagodnym tonem Sara. - Przekonasz, się, że mamy poważne kłopoty. Ktoś zaminował ten dom, żeby nas zabić.

- Co za głupoty - mruknęła Anne. - Nie pozwolę sobie zepsuć dnia tą niedorzeczną grą, którą obie prowadzicie.

- Jesteśmy uwięzione w tym domu - powiedziała Sara.

- Nieprawda.

- Szkoda fadygi - wtrąciła się Carrie. - Próbowałam jej to wszystko powiedzieć na gorze.

- Kłamiecie! - zawołała Anne.

Carrie miała ochotę ją uderzyć. Natychmiast przeszło jej przez myśl, że prawdopodobnie by ją zabiła, zważywszy na wyjątkową

szczupłość i niedyspozycję Anne. Wystarczyłby mocniejszy wiatr, żeby ją powalić.

- Jeśli któraś z nas otworzy okno lub drzwi, dom wyleci w powietrze - wyjaśniła cierpliwie Sara.

Ani ona, ani Carrie nie przewidziały reakcji Anne, która pode-rwała się z miejsca i ruszyła biegiem przez salon.

- Kłamiecie, żeby mnie wyprowadzić z równowagi. Dom wcale nie jest podłączony do bomby i zaraz wam to udowodnię.

Biegiem zmierzała wprost do drzwi wejściowych.



## 8

John Paul musiał wyczekiwać w Utopii dłużej, niż przewidywał, ale było warto. Siedział, a właściwie niemal leżał w wygodnym fotelu, na wpół ukryty za bujnymi palmami w bar/e głównego holu, kiedy pojawiła się Avery Delaney. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby ją ocenić. Była typową kalifornijską blondynką. No, może nie całkiem typową. Była wyjątkowa, musiał to przyznać, ale pewnie całą uwagę skupiała na swym ciele, bo inaczej po cóż by przyjeżdżała na tydzień do uzdrowiska? Po co w ogóle ludzie tu przyjeżdżali?

Miała na sobie krótki biały podkoszulek, opięty na pełnych piersiach, i obcisłe džinsy, które bez wątpienia miały uwydatniać długie nogi i zgrabny tyłeczek. Długie proste blond włosy błyszcząły w świetle. Wyglądały naturalnie, ale John Paul wątpił, by rzeczywiście takie były. Ładny złotawy odcień zawdzięczały pewnie utlenianiu. Oczywiście miała wprawdzie ukryte za ciemnymi okularami, ale domyślał się, że nosi kolorowe soczewki kontaktowe. Miała zakryty pepek, ale John Paul wcale by się nie zdziwił, gdyby nosiła w nim kolczyk. Obecnie było to w modzie.

Fakt, że była pociągająca. Avery Delaney była piękną kobietą, choć nie w jego typie. Jak na jego gust, była zbyt doskonała, ale

niezwykle sexy. Obserwując, jak przystaje i rozgląda się po otoczeniu - udając, że nie widzi, jak inni goście się na nią gapią - John Paul zastanawiał się, ile w niej jest prawdziwe, a ile „ulepszone” kosmetycznie. Na pewno piersi. I może tyłek.

Nie była typem kobiety, z którą chciałby wejść w trwały związek, tyle że nie pragnął trwałego związku z żadną kobietą. Jednakże spędzenie z nią jednej nocy byłoby cholernie przyjemne. Do licha, ta kobieta pewnie miała iloraz inteligencji muchy tse-tse, ale w łóżku walory umysłu są bez większego znaczenia.

Panna Ślicznotka sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, gdzie jest lada recepcji. Czyżby czekała, aż ktoś ją weźmie za rękę i przeprowadzi przez hol? Zadzierając głowę, przyglądała się złotej kuli, obracającej się jak te dawne urządzenia w dyskotekach. Może kula działała na nią hipnotyzująco?

Avery miała świadomość, że zachowuje się jak gapowata turystka, nie mogła się jednak powstrzymać. Utopia była niewiarygodna. Posadzka gigantycznego holu lśniła czarnym marmurem. Z sufitu zwisała błyszcząca złotem kula ziemską. Avery nie mogła oderwać od niej wzroku. Czy możliwe, by była z prawdziwego złota? Przyszło jej do głowy, że musiała kosztować fortunę.

Skręciła na prawo i znów przystanęła. Cała jedna ściana była wodospadem, a pośrodku fontanny, w której zbierała się woda, stał posąg Atlasa. Na ramieniu miał drugą, mniejszą kulę. Zarówno rzeźba, jak i bulgocząca woda miały wyrzucić odpowiednie wrażenie na gościach, gotowych słono płacić za pobyt w takim otoczeniu. Zdaniem Avery spełniały to zadanie.

Bezwiednie kręcąc głową nad przepychem dekoracji, podciągnęła szelki znoszonego plecaka od Gucciego, który dostała kiedyś w prezencie od Carrie, i podeszła do recepcji. Za granitową ladą stał mężczyzna w jej wieku, z przypiętą do piersi plaketką z imieniem Oliver. Uśmiech miał osłepiający, a zęby niewiarygodnie białe. Nienaturalnie białe. On sam albo jego dentysta najwyraźniej przesadził ze środkiem wybielającym, a sztuczna opa-

lenizna jeszcze tę białość podkreślała. Oparta o chłodny kamień Avery starała się nie gapić, kiedy recepcjonista sprawdzał jej rezerwację na wbudowanym w ładę ekranie komputera.

Uśmiech Olivera zgasł.

- O rany.

- Słucham?

- Pani rezerwacja została odwołana, panno Delaney - powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Nie, to musi być jakaś pomyłka. Nie odwoływałam.

- Według tego, co mam w komputerze, odwołała pani. Tu jest zapisane - dodał, stukając palcem w ekran, którego Avery nie mogła zobaczyć bez przewieszania się przez ładę.

- To pomyłka.

- Komputer nigdy się nie myli. Zadzwoiła pani do Utopii o... - Próbował ustalić dokładny czas.

- Oliverze - powiedziała, starając się powściągnąć irytację. - Niczego nie odwoływałam. Dzwoniłam natomiast do recepcji, żeby zawiadomić, że spóźnię się o jeden dzień.

- Owszem, zgadza się - przyznał, znów dźgając palcem w ekran. - A potem zadzwoniła pani jeszcze raz i odwołała.

- Ależ nie - upierała się.

- Ale mój komputer...

Przerwała mu, nim zdążył jeszcze raz zapewnić, że jego komputer jest nieomylny.

- Może po prostu umieści mnie pan w innym pokoju. Nie mam specjalnych wymagań.

Postawiła plecak na ladzie i zaczęła w nim grzebać, szukając portfela, żeby dać Oliverowi kartę kredytową. Tydzień został opłacony z góry przez ciotkę, ale Avery chciała, by koszty przerzucono na jej kartę.

Zauważyła, że Oliver przestał stukać w klawiaturę.

- Coś nie tak? - spytała.

Odchrząknął wymownie i w końcu na nią spojrział.

- Obawiam się, że nie ma możliwości zakwaterowania pani w innym pokoju, a pokój, który pani zwolniła, został już przydzielony innemu gościowi. Jesteśmy obłożeni w stu procentach - dodał z dumą. - Chętnie bym panią wpisał na naszą listę rezerwową, ale muszę ostrzec, że istnieje niewielka szansa, że coś się zwolni. Nasi goście rezerwują miejsca z wielomiesięcznym wyprzedzeniem.

- Jestem pewna, że ciotka zarezerwowała dla mnie pokój. Gdyby były z tym jakieś kłopoty, z pewnością by mnie powiadomiła.

Oliver znów zapamiętałe walił w klawisze. Nagle przerwał i pokiwał głową.

- Rzeczywiście, mogliśmy panią przyjąć z powodu innej rezygnacji. To wyjątkowa sytuacja - podkreślił - bo nasi goście rzadko rezygnują w ostatniej chwili.

Mówiąc to, skrzywił się, jakby Avery popełniła straszliwe wykroczenie przeciwko etykiecie.

- Ale ja nie odwoływałam - przypomniała mu z naciskiem. - Przyjechałam do ciotki - wyjaśniła. - Dotarła tu wczoraj po południu albo wczesnym wieczorem. Może mi pan podać numer jej pokoju? Nazywa się Carolyn Salvetti.

- Przykro mi, ale nie wolno nam ujawniać numerów pokoi naszych gości.

Oczywiście, wiedziała o tym.

- Proszę do niej zadzwonić. Jestem pewna, że będzie w stanie wyjaśnić to nieporozumienie. Mogła zdecydować, że zamieszkać razem z nią.

Oliver nie krył ulgi, że problem zostanie rozwiązany i będzie mógł się jej pozbyć. Na szczęście nie było innych gości oczekujących na zameldowanie. Błyskając jeszcze raz oszałamiającym śmiechem, rzekł:

- Z pewnością właśnie tak się stało. Goście po prostu nie odwołują rezerwacji w ostatniej chwili, tak jak pani to zrobiła.

Miała ochotę chwycić go za kłapy i potrząsać, dopóki nie przyzna, że jego firma zawałiła sprawę. Zaciskając zęby, żeby nie powiedzieć czegoś, czego by później żałowała, przeliterowała nazwisko Salvetti.

- Znam to nazwisko - powiedział.

- Doprawdy?

Pokiwał głową.

- Jakiś dżentelmen był tu wczoraj i pytał o pani ciotkę. Był bardzo rozczerowany, że jej tu nie ma. - Zaczął pisać, lecz po paru sekundach znów się zasepił.

- Jest jakiś problem? - zapytała Avery, pełna najgorszych przeczuć.

- W Utopii nie ma problemów - odpowiedział tak szybko i automatycznie, jakby był zaprogramowany. - Czasami tylko zdarzają się drobne niedogodności.

Miała dość.

- W porządku. Proszę mi wyjaśnić tę drobną niedogodność.

- Pani Salvetti odwołała rezerwację.

- Niemożliwe.

Oliverowi opadły ramiona. Avery wiedziała, o czym pomyślał.

- Obawiam się, że jednak odwołała. Zgadza się, że to dziwne. Rzadko się zdarzają dwie rezygnacje w ostatniej chwili. Cóż, jesteście panie członkami tej samej rodziny, więc można powiedzieć, że tak naprawdę to była tylko jedna rezygnacja z dwóch pokoi.

- Proszę mnie posłuchać. Ciotka na pewno nie zrezygnowała. Dzwoniła do mnie wczoraj z lotniska w Aspen.

- Może nagle coś jej wypadło i musiała wrócić do domu - zasugerował.

- Coś tu się nie zgadza.

- Mam tu wszystko w komputerze, panno Delaney. Pani ciotka dzwoniła wczoraj po południu.

Co się, u diabła, dzieje? Avery miała świadomość, że dalsza

dyskusja z Oliverem niczego nie rozwiąże. Nie wiedziała, co ma robić. Gdyby coś nieprzewidzianego zdarzyło się w pracy i Carrie musiałyby wrócić do Los Angeles, z pewnością by zadzwoniła. Nie pozostawiłaby jej przecież w takiej sytuacji. O Boże, a jeśli stało się coś jej albo wujowi Tony'emu? Może był wypadek?

Uspokój się, powtarzała sobie w duchu. Gdyby coś złego stało się Carrie lub Tony'emu, zostałaśbyś powiadomiona.

Zaczęła szukać telefonu w plecaku. Postanowiła natychmiast złapać Carrie pod komórką i sprawdzić, co się właściwie dzieje.

Wyjęła terminarz, potem portfel, i ścisnąc go w prawej ręce, drugą uporczywie szperała w plecaku. To przeklęte urządzenie zawsze poniewierało się gdzieś na dnie.

- Ciotka na pewno nie zrezygnowała - mruknęła z pasją i barndziej do siebie, niż do Olivera, dodała: - Musiały wystąpić jakieś poważne problemy w firmie, bo tylko to mogło zmusić Carrie do powrotu.

- O, wrócił pani znajomy - oznajmił Oliver kwaśnym tonem.

- Słucham?

- Pani znajomy... idzie tu. Może on wyjaśni to nieporozumienie.

Nie rozumiała, o czym on mówi. Nie umawiała się tu z żadnym znajomym. Odwróciła się, ciekawa, kogo Oliver ma na myśli, ale w stronę lady zmierzał jedynie jakiś wysoki mężczyzna. o dziwne, wyraźnie jej się przyglądał i nie miał zbyt rozradowanej miny.

- Chodzi panu o tego człowieka, który się tu zbliża? - spytała Olivera.

- Tak - potwierdził Oliver. - To właśnie o nim pani wspominałem. Był tu wczoraj, szukał pani ciotki. - I ścisząc głos, mówił ulej: - Pani znajomemu przydałaby się nasza aromaterapia uwalniająca od stresu. Proponowałem mu wczoraj skorzystanie z tego zabiegu, ale był całkowicie...

- Jaki?

- Oporny. Prawdę mówiąc, w ogóle trudno się z nim porozumieć. Wiem, że nie powinienem się krytycznie wyrażać o potencjalnym gościu, ale pani przyjaciel jest bardzo spięty w środku. Powinien codziennie uprawiać jogę. Ten człowiek na mnie warczał. Naprawdę. Wyobraża pani sobie? Powiedziałem mu, że się pani spodziewamy. Tak było zapisane w komputerze pod rezerwacją pani Salvetti, a o nią właśnie spytał, kiedy był tu wczoraj. Pani ciotka zadzwoniła, żeby odwołać rezerwację. Mnie przypadł nieszczęsny obowiązek powiadomienia go o tym. Może mi pani wierzyć, że nie spodobała mu się ta wiadomość. Oświadczył, że przyjdzie tu dzisiaj, żeby się z panią zobaczyć, i siedzi tu od samego rana. Zauważyłem go, przejmując obowiązki. Mam nadzieję, że dzisiaj jest w lepszym humorze.

Niezbyt uważnie słuchała paplaniny Olivera, zapatrzona w mężczyznę, który szedł przez hol w stronę recepcji. Jeszcze nigdy nie widziała kogoś takiego, chyba że w filmach. Im bardziej się zbliżał, tym wydawał jej się większy. Wysoki, muskularny, z ciemnymi włosami i śniadą cerą. Pomyślała, że widocznie spędza dużo czasu na powietrzu albo w siłowni, pracując nad sylwetką. Był obiektywnie przystojny, ale zbyt eksponował swe fizyczne walory, by mógł jej się podobać. Zdecydowanie przedkładała potęgę umysłu nad siłę muskułów.

Był doskonale zbudowany, co natychmiast kazało jej się domyślić, kim jest i czego od niej chce.

- Zna pani tego dzentelmena, prawda?
- Sądzę, że to znajomy mojej ciotki.

Carrie prawdopodobnie zatrudniła go do którejś ze swoich reklam. Widocznie będąc w tych stronach i wiedząc, że Carrie przebywa w uzdrowisku, postanowił ją odwiedzić. Istniała też druga możliwość - że był bez pracy i miał nadzieję, że spodoba się Carrie i nakłoni ją, by go zatrudniła.

Avery współczuła aktorom, bo konkurencja w ich branży była zabójcza, a do tego nie mieli wpływu na większość istotnych

decyzji, które ich dotyczyły. Szanse wybicia się w Hollywood były minimalne. Postanowiła, że zrobi, co będzie mogła, żeby mu pomóc. Poczekala, aż zbliży się na odległość kilku kroków, i przedstawiła się, wyciągając rękę.

- Nazywam się Avery Delaney.

O tak, z pewnością był aktorem, sądząc po mrocznym, chłodnym spojrzeniu.

Odwzajemnił uścisk dłoni.

- Ja nazywam się John Paul Renard. - Miał niski głos z cudownym południowym akcentem.

I piękne oczy o barwie szarego świtu. Jakoś nie mogła go sobie wyobrazić w reklamie papierowych ręczników. Może mógłby reklamować materiały wybuchowe, ale nie papierowe ręczniki.

Coraz bardziej ją zaciekawiał. Odwrócił się plecami do lady i niespiesznie rozglądała się po holu. Miała dziwne wrażenie, że próbuje zapamiętać każdą twarz.

- Jest pan znajomym mojej ciotki Carrie?

- Tak.

Żadnych bliższych wyjaśnień, żadnych grzecznościowych uwag.

- Jest pan aktorem, prawda?

Pytanie tak go zaskoczyło, że aż się uśmiechnął.

- Nie.

- Och... myślałam... więc czym pan się zajmuje? - Nienawidziła, kiedy ludzie zadawali jej to pytanie. I co ją właściwie obchodziło, z czego przystojniak, który podczas rozmowy nawet na nią nie patrzył, opłaca czynsz?

- Jestem stolarzem.

Niemożliwe.

- Stolarzem?

- Yhm. - Spojrzał jej w oczy. Czując nagłe ciepło na policzkach, modliła się w duchu, by nie dostrzegł rumieńca. Ten człowiek dziwnie na nią działał.

Carrie miała rację, powinna znów zacząć się umawiać na

randki. Jej samotność trwała już stanowczo za długo. Skoro taki prostak wzbudzał w niej... Stanowczo za długo.

- Stolarz - powtórzyła. - Rozumiem. Wykonał pan jakąś pracę dla mojej ciotki?

- Nie. - Znow skupił całą uwagę na ludziach wchodzących do holu. - Muszę z nią porozmawiać - rzucił niecierpliwie. - To ważne. Gdzie ona jest?

- Nie wiem - przyznała. - Ale zamierzam się dowiedzieć. - Odwracała się, żeby znaleźć wreszcie w plecaku telefon komórkowy, kiedy poraziło ją straszne podejrzenie. Z trudem powstrzymała jęk. - Czy ciotka kazała się tu panu ze mną spotkać?

Przyszło jej do głowy, że Carrie powróciła do swych dawnych sztuczek, próbując odgrywać rolę swatki. Była trochę zaskoczona pomysłem ciotki. Sądziła, że ostatnia rozmowa z Carrie ostatecznie położyła kres tym zapędom. Ciotka obiecała, a właściwie przysięgła, że już nigdy nie będzie jej uszczęśliwiać na siłę.

- Carrie tu nie ma - powiedziała oschłym tonem. - Jeśli będzie pan w pobliżu, może pan spróbować jutro.

Nie pojął aluzji i nie odszedł. Próbując go ignorować - co nie było łatwe przy jego posturze - kontynuowała poszukiwania telefonu. W końcu, jak było do przewidzenia, znalazła komórkę na samym dnie plecaka. Oliver zaczął gwałtownie kręcić głową.

- Jest jakiś problem? - spytała.

- W Utopii nie ma problemów, ale używanie telefonów komórkowych na terenie ośrodka nie jest dobrze widziane. - Wskazał na czarno-złotą tabliczkę umieszczoną przy końcu lady.

Avery otworzyła kłapkę i wciskając guzik szybkiego wybierania, rzuciła przez ramię:

- No to może pan zacząć na mnie źle patrzeć.

Johnowi Paulowi spodobała się jej cięta uwaga. Zaskoczyła go bystrością. Nieoczekiwanie okazało się, że ta plastycznie modelowana kalifornijska dziewczyna o niewiarygodnie niebieskich oczach nie jest taka głupia.

Po pierwszym sygnale odezwała się poczta głosowa Carrie, co oznaczało, że jej komórka wciąż się ładuje albo znajduje się poza zasięgiem. Zadzwoiła do wujka Tony'ego. Odebrał natychmiast i ledwie usłyszał głos Avery, zaczął jej robić wyrzuty, że nie zadzwoniła przed wyjazdem ciotki do uzdrowiska.

- Wiesz, jak ona się martwi, kiedy nie ma od ciebie wiadomości.

- Przykro mi - zdołała wtrącić. - Rozmawiałeś z Carrie od czasu, jak wyjechała z Los Angeles? Dzwoniła do ciebie?

- Nie, ale wcale się tego nie spodziewam. Pożegnaliśmy się w Los Angeles. Nie pozwoliła się odwieźć na lotnisko - poskarżył się. - Musiałem obiecać, że nie będę jej męczył telefonami podczas urlopu. Wyjechała, żeby odpocząć i przemyśleć swoje... życiowe priorytety. Ale jestem pewien, że z tobą chętnie porozmawia. Zadzwoń do niej i koniecznie przekaż pozdrowienia ode mnie.

Tony najwyraźniej nie wiedział, że dojechała do Utopii. Już miała mu wyjaśnić, że właśnie dołączyła do ciotki, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Nie chciała, żeby się zamartwiał tym całym fatalnym nieporozumieniem.

- Jeśli nie odbierze, to się nie martw, bo pewnie właśnie bierze masaż albo korzysta z jakiegoś innego zabiegu.

Hol powoli zapełniał się ludźmi. Do hotelu weszła głośna dwunastoosobowa grupa. Zakrywając dłonią wolne ucho, Avery spytała:

- Tony, czy w firmie były jakieś kłopoty? Dzwonili do ciebie z biura?

- Nie. A spodziewasz się jakichś kłopotów? Dziś rano rozmawiałem z Jeanie. Wszystko jest w porządku. Poławiacze Gwiazd me zatona przez te dwa tygodnie. Powiedz Carrie, żeby przestała się martwić.

- Dobrze, powiem jej - obiecała. - Zadzwonię do ciebie później, Tony. Trzymaj się.

Wyłączyła telefon i spojrzała na Olivera.

- Chciałabym się widzieć z pańskim przełożonym.

Sprawiał wrażenie urażonego jej prośbą. Wyprostował się sztywno.

- Zapewniam, że pan Cannon powie pani dokładnie to samo co ja - oznajmił wyniośle. - Jesteśmy obłożeni do granic możliwości. Podejrzanie, że odmawiamy wynajęcia wolnych pokoi, jest zupełnie bezzasadne. Z przyjemnością pomogę pani znaleźć odpowiednią kwaterę w Aspen. Nic nie może się równać z Utopią, oczywiście, ale może pani korzystać z naszych zabiegów. Na pewno spodobać się pani nasze relaksujące masaże rozgrzanymi kamieniami. Znakomicie odprężają.

Jego ton był irytująco protekcyjny. Avery miała gdzieś jego głupie masaże. Chciała odnaleźć ciotkę. Z trudem opanowała wzbierającą złość. Nigdy wcześniej nie korzystała ze swych zawodowych możliwości, żeby ominąć przeszkody, i wcale nie miała ochoty tego zmieniać, choć pokusa była silna. Och, z jaką radością wyjęłaby swoją służbową legitymację i zaświeciła mu nią w oczy. Na pewno od razu by spokorniał. Nie mogła jednak tego zrobić, bo nieuczciwie byłoby udawać pełnoprawnego agenta, skoro w istocie pracowała w piwnicznej norze, całymi dniami stukając w klawiaturę komputera. Poza tym nie miała prawdziwej odznaki FBI i każdy głupi mógł ją rozszyfrować.

Nagle sobie uświadomiła, że przelewa swoje rozczarowanie i gniew na niewinnego urzędnika. Oliver po prostu wykonywał swoje obowiązki. Może Carrie straciła poczucie czasu? Mogła spotkać jakąś słynną gwiazdę filmową w tym górskim domu i nie chciało jej się stamtąd wyjeżdżać.

Tak, na pewno o to chodziło. Ciotka była zajęta i zapomniała do niej zadzwonić. Avery uczepliła się tej myśli, bo żadna inna nie przychodziła jej do głowy. Nie wyzbyła się jednak niepokoju. Dlaczego Carrie odwołała rezerwację w uzdrowisku?

- Naprawdę muszę porozmawiać z pana przełożonym.

Oliver ani drgnął.

- Zrób, o co pani prosi - wtrącił się cicho John Paul.

- Pan Cannon zszedł na dół, do sali pocztowej, żeby dopilnować pakowania.

- Idź po niego i powiedz mu, że John Paul Renard wrócił i chce z nim rozmawiać. Zaczekamy w jego gabinecie.

Olivera wprawiło w ruch nie to, co John Paul powiedział, lecz sposób, w jaki to zostało powiedziane. Obrócił się na pięcie i pobiegł w głąb korytarza.

John Paul nie dał Avery czasu na zadawanie pytań ani na kłótnię. Sam wrzucił jej rzeczy z powrotem do plecaka, a potem chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Chodźmy. Znam drogę.

- Poradź sobie sama, panie Renard. Nie musi pan...

- Mów mi John Paul. - Wprowadził ją za ladę, a potem do wyłożonego czerwonym chodnikiem mniejszego holu.

Przed drzwiami gabinetu kierownika wyrwała mu się jednak, dając do zrozumienia, że nigdzie nie pójdzie.

- W porządku. Żądam wyjaśnień - powiedziała. - Po pierwsze, skąd właściwie znasz moją ciotkę?

On także miał swój zestaw pytań.

- Dlaczego nie powiedziałaś wujowi, że ciotka zaginęła?

- Nie chcę, żeby się martwił. Nie jestem pewna, czy zaginęła.

- W takim razie, gdzie teraz jest?

Dobre pytanie. Carrie prawdopodobnie dobrze się bawiła, popijając koktajle na jakiejś górce. I przyprowadzając Avery o nerwicę. Nie, Carrie nie byłaby taka bezmyślna. Coś było nie tak.

- Nie wiem, gdzie ona jest, ale zamierzam odbyć kilka telefonów i ją znaleźć.

- Dlaczego odwołała rezerwację? - spytał. - Recepcjonista mówił, że jakaś kobieta dzwoniła...

- Obsługa hotelu musiała coś zawalić z naszymi rezerwacjami. Nie musisz się tu kręcić. Zostaw mi swój numer, a dopilnuję, żeby

Carrie go dostała. Prawdopodobnie zaraz tu przyjdzie z jakimś niesamowitym wyjaśnieniem.

Nie wierzyła w ani jedno swoje słowo, ale miała nadzieję, że on to kupi i sobie pójdzie.

- W takim razie poczekam z tobą, aż tu przyjdzie.

Poddała się. Ten człowiek był jeszcze bardziej nieustępliwy niż ona. Postanowiła najpierw skupić się na zlokalizowaniu ciotki, a potem ewentualnie wyświetlić, z kim ma do czynienia.

Dziesięć minut później siedziała za biurkiem kierownika Cannon. Biurko było w stylu art deco i stało w przestronnym gabinecie, którego okna wychodziły na malowniczą sadzawkę. Zwisający z sufitu wentylator, nastawiony na minimum, klekotał cicho przy każdym obrocie. Ten odgłos przypominał Avery o pani Speigel. Uroczą staruszką przy mówieniu wydawała podobny odgłos, bo miała źle dopasowaną sztuczną szczękę.

Cannon posiadał też drugi wentylator, ustawiony na lakierowanej czarnej szafce, ale ten drugi chodził z pełną mocą. Papiery na biurku nie fruwały tylko dlatego, że były obciążone złotym przyciskiem w kształcie kuli.

- Cannon stanowczo za długo tam siedzi. Ty dzwoń, gdzie masz dzwonić, a ja pójdę go poszukać - zdecydował John Paul. - Nie ruszaj się stąd.

Avery poczekała, aż opuści gabinet i zamknie za sobą drzwi, i dopiero wtedy wybrała numer swojej domowej automatycznej sekretarki. Miała nadzieję, że Carrie zostawiła wiadomość tłumaczącą jej nieobecność, ale spotkał ją zawód. Następnie sprawdziła pocztę głosową pod swoim służbowym numerem, ale i tam nie było wiadomości od ciotki.

Co teraz? Nie wiedziała. Zrezygnowana zadzwoniła do nory. Mogło się zdarzyć, że Carrie rozmawiała z Margo, z Lou albo z Melem.

Margo podniosła słuchawkę.

- Avery, tak się cieszę, że dzwonisz. Nie masz pojęcia, co się

stało. Zadzwoniłam do opiekunki twojej sąsiadki, tak jak ci mówiłam...

- Margo - przerwała jej Avery. - Opowiesz mi później. Mam pewien kłopot i potrzebuję twojej pomocy.

- Musisz posłuchać, co odkryłam - upierała się koleżanka. - Pani Speigel złamała biodro.

Avery z trudem trzymała nerwy na wodzy, ale wiedziała, że będzie musiała wysłuchać Margo do końca, zanim uda jej się wtrącić choćby jedno słowo.

- Przykro mi to słyszeć.

- Złamała biodro dwa tygodnie temu, a zaraz potem dostała zapalenia płuc. Omal nie umarła. Ale Marilyn, ta kobieta, która się nią opiekuje, powiedziała mi, że antybiotyki wreszcie zadziałały i wygląda na to, że staruszka dojdzie do siebie. To zdumiewające, gdy się weźmie pod uwagę, że pani Speigel przekroczyła dziewięć - dziesiątkę.

- Po co mi to wszystko mówisz? - spytała Avery, pocierając dłonią czoło.

- Nie rozumiesz? Pani Speigel nie mogła korzystać ze swego samochodu. Była w szpitalu. Ktoś ukradł jej auto, a ktokolwiek to był, tak się śpieszył z opuszczeniem parkingu, że omal cię nie rozjechał. - Nim Avery zdołała coś powiedzieć, Margo mówiła dalej głosem drżącym z podniecenia: - Samochód został porzucony na M Street. Był nieprawidłowo zaparkowany, więc go odholowali. Marilyn powiedziała, że pani Speigel pękłoby serce, gdyby rodzina sprzedała jej auto. Chociaż nigdy nim nie jeździ, czuje się niezależna mając je na parkingu. Marilyn używa go, zabierając staruszkę w różne miejsca. Nie cieszysz się, że pani Speigel wcale nie próbowała cię zabić? - dodała ze śmiechem.

- Margo, potrzebuję pomocy. Przestań gadać i posłuchaj. Moja ciotka zaginęła.

Przekazała koleżance wszystkie informacje, jakie sama posiadała, dodając na koniec:

- Jest tu pewien mężczyzna, czeka na Carrie. Nie powiedział mi, skąd ją zna i czego chce. Silny, małomówny typ. Sprawdź jego nazwisko w komputerze, dobrze? Jest jakiś dziwny. Nazywa się John Paul Renard.

- Co masz na myśli, mówiąc, że jest dziwny?
- Twierdzi, że jest stolarzem, ale nie wygląda na stolarza.
- A niby jak powinien wyglądać stolarz?
- Daj spokój, Margo. Sprawdź, czy jest coś na jego temat.
- Już wpisuję nazwisko. Chodzi ci o mandaty za parkowanie

i tym podobne?

- Nie wiem, o co mi chodzi - przyznała. - Coś mnie w nim niepokoi. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłam w hotelowym holu, byłam pewna, że jest aktorem, ale potem zauważyłam, w jaki sposób obserwuje wchodzących i wychodzących ludzi. On może być... niebezpieczny. - Westchnęła. - Pewnie przesadzam, bo się martwię o Carrie. To do niej niepodobne, żeby tak zniknąć. Sprawdź mi to nazwisko, dobrze?

- Jezu, Avery, myślisz, że to jakiś kryminalista?
- Nie wiem...
- Kurczę...
- Co? Znalazłaś coś?
- Kurczę, znalazłam. Twój John Paul nie jest kryminalistą.
- Żaden on mój.
- Pracował kiedyś dla rządu. Poczekaj, jadę dalej. Kurczę. No proszę. Jego dane są utajnione.
- Utajnione? - Na to Avery nie była przygotowana.
- Próbuję się dostać... o, już. Mogę za to stracić robotę i ty też.
- Wiem. Mów, co widzisz.
- Renard był w piechocie morskiej. Według akt już wtedy został zwerbowany.
- Zwerbowany? Do czego?
- Nie wiem. Jest napisane tylko „dział operacji specjalnych”. Jest tu też sporo numerów i inicjałów, ale nie wiem, co oznaczają. -

Przeczytała wszystko po kolei, wreszcie głośno westchnęła. - Więcej informacji nie wyciągnę, bo nie znam hasła. Poczekaj, jest jeszcze stare zdjęcie. No, no. - Zagwizdała.

- Co?

- Chyba się zakochałam.

- Nie wygłupiaj się - skarciła ją Avery, po czym dokładnie opisała Johna Paula.

- Myślę, że to ten sam facet. Pochodzi z Luizjany. Ma tam rodzinę. Jego szwagier jest prawnikiem i pracuje dla Departamentu Sprawiedliwości. - Podała jeszcze kilka danych osobowych i dołąła: - Wygląda na to, że podczas służby w piechocie morskiej odbył wiele misji. Zaczekaj chwilę, jest tu coś ciekawego. Jedna z misji dotyczyła ratowania zakładników na Środkowym Wschodzie i wyobraź sobie, że ten Renard doprowadził do końca swoje zadanie, choć miał skomplikowane złamanie lewej ręki. - Przez chwilę Margo w milczeniu przeglądała resztę danych, by w końcu powiedzieć: - Poza przebiegiem służby w Marines niczego nie wyciągnę. Chcesz, żebym poszła do Cartera? Wprawdzie ten człowiek mnie onieśmiela, ale zrobię to, jeśli mi każesz. Jestem pewna, że on ma dostęp do pełnych akt Renarda.

- Nie, nie prosz go. Przynajmniej nie teraz, dopóki się nie zastanowię.

- Co się dzieje? - spytała Margo. - Czego ten Renard chce od twojej ciotki Carrie?

- Nie mam pojęcia. Słuchaj, Margo. Kiedy Carrie dzwoniła do nie z lotniska w Aspen, powiedziała, że jest tam kierowca uzdrowiska. Czekał, żeby zawieźć ją i dwie inne kobiety na nocleg domu w górach. Carrie twierdziła, że ośrodek ma problem zepsutą kanalizacją czy coś w tym rodzaju. Kierowca nazywał się Monk Edwards... albo Edward Monk. Nie jestem pewna, jak to szło.

Wiem, że to niewiele, ale to wszystko, co mam. Pamiętam też, że według Carrie miał angielski akcent. Sprawdź to nazwisko i jeśli go znajdziesz, zadzwoń na moją komórkę.



- Masz pojęcie, ilu w Stanach jest Edwardsów?
- Imię Monk nie jest zbyt popularne, chociaż... to może być tylko pseudonim.
- Dobrze - obiecała Margo. - Podaj mi numer swojego pokoju na wypadek, gdybym cię nie mogła złapać pod komórką.
- Nie mieszkam w Utopii, ponieważ moja rezerwacja została odwołana. Wyjeżdżam stąd tak czy inaczej. Carrie mówiła, że zatrzyma się w domu należącym do ośrodka. Mam nadzieję, że nadal tam jest. Jeśli nie...
- Nie martw się na zapas. Ciotka pewnie trafiła na coś lepszego niż ten ośrodek. Skontaktuje się z tobą, zobaczysz. A ja zaraz się wezmę za sprawdzanie tego Monka Edwardsa albo Edwarda Monka.

Margo ledwie odłożyła słuchawkę, gdy telefon znów zadzwonił. Szef wydziału przypominał jej, że nie złożyła jeszcze podania o urlop. Dziesięć minut zajęło jej odszukanie, a następnie wypełnienie stosownego formularza, przerywane licznymi telefonami związanymi z pracą, a potem musiała dostarczyć papiery do działu osobowego. Dopiero po południu miała możliwość zająć się sprawą Avery.

Wpisała pierwszą wersję nazwiska i wcisnąwszy klawisz przeszukiwania, zawołała Lou i Mela, którzy wybierali się właśnie na lunch. Opowiedziała im o zniknięciu Carrie. Każdy z nich miał swoją teorię na temat tego, co się mogło stać z ciotką Avery. Lou był przekonany, że wróciła do Los Angeles - wszyscy wiedzieli, że była pracoholiczką, i to obsesyjną - natomiast Mel uważał, że spotkała w Kolorado jakichś znajomych, zadzwoniła do hotelu, zostawiając wiadomość dla Avery, a obsługa przez zaniedbanie nic jej nie przekazała.

- Nigdy nie dostaję swoich wiadomości, kiedy się zatrzymuję w dużym hotelu - dodał tytułem wyjaśnienia.
- Pewnie trafiło jej się coś ciekawszego niż siedzenie w błotnej kąpieli i zapomniła o siostrzenicy - podsunął Lou.

- Carrie nie byłaby taka bezmyślna - obruszyła się Margo. - Są z Avery naprawdę blisko. - Mówiąc to, przypadkiem zerknęła na ekran komputera i zauważyła migający alarm.
- Co u... - Dostrzegła kod pierwszeństwa wypisany dużymi tłustymi znakami. Zawołałszy Lou i Mela, szybko przeczytała wiadomość. - O Boże! - krzyknęła, poderwała się z miejsca i pognęła do gabinetu Cartera.

## 9

Timothy Cannon, ubrany w letni biały garnitur, wszedł do gabinetu i od razu się przedstawił. Był eleganckim mężczyzną o łagodnym głosie.

- Czy zdołała już pani ustalić miejsce pobytu swojej ciotki?

Zaraz po nim wszedł John Paul Avery patrzyła, jak zamyka drzwi i opiera się o nie plecami. Kiedy skrzyżował ręce na piersi, zauważyła niewielką bliznę, długości około pięciu centymetrów, na jego lewym przedramieniu. Jak mogła go uznać za aktora? Dlaczego aż tak zawiodło ją wyczucie?

Zmusiła się do skupienia uwagi na kierowniku ośrodka.

- Nie, jeszcze nie - przyznała. - Mogę zadać panu kilka pytań?

- Tak, oczywiście.

Cannon usiadł na krześle przed biurkiem, założył nogę na nogę i zaczął palcami wygładzać zmarszczkę na spodniach.

- Zawsze wysyła pan kogoś z obsługi, żeby odebrał gości z lotniska?

- Oczywiście. Nie chcemy narażać naszych gości na niewygodę związane z szukaniem środka transportu i noszeniem bagażu.

- Czy wczoraj wysyłał pan kogoś na lotnisko?

Cannon uśmiechnął się pod nosem.

- Rozumiem, do czego pani zmierza. Chodzi pani o tę falę rezygnacji, tak? Wie pani, odwołanie rezerwacji w Utopii zdarza się zupełnie wyjątkowo. Pokoje są wynajmowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, ale niektórym z naszych gości czasem wypada coś w ostatniej chwili, a my staramy się dostosować do ich potrzeb.

- Co pan ma na myśli, mówiąc o „fali rezygnacji“?

Wydawał się zaskoczony pytaniem. Najwyraźniej sądził, że Avery o nich wie.

- Zaplanowałem trzy oddzielne wyjazdy na lotnisko wczoraj po południu - wyjaśnił. - Chodziło o trzy panie - dodał. - Pierwszy samolot, jak pamiętam, przylatywał o trzeciej pięćdziesiąt, następny dwadzieścia po czwartej, a ostatni kwadrans po piątej. Mógłbym sprawdzić i powiedzieć pani, którym z nich miała przybyć pani ciotka.

- Chciałabym znać informacje o lotach, numery kart kredytowych i wszystkie inne dane, jakie pan ma o tych trzech kobietach.

- Nie mogę pani podać takich informacji.

Ależ owszem, mógł, nie chciała jednak tak od razu zrażać siebie kierownika. Miała wiele innych pytań, a Cannon bardzo się starał być pomocny.

- Skoro wszystkie trzy kobiety przylatywały w niedługich odstępach czasu od siebie, po co wysyłał pan trzy oddzielne samochody?

- Bo jesteśmy w Utopii - odparł z dumą. - Szczycimy się doskonałą obsługą. Żaden z naszych gości nie powinien czekać. Byłoby to narażaniem go na niewygodę. Jak więc pani widzi, zamierzałem wysłać trzy oddzielne samochody, ale kiedy wszystkie trzy panie w ostatniej chwili odwołały rezerwacje, zawiadomiłem personel, żeby nie wyjeżdżano na lotnisko. Jak się okazało, wczoraj wieczorem w recepcji pojawili się nieoczekiwani goście byli zachwyceni, że mamy dla nich wolne miejsca.

Zapamiętała odpowiedź i natychmiast pośpieszyła z kolejnym daniem.

- Mieliście wczoraj jakiś problem z kanalizacją? Albo z zaopatrzeniem w wodę?

- Problemy z wodą? W Utopii? - Aż się zachnął. - Nie było żadnych problemów. Mamy tu na miejscu doskonałą ekipę techniczną, która rozwiązuje problemy, zanim się pojawią.

- Musicie pobierać wodę spoza ośrodka. Czy któraś z rur pękła?

- Nie.

- A dom w górach? - spytała. - Czy Utopia ma taki obiekt w górach, gdzie umieszcza gości w razie jakichś problemów?

Zacisnął szczękę.

- Nie mamy w Utopii problemów - powtórzył z naciskiem. - A właściciele Utopii nie posiadają żadnego domu w górach. Klienci, którzy do nas przyjeżdżają, mieszkają u nas. Nie rozsyłamy ich do innych kwater.

Uznawszy wyjaśnienie za wyczerpujące, znacząco spojrzął na zegarek.

- Jeśli nie ma pani innych pytań, to muszę wracać do pracy - powiedział chłodno. - Większość naszych klientów, którzy przyjeżdżają na tygodniowy pobyt, ma się dziś zameldować. Będzie spory ruch. Nie martwiłbym się o ciotkę - dodał, wstając. - Jestem pewien, że wkrótce się odnajdzie.

Chciał się jej pozbyć. Avery nie ruszyła się z miejsca.

- Mogłabym dostać listę pańskich pracowników? Wszystkich.

- Do czego jest pani potrzebna?

- Szukam pewnego nazwiska.

- Szczyćę się tym, że znam wszystkich swoich pracowników.

Proszę mi podać nazwisko, a ja pani powiem, czy ta osoba u nas pracuje.

- Edwards. Albo Monk Edwards, albo Edward Monk.

Cannon nie okazał żadnych emocji na dźwięk tego nazwiska.

Pokręcił głową przecząco. John Paul natomiast zareagował tak, jakby w niego cisnęła płonąca pochodnią. Oderwał się od drzwi

i z szybkością błyskawicy znalazł się przy biurku. Oparł dłonie na blacie i pochylając się nad Avery, spytał:

- Skąd znasz to nazwisko?

Wyraz jego twarzy przyprawił ją o gęsią skórę, a wokół serca poczuła lodowaty chłód strachu.

- A ty skąd znasz to nazwisko?

- Odpowiedz mi.

- Ciotka zadzwoniła do mnie z lotniska w Aspen. Zostawiła wiadomość, że wraz z dwiema innymi kobietami zostanie odwieziona do domu w górach przez kierowcę z Utopii. Powiedziała, że ten kierowca nazywa się Monk Edwards. Mówiła też, że ma brytyjski akcent. - I zwróciła się do Cannona: - Czy któryś z pańskich pracowników...

- Ma brytyjski akcent? Nie, obawiam się, że nie. Ktoś stroi sobie okrutne żarty. Nie wysyłałem wczoraj żadnego kierowcy na lotnisko. Może pani ciotka została... źle poinformowana.

John Paul wziął z biurka telefon Cannona i zaczął wybierać numer. Odwrócony do Avery plecami, mówił ściszym głosem, ale i tak słyszała każde słowo.

- Noah, tu John Paul. Tak, co mam powiedzieć. Przestań mi przerywać i słuchaj. Jestem w uzdrowisku o nazwie Utopia, tuż za Aspen. Monk wrócił. Wygląda na to, że tym razem zabrał się za trzy. Pewnie chce pobić rekord.

Avery odsunęła krzesło i wstała z za biurka. Sięgała do plecaka, kiedy John Paul powiedział:

- Lepiej wezwij oddział. Obaj wiemy, że niczego nie znajdą, ale chyba powinieneś przeprowadzić rutynowe postępowanie. Nie, za późno - dodał tonem sprzeciwu. - One są w jego rękach.

Odłożył słuchawkę i ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, kiedy zawołała:

- Dokąd idziesz?!

- Wezwałem ludzi, którzy ci pomogą.

- Jakich ludzi? Policję?

- Nie, FBI. - Stanął w drzwiach. - Noah jest znajomym mojego szwagra. Zna Monka bardzo dobrze. Wy tłumaczy ci wszystko, kiedy tu przyjedzie.

- Sądziś, że FBI będzie w stanie znaleźć moją ciotkę?

Nie powiedział, że według niego ciotka już nie żyje, a agenci, przy odrobinie szczęścia, będą w stanie odnaleźć jej ciało... chyba że Monk zostawi je na pożarcie dzikim zwierzętom.

- Tak, jasne.

- Powiedz mi prawdę.

- Dobrze - zgodził się. - Myślę, że wszystko spieprzą.

Zaskoczyła ją wściekłość w jego głosie.

- Dlaczego?

- Bo są z FBI.

Zostawiła to bez komentarza.

- Dokąd idziesz? - powtórzyła.

- Sprawdzić kilka możliwości, ale wątpię, czy coś odkryję.

- A potem?

- Do domu. Jadę do domu.

Gdyby miała broń, zastanowiłaby się, czy nie strzelić mu w stopę. Był skończonym draniem.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki mi nie powiesz wszystkiego, co wiesz o Monku.

- Posłuchaj, dziewczyno. Teraz w niczym nie mogę ci pomóc. Myślałem, że dobrze zacząłem, ale i tak się spóźniłem. Wezwałem pomoc, więc trzymaj się i pozwól im robić swoje.

Kiedy opuścił gabinet, Avery zwróciła się do Cannona:

- Chcę mieć nazwiska, adresy, numery telefonów i wszelkie inne dane, jakie pan posiada na temat tych dwóch pozostałych kobiet podróżujących z moją ciotką... tych, które odwołały rezerwację. Jeśli ich nie dostanę w ciągu dwóch minut, to przysięgam, że wyrócę to miejsce do góry nogami i dopilnuję, żeby pan został aresztowany za utrudnianie śledztwa.

Wyjęła swoją legitymację pracownika FBI i pomachała mu nią

przed nosem. Cannon zamrugał, po czym rzucił się do komputera, żeby jej dać to, czego żądała.

- Coś niebywałego - mruknął, kiedy Avery, zarzuciwszy plecak na ramię, pobiegła za Johnem Paulem. - Coś niebywałego.

Dogoniła Johna Paula przy recepcji. Hol był pełen świeżo przybyłych gości, więc musiała się przepychać przez tłum, żeby go dopaść. W końcu chwyciła go za ramię, próbując zatrzymać.

Łajdak nawet nie zwolnił. Szedł dalej, ciągnąc ją za sobą. Zauważyła, że nie wymija ludzi; to oni ustępowali mu z drogi. Zaciśnęła mocniej palce na jego ramieniu. Gdyby miała długie paznokcie, pewnie by je połamała. Miał ciepłą skórę, ale jego mięśnie były twarde jak skała.

- Możesz się zatrzymać? Muszę z tobą porozmawiać. - Nadal ani myślał zwolnić, więc dodała błagalnie: - Proszę, John Paul. Potrzebuję twojej pomocy.

Do licha. Jej głos brzmiał tak, jakby się zaraz miała rozpłakać. Nie mógł dla niej już nic zrobić, ale była zbyt naiwna, żeby to wiedzieć. Pewnie przez całe życie była chroniona przed prawdziwym światem i nie umiała sobie radzić. Tak czy inaczej, wkrótce miała się przekonać, że w życiu nie wszystko i nie zawsze kończy się szczęśliwie.

Było mu jej żal. Przeklinając w duchu, w końcu się do niej odwrócił. W pierwszym odruchu chciał jakoś złagodzić straszną prawdę, ale doszedł do wniosku, że i tak prędzej czy później będzie musiała stawić czoło rzeczywistości.

- Nie mogę ci pomóc.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że już jest za późno? Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon.

- Niech FBI ci wytłumaczy. Masz kogoś, do kogo mogłabyś zadzwonić, żeby przyjechał i posiedział z tobą? Kogoś z rodziny albo przyjaciół, kto mógłby się tobą opiekować?

Avery stanęła jak wryta. Ależ on był gruboskórny.

- Uważasz, że moja ciotka nie żyje, prawda?

JULIE GARWOOD

Nie odpowiedział od razu; patrzył na nią tak, jakby próbował ocenić, czy jest dość silna. Czyżby się bał, że wpadnie w histerię?

- Nie załamie się. Odpowiedz mi.

Zrobił krok w jej stronę.

- Tak - przyznał. - Myślę, że twoja ciotka i te dwie kobiety już nie żyją.

Puściła jego ramię, cofając się odruchowo.

- Dlaczego? Dlaczego tak myślisz?

- Masz kogoś, do kogo byś mogła...

- Zadzwoń? - warknęła. - Ciotka Carrie i wuj Tony są moja jedyną rodziną, a nie mam zamiaru przerażać wuja tak, jak ty przerażałeś mnie, dopóki nie poznam faktów. Powiedz mi, skąd znasz tego Monka.

- Panno Delaney?

To był głos Olivera. Obejrzała się i zobaczyła, że recepcjonista przyzywa ją do lady, unosząc w rękę słuchawkę telefoniczną.

To nie mogła być Margo, bo ona zadzwoniłaby na komórkę. Zatem kto? Carrie... Może to była Carrie. Avery nagle poczuła lęk, tak silny, że nie mogła złapać tchu. Modliła się w duchu, żeby to była ciotka.

Upuściła plecak, omijając jakąś parę, ale za bardzo się śpieszyła, by go podnosić.

- Ten ktoś mówi, że to pilne - powiedział Oliver, kiedy stanęła przy ladzie.

John Paul zbliżył się z jej plecakiem. Widział, jak chwyciła słuchawkę, a potem usłyszał, jak mówi:

- Carrie?

- Przykro mi, moja droga. To nie Carrie.

Zaskoczona poufałym zwrotem i ściszym niemal do szeptu głosem kobiety po drugiej stronie linii, Avery spytała:

- A kto mówi?

- Nieważne, kim ja jestem. Ważna jest Carrie, prawda? Mamy ją. Chciałabyś ją jeszcze zobaczyć?

Głos był stłumiony, Avery chyba nigdy wcześniej go nie słyszała.

- Co z nią zrobiliście? Dobrze się czuje? Jeśli coś jej się stało...

- Głupia dziewczyno, bądź cicho i słuchaj - przerwała jej kobieta. - Nie będę się powtarzać, więc uważaj. Życie trzech osób zależy od tego, czy będziesz z nami współdziałać. Zostawiłam na ladzie szarą kopertę z twoim nazwiskiem. Leży tam, po twojej lewej stronie. Nie odwracaj się - dodała szybko, tonem, od którego Avery ścierpła skóra. - Jeśli mnie zobaczysz, wszystkie zasady się zmieniają i twoja biedna, biedna Carrie i jej nowe przyjaciółki będą musiały za to zapłacić.

Avery zeszywniała.

- Gdzie jesteś? - wydusiła z siebie szeptem.

- Tutaj. Obserwuję cię. Masz ochotę popatrzeć, co? - Zaśmiała się. - Nie psuj mi zabawy. Podnieś mapę, Avery. Grzeczna dziewczynka. Widzisz ten ładny zegarek? Załóż go. Natychmiast.

Avery wzięła do ręki męski zegarek Swatcha ze stoperem i szybko zapięła pasek na przegubie.

- Dobrze - pochwaliła kobieta. - Teraz rozłóż mapę i znajdź mały czerwony krzyżyk, postawiony specjalnie dla ciebie. Pośpiesz się.

Podtrzymując słuchawkę barkiem, Avery rozpostarła mapę i zaczęła szukać znaku. Kiedy się nachyliła, próbując dojrzeć zarys twarzy odbitej w lśniącej granitowej ścianie za ladą, słuchawka zsunęła się jej z ramienia, ale John Paul błyskawicznie wyciągnął rękę i zdążył ją pochwycić. Avery natychmiast mu ją odebrała.

- Niezdara - zakpił ten sam kobiecy głos.

- Przepraszam.

John Paul przyglądał się Avery z bliska. Twarz jej pobladła, podobnie jak dłoń zaciśnięta kurczowo na słuchawce. Objął ją, wiedząc, że po tym, co teraz słyszy, będzie jej bardzo ciężko. Nie potrafił pocieszać kobiet - w istocie nigdy wcześniej tego nie robił - ale czuł, że powinien chociaż spróbować.

- Och, czyż to nie wzruszające? - Głos zrobił się słodki niczym syrop. - On jest twoim kochankiem?

Avery była tak roztrzęsiona, że nie mogła zebrać myśli.

- Tak... nie.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

- No to kim jest?

- Nikim.

- Tak?

- Jest aktorem - powiedziała Avery, bo tylko to jej przyszło do głowy. - Pracował... pracuje dla Carrie przy reklamach. Odprawię go.

- Nie, nie, nie rób tego. On już wszedł do naszej gry, moja droga. Wie, że nie możesz znaleźć Carrie. Nie chcemy, żeby zadawał pytania albo wzywał policję. Poza tym będzie się dobrze bawił, poszukując skarbu razem z tobą. Ale nikogo więcej. Jeśli powiesz komuś choć słowo, będziemy o tym wiedzieć. Od momentu gdy odłożysz słuchawkę, będziemy cię cały czas obserwować. Powiesz kierownikowi, że Carrie dzwoniła i wszystko jest w porządku. Potem wyjmiesz swoją komórkę z plecaka i wrzucisz ją do fontanny, wychodząc z hotelu. Zrozumiałaś?

- Tak.

- Zabierz komórkę swojemu chłopakowi. Tak, żebyś to widziała.

Avery odwróciła się do Johna Paula.

- Daj mi swoją komórkę.

- Nie mam.

Powtórzyła to do telefonu.

- Będziemy wiedzieli, czy kłamiesz. Zresztą, to nie ma znaczenia. Tam, dokąd jedziecie, i tak nie ma zasięgu, ale mimo to chcę widzieć, jak się pozbywasz swojej komórki.

- Dobrze. Czy Carrie nic się nie stało? Jest...

- Ma się świetnie... na razie. Rób, co ci każę, jeśli chcesz, żeby tak zostało. - Głos przybrał ostrzejszy ton, ale też służyć w nim było coś w rodzaju podniecenia. - Znalazłaś czerwony krzyżyk?

- Tak, widzę go.

- Jedź według wskazówek, które zapisałam na dole. Macie dokładnie dwie godziny, żeby tam dotrzeć.

- Ale to co najmniej trzy godziny jazdy stąd. To niewykonalne. Sądząc po mapie, tam dalej nie ma dróg...

- Powiedziałam dwie godziny - przerwała jej kobieta. - Sto dwadzieścia minut, Avery, i ani minuty dłużej. Słyszysz?

- Tak, a jeśli nie zdążymy na czas? Co będzie, jak się spóźnimy? Kobieta zaniósła się śmiechem.

- Bum!

## 10

Ta kobieta sprawiała wrażenie szalonej. Zakończyła rozmowę dzikim wybuchem śmiechu. Wstrząśnięta do głębi Avery oddała słuchawkę Oliverowi. Pochylając się ku niemu nad ladą, jednocześnie wsunęła rękę do plecaka, wcisnęła na komórce przycisk szybkiego wybierania numeru, by połączyć się z norą. Odczekała sekundę i wcisnęła gwiazdkę, żeby włączyć alarm. W tym samym momencie podszedł do niej Cannon z wydrukowanymi informacjami, o które go prosiła.

- Miał pan rację - odezwała się do niego, rozpaczliwie próbując nadać swemu głosowi radosne brzmienie. - Właśnie dzwoniła Carrie. To wszystko było jakimś zwiariowanym nieporozumieniem. A teraz, jeśli pan pozwoli, jedziemy z Johnem Paulem na przejażdżkę.

Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowana. Szybko zgarnęła do plecaka wydruki dostarczone przez Cannona, nie dając mu czasu na zabranie ich z powrotem, a następnie, ściskając w dłoni komórkę i mapę, biegiem ruszyła do wyjścia.

Patrzyła na mijane twarze, lecz w wielkim holu kręciło się tyle ludzi, że nie sposób było przyjrzeć się wszystkim kobietom.

Poszukała wzrokiem budek telefonicznych, lecz wszędzie stały palmy i olbrzymie fikusy - nieznajoma kobieta mogła bez trudu obserwować Avery z ukrycia.

- Chodźmy! - zawołała do Johna Paula, nie zdając sobie sprawy, że jest tuż za nią.

- Co się dzieje?

Nie odpowiedziała. Podbiegła do fontanny, wrzuciła do wody swój telefon komórkowy i pognała ku drzwiom, wpadając na portiera.

- Panno Delaney, jeśli poda mi pani numer swojego pokoju, zaniosę pani bagaż...

Nie zwracając na niego uwagi, zbiegła ze schodów, stanęła pośrodku okrągłego podjazdu i próbowała odnaleźć wzrokiem swój wypożyczony samochód. Gdzie się podział?

John Paul wziął czarną płócienną torbę z wieszaka na bagaż.

- Ta należy do niej? - spytał odźwiernego.

- Tak, proszę pana. Proszę zobaczyć, jest tu jej nazwisko. Czy panna Delaney już się zameldowała?

- Co zrobiliście z moim samochodem?! - zawołała w tym samym momencie Avery.

Biegła już w stronę stanowiska ochrony, kiedy John Paul zastąpił jej drogę. Nie zamierzał pozwalać, by dokądkolwiek jechała, dopóki mu nie powie, co się właściwie dzieje. Cała się trzęsła.

- Weź głęboki oddech i spróbuj się uspokoić. Chyba tu zaraz nie zemdlejesz? - spytał z troską.

- Nie.

- Dobrze, powiedz mi, co się stało. No mów, do licha. Z kim rozmawiałaś przez telefon?

- Z jakąś kobietą. Nie rozpoznałam jej głosu. Powiedziała, że mają moją ciotkę.

- Oni? - upewnił się. - Jesteś pewna, że użyła liczby mnogiej?

- Tak. - Z każdą sekundą ogarniało ją coraz większe przera-

żenie. - Carrie ma kłopoty, muszę się do niej dostać, zanim będzie za późno.

- Czy tamta kobieta kazała ci się pozbyć telefonu komórkowego?

Wyrwując mu się, szepnęła:

- Tak. Słuchaj, to nie żaden kawał. Jestem pewna. Powiedziała, że zabiją Carrie i tamte dwie kobiety, jeśli się nie pośpieszymy. Proszę - dodała błagalnie. - Musisz ze mną pojechać. Ona powiedziała, że ty też bierzesz udział w tej grze. Musimy się śpieszyć. Dała nam dwie godziny na dotarcie do miejsca, które zaznaczyła na mapie. Nie wiem, jak mamy to zrobić. To tak daleko...

- Wiesz, że to prawdopodobnie pułapka, prawda? Musisz wiedzieć...

- Wiem! - krzyknęła, nie dbając już o to, kto może ją usłyszeć. - Po drodze spróbuję się zastanowić, jak przeżyć i pomóc Carrie. Słuchaj, ja nie mam wyboru. Gdyby chodziło o twoją matkę lub córkę, stałbyś w miejscu i analizował sytuację? Na pewno nie. Zrobiłbyś dokładnie to samo, co ja zamierzam zrobić. A zamierzam podjąć grę, wykorzystując każdą, choćby najmniejszą szansę. Ruszajmy, Renard. Czas ucieka.

Miała rację. Zapłaciłby okup i zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby przedłużyć życie ukochanej osoby.

- Weźmiemy mój samochód - zdecydował.

Wdzięczna, że się z nią nie spierał, szepnęła:

- Dziękuję.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą na parking. Jego samochód stał nieprawdłowo zaparkowany przed chodnikiem. Obok czekał ochroniarz.

- Pan jest właścicielem tego... - Urwał na widok miny Johna Paula i cofnął się, wprost na rabatę bratków.

John Paul w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Pilotem otworzył auto, umieścił torbę Avery z tyłu wraz ze swoimi rzeczami i usiadł za kierownicą.

Avery zajęła miejsce pasażera z przodu i na rozłożonej mapie wskazała mu czerwony krzyżyk.

- Mamy dokładnie dwie godziny. Nie, godzinę i pięćdziesiąt siedem minut, żeby tam dotrzeć. Jedźmy.

John Paul poświęcił mniej więcej dziesięć sekund na dokładne przyjrzenie się trasie.

- Ciężko będzie - westchnął, włączając silnik.

- Ale zdążymy?

- Może. - Tylko na tyle mógł sobie pozwolić. - Ty pilotuj. I zapnij pas.

Nie mógł przyśpieszyć, dopóki nie opuścili parkingu, lecz nim dotarli do bramy przy końcu długiej, krętej drogi, miał już na liczniku dobrze ponad setkę.

Avery siedziała pochylona do przodu i kołysała się, jakby ten ruch miał im pomóc w szybszym dotarciu do celu. Uświadomiła sobie, co robi, dopiero wtedy, gdy musiała mu podyktować namiary z mapy.

Pędzili autostradą.

- Tam! - zawołała na widok oczekiwanego drogowskazu. - Jedźmy na skróty. Niedługo powinien być zjazd. Zostaniemy na tej dwupasmówce przez czterdzieści, może pięćdziesiąt kilometrów. - Zaciskając dłonie, nie odrywała wzroku od drogi, wypatrując zakrętu. - Zwolnij! To tutaj! Uważaj, żebyś nie przejechał.

- Widzę - odparł spokojnie.

Wszedł w zakręt tak ostro, że przez moment auto jechało na dwóch kołach. Avery oparła się obiema rękami o tablicę rozdzielczą. Tak łatwo było o wypadek. Tego im tylko brakowało, żeby rozbił samochód. Dla Carrie oznaczałoby to koniec.

Powtarzała sobie w duchu, że musi zachować spokój. Uda im się. Musi się udać.

Spojrzała na męski zegarek Swatcha do połowy zakrywający jej całego Timexa. Szybko zdjęła go z ręki, obejrzała dokładnie



z każdej strony i ostrożnie umieściła w uchwycie na kubek pomiędzy siedzeniami.

Gdy wjechali na prosty odcinek drogi, John Paul polecił:

- No to zaczynaj. Mów, co dokładnie powiedziała tamta kobieta.

Powtórzyła mu wszystko, co zdołała zapamiętać, dodając:

- Ona tam była, obserwowała nas. Próbowałam ją wypatrzyć, kiedy wychodziłam, ale w holu kłębił się tłum ludzi.

- Mogło jej tam wcale nie być. Nie zauważyłaś kamer ochronnych?

Pokręciła głową.

- Nie.

- Wystarczyło się podłączyć do ich systemu. Nie musiała być na miejscu, żeby obserwować cię przy ladzie recepcji. Czy w jej głosie było coś szczególnego?

- Nie. Brzmiał po prostu...

- Jak?

- Złowieszczo. Powiedziała mi, żebym nie psuła zabawy, nazwała to grą.

Avery przypomniała sobie o wydrukach i wyjęła je z plecaka.

- Co to jest?

- Poprosiłam Cannona, żeby mi udostępnił wszelkie informacje o dwóch pozostałych klientkach ośrodka, które w ostatniej chwili odwołały rezerwację. Ta kobieta powiedziała mi, że oprócz Carrie mają dwie inne kobiety. To muszą być te same osoby. Pierwsza nazywa się Anne Trapp. Mieszka w Cleveland i jest właścicielką morskiej firmy przewozowej. Jest też sędzia Sara Collins z Miami. Okazuje się, że wszystkie trzy rezerwacje zostały zrobione przy użyciu kart kredytowych. Każda z nich była na inne nazwisko.

Odczytała mu je.

- Czy te nazwiska coś ci mówią?

- Nie. Nie sądzę, by Carrie kiedykolwiek wspomniała któreś z nich. Nie wiem, czy znała te osoby. Carrie i wuj Tony mieszkają w Bel Air.

- Myślałem, że ty też jesteś stamtąd.

- Przez pewien czas byłam - przyznała. - Teraz mieszkam w Wirginii. - Sprawdziła czas na swatchu. - Nie możemy jechać szybciej?

- Jadę prawie sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Tu jest ograniczenie do pięćdziesięciu pięciu. Mam nadzieję, że w pobliżu nie ma żadnego patrolu.

No tak, o tym nie pomyślała. Zatrzymanie przez policję oznaczałoby znaczne opóźnienie.

- Więc zwolnij.

- Zdecyduj się, złotko. Szybko czy wolno?

- Przyspieszmy na drodze dojazdowej. Teraz zwolnij.

Zastosował się do polecenia.

- Jesteś pewna, że ta kobieta, która do ciebie dzwoniła, użyła liczby mnogiej?

- Już mnie o to pytałeś. Tak, nadal jestem pewna, powiedziała "mamy ją". Dlaczego to takie ważne?

Widać było po nim wyraźne ożywienie.

- Ponieważ jest możliwe, że to Monk czeka na ciebie w tym zaznaczonym na mapie miejscu, a to oznacza dla mnie wyjątkową okazję, żeby zabić tego drania. Gdybym mógł go jakoś wyprzedzić...

Zamilkł nagle; Avery wyczuła, że znów przyspieszył.

- Chyba czas, żebyś odpowiedział na kilka pytań - stwierdziła.

- Na przykład jakich?

- Czemu szukałeś Carrie? Skąd ją znasz?

- Nie znam jej - wyznał.

- Mówiłeś przecież...

- Kłamałem - uciął krótko. - Znam człowieka, który...

- Który co?

Miał zamiar powiedzieć: „człowieka, który ją zabił”, bo jeśli Monk działał według starego schematu, te trzy kobiety były już martwe i pogrzebane. Jednakże John Paul musiał przyznać, że coś się zmieniło - teraz Monk najwyraźniej pracował ze współpracownicą.

- ...który przetrzymuje te kobiety - dokończył. - Człowieka, który nazywa się Monk. Wątpię, czy to imię ma wpisane w akcie urodzenia.

- Powiedz mi, co o nim wiesz. Kim on jest?
- Zawodowym zabójcą.
- Kim? - wykrztusiła.

Powtórzył, zerkając na nią z ukosa, żeby sprawdzić, jak przyjęła tę wiadomość. Uznał, że nie najlepiej. A właściwie całkiem niedobrze. Nagle zrobiła się zielona na twarzy.

- Będziesz wymiotować? - spytał bez odrobiny współczucia.
- Nie.

Nie uwierzył jej.

- Opuść szybko i wychyl się, jeśli...
- Nic mi nie jest - mruknęła, ale jednak wcisnęła odpowiedni przycisk i wzięła kilka głębokich oddechów. Powietrze było ciężkie od zapachu ziemi. Nie pomogło.

Zawodowy zabójca.

Próbowała zebrać myśli. Skup się na faktach, powtarzała sobie w duchu. Zastanów się nad wszystkim po kolei.

Anne Trapp. Sara Collins. Postacie obu kobiet stanowiły dla niej zagadkę. Co mogły mieć ze sobą wspólnego?

- Musi być między nimi jakiś związek - powiedziała na głos. - Nie, nie mogę tego zakładać - dodała zaraz.

John Paul skupił się na prowadzeniu samochodu. Znowu przyspieszył, jako że poza nimi na drodze nie było nikogo i miał nadzieję, że patroli pilnują bardziej uczęszczanych tras. Przystał dociskać pedał gazu, gdy wskazówka sięgnęła stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Droga kończy się za osiem kilometrów.
- Avery chwyciła mapę.
- Skąd wiesz?
- Po prostu czytam znaki.
- Powinniśmy zjechać na boczną drogę.

- Widzę.

Spojrzała na zegarek, chyba po raz setny, i stwierdziła, że minęło już pełne dwadzieścia minut. Szybko obliczyła w myślach odległość do czerwonego krzyżyka.

- Przy złych warunkach będzie ciężko - powiedział, spoglądając na nią poważnie. - Możemy nie zdążyć, Avery.

- Zdążymy - odparła z naciskiem. - Musimy zdążyć.

- O, to tutaj - rzucił, zjeżdżając na boczną drogę. Żwir strzelał spod opon i stukał o podwozie. Droga była tak wąska, że mieścił się na niej tylko jeden samochód, a gałęzie rosnących na poboczach drzew drapały karoserię.

- Jedziemy w dobrym kierunku i tylko to się liczy - powiedział.
- Przy odrobinie szczęścia dalej droga będzie lepsza.
- Albo wcale jej nie będzie - mruknął pod nosem.
- Skąd właściwie znasz Monka?

- Nigdy go nie spotkałem osobiście, jeśli o to pytasz. Stał się dla mnie czymś w rodzaju hobby. Zagroził komuś bardzo mi bliskiemu.

- Ktoś go wynajął, żeby zabił tę bliską ci osobę?

- Nie, ale stanęła mu na drodze. To była moja siostra. Został wynajęty, żeby zdobyć pewne informacje, które ona posiadała, próbował ją zabić, żeby je zdobyć. Na szczęście mu się nie udało w końcu musiał zniknąć.

- Więc tropisz go już od jakiegoś czasu.

- Tak - potwierdził. - Człowiek, do którego dzwoniłem od Cannona, także ma interes w dopadnięciu Monka.

- Kim on jest?

- Nazywa się Noah Clayborne. Jest agentem FBI - dodał lekceważącym tonem.

- Ale jest twoim przyjacielem?

- Tak bym go nie nazwał.

Przyjrzała mu się, przekrzywiając głowę na bok. O co mu chodziło?

- Jak już mówiłem, Monk przyczał się na ponad rok. Nie mogłem znaleźć żadnego śladu jego działalności... aż do teraz.

- Skąd wiedziałeś, że jest w Kolorado?

- Użył podrabianej karty kredytowej, z której korzystał wcześniej w Bowen... tam gdzie mieszkam. W Luizjanie.

- Zatem FBI także wie, że on jest w Kolorado - stwierdziła.

- Nie, nie wiedzą.

- Skoro ty go wyśledziłeś przez kartę kredytową, to z pewnością

FBI...

- Nie wiedzą o karcie kredytowej.

- Nie powiadomiłeś ich?

- Do diabła, nie.

Znów słyszała w jego głosie nutę wrogości.

- Dlaczego?

- Bo nie chciałem, żeby wszystko spieprzyli.

- FBI nie psuje dochodzeń. Są ekspertami, bardzo skutecznymi

w swoich...

Nie dał jej dokończyć.

- Oszczędź mi. Już się nasłuchiwałem tych propagandowych frazesów. Nie kupowałem ich wtedy i teraz też nie kupię. W Biurze zrobiło się za gęsto od szefów, którzy próbują się wdrapywać na szczyt po plecach zwykłych agentów. W dzisiejszych czasach nie ma żadnej lojalności. Szarpią się jak psy. To... biurokraci. - Otrząsnął się ze wstrętem.

- Jesteś cyniczny.

- Ale mam rację.

Wyrzała przez okno.

- Dziękuję ci tak czy inaczej.

- Za co?

- Że ze mną pojechałeś. Mogłeś odmówić.

- Zaszło nieporozumienie. Nie robię tego dla ciebie ani dla twojej ciotki. Chcę dorwać Monka, zanim zabije następną ofiarę.

- Innymi słowy, masz własne powody i wcale nie robisz mi przysługi. Rozumiem.

Jednak nie rozumiała. Jak można być tak zatwardziałym? Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek ugiął się, żeby komuś pomóc. Pewnie nie. Należał do tych, którzy nie zatrzymują się, widząc wypadek, i obojętnie wymijają leżących na ziemi zawałowców.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Wreszcie Avery pierwsza się odezwała.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś o Monku. Musi mieć jakiś schemat działania. Oni wszyscy mają.

Przyszło mu do głowy, że to dziwna uwaga. Skąd mogła wiedzieć o takich rzeczach?

- Rzeczywiście miał pewien schemat, ale najwyraźniej go zmienił.

- W jaki sposób?

- Monk nie lubił się rzucać w oczy. Załatwiał sprawę szybko i czysto.

- To brzmi, jakbyś go podziwiał.

- Nie, wcale go nie podziwiam. Mówię tylko, że wcześniej pracował w podobny sposób. Na początku popełniał wszystkie morderstwa w ciągu dwóch tygodni. Tak było co roku, przez siedem lat. Mam na ten temat swoją teorię.

- Myślisz, że pracuje gdzieś na pełny etat? Że prowadzi po-dwójne życie?

- Sądzę, że tak było - sprostował. - Morderstwo jest znacznie lepiej płatne, więc domyślam się, że zrezygnował z tej drugiej pracy. Nie mogłabyś sobie go wyobrazić siedzącego za biurkiem pilnie oddającego się pracy? Przywoity facet. Wiesz, taki, co prowadzi wykresy rozgrywek futbolowych. A ponieważ jest powszechnie lubiany, ludzie opowiadają mu o swoich kłopotach. Mogę się o to założyć, Avery. Kiedy zostanie złapany, ludzie, którymi pracował, będą zaszokowani. Wszyscy będą powtarzać to samo. Bob był takim miłym, czarującym człowiekiem.

- Podobnie jak Ted Bundy.

- Właśnie.

- Skąd wiesz, że wcześniejsze morderstwa były jego dziełem? Zostawiał bilecik z podpisem?

- Coś w tym rodzaju. Lubi róże. Zostawia czerwoną różę na długiej łądzyce.

- To dziwne - przyznała. - Więc kiedyś pracował na etacie, od dziewiątej do piątej, a zabijanie ludzi traktował jako wakacyjną rozrywkę, a teraz jest zawodowym zabójcą... o każdej porze roku. Co jeszcze się u niego zmieniło? Wygląda na to, że uważnie przestudiowałaś jego dokonania.

Potwierdził kiwnięciem głowy.

- Nigdy wcześniej nie próbował czegoś takiego... Trzy ofiary naraz. Nie lubi się popisywać. I dotąd zawsze działał w pojedynkę. Teraz najwyraźniej jest związany z jakąś kobietą. Może robi przedstawienie, żeby jej zaimponować.

Podskoczyli na wyboju. Avery chwyciła się deski rozdzielczej, ale i tak uderzyła czubkiem głowy w dach.

- Nadal jedziemy na północ? - Trudno było powiedzieć; drzewa zakrywały niebo, a wokół było nieprzyjemnie ciemno.

- Na północny zachód - sprostował.

Usłyszała wrzask dobiegający z oddali. Nie, to raczej był głos jakiegoś zwierzęcia. Ciarki przebiegły jej po plecach.

- W jaki sposób zdobywa zlecenia?

- Nie wiem, ale sądzę, że przez Internet. To proste. Anonimowość zostaje zachowana, a do tej pory był bardzo ostrożny i czujny w wyborze celów. Pewnie ma dość roboty na następne piętnaście lat. Zdziwiłabyś się, ilu mężów chce śmierci swoich żon i ile żon zapłaciłoby każdą cenę, żeby się pozbyć swoich mężów.

- Wujek Tony nie ma z tym nic wspólnego.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna - powiedziała z naciskiem.

Na chwilę zapadła cisza.

- Powiedziałaś, że między tymi kobietami musi być jakiś związek...

- Analizowałam to, co wiemy, próbując złożyć to w jakąś całość. Założyłam, że jedna osoba wynajęła Monka, żeby zabił wszystkie trzy kobiety, i dlatego szukałam czegoś, co by je łączyło. Ale moje przypuszczenia mogą być chybione.

- Mianowicie?

- Musimy dopuszczać możliwość, że trzy różne osoby wynajęły Monka, a on, z jakichś nieznanых powodów, zdecydował się zabić wszystkie trzy ofiary jednocześnie.

Musiał jej przyznać rację.

- Jedno jest pewne. Monk dostał mnóstwo pieniędzy za zabicie tych kobiet. Nie jest tani. Skoro zebrał je razem, to pozostaje pytanie, kto chce śmierci twojej ciotki?

Oczekiwał, że natychmiast usłyszy, jaką uroczą, kochaną kobietą jest jej ciotka i że nie ma ani jednego wroga.

- Mnóstwo ludzi jej nie lubi. Mogę sobie wyobrazić, że niektórzy nawet jej nienawidzą.

Na to nie był przygotowany. Aż się uśmiechnął.

- Doprawdy?

- Carrie czasami potrafi być... szorstka.

- Serio?

Avery pokiwała głową.

- Działa w krwiożerczej branży.

- Tak? Co to za branża?

- Reklama.

- Słucham?

- Robi reklamy.

Parsknął śmiechem, który zabrzmiał dziwnie głucho w zamkniętym wnętrzu samochodu.

Jednak - mówiła dalej, nie zważając na jego reakcję - żaden z jej konkurentów w interesach nie posunąłby się tak daleko, by ją wyeliminować.

- Skąd możesz być tego pewna?
- Po prostu jestem.
- Dobrze, to nam każe wrócić do twojego wuja Tony'ego. Na ile udane jest ich małżeństwo? Wiadomo ci o jakichś problemach? Nagle zrobiło jej się niedobrze.
- Carrie uważa, że Tony ją zdradza.
- Aha.
- Spotykali się z doradcą małżeńskim.
- Naprawdę?
- Tony kocha Carrie - zapewniła.
- Jak dobrze znasz swojego wuja?
- Nie tak dobrze, jak powinnam - przyznała. - Wyjechałam do szkoły z internatem i wracałam do domu tylko na lato, a wtedy pracowałam w biurze u Carrie. Jednak sądzę, że znam się na ludzkich charakterach. Tony nigdy by jej nie oszukiwał.
- Żony zwykle dobrze wiedzą.
- Carrie nie jest typową żoną. Ma bardzo podejrzliwą naturę. Według mnie, ona w głębi duszy nie wierzy, że jakiś mężczyzna mógłby ją kochać. Brak jej pewności siebie i dlatego często bywa szorstka. Nie chce, by ktoś dostrzegł, jak jest bezbronna.
- Więc wracamy do...
- Jeśli to są trzy osobne kontrakty, a jedna osoba wynajęła Monka, żeby zabił Carrie i mnie, to...
- To co?
- Wiem, kto to zrobił.

## 11

Pierwsza godzina była koszmarem, a potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Niewiele brakowało, by ta szalona kobieta wysadziła ich w powietrze. Anne trzymała już rękę na kłamce, kiedy Carrie powaliła ją na podłogę. Była tak chuda, że Carrie omal jej nie zgmiotła swoim ciężarem. Obie krzyczały wniebogłosy. Anne nie dawała sobie przemówić do rozsądku. Szarpiąc się i wijąc, próbowała wydrapać Carrie oczy długimi przyklejanymi paznokciami. Udało jej się podnieść na kolana i już się prawie wywinęła z uścisku Carrie, ale Sara chwyciła ją za kostki i odciągnęła od drzwi.

Mimo iż Anne przez swą szczupłość wydawała się niezwykle krucha, wściekłość dodała jej wręcz nadludzkiej siły, na szczęście krótkotrwałej. Dysząc ciężko z wysiłku, Carrie unieruchomiła ją na marmurowej posadzce, siadając jej na plecach. Dodatkowo trzymała ją za szyję obiema rękami, żeby nie mogła podnieść głowy.

- Poszukaj czegoś, żebyśmy mogły ją związać! - zawołała do Sary, przekrzykując protesty Anne.

Dziesięć minut później Anne siedziała na krześle przy okrągłym stole we wnęce śniadaniowej. Ręce miała przywiązane do oparcia krzesła dwoma kablami telefonicznymi.

- Jak śmiecie traktować mnie w taki sposób? Nie ujdzie wam to na sucho. Poczekajcie tylko, to się przekonacie. Złożę na was doniesienie.

Carrie wyczerpana opadła na sąsiednie krzesło. Opierając się łokciem na blacie stołu, przyłożyła dłoń do czoła i spokojnie zapytała:

- A jak planujesz to zrobić, Anne?
- Ty suko! - wrzasnęła Anne. - Zadzwoń na policję.
- Proszę cię bardzo. Skorzystaj z telefonu. Och, chwileczkę.

Nie możesz, ponieważ ten cholerny telefon nie działa.

- Kłamiesz.

Carrie odwróciła się do Sary, która obserwowała scenę oparta o kuchenną ladę.

- Czy ona jest na innej planecie? Chyba całkiem zwariowała.
- Może - zastanowiła się głośno Sara. - Na skutek szoku ludzie czasami stają się... nieracjonalni.
- Co my teraz zrobimy? - szepnęła Carrie z rozpaczą.

Sara usiadła naprzeciw Anne, składając ręce na stole.

- Słuchaj, Anne, nic ci nie da udawanie, że wszystko jest w porządku. Mamy wspólny problem i potrzebujemy twojego współdziałania.

Odpowiedź Anne była natychmiastowa i gwałtowna.

- Zostaw mnie w spokoju, ty tłusta świniol!
- Urocze - mruknęła Carrie.
- Suka! - wrzasnęła piskliwie Anne.
- Jeśli nadal będziesz się wydzierać, Anne, to obawiam się, że będę cię musiała zakneblować - ostrzegła Sara. - Uspokoisz się?

Spojrzenie Anne stało się jeszcze bardziej dzikie.

- Anne, gdzie jest list, który ci zostawiono? - Kiedy Anne tylko odwróciła głowę, Sara spytała: - Teraz dla odmiany zachowasz milczenie?

- Czyż to nie miła odmiana? - zakpiła Carrie.

Sara rozsiadła się wygodniej na krześle i poprawiła jedwabny szlafrok, tak żeby całkowicie zakrył nocną koszulę.

- Wiesz, Anne, jeśli nie dostałaś listu...
- Nie dostałam - warknęła Anne.
- To znaczy, że możesz być niewinną ofiarą, która przypadkiem zaplątała się w nasz... problem.

Problem? Carrie była zdumiona, że Sara używa tego określenia. Na miłość boską, przecież siedziały na bombie. Już miała jej zwrócić uwagę, gdy dostrzegła porozumiewawcze spojrzenie Sary i dyskretny znak uczyniony głową. Zachowała milczenie.

- Widzisz, Anne - mówiła Sara spokojnym tonem - jako sędzia, przez lata wsadziłam za kratki wielu kryminalistów. Jestem znana z wydawania surowych wyroków, ale we wszystkich tych przypadkach mężczyźni i kobiety, którzy przede mną stawali, byli zartwardziałyymi złoczyńcami. Niczego nie żałuję.

Anne przyjrzała się Sarze z lodowatą pogardą.

- Po co mi to mówisz?
- Bo to ważne. Przez te lata wiele razy grożono mi śmiercią, tle nie przejmowałam się pogróżkami.

Przeszła do salonu po listy, swój i Carrie. Następnie wróciła do stołu i odczytała swój list. Potem podsunęła go przed oczy Anne.

- Myślisz, że któryś z tych kryminalistów spełnia swoją groź--? - zapytała Anne.
  - Tak właśnie myślę - potwierdziła spokojnie Sara. - Albo stoi za tym były skazaniec, albo ktoś przebywający nadal w więzieniu ma pomocnika na zewnątrz.
  - Skąd były skazaniec lub więzień miałby wziąć pieniądze na wynajęcie zabójcy?
  - Kogo obchodzi, skąd ma pieniądze - wtrąciła się Carrie.
  - Nie do ciebie mówię, suko - syknęła wściekle Anne.
- Sara gestem nakazała im milczenie. Nie chciała, by Carrie prowokowała Anne, podsycając jej gniew.
- Dobrze pytanie - powiedziała Sara. - Nie wiem, skąd wziął pieniądze. Może jakiś krewny dostał spadek albo...
  - A może posadziłaś niewinną osobę i ci krewni o tym wiedzą.

- Cóż, może właśnie tak się stało.

Carrie zaciskała zęby, żeby się nie wtrącić. Chciała przypomnieć im obu, że muszą znaleźć sposób, żeby się wydostać z tego domu, a potem, kiedy już będą bezpieczne, mogą sobie spekulować do woli, kto, jak i dlaczego.

- List Carrie nie był podobny do mojego - mówiła Sara. - Jej był podpisany.

Anne sprawiała wrażenie zaintrygowanej.

- Chciał, żebyś wiedziała, jak bardzo cię nienawidzi, zanim umrzesz?

- Nie „on” - sprostowała Sara. - Ona.

Carrie pokiwała głową. Anne wciąż nie chciała na nią patrzeć, ale o to nie dbała.

- Mój list był napisany przez moją siostrę Jilly.

Oświadczenie Carrie tak wstrząsnęło Anne, że nie potrafiła dłużej jej ignorować.

- Rodzona siostra pragnie twojej śmierci?

- Tak.

- Z jakiej rodziny ty się wywodzisz? - spytała z odrazą.

Carrie z trudem powściągnęła złość.

- Z patologicznej, Anne. Moja siostra jest szalona.

- Wielkie nieba - westchnęła Anne. - Chwileczkę. Czy ty aby nie kłamiesz? Skoro twoja siostra jest naprawdę szalona, to dlaczego nie siedzi zamknięta w zakładzie?

- Przed laty powiedziano mi, że Jilly zginęła w wypadku samochodowym. Zakład pogrzebowy chciał mi przysłać jej prochy. Okazało się jednak, że Jilly jest znacznie sprytniejsza, niż sądziłam. Przez te wszystkie lata czekała i planowała, żeby się na mnie zemścić.

- Dlaczego? Co jej zrobiłaś?

- Ona myśli, że ukradłam jej dziecko.

- A ukradłaś?

- Nie, Jilly porzuciła córkę zaraz po urodzeniu. Wychowałyśmy ją razem z matką.

- Twoja siostra nigdy nie wróciła do domu?

- O tak, kiedy Avery miała pięć lat, Jilly wróciła ze swoim facetem, łachudrą o nazwisku Dale Skarrett. Zdawało jej się, że może tak po prostu przyjść i zabrać Avery. Wcześniej zmusiła matkę, żeby jej dała pieniądze. To prawda - powiedziała, widząc oburzoną minę Anne. - Matka musiała jej zapłacić, żeby móc zatrzymać Avery. Byłam w domu, kiedy przyjechali. Kiedy ja próbowałam wypchnąć Jilly za próg, matka wezwała policję. Słyszając syreny, Dale Skarrett uciekł, ciągnąc ze sobą Jilly. Następnego ranka przeniosłam się do Kalifornii. Kiedy tam pracowałam, budując swoją karierę, Avery mieszkała z moją matką. Później, gdy Avery miała jedenaście lat, Jilly przysłała Skarretta, żeby ją porwał. Avery się nie dała, drapała go i gryzła, więc zbił ją paskiem od spodni tak mocno, że omal nie straciła życia. Była taka młoda... i bezbronna. W pewien sposób uważałam się za jej matkę, ale w najważniejszej chwili, naprawdę najważniejszej, nie byłam przy niej, żeby ją ochronić, tak jak matka powinna chronić swoje dziecko.

- A twoja matka? Nic nie zrobiła?

Carrie spuściła wzrok.

- Komendant policji był jej znajomym, dał jej pistolet i nauczył się nim posługiwać. Była wtedy na podwórku, na tyłach domu i nie słyszała krzyków, dopóki nie weszła do środka. Miała przytępiony słuch - dodała tonem wyjaśnienia. - Z tego co policja zdołała stwierdzić, matka próbowała zastrzelić Skarretta. Widocznie go wcześniej ostrzegła, bo w ostatniej chwili chwycił Avery. Kula trafiła w moją siostrzenicę. - Słowa płynęły gładko, ale Carrie miała łzy w oczach. - Zostawiłam siostrzenicę pod opieką starej matki, wiedząc, że Jilly jest na wolności.

- Przecież nie mogłaś przewidzieć...

- Och, wiedziałam, do czego Jilly jest zdolna.

- A co się stało z twoją matką? - spytała Sara.

- Miała rozległy zawał. Zmarła przed przyjazdem policji, życie Avery wisiało na włosku. Złapałam samolot z Los Angeles

do Jacksonville. Nim tam dotarłam, Avery została poddana operacji i umieszczona na oddziale intensywnej terapii. Lekarz od razu mi powiedział, że Avery wyzdrowieje, ale nie miałam czasu na radość, bo zaraz dodał, że nie będzie mogła mieć dzieci. W wieku jedenastu lat miała usuniętą macicę. To musiał być rekordowo młody wiek na taką operację - dodała z goryczą.

Sara zaniemówiła. Carrie uznała, że jej opowieść tak nią wstrząsnęła.

- Biedne dziecko - westchnęła Anne. W jej głosie słychać było szczere współczucie.

- Pamiętam ją - wyszeptła Sara.

- Co? - Carrie niemal krzyknęła.

Sara pokiwała głową.

- Te nazwiska... tyle ich było przez lata. Nie sposób wszystkich zapamiętać. Nie pamiętałam Avery, dopóki nie wspomniałaś o usunięciu macicy w wieku jedenastu lat. Nigdy nie zapomnę, jak czytałam akta sądowe.

- Nie rozumiem - powiedziała Carrie. - Po co czytałaś te akta? Rozprawie przewodniczył sędzia Hamilton.

- To prawda, ale sędzia Hamilton zmarł przed wydaniem wyroku i ja przejąłem po nim tę sprawę. To ja skazałem Dale'a Skarretta, więc ma wszelkie powody, by życzyć mi śmierci. Dałem mu najwyższy wymiar kary.

- Więc to nas łączy - powiedziała zaskoczona Carrie. - Dale Skarrett... i Jilly.

- Jilly nie postawiono nigdy żadnych zarzutów, prawda? - spytała Sara.

- Nie było przeciw niej żadnych dowodów. Poza tym zniknęła - wyjaśniła Carrie. - Tylko dzięki zeznaniu Avery Skarrett został skazany za morderstwo drugiego stopnia. Kilka tygodni po jego skazaniu miałam telefon z domu pogrzebowego w Key West. Z pytaniem, co mają zrobić z prochami Jilly. Tak się dowiedziałam o jej śmierci.

- Tyle że ona wcale nie umarła - zauważyła Anne.

- Z całą pewnością nie umarła. Ostatniej nocy widziałam ją w pełnej krasie - potwierdziła Carrie. - Wcale się nie zestarzała. Nadal jest piękna... i całkiem obłąkana.

Sara podeszła do kuchennej szafki i wyjęła z niej filiżankę ze spodkiem.

- Zawsze pragnęłam mieć córkę, ale mój mąż nie chciał dzieci. Przekonał mnie, że to nas ograniczy, zburzy nasz styl życia - powiedziała Anne.

- A na czym polegał wasz styl życia? - spytała Sara, nalewając kawę.

- Na pracy. Wyłącznie praca. Miałam z tego powodu poczucie winy - przyznała. - Dlatego we wszystkich najdrobniejszych sprawach ustępowałam mężowi.

Anne uważała, że posiadanie dzieci to drobna sprawa?

- Rozumiem - mruknęła Carrie.

- Eric jest ode mnie młodszy o dziesięć lat - mówiła dalej Anne. - Ale wiek nigdy nie miał dla niego znaczenia. Bardzo mnie kocha.

- Z pewnością.

- Wyręcza mnie w prowadzeniu firmy, wiecie, w tych wszystkich sprawach związanych z zarządzaniem. Jest taki mądry. Zajmuje się też ubezpieczeniami. Dzięki niemu płacimy o ponad połowę mniej niż dotychczas.

Carrie nie rozumiała, dlaczego Anne akurat o tym mówi. Sara rozwiązała jej lewą rękę i podsunęła filiżankę z kawą.

- Nie ma mleka - usprawiedliwiła się - ale znalazłam trochę cukru, gdybyś chciała posłodzić.

- Nie, dziękuję.

Carrie miała dość - obie zachowywały się, jakby były na proszonej herbatce.

- Co my teraz, u diabła, zrobimy? - wybuchnęła.

- Znajdziemy sposób, żeby się stąd wydostać - odpowiedziała



jej Sara. - Wszystkie trzy jesteśmy inteligentne. Razem powinniśmy coś wymyślić.

Anne wydawała się w ogóle niezainteresowana tym tematem.

- Saro? Co miałas na myśli, mówiąc, że ja mogę być niewinna, przypadkową ofiarą?

Sara ponownie napełniła filiżankę.

- Jeśli nie znalazłaś listu na stoliku koło łóżka...

- Nie znalazłam - zapewniła szybko Anne.

- To chyba wiem, co się stało. Twój samolot wylądował kilka minut przed moim, pamiętasz?

- Tak.

- Mówiłaś nam, że byłaś wściekła, bo kierowca z ośrodka czekał na mnie przy wyjściu, a na ciebie nikt nie czekał, prawda? Potem w samochodzie mówiłaś, że gdybyś nie dostrzegła człowieka z nazwą Utopia na tabliczce, musiałabyś sama dźwigać bagaż i łapać taksówkę.

Anne potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak, pamiętam. Byłam naprawdę zła. Nadal mam zamiar wnieść skargę u kierownika. Powinni byli przysłać po mnie kierowcę.

- Dlatego - ciągnęła Sara, jakby nie słysząc utyskiwań Anne - jest możliwe, że wcale nie miałas brać w tym udziału. Jednakże - dodała szybko, nim Anne zdołała jej przerwać - nie zmienia to faktu, że umrzesz, kiedy ten dom wyleci w powietrze.

- Ale dlaczego? Nie zrobiłam nic złego.

- A my zrobiłyśmy? - oburzyła się Carrie.

Anne wzruszyła ramionami.

- Odpowiedz mi - zażądała Carrie. - Naprawdę uważasz, że zasługujemy na taką śmierć?

- Nie wiem - oświadczyła Anne. - Musiałaś zrobić coś straszniejszego, żeby aż tak rozgniewać swoją siostrę, a ty, Saro, mogłaś posłać do więzienia niewinnego człowieka.

Carrie już myślała, że Anne okaże trochę rozsądku, lecz jej uwagi świadczyły, że nadal buja w obłokach.

- Nadal nie rozumiem, po co mnie tu przywiózł - stwierdziła.

- Bo widziałas jego twarz - mruknęła Carrie. - Jak to możliwe, że prowadziłaś firmę? Zadajesz takie głupie pytania.

- Nie lubię cię. - Po dziecinnemu naburmuszona Anne sięgnęła po filiżankę z kawą.

- Dużo mnie obchodzi, czy mnie lubisz, czy nie.

- Drogie panie, to nas do niczego nie zaprowadzi - wtrąciła się Sara. - Anne, zabójca nie mógł cię zostawić. Poznałaś także mnie i gdybyś pojechała do uzdrowiska, natychmiast zaczęłabyś narzekać, a oni podnieśliby alarm... ponieważ najwyraźniej nie wysyłali żadnego kierowcy na lotnisko.

- Mogłabyś również podać policji rysopis tego człowieka. Zostawienie cię w spokoju było dla niego zbyt ryzykowne - wyjaśniła Carrie. - No i mogłabyś powiedzieć policji, dokąd nas zabrał - dodała Sara.

- Och, jestem pewna, że kłamał, mówiąc, gdzie nas wiezie. Cała reszta też była kłamstwem - powiedziała Sara. Jej głos tym razem zabrzmiał dziwnie słabo; było w nim zniechęcenie.

- Nie, w tej sprawie nie kłamał.

Carrie i Sara równocześnie spojrzały na Anne.

- Skąd wiesz? - spytała Carrie.

- Widziałam szylid. To była zniszczona metalowa plakietka na środku bramy. Kierowca nacisnął guzik na pilocie i kiedy brama się otwierała, zdążyłam przeczytać napis. Kraina Między Jeziorami. Nie kłamał.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - zauważyła Sara.

- Tyle że nic nam z tego - powiedziała Anne. - Nie możemy nikomu tego powiedzieć.

Carrie doznała nagłego olśnienia.

- O rany, ja powiedziałam.

- Co powiedziałaś? - dopytywała się Sara.

- Zadzwoiłam z lotniska do mojej siostrzenicy. Byłam w damskiej toalecie, kiedy sobie przypominałam, że w kieszeni mam komórkę, więc do niej zadzwoniłam. Włączyła się poczta głosowa, więc zostawiłam wiadomość, dokąd jedziemy na nocleg. Ależ jestem głupia. Gadałam bez końca o słynnych gościach, którzy mieszkali tu wcześniej. Monk, jeśli naprawdę tak się nazywa, musiał zrobić rozeznanie. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Dlatego opowiadał te głupie historie o gwiazdach filmowych. Wiedział, że będę pod wrażeniem. Jestem taka głupia.

- Wszystkie nas nabrał - pocieszyła ją Sara. - Powiedziałaś siostrzenicy, jak nazywa się ta posiadłość?

- Tak. Nie wiem, czy odsłuchiwała wiadomość, bo mogła już być w drodze na lotnisko. A jeśli on tam na nią czekał? - Głos jej się załamał i zaniósł się szlochem.

Sara sięgnęła ponad stołem i poklepała Carrie po ręce.

- Gdyby na nią czekał, to chyba by ją tu przywiózł, nie sądzisz? Może na to właśnie czekają - dodała z namysłem. - Może dlatego jeszcze...

- Jeszcze co? - podchwyciła Anne.

- Jeszcze nas nie zabili - dokończyła ponuro Sara.

- Ale mówiłaś, że zostawili nam jedzenie w spiżarni i w lodówce, z czego wynika, że chcą nas przez jakiś czas utrzymać przy życiu - zaprotestowała Anne.

Sara była odmiennego zdania.

- To jedzenie... ono mnie właśnie niepokoi. Nie wydaje wam się tym bardziej przerażające, że nie opróżnili szafek?

Carrie wcześniej nie odbierała tego w taki sposób, ale teraz musiała przyznać Sarze rację.

- Według mnie to oznacza, że mają zamiar wkrótce wysadzić dom. Nie pozwolą nam tu siedzieć, dopóki wszystkiego nie zjemy. Wodę też zostawili - zauważyła. - Musimy się stąd wydostać. - Ukryła twarz w dłoniach. - Muszę znaleźć Avery - szepnęła. - Jeśli ten potwór ją ma...

- Skup się na szukaniu wyjścia, Carrie, żebyś mogła pomóc siostrzenicy.

Anne wyprostowała się dumnie na krześle.

- Skoro obie przyznajecie, że jestem niewinna, pomogę wam i nie zrobię niczego głupiego w rodzaju otwarcia drzwi. Obiecuję, ale musicie to powiedzieć.

Carrie uniosła głowę.

- Co powiedzieć?

- Że jestem niewinna.

Rzecz jasna, dawała do zrozumienia, że Sara i Carrie nie są niewinne. Jej wyniosłe zachowanie było irytujące, ale po wymianie spojrzenia z Sarą Carrie uznała, że jeśli chcą, by Anne nie sprawiała kłopotów, muszą się z nią zgadzać.

- Tak, jesteś niewinna - powiedziała głośno.

Gdy Sara powtórzyła to samo, Anne zwróciła się znów do Carrie:

- Powinnaś się pogodzić z siostrą, wynagrodzić krzywdę, którą jej wyrządziłaś.

Och, jakże Carrie jej nienawidziła. Zaciskając zęby, słuchała fałszywych wywodów Anne.

- Rodzina jest najważniejsza ze wszystkiego. Ostatnio zrozumiałam tę prawdę. Móc się na kimś wesprzeć... na kimś takim jak mój mąż, kiedy przychodzi trudny moment w życiu... to bardzo ważne. Mam szczęście. Mój mąż mnie uwielbia. - Wyrażnie podniecona, zwróciła się bezpośrednio do Sary: - On podniesie alarm. Dzwoni do mnie codziennie. Jeszcze nigdy nie zapomniał zadzwonić. Powiedziałaś mu, żeby sobie nie zadawał trudu, kiedy będę w uzdrowisku, bo przez te wszystkie zabiegi trudno mu będzie mnie złapać, ale nie chciał nawet słuchać. Powiedział, że nie mógłby zasnąć, gdyby wcześniej ze mną nie porozmawiał. Nie rozumiecie? Wystarczy zaczekać, a mój mąż każe policji przeczesać całe Kolorado, żeby mnie znaleźć.

- Nie możemy czekać - sprzeciwiła się Carrie.

Sara dyskretnym gestem skarciła ją za niecierpliwość.

- Z tego, co mówisz, wynika, że jesteście wspaniałym małżeństwem - zwróciła się do Anne.

- O, tak. Jesteśmy bardzo szczęśliwi - zapewniła nieco wyzywającym tonem. - I będzie mnie szukał.

- Jestem pewna - powiedziała ugodowo Sara. - Możemy jednak nie mieć czasu czekać, żeby policja nas znalazła. Kolorado jest dużym stanem.

- Masz rację - zgodziła się z nią Anne. - Same musimy sobie pomóc. - Odwiązała sobie prawą rękę. - Co mogę zrobić? Nie przypuszczam, bym mogła być specjalnie pomocna, ponieważ dopiero co przeszłam długą chorobę. Schudłam i nie odzyskałam jeszcze sił. Ale jestem dobrą kucharką. Mogę przyrządzić coś do jedzenia.

- Doskonale - ucieszyła się Sara. - Dzięki, Anne.

Carrie nie była taka ufna. Może Anne odzyskała rozum, a może tylko udawała. Ryzyko było zbyt wysokie, żeby jej ufać. Carrie uznała, że albo ona, albo Sara muszą bezustannie mieć na oku tę kobietę.

- Czy ktoś jest głodny? - spytała Anne. podnosząc się z miejsca.

- Ja - zgłosiła się Sara.

Anne tym razem nie wykorzystała okazji, żeby poczynić złośliwą uwagę na temat tuszy Sary. Przeciwnie, przeprosiła ją za to, co powiedziała wcześniej, a przeprosiny zabrzmiały całkiem szczerze.

- Nie powinnam była nazywać cię tłustą świnią. Byłam zdenerwowana, ale to nie usprawiedliwia ranienia twoich uczuć.

- Saro, może zostaniesz tu, żeby dotrzymać Anne towarzystwa, a ja jeszcze raz przeszukam dom - zaproponowała Carrie. - Zacznę od samej góry i będę się posuwać w dół. Musiałam coś przeoczyć.

Wbiegając na schody, poczuła nieśmiały przeblysk optymizmu. Szybko przebrała się w elegancki dres, a potem zaczęła dokładnie sprawdzać każdy kąt. Wysoko w rogu jej sypialni znajdowało się małe okienko. Sporo czasu zabrało jej przysunięcie do ściany biurka, lecz choć się na nie wspięła, nadal nie była w stanie

sięgnąć tak wysoko. Zbiegła na dół, żeby wziąć krzesło z jadalni. Zauważyła, że Sara stoi przed podwójnie szklonymi oknami w salonie. Miała w ręku szminkę i pisała nią na szybie słowo „pomocy”.

Carrie ją powstrzymała.

- Jeśli Monk, czy jak tam ten drań się nazywa, umieścił na zewnątrz detonator...

- Dom wybuchnie w chwili nadejścia pomocy - dokończyła za nią Sara.

- Istnieje taka możliwość - potwierdziła Carrie, wracając z krzesłem na schody.

- Dam sobie z tym spokój - zdecydowała Sara. Poszła po ręcznik, żeby zetrzeć litery, które już napisała.

- A może by spróbować przeciąć szkło? - zaproponowała Anne.

Od dźwigania krzesła na biurko Carrie rozboleły ramiona. Udało jej się dopiero za trzecim razem. Aż się zasapała, tak bardzo brakowało jej kondycji. Próbując się wspiąć na szczyt tej piramidy, spadła, na szczęście lądując na łóżku. Oparła krzesło mocniej o ścianę i spróbowała jeszcze raz. Kiedy wreszcie sięgnęła okienka, wybuchnęła płaczem. Ten drań również tam umieścił przewody.

Postanowiła się nie poddawać, niezależnie od tego, jak beznadziejna jest ich sytuacja. Może pomysł Anne nie jest taki najgorszy. Może uda im się przebić przez szkło bez naruszania przewodów. Ocierając łzy z oczu, ostrożnie zaczęła skrobać brylantowym oczkiem pierścionka po oszklonych drzwiach. Po piętnastu minutach przerwała. Jedyńm rezultatem jej starań była niewielka rysa na szybie.

Zeszła piętro niżej i zabrała się za sprawdzanie pokoju Anne, a potem Sary. Spędziła długie godziny, próbując różnych rzeczy, dopóki w końcu nie zrezygnowała. Zmarnowała popołudnie i część wieczoru na bezowocne zmaganie się z niemożliwym.

## 12

Jilly okrążyła kamienną ławkę, ukrytą w grocie naprzeciwko sadzawki. Przystanąła na chwilę, żeby popatrzeć, jak instruktor ubrany w białe kimono demonstruje swoim uczniom jakieś wymyślne ćwiczenie. Gesty instruktora były pełne gracji, ale jego uczniowie musieli być nowcuzkami, bo poruszali się sztywno i niezgrabnie.

Skierowała się do miejsca, gdzie Monk zaparkował terenowego mercedesa. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, kwitły kwiaty. Nawet na tyłach parkingu ciągnęły się długie ukwiecone rabaty. Utopia rzeczywiście była cudowna i Jilly pomyślała, że kiedy będzie już po wszystkim, może wróci tu na tygodniowy wypoczynek.

Telefon zadzwonił dokładnie w momencie, kiedy siadała za kierownicą. Spodziewała się, że to Monk, więc odezwała się, nim jeszcze przebrzmiał pierwszy sygnał.

- Cześć, kochanie.

Monk się uśmiechnął. Uwielbiał jej nieco gardłowy głos i to, jak się do niego zwracała.

- Przyjechała już? - spytał.

- Tak, już ją wysłałam w drogę i sama też wyjeżdżam. Pojadę tym skrótem, który dla mnie znalazłeś, i będę na miejscu dobre czterdzieści minut przed nią.

- Dobrze ci się rozmawiało z córką?  
- Och, cudownie - parsknęła. - Boi się. Dziękuję ci, kochanie, że pozwoliłeś mi to zrobić. Jest tylko jeden mały kłopot.

- Tak?

- Avery nie była sama.

- Co? - rzucił ostro. - Kto z nią był?

- Jakiś mężczyzna. - Poprawiając telefon przy uchu, włączyła silnik i wyjechała z parkingu. - Z pewnością jej kochanek - stwierdziła domyślnie. - Musiałam go włączyć do naszej gry, bo on wie, że Carrie zniknęła. Poszedł z Avery do biura kierownika. Dobrze zrobiłam?

Wyczuł, że Jilly potrzebuje wsparcia.

- Tak, oczywiście, że dobrze zrobiłaś. Znasz może jego nazwisko? Wiesz o nim cokolwiek?

- Nie - przyznała. - Myślałam, żeby spytać recepcjonistę albo kierownika, ale postanowiłam z tym poczekać i najpierw z tobą porozmawiać. Chcesz, żebym wróciła i się dowiedziała, kim on jest?

- Nie, nie, nie rób tego. Zwróciłabyś tylko na siebie uwagę. Jesteś taka piękna, że ludzie by cię zapamiętali... i jesteś podobna do Avery. Ja sam się dowiem wszystkiego.

- Dobrze. Jesteś gotów na ich dwoje?

- Plan uległ zmianie.

- Tak?

- Sklep przy rzece jest otwarty i od rana panuje w nim wielki ruch.

- Jak to możliwe?! - zawołała. - Przecież sprawdzałeś. Właściciel został poturbowany przez niedźwiedzia i spędzi w szpitalu o najmniej następny tydzień. Sprawdzałeś - powtórzyła. Zaczynała się denerwować, więc pośpiesznie starał się uspokoić jej obawy.

- Wszystko będzie dobrze.

Nie poszło tak łatwo.

- Jak to możliwe, by sklep był otwarty?  
 - Kuzyn właściciela z Arkansas otworzył sklep dziś rano. Właściciel musiał widocznie go wezwać. To nie ma znaczenia - powiedział z naciskiem. - Po prostu przechodzimy na plan B. Pamiętasz, mówiłem ci, że zawsze mam w zanadru plan zapasowy, ilekroć biorę nowe zlecenie.  
 - Pamiętam - powiedziała z ulgą. - Jesteś taki mądry, kochanie. Każda pochwała wzbudzała w nim pragnienie, by ją zadowolić.  
 - Zaczekaj - rzuciła niecierpliwie do słuchawki. - Pakunek z czerwoną chustką Carrie. Nadal leży na ladzie?  
 - Nie, ale teraz to już bez znaczenia - odparł. Zdążył wszystko przemyśleć. Zgodnie z pierwotnym planem, mieli zwabić Avery do sklepu, kładąc na ladzie przy oknie dużą kopertę z jej nazwiskiem, którą musiałyby zobaczyć, zaglądając do środka. Nie mając wyboru, włamałyby się do sklepu. Monk miał tam na nią czekać, zabić ją i pochować w lesie, jakieś sto metrów za sklepem. Zadał już sobie trud wykopania dla niej grobu. Dziura była dość głęboka, żeby pomieścić również jej kochanka, ale teraz, kiedy sklep był otwarty i pełen klientów, nie mógł ich tam wciągnąć.  
 - Masz przy sobie portfel Carrie? - spytał.  
 - Tak, jest w mojej torebce.  
 - Świetnie - pochwalił. - W takim razie go użyjemy.  
 - Będę mogła pomóc? Obiecałeś mi - przypomniała.  
 Jak mógłby jej odmówić? Byłoby znacznie prościej, gdyby się zgodziła pozostać w ośrodku i pozwoliła, by sam wykonał robotę. Jilly skomplikowała mu życie, wymagała, by wszystko robił tak, jak ona sobie tego życzyła, ale było mu z nią tak cudownie, że niczego nie żałował. Próbował ją namówić na wysadzenie domu od razu zeszłej nocy, nim stamtąd wyjechali, lecz nawet nie chciała o tym słyszeć. Zależało jej na tym, by siostra się obudziła i dowiedziała się, kto chce ją zabić i dlaczego.  
 Monk niechętnie zostawiał tamte kobiety, ale nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie, a niespodziewany przyjazd

Avery jeszcze bardziej pokrzyżował mu plany. Nie przyznał się przed Jilly, jak niepokojące są te zmiany dokonane w ostatniej chwili, ale teraz, po dokładnym zastanowieniu się nad wszystkim, odzyskał pewność siebie. Żałował jedynie, że nie ma więcej czasu na dopracowanie szczegółów.

- Kochanie, słyszysz mnie? Będę mogła pomóc, prawda? Zapomniał o wątpliwościach.

- Oczywiście, że możesz pomóc. Chciałabyś znów porozmawiać z Avery?

- Och, z przyjemnością - powiedziała ze śmiechem. - Pędzę do ciebie. Właśnie skręcam w tę małą dróżkę, którą znalazłeś. Wkrótce tam będę. Już na miejscu powiesz mi dokładnie, jak mam z nią rozmawiać. Nie chcę znowu namieszać, tak jak w Wirginii, kiedy wzięłam samochód tej staruszki.

- Już dobrze. Nie martw się tym. Było, minęło. Poza tym jesteś nowicjuską - zachichotał. - Musiałaś popełnić kilka błędów.

- Chciałam cię zadowolić i pomyślałam, że jeśli ją unieruchomię, ułatwię ci pracę. Mógłbyś się włamać do jej mieszkania i tam ją zabić. Pomyślałam, że mógłbyś upozorować rabunek.

Rozmawiali o tym wcześniej chyba z dziesięć razy i za każdym razem zapewniał ją, że nie ma do niej pretensji. Nie powinna była najeżdżać na Avery tamtym samochodem, nie tylko dlatego, że sama narażała się na niebezpieczeństwo, ale też dlatego, że mogła ją zabić. Jilly była taka dumna ze starannie przeprowadzonych przygotowań. Sama odkryła zakurzonego starego cadillaca należącego do kobiety, która nigdy nim nie jeździła, i w taki sprytny sposób dostała się do jej mieszkania, by wykraść kluczyki. Nieźle się bawiła przebrana za policjantkę, zbierając datki na wdowi fundusz.

Jednakże Jilly nie dość dokładnie przemyślała swój plan. Kiedy łagodnie napomknął, że gdyby zabiła Avery, Carrie z pewnością odwołałaby swój wakacyjny wyjazd, Jilly była zgnębiona. Odtąd

zawsze się go radziła, żeby nie zrobić niczego pochopnie. Pochlebiało mu, że tak się z nim liczy i ceni jego zdanie.

- Spotkamy się w wyznaczonym miejscu. A teraz słuchaj, co masz zrobić - zaczął.

Słuchała go, coraz bardziej podniecona, w miarę jak wyjaśniał jej kolejne szczegóły planu. Kiedy skończył, zachichotała radośnie.

- Wspaniale, kochanie. Naprawdę wspaniale.

## 13

Nazywa się Dale Skarrett - powiedziała Avery. - I obecnie siedzi w więzieniu.

- Gdzie? - spytał John Paul.

- Na Florydzie. Parę lat temu wystąpił o zwolnienie warunkowe i pojechaliśmy z Carrie na przesłuchanie. Powiedzieliśmy przed komisją to, co miałyśmy do powiedzenia. Dlatego nie uzyskała zwolnienia.

- Zatem ma poważny powód, żeby wam obu życzyć śmierci.

- Właśnie.

- Co on właściwie zrobił?

Avery nienawidziła wywoływania tych wspomnień, bo rozogniały na nowo stare rany.

- Później ci wyjaśnię - próbowała go zbyć.

- Co zrobił? - powtórzył spokojnie.

Odwróciła się od niego i popatrzyła w okno.

- Zamordował moją babkę - odpowiedziała. Niespokojnie zerknęła na zegarek. - Zostało nam dwadzieścia trzy minuty, żeby dojechać Bóg wie dokąd. Czego powinniśmy wypatrywać?

Wiedział, że próbuje zmienić temat, żeby nie zadawał więcej niewygodnych pytań. W końcu musiała wszystko powiedzieć,

jeśli mieli ocalić skórę, ale postanowił na razie nie naciskać. To prawda, zostały im jeszcze tylko dwadzieścia trzy minuty.

- Szukamy wszystkiego, co się wyda nietypowe.

Wciąż wspinali się wyżej i wyżej, okrążając górę. Avery straciła poczucie kierunku, ale John Paul na szczęście zachował orientację.

Słońce znów zaświeciło przez gałęzie; teren nie był już tak gęsto porośnięty drzewami. Odniosła wrażenie, że zbliżają się do odkrytej polany lub do szczytu.

- Jeśli będziemy się dalej wspinać, dostaniemy krwawienia z nosa. Nie zimno ci? - spytała.

- Nie.

Wiedział, że zmarzła. Kilka minut wcześniej rozcierała sobie ramiona. Włączył ogrzewanie. Avery natychmiast ustawiła dmuchawy tak, by ciepłe powietrze na nią leciało.

- Jak sądzisz, co miała na myśli? - spytała zniecierpliwiona.

- Co?

- Kiedy powiedziała „bum”. Cały czas wyobrażam sobie tamte trzy kobiety przywiązane do krzeseł z materiałami wybuchowymi.

- Możliwe - przyznał. - Albo znajdują się w środku czegoś, co jest zaminowane.

- W tej okolicy jest mnóstwo jaskiń i starych szybów.

- To prawda. Są ich tu setki.

Znów sprawdziła czas.

- Dwadzieścia jeden minut.

- Wiem, że czas ucieka - mruknął z irytacją.

- Nie możesz jechać szybciej?

- Chcesz prowadzić?

- Nie - wycofała się. Uświadomiła sobie, że kieruje swój gniew pod niewłaściwy adres. - Przepraszam, nie chciałam cię krytykować. Wiem, że robisz, co możesz.

Przyszło jej nagle do głowy, że niewiele wie o człowieku, z którym tak ochoczo wskoczyła do samochodu. Nie, to nie była

do końca prawda. Wiedziała dosyć, żeby wierzyć w jego umiejętności. Pokazał, co potrafi, służąc w piechocie morskiej. Miała nadzieję, że jego umiejętności się przydadzą... jeśli wciąż je pamiętał.

Postanowiła się o tym przekonać.

- Byłeś dobry w tym, co robiłeś, zanim zawiesiłeś działalność? Zachnął się wyraźnie.

- O czym ty mówisz?

- Byłeś w wojsku.

Rzucił jej ostre spojrzenie.

- Skąd o tym wiesz?

- Kazałam przyjaciółce sprawdzić w służbowym komputerze.

Czekała na reakcję. W razie protestów zamierzała odpowiedzieć, że miała całkiem dobry powód, by naruszyć jego prywatność. O nic jednak nie spytał. Przez dłuższą chwilę w ogóle się nie odzywał.

- Kiedy to zrobiłaś?

- Kiedy cię sprawdziłam? Kiedy byłam w biurze kierownika ośrodka. Wyszedłeś poszukać Cannona.

- Po prostu mnie sprawdziłaś. - Robił wrażenie, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- Po prostu.

Przyjrzał jej się z nieukrywaną złością.

- Gdzie pracuje ta twoja przyjaciółka?

- W Quantico.

Aha. Nie najlepiej przyjęła i tę wiadomość.

- Cholera! - wyrwało mu się.

- Byłeś w piechocie morskiej.

Widziała, jak zaczerpnął powietrza, próbując się opanować. Był tak zły, że aż mu szyja poczerwieniała. Avery wcale się tym nie przejęła. Zrobiła, co musiała, a jemu pozostawało jako się z tym pogodzić. Mięśnie mu grały na zaciśniętych szczękach. Chryste, też był przystojny. Ta myśl wpadła jej do głowy całkiem nieoczekiwanie. Avery, opamiętaj się. Przecież możliwe, że ten

człowiek płaci alimenty sześciu byłym żonom. Porównanie do Henryka VIII jakoś nie przypadło jej do gustu. Niemożliwe, by w Stanach znalazło się sześć kobiet chętnych go poślubić. Mowy nie ma.

- Byłeś w piechocie morskiej - powtórzyła.

- I co z tego?

Musiała się przytrzymać deski, bo skręcił gwałtownie, żeby ominąć wystający pień drzewa. Drogę złobiły wprawdzie głębokie koleiny po innych pojazdach, ale wokół było tak pusto i... cicho, że Avery poczuła się trochę nieswojo. To było zupełnie obce jej środowisko. Jako mieszkanka wielkiego miasta zasypiała przy muzyce klaksonów i policyjnych syren. Tutejsza cisza wydawała jej się niemal ogłuszająca.

Roje owadów odbijały się od przedniej szyby. Avery wzięła do ręki zegarek i po raz kolejny spojrzała na tarczę. Zostało siedemnaście minut.

John Paul co chwila na nią popatrywał. Zapewne oczekiwał, że dokończy to, co zaczęła.

- To, że dobrze o tym wiedzieć - stwierdziła.

- Dlaczego?

- Marines są zaprawieni w bojach, a to może się okazać przydatne. - Przyjął jej odpowiedź bez słowa. - Dowiedziałam się też, że zostałeś zwerbowany do...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Słuchaj, wiem, kim byłem. Nie musisz się w to wgłębiać.

Niech to diabli. Miała nadzieję, że dopowie resztę, której nie znała. Brał udział w operacjach specjalnych czy w tajnych misjach? I na czym właściwie polegały jego szczególne umiejętności?

Zbierała myśli, udając, że wpatruje się w mapę. Nie dowie się, jeśli nie zapyta.

- Czym się właściwie zajmowałeś?

- Nie wiesz?

- Twoje akta były utajnione.

- No pewnie.

No tak, znowu ten ton wyższości.

- Nauczylesz cię być niemiłym, czy już się taki urodziłeś? Potrafisz w jednej chwili zrobić się odpychający.

- Avery, daj spokój.

- Nie boję się ciebie.

Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

- Boisz się.

- Akurat.

Uśmiechnął się, mimo podłego nastroju. Może rzeczywiście się nie bała. Pomyślał, że to ciekawe. I zaskakujące.

- Sądzisz, że ci dwoje są razem? Monk i ta kobieta, która do mnie dzwoniła?

- Nie wiem. Jeśli tamte trzy kobiety nadal żyją i jeśli je związał lub ukrył w jakimś niedostępnym miejscu, to może być z nią. Ma sporo na głowie - zauważył. - Jeśli te kobiety nadal żyją.

- Musi ich pilnować. I musi jechać za nami.

- Nie sądzę, żeby za nami jechał.

- Ale w jakiś sposób nas śledzi, prawda?

Przygryzł wargę, powstrzymując uśmiech.

- Jak? - Znał odpowiedź, ale był ciekawy, czy sama się domyśli.

- W tym zegarku jest jakieś urządzenie?

- Zgadza się. On dokładnie wie, gdzie jesteśmy.

Zadrzała. Morderca znał każdy ich krok.

- Nie powinniśmy się tego pozbyć?

- Nie, nie chcę tego robić. Powinniśmy wykorzystać to urządzenie na swoją korzyść. Zaczekajmy i zobaczymy, co się stanie, kiedy się zbliżymy do punktu X.

Avery wzięła do ręki swatcha i zaczęła uważnie oglądać.

- Jest tu pojedyncze zadrapanie, wskazujące, że ktoś w nim dłużył.

- Monk jest zawodowcem. Nie zostawiłby żadnych zadrapań.

- Więc on wie wszystko o systemach naprowadzających? Zna się na tym?



- Tak, zna się.
  - Skąd tyle o nim wiesz?
  - Czytałem jego akta.
  - Akta FBI? - Otworzyła szeroko oczy. - Skoro jesteś na zwolnieniu, to było to nielegalne.
  - Pewnie.
  - Johnie Paulu, możesz mieć niezłe kłopoty.
- Zabrzmiało to tak, jakby się o niego szczerze martwiła. Była pełną niespodzianek, a do tego, jak się okazywało, niezwykle pracowitą istotą. Musiał się mieć na baczności, bo czuł, że mógłby naprawdę ją polubić.
- Mam znajomych, którzy mogą mnie wyciągnąć za kaucją - uspokoił ją.
  - Na przykład swojego szwagra?
  - Skąd wiesz o Theo? - zdziwił się.
  - Powiedziała mi przyjaciółka, ta która przeglądała twoje akta.
  - Posiadanie krewnego na etacie w Departamencie Sprawiedliwości bywa użyteczne.
  - Nie lubisz swojego szwagra?
- Dziwne pytanie.
- Oczywiście, że lubię. Moja siostra go kocha i są razem szczęśliwi. Czemu mnie o to pytasz?
  - Mówiłeś o Departamencie Sprawiedliwości z pogardą.
- Uśmiechnął się pod nosem. Była bystra.
- Nieprawda.
- Postanowiła się z nim nie spierać.
- Myślisz, że ta kobieta, która do mnie dzwoniła, wynajęła Monka?
  - Możliwe, ale nie sądzę. Z tego, co o niej mówiłaś, wynika, że Monk pozwala jej decydować. Według mnie, ona jest raczej jego partnerką. To cholernie dziwne. Monk nigdy wcześniej nie bawił się żadne gry. Skąd nagle taki pomysł?
  - Nie mam pojęcia.

- Możemy zyskać trochę czasu, jeśli to ta kobieta decyduje o pewnych rzeczach. Może nie jest aż taką perfekcjonistką jak on.
  - Ona zna Carrie i mnie.
  - Czemu tak sądzisz?
  - Wiem to po tym, jak ze mną rozmawiała. Wymawiała imię Carrie ironicznym tonem. Nie lubi jej.
  - To raczej pewne.
  - Co oznacza, że miała z nią do czynienia.
  - A ciebie?
  - Nazwała mnie głupią. Czuję, że mnie także nie lubi - stwierdziła kwaśno.
  - Nie żartuj.
  - Może po prostu Skarrett jej o nas powiedział, ale mówiła w taki sposób... jakby to dotyczyło jej osobiście.
- Avery znów wzięła do ręki swatcha, a potem ostrożnie włożyła z powrotem do uchwytu na kubek. Wyobraziła sobie czerwone światełko w środku, pulsujące niczym serce. Poczowała ciarki na plecach.
- John Paul był dobrym kierowcą. Pozwoliła, żeby sam się martwił o to, by nie utknąć w błocie lub nie przebić opony na kamieniu. Przymknawszy oczy, odchyliła głowę na oparcie siedzenia i rozważała w myślach różne możliwości. Co przeoczyła? Odosiła wrażenie, że zna rozwiązanie tej szalonej łamigłówki, tylko nie potrafi po nie sięgnąć.
- Ile czasu zostało? - zapytał, a gdy odpowiedziała, rzekł: - Nie wiem, co nas czeka, więc słuchaj. Masz robić wszystko, co ci każe. Jeśli każe ci paść na ziemię, to nie dyskutuj, tylko padaj. Kiedy już znajdę to oznaczone miejsce, spróbuję je minąć i zjechać od tyłu. Ty zostań w samochodzie.
  - Muszę się pokazać.
  - Nie, wcale nie musisz.
  - Zwariowałeś? Oczywiście, że muszę. Ta kobieta powiedziała, c zabiją Carrie i resztę, jeśli się spóźnimy. Jeżeli nie pokażę twarzy...

- Czy ta kobieta dała ci jakiś dowód, że one nadal żyją?  
 Zażądałaś tego od niej?

- Nie - przyznała Avery. - Powinam, ale tego nie zrobiłam. Rozmowa była krótka, a ona nie pozwoliła mi zadawać pytań.

- Więc powinnaś była odmówić.

- Powiedzieć jej, że nie będę grać w jej grę?

- Właśnie - potwierdził. - Ja bym tak zrobił.

Pokręciła głową.

- Nie wierzę ci. Ale żałuję, że nie zażądałam dowodu. Powinam była.

- Powinam, mogłam... teraz jest za późno. Po mojemu mamy dziewięćdziesiąt procent szans na wpakowanie się w pułapkę, więc chcę...

- Powiedziałam ci, że nie mam wyboru - weszła mu w słowo. - Muszę się pokazać. Mam nadzieję, że uda mi się jakoś udobruchać tę szaloną kobietę.

- Udobruchać szaloną kobietę? To chyba z założenia niewykonalne?

- Nie bądź przemądrzałym...

- Przemądrzałym dupkiem? - Uniósł pytająco brew. - To chciałaś powiedzieć?

- Nie.

- W takim razie co? - spytał zaczepnie.

Przyjęła taktykę obronną.

- Słuchaj, jeśli chcesz wyjść za kaucją, nie mam nic przeciwko temu. Po prostu zawieź mnie do oznaczonego punktu i przyskaj.

- Nie mam zamiaru płacić kaucji.

- I dobrze - odpowiedziała, zła, że mógł wyczuć w jej głosie ulgę. - Wiem, że istnieje duża szansa, że Monk wykopał już dla nas groby, ale jeśli myślisz, że zamierzam się ukrywać po lasach, licząc, że wszystko będzie świetnie, to chyba straciłeś rozum.

- Próbuję tylko powiedzieć, że jeśli mi się uda, to może go zobaczę i będę w stanie go podejść.

- I nie chcesz się o mnie martwić. Wymagasz ślepego posłuszeństwa.

- Właśnie tak.

- Co dwie głowy to nie jedna.

- Masz za sobą trening przetrwania?

Punkt dla niego.

- Nie mam, ale i tak mogę pomóc.

- Jasne.

- Przestań mnie tak traktować. Mogę pomóc. Mam kilka własnych pomysłów.

- Nie wątpię.

- Co to miało znaczyć?

- Nieważne.

Zaczynała się gotować ze złości. Że też musiała trafić na takiego dupka.

- Wydaje ci się, że wszystko o mnie wiesz, co?

- Mniej więcej - przyznał nonszalancko.

Avery wbiła spojrzenie w drogę. Na szczęście nie miał dalszych uwag. Siedział w milczeniu, z posępną miną.

Nagle wydało jej się, że coś słyszy. Szybko opuściła szybę i nadstawiła ucha.

- Słyszałeś?

John Paul wyłączył dmuchawę ogrzewania, opuścił okno po swojej stronie i pokiwał głową. Dobiegł ich słaby, lecz wyraźny odgłos płynącej wody.

- Dojechaliśmy dalej, niż sądziłem, skoro jesteśmy w pobliżu rzeki. Może to jakiś dopływ? Brzmi jak wodospad.

Wjechali na następne skrzyżowanie. Było bardziej uczęszczane niż poprzednie. A na drzewie wisiała tablica, przybita gwoździami. Sklep *ostatniej szansy*. *Piwo i wypożyczenie tratw*. Pod napisem widniała strzałka wskazująca na zachód.

Droga schodziła łukiem w dół. Pokonując głębokie koleiny, przedarli się przez drzewa.

- Sklep musi być za tamtym zakrętem - powiedział John Paul. Przeciął drogę na ukos i wjechał w zarośla po drugiej stronie. Miejsca wystarczyło tylko na to, by zawrócić. Zadowolony, że nie widać ich od strony drogi, zaparkował i wyłączył silnik.

- Ile czasu nam zostało?

- Dwanaście minut - powiedziała. - Myślisz, że jesteśmy na miejscu?

- To musi być tutaj. RzUCA się w oczy.

Miał rację. Modliła się, żeby miał rację. Przez drzewa widziała zarys niewielkiego wiejskiego budynku. Stał na brzegu; podróżujący rzeką mogli się w nim zatrzymać dla zrobienia zapasów.

John Paul rozpiął pas, sięgnął pod fotel i wyjął pistolet. Na widok broni Avery bezwiednie otworzyła usta.

- Zostawiam kluczyki - oznajmił, nie zwracając uwagi na jej reakcję. - Jeśli usłyszysz strzały, zmykaj stąd natychmiast. Słyszysz?

Nie miała zamiaru go zostawiać, ale uznała, że jeśli powie prawdę, będzie się z nią kłócił, więc tylko pokiwała głową.

- Jest naładowany? - spytała, kiedy otwierał drzwi auta.

- No pewnie.

Musiała w duchu przyznać, że pytanie było głupie. Oczywiście, że był naładowany.

- Bądź ostrożny. - Przeniosła się na miejsce kierowcy.

- Daj mi zegarek.

- Zabierasz go ze sobą? - zdziwiła się.

- Myślisz, że go tu zostawię, żeby Monk dokładnie wiedział, gdzie jesteś? Daj mi go.

- Co masz zamiar zrobić?

- Iść na polowanie.

## 14

Czas uciekał. Avery już miała wyruszyć w ślad za Johnem Paulem, kiedy zniemacka otworzył drzwi samochodu. W ogóle nie słyszała, jak się zbliżał.

- Monka nie ma w pobliżu. Może jest w drodze, ale tu go nie ma.

- Zjedziemy tam, czy zjedziemy pieszo?

- Ja poprowadzę.

Wróciła na swoje poprzednie miejsce, uderzając się kolanem o deskę rozdzielczą. John Paul wśliznął się za kierownicę i włączył silnik.

- Skąd wiesz, czy nie ukrywa się gdzieś za drzewem albo krzakiem?

- Bo szukałem. Nie ma żadnych śladów.

- Dostrzegłbyś je?

- Oczywiście, że bym dostrzegł.

Jego pewność siebie dodała jej nieco otuchy.

- W porządku.

- Za sklepem, jakieś trzydzieści metrów na południe, jest przyczepa. a obok niej stara rozbita ciężarówka. W przyczepie nikogo nie było.

- Wszedłeś do środka?

Nie odpowiedział.

- W sklepie jest jakiś mężczyzna i kobieta. Kobieta rozmawia przez telefon w biurze na tyłach, a mężczyzna robi coś przy ladzie. Co chwila spogląda w okno, jakby się spodziewał towarzystwa. Kiedy tam byłem, wyjechał samochód dostawczy z mlekiem, a inny człowiek rozładowywał skrzynki z piwem. Było też trzech czy czterech klientów.

Wjechał na drogę i ruszył w dół z boczka. Broń trzymał na kolanach,

- Widzisz tego człowieka, który nam się przygląda? - spytał. - Po prawej stronie, przy drzwiach.

Zobaczyli młodą parę, wyprowadzającą ze sklepu dwóch małych chłopców, a potem mężczyzna zamknął drzwi od środka.

- Co jest, do diabła? - mruknął John Paul, kiedy ten sam człowiek odwrócił tabliczkę w oknie. - Zamknięte. Cholera!

Zaparkował tuż przy ścianie budynku, żeby Avery znalazła się pod jego osłoną podczas wysiadania z samochodu. Wyłączył silnik i wrzucił kluczyki do kieszeni džinsów. Kiedy okrążył samochód, Avery dostrzegła, że wsunął broń za pasek.

Usłyszeli głośne dźwięki rapowej muzyki; jakieś auto wjechało na parking. John Paul ostrożnie wyjrzał zza węgła. Z samochodu wysiadło czterech około dwudziestoletnich młodzieńców. Zaśmiewali się, popijając piwo. Na dachu starego chevroleta przypięte były dwa kajaki.

John Paul machnął do Avery, żeby została na miejscu, wycofał się i stwierdził:

- Sprawdzę jeszcze raz od tyłu.

Upewnił się, że mężczyzna przy oknie zobaczył, jak wchodzi do lasu, po czym zatoczył koło, przeskoczył barierkę przy tylnych drzwiach i zajrzał do środka. Kobieta, oparta o biurko, wciąż rozmawiała przez telefon.

Chociaż była znacznie młodsza, przypominała mu Ma Kettle ze starych filmów, które oglądał w telewizji jako dziecko. Miała na sobie brudne spodnie od dresu i kraciastą flanelową koszulę

> podwiniętymi rękawami. Przewracając kartki jakiegoś katalogu wysyłkowego, dyktowała do słuchawki kolejne numery. Nie zauważyła, że Jon Paul ją obserwuje. Cofnął się gwałtownie, słysząc, jak otwierają się wahadłowe drzwi na zaplecze. Mężczyzna wsunął głowę do środka, przytrzymując skrzydło, żeby go nie uderzyło.

- Chrystal, mamy problem - odezwał się z mocnym miejscowym akcentem. - Zajechały dwa samochody. Z jednego wyadło czterech pijaków. Pewnie chcą dokupić piwa, ale bardziej mnie martwi dziewczyna w drugim aucie. Zaraz zapuka do drzwi. Chyba widziała, jak na nią patrzyłem przez okno. Myślisz, że to ta?

- Chwileczkę - rzuciła Chrystal do słuchawki. Odwróciła się razem z obrotowym krzesłem, mierząc mężczyznę nieprzychylnym spojrzeniem. - Pewnie tak, ale ja jeszcze nie skończyłam z tym patalogiem, a obiecałeś mi, że będę mogła...

- A może to nie ona - przerwał jej. - Może tylko chce skorzystać ubikacji. Był z nią jakiś wielki facet, ale poszedł do lasu, pewnie żeby się tam odlać, jak ci czterej młodzi pijacy. Jeden z nich sika na petunie.

- Nie widzisz, Kenny, że jestem zajęta? Jeśli ta dziewczyna chce skorzystać z ubikacji, to kaź jej najpierw coś kupić i nie wpuszczaj jej tu na zaplecze. Zostało mi jeszcze dobre dziesięć stroń do przedyktowania.

- Nie wiem, czemu nie pomyślałaś o tym wcześniej. Musiałaś czekać na ostatnią chwilę?

John Paul wrócił przed główne wejście do sklepu; stał tam już, kiedy Kenny otworzył drzwi.

Avery szybko dołączyła do jego boku. John Paul wepchnął ją za siebie - nie miała nic przeciwko temu, by ją chronił. Tak się martwiła, że mogą być nie tu, gdzie trzeba, że nie potrafiła myśleć o niczym innym.

- Nie umiecie czytać? Zamknięte - burknął mężczyzna w drzwiach.

Avery wychyliła się zza pleców Johna Paula.

- To bardzo pilne - powiedziała szybko.

- No to musicie najpierw coś kupić.
- Proszę?
- Słyszała pani. Musicie coś kupić, a jak zapłacicie, to pozwolę pani skorzystać z ubikacji.

Kenny zachowywał się jak rozjuszony pies. Jego ufarbowane na niebieskawą czerń włosy wyglądały paskudnie w zestawieniu z brązowymi, krzacastymi brwiami. Ciemną kraciastą koszulę miał wepchniętą do spłóviałych czarnych dżinsów. Wielki brzuch przelewał się nad paskiem.

- Słyszała pani? - spytał, kiedy nie odpowiadała. - Nie ruszę się stąd, dopóki się pani nie zgodzi.

Zmienił jednak zdanie, kiedy John Paul się do niego zbliżył. Gdyby Kenny nie ustąpił z drogi, ten potężny mężczyzna pewnie by go stratował.

Z bliska Kenny wydawał się znacznie młodszy, niż John Paul przypuszczał. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć, najwyżej czterdzieści lat. I był całkiem zwinny. Nie spuszczał oka z Johna Paula, wśliznął się za ladę, jakby ta bariera miała go chronić.

Oparty obiema rękami o blat, nachylił się do Avery z uśmiechem. Na przednim zębie miał złotą koronę, która zabłysła w promieniach słońca, wpadających przez brudne okna.

- No dobrze, panienko. Powiem pani, co zrobię. Jest pani taka ładna, że dla pani złamię swoje zasady. Nie musi pani nic kupować. Zupełnie nic. Łazienka jest tam. - Wskazał na drzwi w odległym kącie pomieszczenia.

Avery pokręciła głową.

- Nazywam się Avery Delaney, a to jest John Paul Renard. Czy ktoś tu o nas pytał?

- Nie - odparł, trochę za szybko.

Kłamał. Wszystkie na to wskazywało - nie patrzył jej w oczy i był coraz bardziej zdenerwowany. I wrogo nastawiony. Prze-  
stępując z nogi na nogę, spode łba popatrywał na Johna Paula.

Nagle drzwi z hukiem uderzyły o ścianę. Avery i Kenny

odwrócili głowy, żeby zobaczyć, kto wchodzi, natomiast John Paul ani na moment nie spuszczał wzroku z Kenny'ego. Nie ufał mu ani trochę.

Trzej podchmieleni chłopcy wtoczyli się do sklepu i na widok Avery stanęli jak wryci. Czwartego było słychać - wymiotował przewieszony przez barierkę przy wejściu.

- Cześć! - zawołał jeden z nich. Inny próbował zagwizdać, ale miał kłopoty z odpowiednim ułożeniem warg; zamiast gwizdu z jego ust wydobyła się jedynie strużka śliny.

Dwaj chłopcy najwyraźniej byli braćmi, bo wyglądali podobnie i mieli identyczne orły wytatuowane na przedramionach. Najstarszy z całej grupy nosił niechlujną kozią bródkę i srebrny kolczyk w brwi.

- Sklep jest zamknięty! - zawołał Kenny.

- Nieprawda - zaperzył się Kozia Bródka. - Ich wpuściłeś - dodał, wskazując na Avery i Johna Paula. - Chcemy tylko trochę piwa.

- Właśnie, piwa - zawtórował mu jeden z braci.

Zataczając się, podeszli do szafy chłodniczej pod ścianą. Jeden z nich wpadł na dekoracyjnie ułożony stos puszek i rozrzucił je po całej podłodze. Kozia Bródka uznał, że to bardzo zabawne.

Kenny nie podzielał jego wesołości. Sprawiał wrażenie, jakby chciał kogoś zabić.

- Pozbierasz te puszki co do jednej i ustawisz tak, jak były. Słyszysz?

Jeden z braci zarechotał, gdy Kozia Bródka pokazał Kenny'emu środkowy palec.

- Wynocha z mojego sklepu! - ryknął Kenny i przeniósł swoją złość na Avery. - Skoro nie chce pani korzystać z mojej toalety nie zamierza nic kupować, to może też byćcie sobie już poszli.

- A może były telefony? - spytała Avery niecierpliwie. - Były jakieś telefony w mojej sprawie?

- Nie.

Jeden z braci stał w odległości trzech stóp od Avery, kołyszając się na nogach. Wpatrywał się w nią beczelnie.

- Przestań się na mnie gapić.

Uśmiechnął się głupawo, a potem wyciągnął w jej stronę obie ręce, najwyraźniej chcąc ją objąć.

John Paul już miał temu zapobiec, ale Avery go uprzedziła. Wymierzyła pijakowi kopniaka, szybko i bez wysiłku. Jej stopa trafiła go w brzuch, a siła uderzenia rzuciła nim o ścianę. Wylądował z głuchym łomotem, po czym bezwładnie osunął się na podłogę.

- Zostań tam. - Pogroziła mu palcem.

Pijacki uśmieszek nie zniknął mu z twarzy; był zbyt zamroczony, żeby poczuć ból.

- Mogę skorzystać z pańskiego telefonu? - zwróciła się ponownie do Kenny'ego. Kątem oka dostrzegła Kozia Bródkę i drugiego z braci przemykających pod ścianą. Każdy z nich niósł zgrzewkę piwa i torbę lodu. - Hej, wy tam! Usiądźcie koło swojego kolegi i bądźcie cicho, dopóki nie skończycie.

Kozia Bródka potrząsała głową.

- Nie będziesz mi mówić, co mam robić, laluniu.

- Nie mamy telefonu - mruknął Kenny.

- Oczywiście, że macie - sprostował John Paul, robiąc krok w jego stronę.

- Co się stało, Mark? - spytał drugi z braci.

Kozia Bródka zmierzał ku drzwiom, przekonany, że uda mu się przepchnąć między Avery i Johnem Paulem.

- Moja kolej - oświadczył spokojnie John Paul, jednym ciosem posyłając Kozia Bródkę głową naprzód na ścianę. Na Marka spadło najpierw piwo i lód, a potem lekko ogłuszony kolega.

Trzeciemu pijakowi nie musieli mówić, by dołączył do swoich przyjaciół; sam odstawił piwo i usiadł. Opierając się o ścianę, otworzył puszkę i pociągnął z niej potężny łyk.

Kenny zorientował się, że John Paul spogląda na telefon stojący na ladzie.

- Chciałem powiedzieć, że mamy telefon. Oczywiście, że

mamy, tylko nie działa. Linia jest zerwana, a sprowadzenie kogoś taki kawał drogi, żeby to naprawił, trwa całe tygodnie. Chyba pan zauważył, że siedzimy tu na zupełnym odludziu. - Mówił tak szybko, że poszczególne słowa zlewały się ze sobą.

Widząc, że jego tłumaczenia nie trafiają do Johna Paula, Kenny ponownie zwrócił się do Avery. Na jego oblicze powrócił fałszywy uśmiech.

- Pani towarzysz ma jakiś problem? - Nie przestając się uśmiechać, sięgnął pod ladę. Opuścił wzrok i prawie natychmiast zrozumiał, że nie powinien był tego robić, bo usłyszał cichy szczeł, a kiedy znów uniósł głowę, pistolet Johna Paula mierzył wprost w jego czoło.

- Chwileczkę, nie ma co... - wydukał Kenny.

- John Paul, potrzebujemy jego pomocy - przypomniała Avery.

- I w ten sposób ją uzyskamy - odparł. - Kenny, odwróć się i połóż ręce na ścianie. Avery, wyjmij jego broń spod lady.

Bez trudu odnalazła magnum na półce pod kontuarem. Wzięła je do ręki i obejrzała. Broń była załadowana, gotowa do strzału. Zabezpieczyła ją i sięgnęła po pudełko naboji leżące obok. Jedno i drugie włożyła do plastikowej torebki z rysunkiem wiewiórki.

- Co to tutaj robi? Ma pan pozwolenie na broń? - spytała Kenny'ego.

- Nie twój zakichany interes. - Już się nie silił na udawanie pocziwca. Sztydło wyszło z worka. - Nie muszę nikogo obsługiwać, jak nie chcę - warknął gniewnie. - A jak chcę trzymać naładowaną broń, to będę trzymał. Mogę się już odwrócić? Szyja ni zdrętwiała. Możecie skorzystać z telefonu. Po prostu... bałem się, że będziecie dzwonić na międzymiastową, a mój kuzyn George, który jest właścicielem, zobaczy rachunek i każe mi płacić.

- Gdzie jest teraz George? - zainteresowała się Avery.

- Zaatakowała go stara niedźwiedzica. Nie wiedział, że tu jest, dopóki nie zobaczył jednego z jej młodych - powiedział Kenny. - Mogę się odwrócić i opuścić ręce? Widzicie przecież, że się staram, no i macie moją broń.

- Pewnie - zgodził się John Paul.

Avery zmierzała do telefonu, kiedy kątem oka dostrzegła damski portfel, wystający z kosza na śmieci obok kasy. Schyliła się po niego i osłupiała. To był nowy czarny portfel od Prady. Carrie kupowała wszystkie produkty tej marki.

Kenny obserwował Johna Paula.

- Jeśli masz zamiar mnie obrabować, to uprzedzam, że nie mam za dużo gotówki. Może ze dwa banknoty studolarowe i ze czterdzieści drobnymi.

- Skąd masz te studolarówki? - zainteresował się John Paul.

- Od klienta.

- Nie przyjechaliśmy tu, żeby cię obrabować - powiedziała Avery. Otworzyła portfel, zobaczyła, że jest pusty, i pokazała Johnowi Paulowi. - Myślę, że należy do mojej ciotki.

Kenny zniecierpliwiony chwycił ją od tyłu i uniósł, osłaniając się nią jak tarczą. Ramiona miał twarde niczym stalowe opaski, ale klatkę piersiową miękką, niemal gąbczastą.

- Puść mnie - zażądała. - Nie mam czasu na takie rzeczy.

Kenny próbował się za nią schować, żeby John Paul nie miał możliwości strzału.

- Dopiero jak twój facet odłoży spluwę.

John Paul był zaskoczony, że Avery nie okazuje strachu. Jeśli już, to sprawiała wrażenie raczej poirytowanej.

- Mowy nie ma. Avery, będziesz musiała się przebrać.

- Dlaczego? - zaciekawiona przestała się wrywać.

- Bo całe ubranie będziesz miała zachlapanie krwią, kiedy zastrzelę tego sukin...

- Nie - przerwała mu stanowczo. - Kenny, wiem, że ten portfel należy do mojej ciotki i nie obchodzi mnie, że wyjąłeś z niego pieniądze. Ale musisz mi powiedzieć, skąd go masz. A najpierw mnie puść.

- Ani myślę - warknął jej wprost do ucha i wzmocnił uścisk. Trzymał ją tak, że dłonie miał splecione na jej brzuchu. Chwyliła

lego mały palec i szarpnęła, mocno odginając do tyłu. Równocześnie przyciągnęła podbródek do szyi, a potem gwałtownie uniosła i uderzyła go w twarz tyłem głowy. Rozległ się odgłos podobny do chrupnięcia, a potem jęk. Była wolna.

- Auu - wyrwało jej się. Zabolało. Masując tył głowy, podeszła do Johna Paula. To nie było aż takie proste, jak wygląda na filmach. - Co? - spytała, widząc na twarzy Johna Paula wyraz niedowierzania.

- Nieźle - pochwalił z uśmiechem.

Wywróciła oczami, a potem spojrzała na Kenny'ego, przewieszonego przez ładę.

- Muszę wiedzieć, skąd masz ten portfel.

- Należał do mojej żony, Chrystal. Znudził jej się, więc go wyrzuciła.

- Przestań kłamać. To sprawa życia i śmierci - powiedziała tonem pogroźki. - Naprawdę nie dbam o to, czy wyjąłeś z niego pieniądze - powtórzyła. - Ale muszę wiedzieć, skąd go masz.

- Już mówiłem... - Nie miał zamiaru do niczego się przyznawać.

Początkowy strach opuścił Avery, gdy tylko zobaczyła portfel, ponieważ teraz, wiedziała, że znaleźli się we właściwym miejscu. Nadal jednak serce ścisnęła jej niepokój, a do tego wzbierała w niej złość na Kenny'ego, który łąpał na nią złowrogo, przyciskając chusteczkę do krwawiącego nosa.

- Zaskarżę cię, suko - zagroził.

- John Paul, myślę, że jednak będziesz go musiał zastrzelić.

Kenny nie okazywał lęku, dopóki John Paul nie spytał Avery:

- A może by najpierw w kolano?

Na szczęście Kenny tym razem uwierzył.

- Chwileczkę - rzucił pośpiesznie. - Kiedy dziś rano otworzyliśmy sklep, znaleźliśmy z Chrystal paczkę z jej nazwiskiem. - Wskazała na Avery. - Leżała tu na ladzie, więc Chrystal postanowiła zajrzeć do środka.

- I? - ponagliła Avery.

- Była w niej tylko czerwona chustka. Miała zapach perfum, który się Chrystal nie podobał, więc włożyła ją z powrotem do koperty i wyrzuciła do śmieci.

- Skąd wzięłeś portfel? - naciskała Avery.

- Właśnie do tego zmierzałem - mruknął, nie kryjąc niechęci. - Po pewnym czasie przyszła jakaś kobieta. Dawała nowiutką setkę w zamian za tę paczkę z chustką, więc oddaliśmy. Wtedy porwała z półki nową kopertę, bez pytania o pozwolenie. Odwróciła się plecami, żebyśmy nie widzieli, co robi, i włożyła do środka ten portfel. Zakleiła kopertę, wypisała na niej twoje nazwisko i powiedziała, że da nam następną setkę, jeśli ci przekazemy, że do ciebie zadzwoni i że masz tu czekać na jej telefon.

- Ale otwarliście kopertę zaraz po jej wyjściu? - domyślił się John Paul.

- Nie tak zaraz, chociaż Chrystal nie mogła wytrzymać. Musiała zajrzeć do środka, a kiedy zobaczyła portfel wypchany pieniędzmi, to je wzięła. Każdy by tak zrobił.

Avery nie traciła czasu na uwagi natury etycznej.

- Co dokładnie powiedziała tamta kobieta od studolarówek?

- Już mówiłem, co powiedziała.

- To powtórz - rozkazał John Paul.

- Że do ciebie zadzwoni. - Kenny patrzył na Avery. - Tak powiedziała. Powiedziała, że wie, kiedy przyjdziecie do sklepu, i że masz czekać na jej telefon.

- I wcale nie zamierzałeś nam o tym mówić, co? - stwierdził John Paul. - Chciałeś nas odprawić, w ogóle nie wspominając o portfelu i o tej kobiecie.

Kenny nic nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami.

- Wcale nie było w nim tak znów dużo pieniędzy. Ledwie kilka dwudziestodolarówek.

- Niewartych złamanego nosa? - rzucił kpiąco John Paul.

- No dobrze, powinienem był wam powiedzieć i teraz żałuję, że tego nie zrobiłem - przyznał Kenny. - Kiedy moja żona

skończy rozmawiać przez telefon, ta kobieta na pewno zadzwoni. Musicie tylko poczekać.

- Gdzie jest twoja żona? - spytała Avery.

Odpowiedział jej John Paul.

- Na zapleczu.

Widząc, że Avery kieruje się w tamtą stronę, przytrzymał ją za ramię.

- Umiesz się posługiwać bronią?

- Nie zamierzam nikogo zastrzelić. - Wyswobodziła się z jego uścisku.

- Bądź ostrożna.

Wzięła sobie to ostrzeżenie do serca. Wolno odchyliła wahadłowe drzwi i zajrzała do środka. Jakaś kobieta siedziała odwrócona plecami do wejścia. Pochylona do przodu, trzymała przy uchu słuchawkę. Zbliżywszy się cicho, Avery usłyszała, jak mówi do telefonu:

- Nie, chcę pięć sztuk. Zgadza się. I jeszcze numer A3491. srebrne stereo ze stojakiem na kompakty. Osiem sztuk. Nie, niech będzie dziesięć. Tak. Mogę dyktować numer mojej karty kredytowej? Co? Aha, nazywam się Salvetti. Carolyn Salvetti. Zapłacę kartą kredytową American Express, ale chcę, żeby wszystko było przesłane do mojego domu w Arkansas.

Avery wpadła w furję. Podeszła do kobiety od tyłu i wyrwała jej słuchawkę z ręki. Chrystal poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że krzesło z hukiem uderzyło o ścianę.

- Kim ty... - wydukała.

Nie spuszczać oka z Chrystal, Avery powiedziała do telefonu:

- Proszę anulować to zamówienie. Ona się posługuje skradzioną kartą kredytową.

- Nie! - wrzasnęła Chrystal, kiedy Avery odkładała słuchawkę. - Nie masz prawa się wtrącać! Żadnego prawa! To moje prywatne biuro! Oddaj mi ten telefon!

- Oboje pójdziecie siedzieć.

- Chwileczkę, nie zrobiliśmy nic złego.



Chrystal miała oczy osadzone trochę za blisko siebie, a jej pełną, okrągłą twarz wykrzywiała wściekłość. Zbliżając się do Avery, rozglądała się nerwowo na boki, niczym szczur zapędzony do kąta, oceniając swoje szanse.

- Nie ma potrzeby od razu wzywać policji.

Była wyższa od Avery i cięższa o jakieś dwadzieścia pięć kilo. Widząc nagły błysk w jej oczach, Avery domyśliła się, że uznała, iż masa daje jej przewagę.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła ją Avery.

- To jest własność prywatna - niemal krzyknęła Chrystal, a potem rzuciła się naprzód.

Avery nie musiała się bronić. Po prostu zrobiła krok w bok i patrzyła, jak przeciwniczka pada na biurko. Otwarty katalog spadł na podłogę.

Co za niezdar.

- Zachowuj się - powiedziała Avery tonem nauczycielki strofującej dziecko. - A teraz wstawaj i chodź do sklepu. Szybciej! - krzyknęła, widząc, że Chrystal się nie rusza. Prawo jazdy Carrie i wszystkie jej karty kredytowe leżały na blacie biurka; brakowało tylko karty American Express. Dostrzegła, jak Chrystal chowają do kieszeni. - Nie poddajesz się, co? Oddawaj.

Chrystal rzuciła w nią kartą, którą Avery złapała w locie. Kiedy przechodziły do sklepu, Chrystal próbowała specjalnie pchnąć wahadłowe drzwi tak, by uderzyły Avery w twarz, ale jej się nie udało.

- Suka - mruknęła. Ujrawszy Kenny'ego, na nim wyładowała złość. - Mówiłam ci, że będą z tego kłopoty, ale nie chciałeś mnie słuchać.

John Paul wsunął broń za pasek dżinsów na plecach i spojrzał pytająco na Avery, wyraźnie oczekując wyjaśnień.

- Robiła przedwczesne zakupy gwiazdkowe, posługując się kartą kredytową mojej ciotki.

- Dobrana z nich para.

- To jeszcze jeden powód, by nigdy nie wychodzić za mąż - stwierdziła kwaśno Avery.

- Nie widzę żadnej potrzeby, żeby wzywać policję - powtórzyła Chrystal.

- A kto mówi o policji, Chrystal? - zdziwił się Kenny. - Po co ich w to wciągać?

- Nie ja, ty stary capie. Ta blondyna. To wszystko twoja wina, Kenny. Jeśli ktoś pójdzie siedzieć, to tylko ty. Ja już dostałam za swoje. Nie mówiłam ci, żebyś mi nie pozwalał otwierać tej paczki? Nie mówiłam? - skrzeczała jak zarzynana kura. - Zmusiłeś mnie do tego.

- Stul dziób! - warknął Kenny.

Chrystal wreszcie dostrzegła, w jakim stanie jest jej mąż. Siedział na ladzie, machając nogami, i przyciskał sobie do nosa chusteczkę. Zmierzyła też spojrzeniem Johna Paula.

- A to co za jeden? - spytała, nie kryjąc wrogości. - I czemu się skubiesz za nos?

- Za nic się nie skubię. Ta dziewczyna rozkwaśla mi gębę. Wezmę sobie adwokata i będę ją skarżył.

- Z więzienia? - ryknęła Chrystal. - Ty durniu! Nikogo nie będziesz skarżył!

John Paul miał dość towarzystwa tej uroczej pary. Podszedł do drzwi i stojąc z boku, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Nastolatek, który wcześniej wymiotował, teraz skulony spał przed progiem.

- Przestańcie się kłócić - zażądała Avery. Nieoczekiwanie usłuchali.

- Nie ma powodu, żeby na nas krzyczeć, panienko. Sama widzisz, że staramy się pomóc - odezwała się przymilnie Chrystal.

- Świetnie. Staracie się. Gdzie jest koperta?

- Ta, w której był portfel?

- Właśnie.

- Wyrzuciłam ją do kosza obok toalety. Był w niej tylko ten portfel, ale mogę ci ją przynieść, żebyś się sama przekonała. -

Bez pośpiechu przeszła przez sklep i po chwili wróciła z żółtą kopertą. Podając ją Avery, powiedziała: - Widzisz? Pusta.

Nos przestał krwawić, więc Kenny cisnął chusteczkę do kubła na śmieci, ale nie trafił.

- Powiedziałem wam wszystko, co mi mówiła tamta kobieta, ale ona jeszcze potem gadała z moją żoną.

- Faktycznie - przyznała Chrystal. - Była dosyć gadatliwa. Mówiła, że jedziecie na poszukiwanie skarbów. Nie za starzy jesteście na takie zabawy?

Avery miała ochotę rwać włosy z głowy. Ci ludzie doprowadzali ją do szału.

- Kiedy tu przyjechała, widzieliście jej samochód? Ktoś może na nią czekał?

- Miała ładnego nowego mercedesa - powiedział Kenny. - Ale w środku nikogo nie było. Tylko ta babka.

- Mówiła wam, dokąd nas wysyła? - dociekała Avery.

Wyraźny niepokój Avery spowodował, że Chrystal poczuła się mocniejsza.

- To zależy - rzuciła przebiegle.

- Od czego? - zdziwiła się Avery.

Chrystal potarła kciukiem o palec wskazujący - wyraźny znak, że chodzi o pieniądze. Avery nie miała w tej chwili cierpliwości, żeby z nią negocjować.

- Zostawiła też pewne wskazówki, ale Kenny i ja nie powiemy ani słowa więcej, dopóki się to nam nie będzie opłacało.

- Dobrze, John Paul. Wracamy do twoich metod. Możesz zastrzelić jedno z nich. To powinno skłonić drugie do mówienia.

Podobał mu się jej sposób myślenia. Wyciągnął broń i odbezpieczył.

- Macie jakieś preferencje co do osoby? - spytał obojętnym tonem.

Chrystal uniosła obie ręce.

- Chwileczkę. Nie chcemy przemocy. Lubimy spokój, prawda,

Kenny? Powiemy wam wszystko, co chcecie wiedzieć. Ta kobieta powiedziała, że przyjdzie tu pewna dziewczyna. Miała się nazywać Avery. To ty, prawda? To musisz być ty.

- Tak. Co jeszcze powiedziała?

- Że będziesz dzwonić i że wybiegniesz stąd w pośpiechu, ale co do tego chyba się myliła, nie? Bo ciągle tu jesteś.

- Nie mogą wybiec w pośpiechu, dopóki ona nie zadzwoni, głupia babo - prychnął Kenny.

- Wiesz, Avery, naprawdę mam ochotę ich zastrzelić. Skróć ich niedolę - powiedział John Paul.

Wiedziała, co czuł.

- Odłóż broń, John Paul.

Gdy tylko opuścił pistolet, Chrystal natychmiast się rozpoznała. Zdobyła się nawet na uśmiech.

- Kenny, oni będą potrzebowali zapasów na drogę. Ty zanieś wszystko do ich samochodu, a ja tymczasem podliczę w pamięci należność. - Zwróciła się wprost do Avery: - Macie gotówkę, prawda?

- Nie potrzebujemy zapasów - padła odpowiedź.

- Ale chcecie się dowiedzieć, w jakim kierunku ona was wysyła? Avery zrozumiała. Innymi słowy, musiała kupić zapasy.

- Tak - przyznała.

- Nie dawaj im żadnych rabatów, Chrystal. I żadnych kart kredytowych. Nie pożyczaj dość długo, żeby pieniądze zdażyły wpłynąć.

Chrystal przytaknęła skwapliwie.

- Ta kobieta wysyła was do pięciu piekieł.

Co miała na myśli?

- Nie wiem, jak sobie wyobrażacie pokonanie rzeki. Od czasu jak mamy te ciągłe ulewy, tylko głupcy próbowaliby płynąć tratwą - włączył się Kenny. - Utoniecie przy pierwszej kaskadzie. - Ta możliwość tak go rozbawiła, że zachichotał. - Choć-  
byście byli nie wiem jak doświadczeni.

- Faktycznie - zawtórowała mu Chrystal. - Utoniecie jak nic. Tak czy owak, tamta kobieta powiedziała, że zobaczycie tablicę z napisem i zaraz przy niej znajdziecie to, czego szukacie.

- Powiedziała, co będzie napisane na tablicy?

- Przeprawa Tchórze. Wszyscy miejscowi tak nazywają miejsce, skąd można popatrzeć na rzekę, jeśli ktoś się boi do niej zbliżyć. Dawniej był tam most linowy, dlatego nazywają je przeprawą.

- Będziecie musieli tam dojść na nogach - powiedział Kenny. - Znam ten teren od czasu, jak byłem chłopakiem. Nie ma tam żadnej ścieżki.

Chrystal była odmiennego zdania, więc między małżonkami wywiązała się kłótnia.

Avery sięgnęła po słuchawkę, ale w ostatniej chwili się zawahała. Pomyślała o jednym szybkim telefonie do Margo, żeby jej powiedzieć, gdzie się znajdują i co się dzieje. Czy powinna zaryzykować?

Kenny w końcu wygrał pojedynek na argumenty i nie zważając na dasy Chrystal, podał dokładne instrukcje, jak dotrzeć do Przeprawy Tchórze. Avery wyjęła z kieszeni mapę i poprosiła Kenny'ego, żeby zaznaczył trasę.

John Paul miał już dwie plastikowe torby pełne butelek z wodą i jedzenia. Wziął jeszcze dwa wysokokaloryczne batony, wrzucił je do mniejszej torby i skierował się do samochodu. Kenny wyskoczył zza lady i pobiegł jego śladem, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie zamierza odjechać bez płacenia.

Avery zapisała na kawałku papieru numer do Margo.

- Chrystal, chcę, żebyś pojechała do innego telefonu i zadzwoniła pod ten numer. Powiedz temu, kto odbierze, że tu byłam i dokąd zmierzam. Jeśli wykonasz ten telefon, dostaniesz dużo pieniędzy - obiecała. - Ale nie korzystaj z tego aparatu.

- Ile pieniędzy?

- Pięć tysięcy dolarów. - Wymieniła pierwszą sumę, jaka jej

przyszła do głowy. - A kiedy schwytemy tego człowieka, którego ścigamy, będzie tego dwa razy tyle i wszystko dostaniesz ty.

- Ile dokładnie?

- Dziesięć tysięcy. - Drugie kłamstwo przyszło łatwiej.

Chrystal miała podejrzliwą minę.

- Skąd mogę wiedzieć, że sama nie zgarniesz tych pieniędzy?

- Bo jestem z FBI. Mam legitymację w samochodzie. Chcesz, żebym po nią poszła?

- Powinam się była domyślić - prychnęła Chrystal. - Bo tak się rządziłaś i w ogóle. Nie musisz mi pokazywać odznaki. Wierzę ci. Wyglądasz na FBI, a poza tym to twoje karate... wtedy na zapleczu. Powinam była słuchać ostrzegawczych dzwonek, które mi się rozległy w głowie.

Jakie karate? Co ona plecie? Avery pamiętała tylko tyle, że usunęła jej się z drogi.

- Bystra jesteś.

- Wróćmy jeszcze do tych pieniędzy. To razem będzie piętnaście tysięcy?

- Jasne.

Chrystal przyjrzała się Avery z ukosa.

- I mówisz, że mam tylko zadzwonić?

- Tak. Zadzwonisz...

Chrystal przerwała jej w pół słowa. Patrząc na numer, oświadczyła z pretensją:

- Chwileczkę. To jest międzymiastowa. Mogę zadzwonić na koszt odbiorcy?

- Tak.

- Dobrze, zrobię to, ale muszę ci powiedzieć, że nadal nie rozumiem. Przecież mogłabyś skorzystać z tego telefonu. - Wskażała aparat na ladzie. - O co w tym wszystkim chodzi?

Avery nie marnowała czasu na tłumaczenie, że nie chce ryzykować na wypadek, gdyby linia była na podsłuchu.

- Po prostu nie możesz użyć tego telefonu. Odczekaj jakiś

dwadzieścia minut, wsiądź do swojej furgonetki i jedź do najbliższego automatu.

- Zapłacisz za paliwo?

Avery miała ochotę krzyknąć.

- Tak.

John Paul wchodził właśnie z powrotem do sklepu, kiedy telefon zadzwonił. Avery aż podskoczyła.

- To pewnie ona - stwierdziła Chrystal. - Nie mieliśmy zadnego telefonu, odkąd rano otwarliśmy sklep, więc to musi być ona. Mam odebrać?

Avery sama podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- Spóźniliście się - powiedział głos po drugiej stronie.

- Wcale nie. Byliśmy punktualnie. Kiedy przyjechaliśmy, kobieta, której zostawiłaś paczkę, korzystała z telefonu.

- Zgadza się.

Avery już wiedziała, że linia jest na podsłuchu. Całe szczęście, że nie próbowała porozumieć się z Margó.

- Dostaliście wskazówki, dokąd macie się udać?

- Tak. Chcę rozmawiać z Carrie.

- To niemożliwe.

- W takim razie skąd mam wiedzieć, czy jeszcze żyje?

- Carrie żyje... przynajmniej na razie. Od ciebie zależy, czy ona i jej przyjaciółki pozostaną przy życiu.

- Dlaczego to robisz?

- Żadnych pytań więcej - syknęła kobieta po drugiej stronie linii. - Bo odłożę słuchawkę. Rozumiesz?

- Tak.

- Jesteś na uroczej wyprawie po skarb i z każdym ruchem zdobywasz punkty. Nagrodą jest Carrie. Chyba chcesz ją jeszcze zobaczyć?

- Tak.

- To dobrze. - Parsknęła śmiechem. - Tak łatwo cię zadowolić.

Lepiej się pośpiesz, Avery. 214

- Jak długo...

- Spiesz się.

Rozmowa została przerwana. Avery miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Kiedy odkładała słuchawkę, Chrystal spytała niecierpliwie:

- To była ona?

- Tak. Chrystal, opisz mi ją.

- Chodzi ci o to, jak wyglądała?

- Właśnie.

- Była od ciebie starsza, ale nie taka stara jak ja i nie taka gruba. Kenny?! - zawołała. - Jak byś opisał tę kobietę?

Kenny wszedł do środka. Drapiąc się po szpeciniastej brodzie, przez chwilę myślał nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Nigdy nie potrafiłem ocenić dobrze czyjegoś wieku. Ale na pewno była piękna. Nieprawdopodobnie.

Chrystal przytaknęła.

- Miała jasne włosy. To trochę śmieszne, że mnie pytasz, jak wyglądała.

- Dlaczego? - zdziwiła się Avery.

- No... bo... - Chrystal wzruszyła ramionami. - Bo ona wy---dała prawie tak samo jak ty.

## 15

Chrystal powiedziała Kenny'emu, że dostaną dużą nagrodę, jeśli pojedzie do miasta i w imieniu Avery gdzieś zadzwoni. Kenny nie wierzył żonie i nie miał ochoty nigdzie jechać. Być może dlatego, że jego nos znów zaczął krwawić.

W przeciwieństwie do Avery, John Paul wcale nie był zainteresowany namówieniem ich do współpracy, bo wyczuwał, jak pracują ich pokretne ptasie mózdzki. Bonnie i Clyde od siedmiu boleści, pomyślał o nich z niesmakiem. Pchnął Kenny'ego na ścianę i spokojnie oznajmił mu, że go dopadnie i żywcem obedrze ze skóry, jeśli nie spełni prośby Avery. Tak po prostu. Kenny mu uwierzył, Chrystal również. W oczach Johna Paula wyczytali, że nie jest człowiekiem rzucającym słowa na wiatr.

Chrystal odskoczyła, kiedy John Paul ją mijał. Zrzuciła telefon z lady i natychmiast schyliła się, by go podnieść. Odruchowo przyłożyła słuchawkę do ucha, po czym zwróciła się do Kenny'ego:

- Nie działa.
- Chcesz powiedzieć, że telefon nie działa? - wychrypiął Kenny, wciąż z trudem łapiąc oddech.
- Właśnie mówię.
- To przez nią - stwierdził Kenny, wpatrując się oskarżycielsko

w Avery. - Musiała go zepsuć, po tym jak skończyła rozmawiać z tą kobietą. Widziałas, jak rzuciła słuchawką? Będziesz musiała zapłacić za naprawę - zagroził Avery.

Avery sprawdziła, czy Chrystal rzeczywiście mówi prawdę. Telefon był głuchy. Szybko działali. Musieli być przygotowani.

John Paul stał przy drzwiach, czekając, aż Avery zwróci na niego uwagę.

- Avery...

- Chwilkę. - Podeszła do chłopaków rozciągniętych na podłodze. Dwaj z nich, zwinięci w kłębek jak koty, spali w najlepsze, ale trzeci, zwany Markiem, siedział oparty o ścianę i obserwował każdy jej ruch z tym głupawym uśmieszkiem na stałe przyklejonym do piegowanej twarzy.

- Kto jest kierowcą?

- Co?

Kopnęła go w stopę.

- Kto prowadzi samochód?

- Ja.

- Dawaj kluczyki.

Nie przestawał się uśmiechać.

- Nie muszę. - Sięgnął do kieszeni i wyjął breloczek z kluczykami. Pomachał nimi na wysokości swojej twarzy. A potem zachichotał.

Wyrwała mu kluczyki z ręki i rzuciła na ladę.

- Chrystal, dopilnujesz, żeby ci chłopcy nie wsiedli do samochodu. Rozumiesz?

- Nie mam zamiaru być niańką. Oczekujesz, że będę tu stać i ich pilnować?

- Niech śpią na zewnątrz, ale nie dawaj im kluczyków. - Odwróciła się do wyjścia, ale John Paul powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Klienci - ostrzegł. Popatrzył przez okno na dwie starsze kobiety, ubrane na sportowo, wysiadające z forda. Odepchnął rękę Avery spoczywającą na klamce. - Nie idziesz ze mną.

- Ależ owszem, idę - upierała się.  
 - Posłuchaj - rzekł stanowczo. - Wrócisz do miasta z tymi kobietami i pójdziesz na posterunek policji. Zatrzymaj ten pistolet na wszelki wypadek.

- A ty w tym czasie pójdziesz do Przeprawy Tchorza?

- Tak. Jeśli uda mi się tam szybko dotrzeć, może znajdę dobre miejsce, żeby zastawić na niego pułapkę.

Pokręciła głową.

- Jeśli go zabijesz, nie będziemy w stanie odnaleźć Carrie i dwóch pozostałych ofiar.

- Ta kobieta wie, gdzie są.

- Sam wiesz, że ona wtedy zniknie. To zbyt ryzykowne. Poza tym jeśli Monk albo ta kobieta zorientują się, że mnie z. tobą nie ma...

- Nie będą wiedzieć.

- Musisz mnie ze sobą zabrać.

- Nie. To zbyt niebezpieczne i będziesz opóźniać marsz.

- Więc pojedę za tobą. Oboje dostaliśmy instrukcje od Kenny'ego. Znajdę Przeprawę Tchorza. Wezmę samochód tych nastolatków. Po prostu. - Dźgnęła go w pierś wyprostowanym palcem. - Potrzebujesz mnie, żeby go dopaść. A teraz zejdź mi z drogi.

Nie chciał marnować czasu na kłótnie. Doszedł do wniosku, że musi po drodze znaleźć jakieś miejsce, gdzie ją zostawi. Bezpieczne miejsce. Tak, to było najlepsze rozwiązanie.

Otworzył drzwi.

- Trzymaj się blisko mnie - szepnął, cofając się od progu, żeby przepuścić do środka dwie siwowłose kobiety.

Panie przeszły tuż obok pijanych chłopaków, zupełnie nie zwracając na nich uwagi, i skierowały się do toalety.

Avery zwróciła się do Chrystal, wyczuwając, że jest im przychylniejsza niż mąż.

- Jak długo, według ciebie, zajmie nam dotarcie do Przeprawy Tchorza?

- Nie dotrzecie tam przed zmrokiem - stwierdziła Chrystal. - Przez te deszcze wszystkie węższe drogi są rozmyte.

John Paul już miał wyjść, gdy zatrzymał go krzyk Kenny'ego.

- Hej, ty, zaczekaj! Chyba nie zamierzasz zabrać mojej broni? Muszę mieć coś do obrony, skoro jesteśmy tu sami na odludziu.

- Daj spokój, Kenny - odezwała się Chrystal. - George nigdy nie miał na nią pozwolenia.

Kenny poczerwieniał.

- Musiałaś otwierać swoją niewyparzoną gębę i o tym gadać?

- Ona i tak by chciała zobaczyć pozwolenie - broniła się Chrystal. - Oni zawsze o to pytają.

- Jacy oni?

- FBI. - Wymówiła każdą literę osobno, z wyraźną niechęcią.

- Co?! - wrzasnął Kenny. - Chcesz powiedzieć, że ta dziewczyna jest z FBI? - Wytrzeszczył oczy.

Mark wydał z siebie głuchy jęk.

- O matko, to nam się oberwie.

Nie zwracając uwagi na pijanego chłopaka, John Paul zamknął Avery drzwi przed nosem i spytał cicho:

- Jesteś agentką FBI?

Wzdrygnęła się na widok jego miny. Wyglądał na ciężko obrażonego, więc uznała, że na razie nie będzie mu niczego wyjaśniać. Może później...

- Odpowiedz - nie ustępował. - Jesteś agentką FBI?

Nie było szans, że da jej spokój, dopóki nie odpowie.

- W pewnym sensie - szepnęła, przełykając ślinę.

Zaraz potem Avery musiała w duchu przyznać, że Chrystal rzeczywiście jest gadułą, bo niepytana oświadczyła:

- Powiedziała mi, że zostawiła legitymację w samochodzie, ale może ją przynieść, jeśli chcę zobaczyć.

- Wychodzę - oznajmiła Avery. Zebrawszy w sobie wszystkie siły, spróbowała odepchnąć Johna Paula od drzwi.

Nawet nie drgnął.

- Porozmawiamy o tym później.

Poczekaj, aż ją przepuści, po czym dając wyraz dziecinnemu pragnieniu, by mieć ostatnie słowo, mruknęła:

- A właśnie że nie.

Wyjechali z parkingu pełnym gazem; drobne kamyki i grudy błota strzelały spod kół. Pędzili na złamanie karku, kierując się ku rzece.

- Zwolnij - zażądała, starając się uporządkować w głowie wskazówki dotyczące trasy. - Powinam była spytać Chrystal, ile kilometrów jest od sklepu do Przeprawy Tchorza.

- Będziemy musieli iść pieszo - przypomniał jej.

- Nadażę za tobą, niezależnie od tego, jakie nadasz tempo.

- Zobaczymy. Powiedz mi, co mówiła ta kobieta przez telefon?

Powtórzyła mu rozmowę, dodając:

- Chciałam rozmawiać z Carrie, ale powiedziała, że to niemożliwe.

Pokiwał głową.

- I mimo to nadal wierzysz, że ciotka żyje?

- Wierzę. Myślę, że ta kobieta chce utrzymać Carrie przy życiu... przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. - Nie potrafiła wyjaśnić, co jej daje tę wiarę. Może to była po prostu rozpaczliwa nadzieja. - Wiesz, czego nie rozumiem?

- Czego?

- Czemu zadają sobie tyle trudu, jeśli chcą mnie zabić? Czemu tak to komplikują? Mieli świetną okazję zwabić mnie w pułapkę, kiedy jechałam do uzdrowiska, zanim ty się w to wmieszałeś. Byłoby im znacznie łatwiej. - Uderzyła się otwartą dłonią w czoło. - No jasne. Nie wiedzieli, że jadę. Kiedy spóźniłam się na samolot, musieli improwizować. Ty byłeś kolejną komplikacją. Kręciłeś się po ośrodku, zadając pytania. Teraz to ma sens.

No tak, była zmęczona, dlatego nie od razu to do niej dotarło. Na chwilę zamknęła oczy, jeszcze raz odtwarzając w myślach ostatnią rozmowę telefoniczną.

- Ta kobieta... ona się dobrze bawi.

- Słucham?

- Słyszałam to w jej głosie. Była podniecona, nawet kiedy się na mnie złościła i nazywała mnie głupią. Ona nie chce, żeby to się zbyt szybko skończyło. Chce przeciągać zabawę. - Znów popadła w zamyślenie. - Lubi rozkazywać, więc dopóki gramy w jej grę, w poszukiwanie skarbu, jak ją nazywa, może ją dowolnie przedłużać.

Jechał tak szybko, jak na to pozwalała rozmiękła droga, stosując się do wskazówek. Avery w kółko analizowała wszystkie dane, jakie posiadała. Było ich tak niewiele...

- No dobrze, Avery - odezwał się znienacka John Paul. - Teraz jest później.

- Co?

- Teraz o tym porozmawiamy. Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mi, że jesteś agentką FBI?

- Bo dałeś bardzo jasno do zrozumienia, że nie przepadasz za tą instytucją.

- Tak? Niby kiedy?

- Kiedy byliśmy w gabinecie kierownika Utopii, zadzwoniłeś do swojego znajomego Noaha. Słyszałam, jak kazałeś mu wezwać posiłki.

- I co dalej?

- Dalej powiedziałeś mi, że spieszą śledztwo. Kiedy spytałam, czemu jesteś do nich tak nastawiony, nie kryłeś wrogości. Poza tym... - Poczula, że się rumieni. - Tak naprawdę to nie jestem agentką, przynajmniej na razie.

Zwolnił.

- Tak? To dlaczego mówisz ludziom, że jesteś? - Pokręcił głową. - Kto przy zdrowych zmysłach chciałby udawać agenta FBI?

Avery była wściekła, że musi się bronić. Do licha z tym upartym, zarozumiałym dupkiem.

- Zwykle nie mówię ludziom, że jestem agentką. Powiedziałam

tylko Chrystal, w nadziei, że skłoni ją do współdziałania. W przeciwieństwie do ciebie, nie używam brutalnej siły, żeby uzyskać to, czego chcę.

John Paul nie przejął się krytyką jego metod postępowania. Po co naprawiać to, co wcale nie jest zepsute? Brutalna siła zawsze świetnie się sprawdza.

- Robię to, w czym jestem dobry. Taka jest moja życiowa dewiza.

- Uważaj - ostrzegła, kiedy wyjechałszy zza zakrętu omal nie wpadł na jelenia. Ostro zahamował i szarpnął kierownicą, w ostatniej chwili omijając zwierzę. Samochód zakołysał się i podskoczył, ale nie wypadł z trasy.

Utrzymywanie na tej drodze dużej szybkości było zbyt niebezpieczne.

- Chrystal ma rację - rzekł, zwalniając. - Nie zdążymy tam przed zmrokiem.

- Myśl pozytywnie - poradziła.

- Dlaczego? - Wydawał się szczerze zaskoczony.

- Bo może wkrótce droga się poprawi - odparła.

Pokonali kolejny ostry zakręt. Przed nimi w dole ukazała się wyraźnie uczęszczana droga prowadząca na zachód. John Paul postanowił dotrzeć do niej na przełaj.

- Trzymaj się - polecił, ruszając w dół. Zbocze było strome, a poza tym musieli uważać na wystające kamienie.

Po którymś z kolei podskoku Avery obiema rękami uczepliła się fotela.

- Więc kłamałaś, że masz odznakę? - odezwał się po chwili.

- Mam w torbie legitymację.

- Ale nie jesteś agentką?

- Nie.

- Więc skąd masz tę legitymację?

- Naprawdę pracuję dla nich. Tyle że nie jestem czynnym agentem.

- To dobrze.

- Dlaczego? Bo nienawidzisz FBI?

- Nie, ponieważ się do tego nie nadajesz.

- Skąd możesz wiedzieć, do czego się nadaję? - Ależ on był irytujący. Ilekroć otwierał usta, mówił coś, co działało jej na nerwy. Jeszcze żaden mężczyzna nie zalał jej tak za skórę.

- Nie masz instynktu. Zanim się wkurzysz, obrazisz i zaczniesz kłócić, odpowiedz mi na jedno pytanie, ale bądź szczerą.

Splotła ramiona na piersi i spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

- Słucham?

- Przewidziałas, że Kenny może mieć pod ładą nabitą broń? Czy choć przez sekundę rozważałaś taką możliwość?

- Nie.

- No właśnie.

- Nie byłam szkolona na agentkę. Nie skończyłam akademii.

- To żadna wymówka. Albo się to ma, albo nie ma. Miałaś kilka dobrych posunięć - przyznał. - Kopniak, którym załatwiłaś tego dzieciaka, robił wrażenie. Ale i tak byłabyś beznadziejną agentką.

Przemilczała ostatnią uwagę.

- Na czym dokładnie polega twoja praca? - zainteresowała się.

John Paul zauważył, że znów się zarumieniła. Albo była zakłopotana, albo wściekła na niego. I niewątpliwie bardzo ładna. Do diabła, skąd mu to przyszło do głowy? Nie powinien myśleć o takich rzeczach, zwłaszcza teraz, kiedy wiedział, że ona reprezentuje to wszystko, czego tak nie znosił.

- Piszę na komputerze - odpowiedziała. Zła na siebie, że się przed nim tłumaczy, dodała szybko: - Nie ma nic złego w pisaniu na komputerze.

- Wcale nie twierdziłem, że jest.

- Jestem częścią bardzo ważnego zespołu.

- Ach, tak.

- Co?



- Dałaś się nabrać, prawda? Gra zespołowa. Pewnie też popierasz liberałów, co?

- W istocie, popieram. I wcale się nie wstydzę swojej pracy... To przyzwoite zajęcie.

- W porządku.

- Przestań być taki protekcjonalny. Nie zostałam zatrudniona w charakterze maszynistki, ale i tak głównie tym się zajmuję, całymi dniami. Wpisuję informacje do bazy danych. Możemy już zejść z tego tematu?

- W porządku - zgodził się bez oporów.

Zamilkł na dłuższą chwilę.

- O czym myślisz? - spytała.

- To dobra droga. Może dotrzemy do Przepawy Tchorza, zanim będzie ciemno. Przejdziemy kilka mil, znajdziemy jakieś zaciszne miejsce, gdzie mogłabyś się ukryć, a ja...

Nie dała mu dokończyć.

- Nie ma mowy. Coś ci powiem. Wysadź mnie, znajdź inną dobrą drogę i przy odrobinie szczęścia zdążysz przed nocą do Aspen.

- A po co miałbym jechać do Aspen?

- Myślałam...

- Aha.

Puściła zniewagę mimo uszu.

- Myślę, że powinieneś się wycofać, póki jeszcze możesz.

I powiadom FBI, dokąd zmierzam.

Zamrugął gwałtownie.

- Żartujesz sobie, tak?

- Nie, mówię poważnie. Co mogą zrobić, jeśli odejdziesz? Nic - stwierdziła, odpowiadając na własne pytanie. - Nie musisz się w to angażować. Oni chcą mnie, nie ciebie. Poza tym dzwoniłeś do Noaha, a on jest z FBI. Jestem pewna, że postawił na nogi miejscowy oddział i już są w drodze. Kiedy będziesz, miał sposobność, możesz zadzwonić do niego jeszcze raz i podać mu dokładne moje położenie.

- Mam okazję dorwać Monka, a ty myślisz, że... - Był tak zły, że aż się jąkał. - Wytłumacz mi, bo nie rozumiem. Naprawdę sądziłaś, że wysadzę cię na tym bezludziu i odjadę?

- Czyż nie to miałeś w planie?

- Do diabła, nie - oburzył się. - Miałem zamiar znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mogłabyś się ukryć do czasu, aż wrócę, miejsce, gdzie Monk nigdy by cię nie znalazł.

- Innymi słowy, miałeś mnie wysadzić na bezludziu i odjechać. - Nie dała mu czasu na zastanowienie. - Nigdzie mnie nie wysadzisz, chyba że chcesz wrócić do Aspen.

- Jesteś stuknięta, wiesz? Po prostu stuknięta.

- Rozumiem, że to znaczy, że nie wracasz.

Nie odpowiedział.

Odgarnęła włosy z twarzy i położyła sobie ręce na głowie.

- Chciałabym wysiąść z tego samochodu. Potrzebuję spokojnego miejsca, żeby pomyśleć.

- Nie możesz myśleć w samochodzie?

Wiedziała, że jej nie zrozumie. Siedząc w swoim boksie w pracy czuła się tak samo, jak podczas uprawiania jogi. Doprowadziła do perfekcji technikę oczyszczania umysłu, by skupić się do pojedynczego wprowadzania danych, podczas gdy jej ręce jakby samoistnie poruszały się po klawiaturze. Nie, nie mógł zrozumieć, a ona nie była w stanie mu tego wyjaśnić.

- Kto wygląda tak jak ty?

- Przepraszam, o co pytałaś?

- Tam w sklepie - powiedział. - Chrystal powiedziała, że ta kobieta wyglądała tak jak ty. Dlatego muszę spytać, czy przypadkiem nie masz jakiejś nienormalnej krewnej, która próbuje cię zabić.

- Nie. Mam tylko ciotkę Carrie i jej męża Tony'ego. Żadnej innej rodziny.

- Rodzice nie żyją?

Odwróciła się na siedzeniu i patrząc na jego profil, powiedziała:

- Nie wiem, kim był mój ojciec. Nie sądzę też, by kobieta, która mnie urodziła, to wiedziała. - Obserwowała go z uwagą, ciekawa, czy jej odpowiedź go zaszokuje. Zachował kamienny wyraz twarzy. - Zginęła w wypadku samochodowym wiele lat temu. Nie ma nikogo innego.

- Chrystal mówiła...  
- Słyszałam, co mówiła. Zdajesz sobie sprawę, do ilu kobiet pasuje taki opis?

Zerknął na nią z ukosa.

- Więc są naturalne?  
- Proszę?  
- Twoje włosy. Są naturalne?  
- Pytasz mnie, czy noszę perukę? - zdumiała się.  
- Nie, pytam o kolor. Jesteś autentyczną blondynką czy farbowaną?

- Co cię obchodzi kolor moich włosów?  
- Nie obchodzi mnie - odparł, nagle dziwnie poirytowany. - Ale tamta kobieta wyglądała jak ty, więc zacząłem się zastanawiać, czy...

- Nie, nie farbuję włosów.

Był zaskoczony i wcale tego nie ukrywał.

- Tak? A oczy?  
- Co z oczami?  
- Nosisz kolorowe soczewki kontaktowe?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Bez żartów.  
- Umyślnie starasz się być dupkiem?  
- Słuchaj, ja po prostu staram się w tym jakoś rozeznąć.

Kenny powiedział, że ta kobieta była piękna. Jej uroda zwałała z nóg.

- No i...? - ponagliła.

Wzruszył ramionami.

- Przeglądałaś się ostatnio w lustrze? Musisz wiedzieć...

- Co wiedzieć?

Zmarszczył czoło.

- No... że jesteś ładna, do cholery.

To był najbardziej wrogo i opryskliwie wypowiedziany komplement, jaki w życiu usłyszała, a co najdziwniejsze, wcale nie poczuła się urażona. I po raz pierwszy w ogóle nie czuła potrzeby, by wygłosić swój ulubiony wykład o tym, że wygląd nie ma najmniejszego znaczenia.

Skupiła się jednak na bardziej istotnym problemie.

- Nie mamy wystarczających danych, żeby formułować wnioski.

- Jezu, mówisz jak komputer. Wiele rzeczy do siebie nie pasuje.

Przyznała mu rację kiwnięciem głowy. Rozbolał ją brzuch; miała wrażenie, że w przełyku utkwiał jej rozżarzony węgiel. Sięgnęła po swoją torbę i wyjęła z niej lekarstwo, butelkę wody oraz dwa kaloryczne batony. Otworzyła butelkę, połknęła pigułki i popiła wodą. Następnie podała butelkę Johnowi Paulowi i rozpakowała dla niego jeden z batonów.

- Dzięki - westchnął, odrywając butelkę od ust. Odgryzł kawałek batona i znów się napił. - Smakuje jak tektura.

- Nie ma za co.

Jego uśmiech trwał nie dłużej niż pół sekundy, a jednak go zauważyła. I była zdumiona tym, jak na nią podziwiał. Jeszcze godzinę temu nie mogła ścierpieć tego człowieka, a teraz wcale nie uważała, by był taki okropny. Miał piękny profil... i był cholernie sexy. Nie było powodu udawać, że tego nie dostrzega, choć to niczego nie zmieniało.

Był też opiekuńczy. Wtedy w sklepie, gdy pobiegła na zaplecze, zachowywał się... jakby mu na niej zależało. Jakby się troszczył o jej bezpieczeństwo. Uznała, że to miło z jego strony. A jednak nie był takim znowu zimnym draniem.

- Będzie padać - stwierdził.

- Deszcz spowolni nasz marsz.

- Trudno. Słońce wkrótce zacznie zachodzić - dodał. - Zo-

stawię zegarek jakieś dwa-trzy kilometry stąd. A potem pojedzie my tak daleko, jak się da.

Zaparkował samochód i wziął do ręki zegarek.

- Co zrobiłaś z rewolwerem, który im zabraliśmy?
- Leży w torbie na podłodze.
- Wymij go i trzymaj na kolanach. Ćwiczyłaś strzelanie.

do celu?

- Nie.

Westchnął.

- Nie odbezpieczaj. To nie potrwa długo.

Zniknął, zanim zdążyła powiedzieć, żeby na siebie uważa! Kropelki deszczu pokryły przednią szybę. Wydawało jej się, że minęła godzina, nim zbiegł z góry do samochodu. Wraz z otwarciem drzwi do środka wpadł podmuch zimnego powietrza.

Gdy tylko zapalił motor, włączyła ogrzewanie.

- Gdzie zostawiłaś zegarek?
- Przypiąłem do gałęzi przy skrzyżowaniu. Jeśli Monk na teraz śledzi, to może zdołamy go zmylić i pomyśli, że wybraliśmy tę drugą trasę.

Prowadził uważnie, dziękując Bogu, że samochód ma napęd na cztery koła. Wspinał się zakosami pod górę, klucząc między pniami drzew. Kiedy zarośla stały się zbyt gęste, żeby posuwać się dalej, wjechał w bujną kępę sosen, zawrócił i tyłem wcisnął się głęboko w gęstwinę, tak by samochód nie był widoczny z biegnącej niżej drogi.

Wokół panowała już ciemność. Drobną mżawka przeszła w regularną ulewę. Avery aż się wzdrygnęła na ogłuszający grzmot pioruna.

- Masz broń na wszelki wypadek, jedzenie i wodę.
- Co to znaczy, że mam jedzenie i wodę? Myślisz, że mnie tu zostawisz?

Bez słowa otworzył drzwi.

## 16

Carrie zgnębiona opadła na sofę w salonie. Jilly i Monk pomyśleli o każdym możliwym wyjściu. Tak, zainstalowali przewody w każdym oknie... może poza jednym. Spojrzała w górę, na słoneczne światło wpadające przez świetlik nad schodami. Szklany prostokąt znajdował się jakieś dziesięć metrów nad nimi. Bezradnie potrząsnęła głową. Nawet gdyby ustawiły piramidę z szaf i stołów, nie zdołałyby się tamtędy wydostać.

Anne przygotowała posiłek z zapasów zgromadzonych w spiżarni; zjadły go w przynębiającej ciszy. Słońce zaszło i dom tonął w półmroku, rozjaśnionym jedynie świecami, które znalazła Anne. Żadna z nich nie chciała zapalać światła z obawy, że Jilly i Monk mogą je obserwować, a w olbrzymich oknach nie było zasłon. Sara wyraziła przypuszczenie, że Monk mógł zawiesić gdzieś kamerę video, żeby je podglądać. Ta możliwość tak zdenerwowała Carrie, że jeszcze raz sprawdziła cały dom, tym razem w poszukiwaniu kamery.

Kiedy wróciła na dół, Anne polegiwała na sofie, a Sara siedziała w fotelu.

- Niczego nie znalazłam - oznajmiła Carrie. - Szukałam wszę-

dzie. Zajrzałam nawet do oprawek na żarówki, tych, do których byłam w stanie dosięgnąć. Nie sądzę, żeby ktoś nas obserwował

- Co za różnica, czy nas widzą lub słyszą? - odezwała się Anne.

Carrie uznała jej pytanie za głupie, ale go nie skomentowała.

- Jeśli będziemy robić podkop w piwnicy, a oni nas zobaczą to wcisną guzik i od razu będzie po nas.

Kopanie w piwnicy, rzecz jasna, nie wchodziło w rachubę. Do zamkniętego na klucz wejścia do piwnicy przyklejona była duża kartka. Było na niej wypisane tylko jedno słowo, całkowicie wystarczające, by nie próbowały się tam dostać: „Bum”.

Sara i Carrie siedziały w milczeniu, zmęczone i przerażone patrząc przez okna, jak piękny krajobraz spowijają coraz dłuższe cienie.

Anne usiadła. Carrie zauważyła leżący obok niej na sofie plik papierów.

- Co to jest? - spytała.

- Wycinki z gazet. Znalazłam je w skrzyni w holu. Któryś z właścicieli domu musiał je zbierać. Proszę. - Podała Carrie zdjęcie młodej pary podczas wesela.

- Wyglądają na szczęśliwych.

- Pewnie byli szczęśliwi - powiedziała Anne. - A teraz sit rozwodzą i walczą o ten dom. Proszę, weź wszystkie artykuły zachęciła, wciskając Carrie resztę papierów. - To wstrętne. Czy któraś z was ma ochotę na deser?

Zachowywała się jak gospodyni przyjęcia. Carrie tak to rozbawiło, że zaczęła się śmiać, aż łzy nabiegły jej do oczu. Sara zawtórowała jej chichotem.

- Och, nie wiem, czy zmieszczę deser - powiedziała. - Po tej wytwornej kolacji z gotowanej fasoli i puszkowanych buraków czuję się całkiem pełna.

- Nie zapominaj o puree z kukurydzy - napomniała ją Anne. - Bardzo się starałam, żeby je doprawić odpowiednią ilością pieprzu

- Była bardzo smaczna - pochwaliła Sara.

- Zrobiłam inwentaryzację spiżarni - oznajmiła Anne. - Pomyślałam o brzoskwiniach z puszkki na deser. Może zjemy w kuchni przy świecach? Zaciągnęłam rolety, więc z podjazdu nikt nas nie zobaczy.

Ożywiona paplanina Anne wzbudziła w Carrie niepokój. Jej własny śmiech był objawem nadciągającej hysterii, ale u Anne nic nie wskazywało na histerię. Zachowywała się jak podczas miłego spotkania w gronie starych przyjaciół.

- Po deserze mam dla was niespodziankę - powiedziała Anne. Jej uśmiech przywiódł Carrie na myśl kota, który właśnie żezał kanarka.

- Chyba nie zamierzasz otwierać drzwi do garażu? One też są zaminowane - ostrzegła Sara. - Osobiście sprawdziłam.

- Czyli przeczytałaś kartkę na drzwiach? - zakpiła Carrie.

- No, tak - przyznała Sara obojętnie.

Carrie wyciągnęła rękę, żeby pomóc Sarze wstać z fotela.

- Trochę zdrętwiałam - usprawiedliwiła się Sara.

Anne zdążyła już pójść do kuchni; dobiegał stamtąd jej śpiew. Wyprzedzając Sarę, Carrie wyobrażała sobie Anne wspinającą się na granitową ladę, żeby otworzyć okno nad zlewem. Na szczęście nic takiego się nie działo. Anne otwierała jedynie puszkę z brzoskwiniami.

Carrie nie umiała przestać się martwić, że Anne nie pojęła jeszcze w pełni grozy sytuacji.

- Anne, chyba nie zamierzasz wyprowadzić nas w pole?

Anne parsknęła śmiechem, przypominającym odgłos tłuczonej porcelany.

- Raczej nie. Usiądź i odpocznij.

Carrie miała świadomość, że zrobiłaby wszystko, co Anne i Sara by jej kazały. Czuła się tak strasznie bezradna i zgnębiona. Zamartwiała się o Avery i choć nie chciała tego przyznać nawet przed sobą, tęskniła za Tonym.

- Tęsknię za mężem. - Zaskoczyła samą siebie, mówiąc to na głos. - Chyba go kocham.

- Nie wiesz tego? - zdziwiła się Anne. Ustawiła na stole kompotierki i zaczęła jedną po drugiej napełniać brzoskwi-  
niami.

- Myślałam, że mnie zdradza. Twierdził, że nie, ale mu nie wierzyłam. Jakaś kobieta wydzwaniała całymi nocami. Telefon jest po mojej stronie łóżka i zawsze ja odbierałam. Pytała o Tony'ego, ale kiedy on brał słuchawkę, podobno się rozłączała. A jeśli to była Jilly?

- Nie ufałaś mężowi.

- Nie ufałam.

Jadły w milczeniu. Carrie w duchu użalała się nad sobą.

- Wiecie, jaką mam nadzieję?

- Jaką? - spytała Sara.

- Że kiedy to nastąpi, wszystkie będziemy mocno spały i nic nie pocujemy.

- To przygnębiające - zauważyła Sara.

- Czy odgłos wybuchu obudzi nas, zanim ból płonącego...

- Przestań, Carrie - zażądała Sara. - Nie mamy czasu na takie grobowe rozmyślenia.

- Słuchajcie, jeśli chce...

- Drogie panie - przerwała jej tym razem Anne. - Jesteście gotowe na moją niespodziankę?

- Chyba jesteś pijana - mruknęła Carrie. - Znalazłaś jakąś nalewkę?

Anne puściła docinek mimo uszu.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat wybudowałam dwa domy. Ten drugi miał cedrową elewację - dodała z nerwowym śmiechem. - Oczywiście, wynajęłam firmę budowlaną, ale byłam na miejscu codziennie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak sobie życzę. Doprowadzałam całą ekipę do szaleństwa.

- Mogę sobie wyobrazić - zapewniła Carrie.

- Po co nam to mówisz? - spytała Sara.

- To było wprowadzenie do mojej niespodzianki - wyjaśniła Anne. Następnie, biorąc głęboki oddech, szepnęła: - Znalazłam.

- Co znalazłaś? - zniecierpliwiła się Carrie.

Anne promieniała zadowoleniem.

- Wyjście.

## 17

Tu ci będzie dobrze - powiedział John Paul do Avery.

- Co to ma znaczyć? Chcesz się przedzierać do Przeprawy Tchórza teraz? W ciemności... i podczas burzy? Zwariowałeś?

- Avery - zaczął.

Chwyciła go za ramię.

- W porządku, skoro tak postanowiłeś, idę z tobą.

Wiedziała, że będzie się sprzeciwiał, i miała rację. Z początku był prawie uprzejmy, tłumaczył jej, że będzie wstrzymywała go w marszu, a poza tym że nie chce się o nią martwić. Kiedy to nie skutkowało, przybrał ostrzejszy ton, posuwając się nawet do groźby, że ją przywiąże do kierownicy.

Nie przerywając mu, wychyliła się na tylne siedzenie, odzyskała czarną nieprzemakalną kurtkę, założyła ją na siebie, a potem grzebała w torbie, dopóki nie znalazła czapki bejsbolowej.

Upchnąwszy włosy pod czarno-pomarańczową czapką, zaciągnęła pasek z tyłu głowy, po czym zrzuciła z nóg tenisówki. Chciała się jak najlepiej wtopić w nocny mrok, a białe tenisówki byłyby zbyt widoczne.

Całe szczęście, że zabrała turystyczne buty. Wiedziała, że John

Paul śledzi każdy jej ruch, kiedy starannie przepakowywała płócienną torbę.

- Uważam, że to szaleństwo płatać się po nocy... tylko idiota by się na to zdecydował, ale skoro tak sobie życzysz, nie odstąpię cię na krok - oświadczyła.

- Zostaniesz tutaj - warknął przez zęby.

Udała, że nie słyszy.

- Nie zajdziemy daleko, a do tego któreś z nas może złamać nogę, wpadając do jakiejś dziury. Gdybym to ja decydowała, byłabym za tym, żebyśmy zostali w samochodzie do świtu. - Ułożyła tenisówki podeszwami do góry na ubraniach i zapięła torbę. - Rano moglibyśmy się przemieszczać w szybkim tempie - dodała na koniec.

- No cóż, to nie ty podejmujesz decyzje, tylko ja.

Ułożyła torbę z powrotem na podłodze i pochyliła się do przodu, niemal dotykając twarzą jego twarzy.

- Dlaczego?

Nie potrafił się złościć, kiedy się uśmiechała. Do diabła, jeszcze te rzęsy nad wielkimi niebieskimi oczami...

- Wszystkie maszynistki w FBI są takie przemądrzałe?

Próbowała ją onieśmielić, żeby poniechała sprzeciwu i pozwoliła mu robić to, do czego był szkolony. Plan był dobry, tylko że w jej przypadku zupełnie się nie sprawdzał.

- Wszyscy byli komandosami tacy okropni i uparci?

W ostatniej chwili powstrzymał uśmiech.

- Prawdopodobnie - przyznał.

- Idziemy czy nie? Marnujemy czas.

- Zaczekamy do świtu. I bez takich min, złotko. Już wcześniej postanowiłem zaczekać.

- Yhm.

Był na tyle mądry, by wiedzieć, że dalsza kłótnia nie ma sensu. Szczerze mówiąc, była jeszcze bardziej uparta niż on i szczerze mówiąc, zrobiło to na nim cholerne wrażenie. Nie dała mu wygrać

tej rundy, ale miał już w głowie plan następnej. Zamierzał się wymknąć przed świtem. Kiedy Avery się obudzi, będzie musiała zostać w samochodzie i poczekać na jego powrót.

A gdyby nie wrócił...

- Zostawię kluczyki w stacyjce.

- Dobrze.

- Przejdź na przednie siedzenie, żebym mógł rozłożyć oparcia.

Mam śpiwór - dodał. - Możesz z niego skorzystać.

- Oboje skorzystamy.

- Tak?

Wywróciła oczyma.

- Tylko nie pozwalaj sobie na fantazje, Renard.

- Fantazje? - Roześmiał się.

Kiedy siedzenia były już rozłożone, Avery rozścieliła śpiwór. Upchnęła buty pod fotelem, a potem ściągnęła kurtkę i rzuciła ją na podłogę. John Paul wyciągnął się na plecach, z nogami opartymi o deskę rozdzielczą. Sprawiał wrażenie, że jest mu całkiem wygodnie; splótł ręce na piersi, zamknął oczy.

Trzęsąc się z zimna, musiała przejść nad jego nogami, żeby się znaleźć po drugiej stronie. Szczękając zębami, ułożyła się obok niego. Nie mogła dosięgnąć kurtki, która leżała na podłodze. Przyszło jej do głowy, że dżentelmen w takiej sytuacji ogrzałby ją w swoich ramionach. John Paul nie był dżentelmenem, bo całkowicie ją ignorował.

Zawsze była dumna z tego, że nigdy nie narzeka. Zwykle całkiem dobrze znosiła mniejsze czy większe niedogodności, zachowując milczenie. Ale John Paul budził w niej to co najgorsze. Miała wielką ochotę zacząć marudzić i z tego powodu była bardziej zła na siebie niż na niego.

Weź się w garść, powiedziała sobie w duchu. Minutę później, kiedy już była pewna, że zamarzyły jej palce u nóg, szepnęła:

- Pieprzyć to.

- Co?

- Powiedziałam, że jest zimno.

- Aha.

- Co aha?

- Mógłbym przysiąc, że słyszałem coś innego.

On naprawdę lubił być grubiański i dlatego tak dobrze mu to wychodziło. Pomimo marnego samopoczucia uśmiechnęła się pod nosem.

- Nie uważasz, że jest zimno?

- Nie.

Jakby nie słysząc zniechęcającej odpowiedzi, powiedziała:

- Powinniśmy się nawzajem ogrzać. - Nawet nie drgnął. - Do licha, Renard, obejmij mnie, bo zamierzam. Na litość boską, mógłbyś być dżentelmenem.

Nadal się nie ruszał. Przysunęła się do niego, próbując ukraść choć trochę ciepła promieniującego z jego ciała. Był jak koc elektryczny.

- Rusz się - nie wytrzymała. Skrzywiła się na dźwięk własnego głosu - zabrzmiął jak u sierżanta przeprowadzającego musztrę.

John Paul z coraz większym trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Jeśli cię obejmę, złotko, może mi być trudno pozostać dżentelmenem.

- Zaryzykuję, złotko - przedrzeźniła jego akcent.

Uniosła się, żeby mógł wyprostować rękę, a gdy tylko to zrobił, przytuliła się do jego boku.

Otoczywszy ją ramionami, zrozumiał, jak bardzo musiało jej być zimno. Miał wrażenie, że trzyma bryłę lodu. Brodą dotykał czubka jej głowy. Miło pachniała. Chyba miętą. Odruchowo zaczął ją masować po plecach.

- Jesteś jedną wielką gęsią skórka.

Nie miała siły rozmawiać. Bijące od niego ciepło było takie błogie, że zamknęła oczy, pozwalając mu na niewinną pieśczętę. Podkoszulek podwinął jej się na brzuchu i zbyt późno poczuła, jak jego dłonie wsuwają się pod trykot. Dopiero kiedy wyczuł pod palcami bliznę, wzdygnęła się gwałtownie, uderzając go głową w podbródek.

- Cholera - jęknął. - Czemu mi to zrobiłaś? - spytał z wyrzutem, rozcierając szczękę.

Avery szybko obciągnęła podkoszulek i odsunęła się od niego  
- Śpij.

W okamgnieniu odgrodziła się od niego niewidzialną ścianą. Odwrócił się z powrotem na plecy i zamknął oczy. Co jej się stało? Wiedział, że to, co wyczuł pod palcami, to była blizna. Kto jej to zrobił?

- Zostaw mnie w spokoju - szepnęła.

Przygotowała się na walkę. W napięciu, wstrzymując oddech, czekała na pytania. W końcu musiała wypuścić powietrze. Dlaczego wciąż milczała? Dlaczego nie zadawał pytań?

Powtarzała sobie, że nie ma się czego wstydić, ale niewielu mężczyzn widziało lub dotykało jej pleców, więc dobrze zapamiętała ich reakcje. Najpierw zaskoczenie, a potem obrzydzenie. Najmocniej utkwіło jej w pamięci, jak jeden z nich, po którym się tego naprawdę nie spodziewała, wyraźnie się wstrząsnął. Potem, oczywiście, następowo było współczucie i zaczynały padać pytania... setki pytań.

Ale John Paul w ogóle się nie odzywał. Nie mogła dłużej znieść jego milczenia. Odwróciła się do niego i wsparta na łokciu, spojrzała na niego z bliska. Łobuz, miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby spał. Nie dała się nabrać.

- Otwieraj oczy, do diabła.

- Nazywam się John Paul, a nie „Do diabła”.

Czemu tak się zachowywał? Czemu nie zadawał pytań... i nie odsuwał się od niej? Wiedziała, że wyczuł nierówności blizny.

- No?

- No co? - westchnął.

Wzbierała w niej coraz większa złość.

- O czym myślisz?

- Wierz mi, złotko, wolałabyś nie wiedzieć.

- Ależ owszem, chcę. Powiedz.

- Jesteś pewna?

- Odpowiadaj - zażądała. - Chcę wiedzieć, co myślisz.

- Dobrze. Myślę, że jesteś wrzodem na tyłku.

Zastygła z otwartymi ustami.

- Co powiedziałeś?

- Słyszałaś. Powiedziałem, że jesteś jak wrzód na tyłku. O mały nie złamałaś mi szczęki. Najpierw pozwalasz, żebym cię ogrzał, a zaraz potem próbujesz mnie zabić.

- Nie próbowałam cię zabić.

Ostrożnie dotknął swojej brody.

- Mogłam stracić zęby.

Akurat.

- No dobrze... przepraszam. Po prostu się przestraszyłam i... Chwileczkę. Dlaczego ja cię przepraszam?

Posłała jej szatański uśmiezek, od którego jej serce zaczęło bić szybciej.

- Bo powinnaś - zanucił z uwodzicielskim południowym akcentem.

Był zarozumiałym, nieczułym draniem... więc dlaczego tak działał na jej zmysły? W świetle błyskawicy zobaczyła wyraźnie jego twarz. Jednodniowy zarost powinien mu nadawać niechlujny wygląd, lecz wcale tak nie było. Miała ochotę pogłodzić go po policzku. Jego przyjemny zapach też dziwnie ją rozpraszał. Pachniał jak iglaki zimą, jak świeżo ścięte drzewo. A kiedy ją ogrzewał, trzymając w ramionach... Był taki męski, taki... Przywołała się w myślach do porządku.

Podsunęła mu dłoń przed oczy, pokazując palcami odległość mniej więcej dwóch centymetrów.

- Tyle brakuje, żebym cię znenawidziła - powiedziała głosem stanowczym i odpowiednio zagniewanym. Do tego jeszcze pokławała głową, by wiedział, że wcale nie żartuje.

Nie wyglądał na przejętego ani tym bardziej onieśmielonego. Po prostu zamknął oczy i stwierdził od niechcienia:

- Jakoś to przeżyję.



## 18

Przejdziemy przez ścianę. - Oznajmiwszy to, Anne czekała na reakcję swoich towarzyszek niedoli. Sara zareagowała niedowierzaniem, Carrie irytacją.

- Jasne - mruknęła Carrie. - Posłużę się swoimi nadludzkimi kopniakami karate i wzrokiem przenikliwym jak rentgen...

- Daj spokój, Carrie, posłuchajmy, co Anne ma do powiedzenia - próbowała łagodzić Sara.

- Mówię wam, że to się może udać. Po wyjściu z samochodu podeszłam do muru i spojrzałam w dół. Zbocze opada łagodnie po tej stronie domu. Nie ma przepaści, takiej jak za oknami salonu.

- Mów dalej - zachęciła Sara.

- Zauważyłam też, że boki domu są z cedrowej okładziny, nie z kamienia jak front. W spiżarni jest ściana zewnętrzna, od środka wyłożona płytami imitującymi kamień. Proponuję, żebyśmy wybiły dużą dziurę przy podłodze, a rozwalając cedrową okładzinę, nie będziemy widoczne od frontu.

- Ależ Anne, tam musi być coś więcej niż ta płyta i drewniana okładzina - zauważyła Sara.

- Wiem dokładnie, co jest między tymi ścianami - powiedziała Anne tonem przechwałki. - Jest izolacja, ale ją nietrudno będzie

wyrwać, może jakieś instalacje, które możemy ominąć, i warstwa usztywniająca...

- I co jeszcze? - podsunęła Sara. Pochylona do przodu uważnie słuchała wywodów Anne.

- Belki konstrukcyjne. Zwykle są rozstawione co pięćdziesiąt centymetrów. Wszystkie zdołamy się między nimi przecisnąć.

- Jak zrobimy dziurę w tej wewnętrznej płycie? Pięściami?

- Użyjemy pogrzebacza od kominka - wyjaśniła Anne. - I noży do poszerzenia otworu. Zrobiłam inwentaryzację, noże są w kuchennych szufladach. Gdybyśmy zaczęły od razu, to kto wie... Do rana mogłybyśmy się stąd wydostać.

- Czas ucieka - wtrąciła Carrie. - Ja radzę, żebyśmy spróbowały wybić okno z nadzieją, że nie... - Urwała, kiedy Sara pokręciła głową i oceniła:

- Zbyt ryzykowne. Według mnie lepiej przyjąć plan Anne.

- A cedrowa okładzina?

- Z nią nie będzie tak ciężko, jak się wydaje - zapewniła Anne. - Panele są przybite gwoździami, ale wystarczy mocno w nie uderzyć albo kopnąć, to w końcu się oderwą.

- O rany, mamy plan - ucieszyła się Sara. Z uśmiechem uderzyła dłońmi o blat stołu. - Pewnie nie znajdziemy żadnej liny, żeby się opuścić, ale może wystarczą prześcieradła?

- Na filmach zawsze używają prześcieradeł - zauważyła Carrie.

- Naprawdę? - zdziwiła się Anne.

Carrie przytaknęła.

- Ty rzeczywiście nie oglądasz telewizji, co?

Anne zaprzeczyła ruchem głowy.

- Mogłabym się zająć prześcieradłami. Może zamiast robić węzły, udałoby mi się je jakoś spleść ze sobą... czy coś w tym rodzaju.

- Dobry pomysł - pochwaliła Sara. - Ja i Carrie w tym czasie będziemy pracować nad ścianą. Anne, jesteś genialna. Ja bym nigdy na to nie wpadła, żeby wyjść przez ścianę. Myślę, że to wykonalne.

- Musimy się stąd wynieść w nocy - powiedziała Carrie. - Nie bardzo mi się podoba myśl o wędrowaniu w ciemnościach po dzikim pustkowiu, ale gdyby nam się udało zejść z tej góry mogłybyśmy się dostać do drogi i wrócić nią do miasta.

Zabrzmiało to całkiem prosto. Czy to oznaczało, że jest naiwna, czy też że ich ucieczka mogła okazać się aż taka łatwa?

- Chyba powinnyśmy zabrać ze sobą parę ostrych noży powiedziała Sara. - Na wypadek spotkania z dzikimi zwierzętami

- Albo z Monkiem - wtrąciła Carrie. Nagle przebiegł ją dreszcz. - Chybabym wołała walczyć z dzikim zwierzęciem, niż wpaść na niego. Wiecie... - Urwała w pół słowa, zażenowana tym. co chciała wyznać.

- Co? - spytała Sara.

- Pomyślicie, że jestem okropna, ale uważałam, że on jest przystojny.

Sara parsknęła śmiechem.

- Ja też. Podobał mi się jego akcent. Myślicie, że był autentyczny?

- Mnie się tak zdawało - przyznała Carrie. - Uważałam, że jest zmysłowy.

Anne spokojnie przysłuchiwała się ich rozmowie aż do ostatniej uwagi Carrie. Wyraźnie zgorzona, nie była w stanie dłużej milczeć.

- Wstydź się, Carrie. Jesteś mężatką.

- Jestem zamężna, owszem, ale nie ślepa - próbowała się bronić Carrie. - Nie ma nic złego w podziwianiu męskiej urody. Ty z pewnością...

- Absolutnie nie - przerwała jej Anne stanowczo. - Nigdy bym nie obraziła Erica, pożądamc innego mężczyzny.

- Czy ja mówię, że go pożądamc?

- Przestańcie się kłócić - poprosiła Sara. - Kiedy was słucham, mam ochotę otworzyć drzwi.

## 19

John Paul zabrał zegarek, a potem przemierzył prawie dwadzieścia kilometrów. Zatoczył szerokie koło wokół punktu zaznaczonego na mapie, szukając znaków - wszystkiego, co mogłoby się wydać nienaturalne, na przykład snajper przyczajony w krzakach. Wreszcie zadowolony, że jest całkiem sam, ponownie zawiesił zegarek na gałęzi i wrócił siedem kilometrów do Przepawy Tchorza.

Nie miał żadnych wątpliwości, że jest we właściwym miejscu. Na świeżo wbitym w ziemię słupie znalazł przybitą gwoździami tabliczkę z ręcznie wypisaną nazwą „Przeprawa Tchorza”. Farba na tablicy nie zdążyła jeszcze dobrze wyschnąć, co oznaczało, że tablica nie mogła tam wisieć dłużej niż kilka dni. Strzałka nad napisem wskazywała na odeskowany nieczynny szyb kopalni. Do deski nad wejściem przybita była gwoździem jaskrawoczerwona damska chustka.

Nastał świt. Słońce powoli rozprasało mgłę. John Paul ukrył się za bezpieczną osłoną zarośli. Ze swego miejsca widział wlot szybu. Nie bardzo mu się podobała myśl, że miałby tam wejść. Czy możliwe, żeby te kobiety tam były? Uznał, że to mało prawdopodobne. Byłoby dziwne, gdyby Monk je porwał, a na-

stępnie dał Avery mapę z zaznaczonym miejscem ich przetrzymywania. Nie, Monk trzymał swój łup w dobrze zabezpieczonym schowku, to pewne.

Kiedy zamierzał uderzyć? Może się spodziewał, że będą chcieli wejść do szybu. Jak planował ich zabić? John Paul domyślał się, że przy użyciu środków wybuchowych. Tak, tego można było oczekiwać po Monku. Czysto i schludnie, podziemny wybuch którego nikt nie usłyszy, no i bez kłopotu z grzebaniem tego, co z nich zostanie.

No już, pokaż się, ponaglał go w duchu John Paul. Między linią zarośli a szybem było prawie trzydzieści metrów otwartej przestrzeni. Gdybyż tak się pojawił i dał mu okazję do jednego czystego strzału... John Paul starałby się go unieruchomić, tak aby móc go wypytać, dowiedzieć się, gdzie są kobiety.

Ktoś tam był. Potwierdzała to cisza panująca w lesie. Żadnych ptasich śpiewów, żadnych wiewiórek uganiających się za orzechami. Nic, tylko wiatr wygwizdujący w gałęziach smętną melodię i dobiegające z oddali grzmoty piorunów.

John Paul był cierpliwy. Umiał czekać tak długo, jak było trzeba. Niepokoił się tylko o Avery. Jak długo będzie spała. A kiedy się obudzi i stwierdzi, że go nie ma, czy będzie próbowała go szukać? Myśl o takiej możliwości przyprawiła go o ciarki na plecach. Wyobraził sobie, jak Avery wpada w pułapkę. Z całych sił starał się odepchać wizje, które podsuwała mu wyobraźnia.

Zdawało mu się, że coś usłyszał. Przechylił głowę, wyciągając słuch, ale dźwięk się nie powtórzył.

Co Avery mogła teraz robić? Jeszcze spała? Zostawił ją wtulona w śpiwór, z bronią pod ręką.

Do licha, ciężko mu było ją zostawiać. Zmuszał się, by o tym nie myśleć. Powtarzał sobie, że jest bezpieczna. Samochód stał ponad piętnaście kilometrów stąd, dobrze ukryty. Jednak choć bardzo się starał, nie umiał sam siebie przekonać, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Jak to się mogło stać, że tak szybko się do niej przyzwyczaił? I jak to u diabła możliwe, że aż tak mu się podobała? Należała do tych cholernych liberałów, była jedną z tych nawiedzonych, które chcą zbawiać świat. Co gorsza, uważała się za „gracza zespołowego”, a zespołem, w którym grała, było FBI.

Absolutnie, całkowicie i zasadniczo do siebie nie pasowali. Więc dlaczego siedział tu teraz i zamartwiał się o nią?

Monk mógł ich wyśledzić... Usłyszał trzaśnięcie gałązki. Odwrócił się bezszelestnie, próbując zlokalizować punkt, skąd dobiegł dźwięk. Musiał być oddalony o jakieś dziesięć lub piętnaście metrów, ale przy wzmagającym się wietrze trudno było ocenić dokładnie.

Na ponad pięć minut zastygł w całkowitym bezruchu. Potem znów usłyszał, tym razem cichy szelest liści. Przykucnęła na piętach, odnalazł wzrokiem miejsce, z którego dobiegł odgłos, i wycelował.

A potem zobaczył niebieskie oczy wpatrujące się w niego spomiędzy ostrożnie rozchylonych gałęzi.

Aż się zatrząsał ze złości. Przecież niewiele brakowało, a byłby ją zabił. Co jej wpadło do głowy, żeby się za nim skradać? Gdyby nie to, że się nie poruszała, no i pokazała, mogłby ją zastrzelić. Przeklinając w duchu, opuścił broń.

Dzięki Bogu, że nic jej się nie stało. Myśl była dziwna, zważywszy na fakt, że miał ochotę urwać jej głowę.

Z trudem się powstrzymywał, by na nią nie krzyczeć. Uniósł rękę, nakazując jej pozostanie w miejscu. W odpowiedzi wolno pokręciła głową i wskazała za siebie.

Zbliżył się do niej w milczeniu.

Avery wiedziała, że jest wściekły. Zaciskał szczęki tak mocno, że aż drżały mu mięśnie w policzkach. Ostrożnie podniosła się na kolana i pochylając się do jego ucha, szepnęła:

- Znalazł samochód.

Usłyszał jakiś ruch, a zaraz potem dostrzegł błysk stali między drzewami, jakieś pięć metrów od nich. Skoczył jak lew.

Avery nie miała czasu zareagować. Dopiero co szeptała mu do ucha, a w następnej sekundzie leżała płasko na ziemi, z twarzą w zeschniętych liściach, przygnieciona jego ciałem. John Paul strzelał Grudki ziemi podskakiwały wokół jej głowy, przyklejając się do włosów.

Nie przestając strzelać, przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą.

- Uważaj - rozkazał.

Już po pierwszym wystrzale wiedział, że Monk dysponuje bronią wysokiej jakości. Zapewne wyposażoną w któreś z tych wymyślnych udogodnień w rodzaju noktowizora. Wystarczyłaby draniowi jedna sekunda do czystego strzału. No, może dwie.

Domyślał się, że Monk usiłuje ich zmusić do ucieczki na otwartą przestrzeń, odcinając im drogę odwrotu.

Avery bez sprzeciwów spełniała polecenia. Przeczłoła się na prawo, poza zasięg gęsto padających kul. John Paul szybko podniósł ją z ziemi i osłonił własnym ciałem.

- Idziemy - szepnął. Przytrzymując gałęzie, by nie smagały jej po twarzy, popychał ją przed sobą. Potykając się na nierównościach, biegli pod górę, klucząc w labiryncie drzew. Huczało jej w uszach; była przekonana, że to łomot jej własnego serca.

Myliła się. Dotarła do wielkiego głazu. Na czworakach wspięła się po mokrej, śliskiej powierzchni... i stanęła jak wryta.

Dobry Boże, po drugiej stronie była przepaść, głęboka na co najmniej kilkanaście metrów, a na jej dnie pieniała się woda.

Wiedziała, że nie mają wyboru. Przed nimi w dole ryczała wodna kipiela, a od tyłu zbliżał się gotowy na wszystko morderca. Spoglądając na spionioną otchłań, Avery pomyślała, że jednak większą szansę przetrwania daje im spotkanie oko w oko z Monkiem.

Rozpięła kieszeń kurtki i wyciągnęła rewolwer. John Paul zmienił magazynek w swoim pistolecie, sprawdził, co jest po drugiej stronie głazu, po czym umieścił broń, jedną i drugą, w kieszeniach Avery, i starannie zasunął zamki.

Domyślała się, co się święci, i wcale jej się to nie podobało.

- Zostajemy i walczymy - powiedziała stanowczo.

Zaprzeczył ruchem głowy. Próbowała zaprotestować, gdy nagle oboje usłyszeli, jak Monk przedziera się przez zarośla. Strzelał na oślep, za to bez przerwy. John Paul objął Avery w pasie niedźwiedzim uściskiem. Odbijając się od głazu, już niemal w locie, spytał:

- Umiesz pływać?

## 20

Czy umie pływać? Miał czelność zadać jej to pytanie już po tym, jak skoczył w przepaść, trzymając ją w ramionach. Avery nie krzyczała. Nie przebiegały jej też przed oczyma sceny z życia podczas tego długiego lotu. Była zbyt zajęta okładaniem Johna Paula pięściami, starając się, żeby ją puścił. I zbyt przerażona, by wydusić z siebie jakikolwiek dźwięk. W głowie miała tylko jedną myśl: „Dobry Boże, nie daj nam utonąć”.

Wpadli, najpierw nogami, do lodowatej wody. Avery miała wrażenie, że tysiące igieł przebija jej stopy i z prędkością światła przemieszczają się w stronę mózgu. Siła uderzenia była obezwładniająca.

John Paul ani na moment jej nie puścił. Ani wtedy, gdy zanurzali się, wessani przez kipieli, ani gdy rozpaczliwie walcząc z żywiołem, przedzierali się ku powierzchni, wciskani w głąb przez spadające z katarakty zwały wody. Kiedy Avery już była pewna, że zaraz pękną jej płuca, udało im się wynurzyć, lecz tylko na krótką chwilę, wystarczającą do nabrania powietrza, bo zaraz znowu porwał ich prąd.

Dostrzegła niedźwiedzia, przyglądającego im się z brzegu. Mogłaby przysiąc, że się uśmiechał. Nie chciała, by ten widok był jej ostatnim przed śmiercią. Chciała przetrwać, choćby po to,

by móc się zemścić na Johnie Paulu za to, że próbował ją utopić. Znowu poszła pod wodę, jakby coś trzymało ją za kostki i ciągnęło w dół. Jeśli chciała przeżyć, musiała się bardziej postarać. Dorastała, pływając w oceanie, najpierw na Florydzie, później w Kalifornii, była świetną pływaczką... tylko że to nie było pływanie. Woda rzucała nimi, jakby byli z korka.

Ponownie udało im się wynurzyć. Łapiąc powietrze, Avery dostrzegła wielki powyginany konar, unoszący się na spienionej wodzie. Kiedy przepływał obok nich, chwyciła się go obiema rękami.

Rzeka wiała się zakolami, ale na szczęście prąd spychał ich coraz bliżej brzegu. Trzymając się konaru i z całych sił przebijając nogami, dotarli w końcu do przybrzeżnej płycizny. John Paul pomógł jej wyjść z wody.

Leżeli wyciągnęci obok siebie na trawiastym zboczu, zbyt wyczerpani, żeby się poruszyć. Avery oddychała głośno; trzęsła się tak gwałtownie, że zęby jej dzwoniły.

- Nic ci nie jest, złotko? - spytał, również ciężko dysząc.

Poderwała się do pozycji siedzącej i omal nie zwymiotowała. Miała wrażenie, że wypiła połowę rzeki.

- Umiesz pływać? - wykrztusiła między spazmatycznymi oddechami. - O to mnie spytałeś po tym, jak mnie zepchnąłeś z tego gązdu?

- Więc słyszałaś? - Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął jej z oczu mokre włosy.

Obejrzała się na ryczącą rzekę. Pomyślała, że ocalenie bez wątplenia zawdzięczają opiece boskiej. Inne wytłumaczenie po prostu nie istniało.

- Teraz już wiemy, jak wygląda piąte piekło - powiedziała.

On także usiadł.

- Co?

- Wynika z tego, że nadają tym kataraktom odpowiednie stopnie - wyjaśniła. - Ta musiała być najgorsza.

Pokręciła głową z niedowierzaniem. Dopiero co omal nie utonęły, a ona zastanawiała się nad nazwami, jakie miejscowi nadają kataraktom?

- Uderzyłaś się w głowę czy co?

- Nie, po prostu rozszyfrowałam system nadawania nazw tym stopniom.

- Chcesz sprawdzić pozostałe?

- Nie, dziękuję, wystarczy mi. - Patrząc na brzeg po drugiej stronie, dodała: - Chyba go zgubiliśmy.

- Nie byłbym taki pewny. - Z wyraźnym ociąganiem podniósł się z ziemi, otrząsnął, jak pies po kąpieli, a potem wyciągnął do niej rękę.

Popełniła błąd, korzystając z jego pomocy, bo stawiając ją na nogi, omal nie wyrwał jej ramienia ze stawu. Wyraźnie nie był świadomy swojej siły.

- O co chodzi? - spytała, widząc, że wpatruje się w miejsce, gdzie przed chwilą leżeli.

- Weź garść gałęzi i rozrzuć na naszych śladach. Albo nie, zostaw, tylko pogorszysz sprawę. Sam to zrobię.

Stojąc pod osłoną drzew, przyglądała się, jak rozkłada na miękkiej ziemi kilka drobnych gałązek.

- Dlaczego z góry zakładasz, że do niczego się nie nadaję? Masz ten problem tylko ze mną czy z każdą kobietą?

- Tylko z tobą.

Choć się odwrócił, dostrzegła jego szeroki uśmiech. Znowu ją zirytował, ale była zbyt zmęczona po niedawnych przeżyciach, żeby się z nim kłócić.

- Orientujesz się choć w przybliżeniu, gdzie jesteśmy? - zaapytała niewyraźnie, bo cała się trzęsła.

- Nie.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

- Domyślam się, że w dzieciństwie nie należałeś do skautów?

- Umieć trafić tam, gdzie trzeba.

- Na przykład z powrotem do samochodu?

- Nie. Za dużo czasu zajęłoby nam szukanie odpowiedniego miejsca, żeby się znowu przeprawić przez rzekę.

- Musimy się dostać do telefonu. - I do gorącego prysznica i suchych ubrań, dodała w duchu.

Skończył zacieranie śladów, odstąpił parę kroków, by z daleka ocenić swe dzieło, i pokiwał głową z zadowoleniem.

- Telefon jest niezbędny - przyznał, zbliżając się do niej. - Do licha, przecież ty zamarzasz.

- A ty nie? - zdziwiła się, kiedy objął ją i zaczął jej energicznie rozcierać ramiona.

- Nic mi nie jest - odparł. - Mam w żyłach zimną wodę... tak mi przynajmniej mówiono.

- Kto ci powiedział coś takiego? - spytała.

- Siostra.

- Aha. Pewnie wiedziała, co mówi.

- Zostało ci jeszcze trochę sił? - Rozsunął zamek błyskawiczny w kieszeni jej kurtki, żeby wydostać swoją broń. Pistolet był tylko trochę wilgotny. Wsunął go sobie za pasek dżinsów i z powrotem zapiął kieszeń.

- Mam tyle samo sił co ty.

- No to zacznij biec. Od razu się rozgrzejesz.

- W którą stronę?

- Musimy najpierw wspiąć się pod górę, żeby potem móc zejść w dół.

Rozejrzała się po otaczających ich górach.

- Łatwiej byłoby się poruszać wzdłuż rzeki, ale Monk mógłby to przewidzieć.

Odwróciła się i ruszyła szybkim truchtem przez las. Lodowata woda nieprzyjemnie chlupała jej w butach.

John Paul dotrzymywał jej kroku przez ponad godzinę. Ani razu się nie zatrzymali. Żadne z nich także się nie odzywało.

Podziwiał jej samozaparcie. Sama ustaliła tempo i wytrzyma-

wała je bez zwalniania. Nie narzekała, nie chwytła się za bok. Już wcześniej wiedział, że jest w dobrej formie, wystarczył jeden rzut oka na smukłą sylwetkę, by domyślić się, że regularnie ćwiczy. Jednakże jej sposób poruszania się, sprężysty i pewny, dowodził niezbicie, że to było coś więcej niż godzina aerobiku tygodniowo w jakimś klubie dla pań.

Zobaczył w oddali spokojnie płynący strumień i uznał, że powinni się zatrzymać dla złapania oddechu.

- Odpocznijmy chwilę.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, pomyślała Avery.

- Jesteś pewien, że chcesz się zatrzymać?

Gdyby nie potwierdził, chyba by się zalała łzami albo padłaby z wycieńczenia. Szew w boku, wzdłuż żeber, palił ją żywym ogniem. Wiele ją kosztowało, by z bólu nie zgiąć się wpół.

Zauważyła, że John Paul zupełnie nie wygląda na zmęczonego. Wykonała kilka skłonów, wyciągając nogi, żeby uniknąć skurczów. Następnie przykucnęła nad strumieniem i nabrawszy wody w złożone dłonie, piła łąpczywie.

- Myślisz, że on nas tropi? - spytała po chwili.

- Prawdopodobnie. Będzie się musiał jakoś przeprawić przez rzekę, więc mamy trochę czasu. Powiedz mi, co się zdarzyło tam, w samochodzie? - Przez cały czas przeklinał się w duchu, że ją zostawił.

Usiadła na trawie pod drzewem i oparła się plecami o pień.

- Obudziłam się, ciebie nie było, więc postanowiłam pójść cię szukać. - Usiadł tuż obok, ich ramiona się zetknęły. - Nie zaszłam daleko - przyznała. - Ledwie zrobiłam kilka kroków pod górę, kiedy zobaczyłam światła samochodu we mgle. O mało nie wybiegłam mu naprzeciw, ale na szczęście rozsądek kazał mi zaczekać, aż podjedzie bliżej.

- Chryste - szepnął. - Mogłaś wejść wprost na niego, zanim... - Nie był w stanie dokończyć. Na myśl o tym, co się mogło stać, zrobiło mu się niedobrze.

- Zaparkował auto i wysiadł. Z latarką i karabinem pod pachą wszedł pod górę do miejsca, gdzie schowany był twój samochód. Widocznie nas namierzył, zanim przewiesiłeś zegarek. Wiedziałam, że to Monk, więc mu się nie pokazałam.

- I co się później stało?

- Podszedł do samochodu.

- Widziałas jego twarz?

- Nie. Mogłabym go zobaczyć, gdybym się ruszyła, ale bałam się, że jakiś szmer mnie zdradzi. Otworzył tylne drzwi twojego samochodu, coś wyciągnął i wyrzucił do rowu. Mogłabym to znaleźć, gdybyśmy wrócili. Kaptur kurtki miał założony na głowę, więc nie widziałam jego twarzy ani koloru włosów, ale musiał mieć co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. I nie był szczupły, tylko dobrze zbudowany. Przypominał kulturystę.

- Umie świetnie się maskować - powiedział John Paul. - FBI korzysta z rysopisu podanego przez Noaha, ale on też mu się dobrze nie przyjrzał. Z tego, co słyszałem o Monku, mógłby przejść dziś Noahowi przed nosem, a i tak wątpię, czy zostałby rozpoznany.

- Nie wiem, czy był sam. Przyjechał landrowerem, ale kiedy otworzył drzwi i wysiadł, światło zgasło, a zaparkował w sporej odległości, więc nie widziałam wnętrza jego auta. Myślisz, że była z nim ta kobieta?

- Nie wiem.

- Jest dobry w tym, co robi, prawda? - W jej głosie slychać było zniechęcenie.

- Dobry - musiał przyznać.

- Stał tam dość długo, może pięć minut. Nawet nie drgnął. To było okropne.

- Prawdopodobnie wsłuchiwał się w odgłosy lasu, w nadziei, że coś usłyszy.

- Na przykład mnie.

- Na przykład. - Objął ją i przytulił. - Dzięki Bogu, że nie próbowałaś uciekać.

- Myślałam o tym, żeby wyjąć z kieszeni broń, ale był tak blisko... bałam się, że usłyszy dźwięk rozsuwanego zamka.

- Gdybyś spała, Monk...

Przerwała mu, nim zdążył dokończyć.

- Zastrzełiłby mnie? Coś ci powiem, John Paul. Jeśli jeszcze raz mnie zostawisz, to ja cię zastrzele.

Ponieważ przywierała do niego z całych sił, żeby choć trochę się ogrzać, groźba nie zabrzmiała zbyt groźnie.

- Już nigdy cię nie zostawię - obiecał schrypniętym szeptem. - Nie powinienem był cię zostawiać. Do diabła, chyba od zbyt dawna się tym nie zajmowałem. Instynkt całkowicie mnie zawiódł.

Uczepiła się jego ostatnich słów.

- Od dawna się nie zajmowałeś? Właściwie czym?

- Daj spokój, złotko. Powinniśmy już iść. Czas ucieka.

Innymi słowy, odczep się. Postanowiła na razie porzucić drażliwy temat i wrócić do niego później. Podniosła się na nogi, sztywna i obolała. Jęcząc, rozmasowała sobie pośladki; może dama nie powinna się tak zachowywać, ale było jej wszystko jedno.

- Wiesz, czego potrzebuję?

- Jedzenia, suchych ubrań...

- Tego też - przyznała. - Ale odczuwam potrzebę, by przyjąć którąś pozycję jogi, odprężyć się i wykonać ćwiczenie wolnych skojarzeń.

- Co takiego? - Był pewien, że się przesłyszała.

- Pozwalasz, żeby myśli unosiły się swobodnie w twojej głowie, a kiedy jesteś całkowicie odprężony, chwytasz je po jednej i analizujesz. Jednak nie możesz tego robić, dopóki nie osiągniesz stanu całkowitego odprężenia.

John Paul patrzył na jej długie nogi.

- Jak się osiąga stan całkowitego odprężenia? - spytał szczerze zaciekawiony.

- Poprzez wizualizację - wyjaśniła. - Przenoszę się do miejsca, w którym czuję się całkowicie bezpieczna i wolna, jak w praw-

dziwym domu. No wiesz, przenoszę się do mojego... szczęśliwego miejsca.

- Żartujesz.

- Nie.

Zaśmiała się niepewnie.

- Chyba wiesz, że to brzmi jak jakieś szaleństwo?

- Zdarzało się w mojej rodzinie - odpowiedziała całkiem poważnie. Złożyła ręce za plecami, wykonała kilka skrętów tułowiem na boki, następnie potrząsnęła kolejno wszystkimi kończynami, żeby je rozluźnić, i ruszyła biegiem. Tym razem biegła wolniej, ale tak samo wytrwale. Natychmiast dołączył do niej i dotrzymywał jej kroku, dopóki się nie zdyszała. Od chwili gdy pozostawili za sobą rzekę, cały czas zmierzali pod górę i po drodze nie natrafili na żaden ślad cywilizacji. Gdzie oni byli? Czy nadal w Kolorado?

Nagle Avery zatrzymała się, zgięła w pół i wzięła kilka głębokich oddechów. Potem z rękami na biodrach powoli się wyprostowała.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską.

Dlaczego on się w ogóle nie zmęczył? Czyżby nie był człowiekiem? Postanowiła za nic w świecie nie narzekać. Ani jednym słowem.

- Spozą tych drzew nie widać lasu - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to lekko. Na radosny ton nie mogła się zdobyć.

- Chcesz odpocząć? - spytał John Paul współczująco.

Co za głupie pytanie. Jasne, że chciała odpocząć.

- Nie - odparła słabym głosem, a po chwili dodała już mocniejszym: - Mogę iść... chyba że ty chcesz...

- Nie. Szkoda czasu.

- Nadal idziemy na północ? - zadała pytanie, żeby zyskać kolejną minutę na złapanie oddechu. Powietrze było rozrzedzone i kręciło jej się w głowie. - Jakoś nie mogę się zorientować. Gdyby słońce było...

- Idziemy na północny wschód.

Najpierw jedna stopa, potem druga. Równym tempem. No, Delaney, postaraj się. Czas ucieka. Musisz się trzymać, mówić sobie w duchu.



Biegła przez las, dyktując sobie w myślach kolejne kroki. Starąła się nie zwracać uwagi na moką bieliznę przyklejoną do ciała, ani na to, że na każdym bucie dźwiga po pół kilo błota.

Przeskakując przez suchą gałąź, potknęła się i niechybnie uderzyła- by głową w pień, gdyby John Paul jej nie podtrzymał. Teren robił się coraz bardziej stromy i zdradliwy. Mięśnie łydek paliły niemiłosiernie i gdy w końcu wydostali się z leśnej gęstwiny, musiała zwolnić.

Stanęła w miejscu. Dotarli do skalnej półki wystającej ze zbocza góry. Przed nimi rozciągał się rozległy widok na niższe wzgórza. Bujne zielone łąki oddzielały od siebie potężne szczyty, porośnięte tysiącami drzew o zadartych w górę gałęziach. Wszystko było takie zielone, takie żywe. I całkowicie puste. Przecież ludzie powinni ciągnąć do tego zielonego raj. Więc gdzie się pochowali?

- Czyż ten widok nie jest malowniczy?  
 - Tak, tak, malowniczy - mruknął.  
 - Nigdy nie jesteś zadowolony? Nie potrafisz docenić... - zaczęła, rozpaczliwie próbując nie tracić ducha.

Nie podzielał jej zachwyty.

- Czy ty widzisz, gdzie jesteśmy? Powrót do cywilizacji zajmie nam kilka dni. - Omiatał wzrokiem krajobraz, szukając śladu jakiejś drogi, niestety bezskutecznie. Dobrze, że przynajmniej wiedziała, gdzie się znajdują.

- Nie mamy tyle czasu - stwierdziła Avery. Ramiona jej opadły. Otaczająca ich natura przestała ją zachwycać, stała się wroga i groźna. Czyż mogło być jeszcze gorzej? Miała ochotę się rozpląkać, ale jakoś zdołała się powstrzymać.

- Będzie dobrze - powiedziała.

- Tak? Na czym opierasz to przekonanie?

Musiała się przez chwilę zastanowić nad jakąkolwiek sensowną odpowiedzią.

- Bo należy nam się przerwa.

W tym momencie znów zaczęło padać.

## 21

Carrie znała niewiele kobiet równie wyniosłych i nieustępliwych jak Anne. Była pewna, że Anne w niczym im nie pomoże, ale okazało się, że nie miała racji. Anne zrobiła więcej, niż do niej należało. Gdy skończyła związywać prześcieradła, pomogła im przy ścianie. Pracowała dzielnie, z zadziwiającą wytrzymałością. Nie miała wprawdzie za grosz poczucia humoru, ale ostatecznie, prawdę mówiąc, nie było się z czego śmiać. Zachowywała się całkiem miło... dopóki nie było mowy o jej wspaniałym małżeństwie.

Lubiła rządzić; dyrygowała nimi podczas pracy. Wybicie pogrzebaczem wielkiej dziury w płycie imitującej kamień poszło całkiem gładko. Izolacja sprawiła trochę kłopotu, ale też nietrudno przyszło ją usunąć. Upchnęły kłęby wełny mineralnej do wielkiej plastikowej torby. Na szczęście w rozprutym miejscu nie przebiegały żadne przewody ani rury. W następnej kolejności, przy użyciu kuchennych noży, uporały się z foliową osłoną.

W końcu pozostało im tylko zewnętrzne drewniane obicie. Z nim poszło gorzej. Carrie musiała na chwilę przerwać pracę, kiedy z palca trysnęła jej krew. Anne usunęła drzazgę cążkami i opatrzyła ranę, a Sara zastąpiła Carrie przy pracy.

O trzeciej nad ranem wszystkie trzy były ledwie żywe.

Sara i Carrie miały plastry na każdym palcu. Anne nadal wyglądała nieskazitelnie. Nawet nie zarysowała sobie paznokcia.

- Co z linami z prześcieradeł? - spytała Sara. Podwinęła do łokci rękawy pasiastej bluzki i zwała się na fotel.

- Gotowe do użycia - oznajmiła Anne. Postawiła przed Sarą talerz zupy pomidorowej, po czym wróciła do kuchni po porcję dla Carrie.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby jeść - broniła się Carrie.

- Musisz, żeby zachować siły - napomniała ją Anne, stawiając talerz na stole.

Sara zauważyła, jak Anne wyjmuje z kieszeni dwie pigułki. Odwróciwszy się do nich plecami, włożyła je do ust i popiła szklanką wody.

- Co zażyłaś? - spytała Sara.

- Och, nic takiego - zbyła ją Anne, siadając naprzeciw Carrie.

- Aspirynę? - zainteresowała się Carrie.

- Tak.

Sara pokręciła głową.

- Nieprawda. To były różowe kapsułki.

- Spostrzegawcza jesteś - stwierdziła Anne. - Lekarz zapisał mi je na mdłości. Ostatnio trochę chorowałam.

Carrie prawie jej nie słuchała. Siedziała z łokciami na stole, opierając głowę na rękach. Była zbyt zmęczona, by się przejmować etykietą.

- Na co chorowałaś? - spytała Sara, mieszając zupę łyżką.

- Nic wielkiego - odpowiedziała Anne. - Odkryłam ten maleńki guzek jakieś półtora roku temu i powiedziałam o nim Ericowi. Poszedł ze mną do lekarza. Okazało się, że to nic poważnego.

- Dzięki Bogu - westchnęła Carrie.

Sara popatrzyła Anne w oczy.

- Gdzie znalazłaś ten guzek?

- W prawej piersi. Zrobili mi biopsję i dalej żyłam normalnie. Jak już powiedziałam, to nie było nic poważnego.

- Więc nie był złośliwy - domyśliła się Sara.

Carrie dziwiła się, dlaczego Sara uparcie draży temat, skoro Anne już im powiedziała, że wszystko jest w porządku. Pomyślała, że Sara jest wścibska.

- Przecież, już mówiła... - zaczęła Carrie.

Nie patrząc na nią, Sara kopnęła ją pod stołem.

- Nie był złośliwy? - powtórzyła pytanie.

- Tylko trochę - powiedziała Anne, nie podnosząc wzroku znad zupy.

Carrie wyprostowała się gwałtownie.

- Tak powiedzieli lekarze?

- Och, wiecie, jacy są lekarze. - Anne lekceważąco machnęła dłonią. - Od razu podnoszą alarm. Eric twierdzi, że wyłudzają tylko pieniądze, robiąc mnóstwo badań... i operacji... chociaż wcale nie ma takiej potrzeby.

Carrie wymieniła spojrzenie z Sarą, a potem zadała pytanie:

- Więc zalecali operację?

- Oczywiście, ale Eric z góry to przewidział i miał rację. Wydawało im się, że mnie namówią na usunięcie piersi. Wyobrażacie sobie, jak by to wpłynęło na nasze zniżki w ubezpieczeniu?

- A jak by wpłynęło? - spytała Sara.

- Składki wzrosłyby niebotycznie. Poza tym firma ubezpieczeniowa i tak by nie pokryła kosztów tego drobnego zabiegu.

Usunięcie piersi było drobnym zabiegiem? Carrie zaniemówiła ze zdumienia. Wzięła do ręki łyżkę i zaczęła udawać, że je.

- Eric ulokował nasze oszczędności w kilku świetnych inwestycjach. Jest bardzo mądry. To były dobre, poważne inwestycje. Oczywiście poparłam je, kiedy mi o nich powiedział.

- Kiedy już ich dokonał? - podsunęła Sara. - Wtedy ci powiedział?

- Tak, oczywiście - potwierdziła Anne. - Ma wolną rękę. To znaczy, jest równorzędnym partnerem w firmie.

Carrie i Sara zauważyły, że Anne przybrała postawę obronna Sara spróbowała zupy.

- Pyszna. Uwielbiam zupę pomidorową.

Anne uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Ja też.

- Dlaczego sądzisz, że firma ubezpieczeniowa by nie zapłaciła?

- Z powodu okresu karencji - wyjaśniła Anne. - Stara polisa wygasła, a ta nowa, którą Eric wybrał i która miała znacznie korzystniejsze warunki, zaczynała obowiązywać dopiero po trzydziestu dniach. Miałam robioną biopsję właśnie w okresie tej przerwy. Eric mówił mi, żebym się wstrzymała, ale ja się głupio niepokoiłam. Mieliliśmy pieniądze, żeby zapłacić za zabieg - dodała pośpiesznie - gdybyśmy uznali, że jest konieczny. Eric spędził mnóstwo czasu na wyszukiwaniu różnych rzeczy w Internecie i w końcu postanowiliśmy spróbować metod alternatywnych. Carrie, zupa ci stygnie.

- Co do tych... - zaczęła Carrie. Sara kolejny raz kopnęła ją pod stołem.

- Tak? - W oczach Anne znów zagościł wyraz nieufności.

- Są może jakieś krakersy?

- Obawiam się, że nie ma.

- To szczęście, że masz Erica - powiedziała Sara.

Carrie omal nie udławiła się zupą.

- Tak, to prawda - skłamała. - Szkoda, że nie mógł przyjechać z tobą do uzdrowiska.

- Próbowałam go namówić - przyznała. - Podarował mi tydzień pobytu w ośrodku jako niespodziankę urodzinową. Chciał, żebym odpoczęła, a po moim powrocie do domu mieliśmy znów pójść do lekarza i dowiedzieć się, co należy zrobić. Martwiłam się, ile to będzie kosztowało, ale Eric nie chciał tego słuchać. Powiedział, że jeśli nawet będziemy musieli wydać wszystko, co mamy, żebym wróciła do zdrowia, to wydamy.

Carrie w duchu przeklinała Erica od sukinsynów. Pozbywał się

Anne, a ona, zapewne z powodu szoku, nie była w stanie przyjąć prawdy i wciąż miała przed oczyma uroczy wizerunek kochającego męża. Zostawił jej list czy też wolał, by umarła nieświadoma, że to on ponosi odpowiedzialność za jej śmierć?

- Powinniśmy wyruszyć przed świtem - odezwała się Sara, przerywając rozmyślania Carrie.

- Mam pokaleczone ręce, ty zresztą także. Spuszczanie się po tej linie...

- Damy sobie radę.

- Anne, przywiozłaś ze sobą jakieś sportowe ubrania? - spytała Carrie. - Nie możesz się przedzierać przez góry na wysokich obcasach ani w tych pantoflach, które masz na nogach.

- Nie, nic takiego nie zabrałam.

- No to my z Sarą wyposażymy cię w coś odpowiedniego - obiecała Carrie. Jej nastawienie do Anne zmieniło się radykalnie. Teraz Anne budziła w niej uczucia opiekuńcze; miała nadzieję, że biedaczka wytrwa w swych złudzeniach do czasu, aż wróci do cywilizacji. - Może zapakujesz nam trochę jedzenia do zabrania na drogę - zaproponowała. - I zestaw pierwszej pomocy.

- Możesz wykorzystać moją kosmetyczkę - włączyła się Sara. - Jest na toaletce w moim pokoju, ale nie mam siły iść po nią na górę.

- Och, ja ją przyniosę. Uwielbiam być przydatna. Nie ruszajcie tych talerzy - rzuciła przez ramię, wychodząc z kuchni. - Później je pozmywam.

Ledwie się oddaliła, Sara powiedziała szeptem:

- A to drań.

Carrie przytaknęła skinieniem głowy.

- Teraz mam jeszcze jeden powód, żeby się stąd wydostać. Mam zamiar zabić tego sukinsyna.

Sara ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Ty będziesz trzymać broń, a ja pociągnę za spust.

## 22

Coś warczało i to coś zdecydowanie nie było człowiekiem. Avery przysunęła się bliżej Johna Paula. Obiecując jej dwadzieścia minut odpoczynku, znalazł zaciszne schronienie pod wystającą skałą. Ziemia była sucha, a miejsca dość, by mogli rozprostować nogi.

Avery obstawała przy poszukaniu jakiejś grotty, ale John Paul odrzucił jej pomysł w obawie, że będą mieli niespodziewane towarzystwo pum i niedźwiedzi.

Avery proponowała rozpalenie ogniska, ale i ten pomysł został odrzucony. Dym byłby widoczny z bardzo daleka.

Znów usłyszała pomruk. Rozległ się jakby bliżej. Szturchnęła Johna Paula i pytała szeptem:

- Słyszałeś?

- Yhm.

Zabrzmiało to tak, jakby drzemał. Siedział oparty plecami o ścianę; muskularne nogi, skrzyżowane w kostkach, wyciągnął przed siebie. Objął ją ramieniem i doradził, żeby się odprężyła.

Oparła czoło na jego barku. Co jakiś czas pocierał brodą o czubek jej głowy. Nie potrafiła odgadnąć, czy to była oznaka czułości, czy też od świeżego zarostu swędziała go skóra.

Kolejny niepokojący odgłos, tym razem przypominający szelest, rozległ się poniżej ich kryjówek. Avery zeszytniała w napięciu. Zaraz potem wydało jej się, że znów słyszy pomrukiwanie. Co to mogło być? Niedźwiedź? Puma?

John Paul nie spuszczał dłoni z pistoletu, leżącego obok niego na ziemi.

Avery odetchnęła głęboko; starała się nie myśleć o tym, jak bardzo jest jej niewygodnie. Za wszelką cenę chciała wskrzesić w sobie resztki optymizmu.

O Boże, umrzemy tu, na tym pustkowiu. Znowu westchnęła. Tak wyglądał jej optymizm. John Paul musiał wyczuć, że drży, bo zaczął jej rozcierać ramię. Pomyślała, że to miłe. Naprawdę chciała się odprężyć, ale przeszkadzała jej w tym lęk. Czy ciało może być zbyt wyczerpane, żeby odpoczywać? Kiedy siadała pod tą skałą, słała się na nogach. Wiedziała, że jeśli ma biec dalej, musi nabrać sił.

Co ta kobieta robi z Carrie i dwiema pozostałymi zakładniczkami? Czyżby John Paul miał rację? Czy rzeczywiście wszystkie już nie żyją?

Odrzuciła tę myśl i próbowała przyjąć wygodniejszą pozycję. Bolał ją każdy mięsień z osobna, palce u nóg jej zdrętwiały. Chciała na chwilę zdjąć buty, ale John Paul jej nie pozwolił. Stopy musiały się przyzwyczaić do mokrego obuwia i pozostawało jedynie rozchodzenie skurczów. Zachowywał się jak wyrocznia w tych sprawach, ale wiedząc, że podczas służby w piechocie morskiej musiał odbyć trening przetrwania, nie protestowała. Poza tym nie miała siły się kłócić.

Avery postanowiła, że choćby nie wiem co, nie stanie się cyniczna jak jej ciotka i John Paul. Gdy zaczął padać deszcz i John Paul kpiąco przypomniał jej, jak cieszyła się na przerwę, stwierdziła, że to nie żaden deszcz, tylko uroczą lekką mżawka, zasnuwająca otoczenie malowniczą mgiełką. Tak wtedy powiedziała. I jeszcze się uśmiechnęła. Wkrótce potem uroczą mżawka przeszła

w ulewę. Avery wciąż usiłowała myśleć pozytywnie. No i co z tego, mówiła sobie. Przecież i tak już byli mokrzy.

W tym samym momencie zaczął padać grad wielkości piłek golfowych, objając ich boleśnie, kiedy uciekali pod osłonę drzew

Kolejny szmer przywołał ją do rzeczywistości. Czy on też słyszał? Uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Wciąż padało: przez gałęzie sączyły się strużki szarego światła.

Miał zamknięte oczy, ale gdy na niego patrzyła, wolno uniósł powieki. Ich spojrzenia się spotkały. Była mu taka wdzięczna, że z nią jest. Czuła się z nim bezpiecznie. Nie musiała sama przechodzić przez ten koszmar, a jego siła dodawała jej otuchy i nadziei.

- Chcę... - Nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów, żeby mu powiedzieć, jak bardzo docenia jego pomoc. Nie mogła oderwać wzroku od jego ust.

- Tak, ja też.

Później nie była pewna, kto zainicjował pocałunek. Wiedziała tylko, że oparła się o niego, a on pochylał głowę w jej stronę. A może to ona go do siebie przyciągnęła, a on tylko się poddał? Nie pamiętała. Ich usta po prostu... stopiły się ze sobą.

I to było cudowne. Miał wargi takie ciepłe i... wiedział, jak zamącić kobiecie w głowie. Natychmiast zapragnęła więcej, znacznie więcej. Był delikatny i oddany, a jednocześnie szorstki i nie-ustępliwy. Ujął jej podbródek i naciskając lekko, zachęcił ją do rozchylenia ust.

Usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję. Kiedy zaczęła ją pieścić, zapomniała o wszelkich oporach, bezwolna i drżąca.

Żar jego dotyku przenikał ją na wskroś. Wreszcie oderwał się od ust Avery, lecz jego dłonie pozostały pod jej podkoszulkiem. Wiedziała, że pocałunek podzielał na niego tak samo mocno jak na nią, bo czuła pod palcami, jak serce mu wali.

Próbowała zsunąć się z jego kolan, wycofać, ale jej na to nie pozwolił. Przytulił ją do siebie, przyciskając jej głowę do swego ramienia.

- Wiesz, na co miałbym teraz ochotę? - szepnął tym swoim niskim, zmysłowym głosem.

Wciąż brakowało jej tchu, czuła na ustach jego smak, w myślach w kółko przeżywała ten niesamowity pocałunek.

Jego pytanie dotarło więc do niej z pewnym opóźnieniem.

- Na litość boską, John Paul.

- Co?

- Masz ochotę na seks.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, jakby się zastanawiał nad tym, co usłyszał.

- No cóż... - rzekł w końcu. - To pewnie też byłoby miłe, złotko, i jeśli to propozycja, to nie mam zamiaru jej odrzucić. - Nie patrzyła na niego, więc mógł się uśmiechnąć. - Ale tak naprawdę, to mam ochotę na hamburgera.

Poderwała głowę. Tym razem zdążył uchylić brodę.

- Co? Pomyślałem sobie, że przyjemnie by było zjeść hamburgera. Do tego frytki i zimne piwo - dodał.

- Nie wystarczyło ci to zielsko?

Parsknął śmiechem.

- Żadne zielsko. Kazałem ci się pożywić jadalnymi liśćmi i jagodami. Dodadzą nam energii - wyjaśnił. - Mimo to zjadłbym hamburgera. Przez szwagra jestem uzależniony od tego paskudztwa.

- Naprawdę myślałeś o jedzeniu?

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Naprawdę, ale jeśli koniecznie chcesz seksu, to chyba da się coś zrobić.

- Nie chcę seksu.

- Powiedziałaś, że chcesz.

Był doprawdy okropny.

- Nie powiedziałam.

- Pocałowałaś mnie - zauważył. - Więc założyłem...

- Och, na litość boską.

- Przecież widać, że nie możesz utrzymać rąk z dala ode mnie. złotko.

Nic dziwnego, że miłość i nienawiść były tak ściśle ze sobą połączone. Miała ochotę go udusić. Lubił ją dręczyć, wyraźnie go to bawiło.

- To był tylko pocałunek - stwierdziła, żeby mieć ostatnie słowo.

- To dlaczego byłaś taka rozpalona i drżąca?

- Nie byłam.

- Kłamczucha.

Jedynie w jego ustach obelga mogła brzmieć jak pieszczota.

- A ty nie byłaś rozpalony?

- Do diabła, nie.

Roześmiała się.

- I kto teraz kłamie?

- Pierwszą zasadą w każdej akcji jest unikanie kłamstw, gdy tylko można ich unikać. A teraz spróbuj odpocząć. Za dziesięć minut ruszamy.

Nie potrafiła odpoczywać na zawołanie. Był tylko jeden sposób, żeby się odprężyć. Odsunęła się od Johna Paula i przyjęła pozycję lotosu, której się nauczyła od instruktora jogi - ręce na kolanach wnętrzem dłoni ku górze, wyprostowane plecy i zamknięte oczy. Skupiła się na oddychaniu; głębokie równomierne oddechy pomagały jej odciąć umysł od zewnętrznych odgłosów i uporządkować myśli, kłębiące się w głowie. Minęło dobre pięć minut, nim poczuła, jak napięcie w mięśniach ustępuje.

- Co robisz?

Pytanie ją rozproszyło.

- Ćwiczenie relaksujące.

- Joga?

- Coś w tym rodzaju. Oczyszczam umysł, a potem przenoszę się...

- Gdzie?

Westchnęła. Przenosiła się do swojego wymarzonego domu, istniejącego tylko w wyobraźni, doskonałego pod każdym względem.

- Przenoszę się do mojego szczęśliwego miejsca.

Nie śmiał się z niej.

- Więc mówiłaś poważnie? Myślałem, że żartujesz.

- Wyobrażam sobie miejsce, w którym dobrze się czuję. To jest ganek. Siedzę na huśtawce. Czuję zapach bżów i słyszę dobiegający z oddali szum wody. To działa... uspokajająco i uwalnia mój umysł. Mogę się zastanowić po kolei nad wszystkim, czego się dowiedziałam.

- Skoro to działa...

Nie rozumiał, lecz wcale tego po nim nie oczekiwała. Ponownie zamknęła oczy i nie zwracając już na niego uwagi, skupiła się na oddychaniu.

Minęło kolejne kilka minut i elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Jak na ironię, pomogły w tym słowa Johna Paula.

- Co miałeś na myśli? - spytała.

- Kiedy?

Wyprostowała nogi i dopiero wtedy odwróciła się do niego.

- Pierwszą zasadą akcji jest nie kłamać?

- Nie, unikać kłamstw, kiedy to tylko możliwe.

- O to mi właśnie chodziło. Jaki sens ma ta zasada?

- Kłamstwa mogą się zwrócić przeciwko tobie, możesz się w nich zaplątać, więc...

- Więc - weszła mu w słowo - jeśli trzymasz się prawdy we wszystkich nieistotnych drobiazgach, nie zapłaczesz się. No tak, oczywiście. - Nagle stała się podniecona, niczym dziecko w sklepie z zabawkami. Odpięła kieszeń kurtki i wyjęła pomietaną mapę. - Jestem idiotką. Monk mógł przeczytać o tej posiadłości w gazecie i kiedy Carrie spytała go, dokąd ją zabiera, podał tę nazwę. Założyłam, że kłamie. Dlaczego przyjęłam takie założenie? Bo kłamał we wszystkim innym, ale może mówił prawdę?

Jej nagła gadatliwość wyraźnie go zaniepokoiła.

- Masz gonitwę myśli?

Uśmiechnęła się.

- Mam, ale i tak wszystko trzyma się kupy.
- Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?
- Myślę, że wiem, gdzie jest Carrie i tamte dwie kobiety. Tym razem zainteresował się poważnie.
- Wiesz? Skąd?
- Carrie powiedziała mi, dokąd Monk ją zabiera.
- I dopiero teraz mi o tym wspominasz? - Przyjrzał się jej z ukosa.
- Wysłuchaj mnie do końca - poprosiła. - Myślałam, że ją okłamał. Mówiłam ci, że ciotka zostawiła mi wiadomość na sekretarce, a ja ją skasowałam, a poza tym słyszałeś, jak pytałam Cannona.
- Słyszałem, jak go pytałaś, czy mają problemy z wodą.
- A Cannon opowiedział, że nie, nie w Utopii. Pytałam go też, czy ośrodek ma dom w górach.

John Paul pokiwał głową.

- Przypominam sobie, że zaprzeczył.
- Ponieważ zaprzeczył, nie zadawałam więcej pytań na temat tego domu. Założyłam, że wszystko, co Monk mówił, było kłamstwem. Ale może nie było?
- Dlaczego uważasz, że mówił prawdę o miejscu ich przeznaczenia?
- Ty mi to podsunąłeś. Po co kłamać, jeśli nie ma takiej potrzeby? Kłamstwa mogą się obrócić przeciwko tobie. - Powtórzyła dokładnie jego słowa. - Monk już ją porwał, wyjawiał jej swoje nazwisko. Carrie, nieświadoma niczego, dała mu się prowadzić. Ale zadzwoniła do mnie z komórki z damskiej toalety. Wątpię, żeby powiedziała Monkowi o tej rozmowie. Nie miała ku temu żadnego powodu.
- Gdyby Monk powiedział prawdę, dokąd ją zabiera, nie spuściłby jej z oka.

- Nie mógł z nią wejść do toalety - zauważyła Avery. - I mógł nie wiedzieć, że Carrie ma przy sobie jedną ze swoich komórek.
- Jedną z komórek?

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Zawsze ma przy sobie dwa telefony komórkowe. Carrie jest pracoholiczką i dostaje bzika, jeśli nagle wyczerpie jej się bateria. Poza tym używa jednego do rozmów prywatnych, a drugiego do interesów.
- Mogłaby po prostu nosić zapasową baterię.
- Ależ nosi - zapewniła Avery. - Więc co o tym sądzisz?
- Tak szczerze? Myślę, że sięgasz po omacku.
- Nie, ja analizuję dane i jestem przekonana, że istnieje co najmniej pięćdziesiąt procent szans, że mam rację. Musimy to sprawdzić.
- Wiesz, gdzie się znajduje ten dom?

Kiedy John Paul rozkładał mapę, Avery opowiedziała mu o staruszku, którego spotkała w McDonalddie.

- Tak, widzę narysowane przez niego kółko.

Opowiedziała o parze, walczącej o prawo własności do domu.

- Sąd ma wkrótce zdecydować, które z tych antypatycznych małżonków dostanie posiadłość. Dowiedziałam się też, że od tygodni dom stoi pusty.

John Paul wolno pokiwał głową.

- Dobrze, warto się temu przyjrzeć. Przerwa skończona. Pora ruszać w drogę.
- Musimy się dostać do telefonu. To pierwsze przykazanie w tym interesie.
- Nie - szepnął. - Pierwszym przykazaniem jest pozostanie przy życiu, żebyśmy mogli się dostać do telefonu.
- A to, jak wiedział, łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

## 23

Teraz, kiedy wszystkie trzy były gotowe do opuszczenia domu, sparaliżował je strach.

Była czwarta rano. Obliczyły, że mają około dwóch godzin do świtu. Skupiły się przy kuchennym stole, odziane na wędrowkę przez las w kilka warstw ubrania, i popijały gorącą herbatę, która miała je wzmocnić przed spotkaniem z nocnym chłodem. Przez dziurę w ścianie spiżarni wdzierało się do wnętrza zimne powietrze.

- A jeśli Monk pozakładał jakieś wnyki albo coś w tym rodzaju? - odezwała się Carrie. - Co wtedy zrobimy? Nie zobaczymy ich w ciemności.

Wszystkie trzy zmartwiły się taką możliwością.

- Nie sądzę, żeby tracił czas na wspinanie się po zboczu - pocieszyła je Sara. - Na pewno uważa, że ma nas pod kluczem.

Carrie aż się cała trzęsa ze strachu.

- Słuchajcie - szepnęła. - Jak nam się nie uda...

- Nie mów tak - skarciła ją Sara. - Wszystkim nam się uda - powiedziała, ale w jej głosie nie było pewności.

- Pozwól mi dokończyć - upierała się Carrie. - Jeśli zginę, chcę, żebyście mi obiecały, że zmusicie policję, by odnalazła Avery i zapewniła jej ochronę. Zadzwońcie do mojego męża -

dodała. - Tony jej pomoże... - Głos jej się załamał, przechodząc w żałosne łkanie.

- Skupiamy się na pojedynczym zadaniu - zaproponowała Sara.

- Racja - poparła ją Anne. - Skupmy się na zejściu po linie. Carrie potulnie kiwnęła głową.

- W porządku. - Odsunęła filizankę i wstała od stołu. - Powinnyśmy się już zbierać. Nie ma co zwlekać.

Anne chwyciła ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Carrie z uśmiechem odwzajemniła uścisk. Aha. Spojrzenie Anne znów zaszło tą dziwną mgiełką. Prawdopodobnie zażyła jedną ze swoich pigułek. Przeszukując piętro, Carrie zauważyła na toalecie w pokoju Anne całą baterię medykamentów. Wystarczyłoby tego na otworenie apteki.

- Pamiętałaś o zabranii swoich lekarstw? - zwróciła się do Anne.

- Oczywiście, że pamiętałam.

- Mogłabym upchnąć kilka buteleczek w mojej kurtce.

- Nie ma takiej potrzeby - zapewniła ją Anne.

- A co z listami? - włączyła się Sara. - Dobrze je schowałaś przy sobie?

- Tak, mam je w zapiętej na zamek kieszeni.

- No to do dzieła - powiedziała Sara.

Już wcześniej postanowiły, że Sara wyjdzie jako pierwsza. Jeden koniec liny przymocowany był do kuchennego stołu, który był na tyle duży, że blokował się w drzwiach, ale Carrie i Anne i tak miały przytrzymywać linę, podczas gdy Sara będzie się na niej opuszczać. Anne co trzydzieści centymetrów zrobiła węzły, żeby było oparcie dla rąk.

Carrie miała pójść jako druga, ponieważ Anne stwierdziła, że jako najlżejsza z nich trzech, ma największe szanse poradzenia sobie w sytuacji, gdyby lina odwizała się od stołu.



Carrie gotowa była opuścić dom na końcu, lecz Anne nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Jeśli lina nie wytrzyma, albo jeśli spadnę, ty z Sarą zdołacie mnie złapać, natomiast ja nie mogłabym pomóc w łapaniu ciebie czy Sary. Muszę wyjść jako ostatnia.

- Och, nie myśl o spadaniu. Anne, zrobiłaś porządną, mocna linę. Na pewno wytrzyma.

- To prawda. Wszystkim nam się uda.

Głos Anne miał nienaturalnie radosne brzmienie. Znowu zaczęła bzikować. Czy był to skutek działania pigułki przeciwbólowej?

Poszły do spiżarni. Carrie i Anne patrzyły, jak Sara bierze koniec liny i obwiązuje się nią w pasie.

- Mam nadzieję, że jest wystarczająco długa - powiedziała i na kolanach weszła do dziury.

- Połóż się na brzuchu - szepnęła Carrie. - I wychodź powoli, stopami do przodu.

- Wzięłaś do kieszeni latarkę? - upewniła się Anne.

- Tak, mam.

Carrie usiadła na podłodze i zaparła się nogami o słup konstrukcyjny. Anne wsunęła się za nią, żeby pomóc trzymać linę. Kiedy Carrie myślała już, że Sara nigdy nie dotrze do ziemi, lina nagle zwiotczała. Carrie upadła plecami na Anne. Odzyskawszy równowagę, odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Rozumiem, że teraz moja kolej.

Na brzuchu zaczęła się czołgać do otworu w ścianie.

- Zaczekaj - szepnęła Anne. Wcisnęła do kieszeni Carrie grubą kopertę i zapięła zamek.

- Co robisz?

- Jesteś najsilniejsza z nas trzech, więc gdyby Sarze i mnie się nie udało, dopilnuj, żeby...

- Co? - ponagliła Carrie. - No, mów. Co?

- Po prostu dopilnuj. Idź już.

Carrie nie traciła czasu na spory. Postanowiła, że dowie się, co Anne miała na myśli, kiedy już będą daleko od zaminowanej pułapki.

Dłonie jej krwawiły, ale była zbyt przerażona, by płakać. Powoli zaczęła się opuszczać. Anne starała się pomóc, ale kiedy próbowała wciągnąć nieco linę, żeby ją lepiej uchwycić, omal nie wypadła z otworu głową naprzód.

Carrie wylądowała na ziemi.

Pozbawiona ciężaru lina podskoczyła w górę. Anne upadła, szybko się pozbierała i wyjrzała przez otwór, próbując zobaczyć obie kobiety. Na chwilę znieruchomiała na czworakach, nasłuchując stłumionych wołań z dołu.

Potem wciągnęła linę do środka.

- *Małe myszki trzy, małe myszki trzy* - zanuciła. - *Razem sobie szły, razem sobie szły...* - Wstała, otrzepała z kurzu pożyczone spodnie od dresu i przeszła do kuchni. - *Małe myszki trzy* - podśpiewywała.

Dziwne, że akurat ta piosenka weszła jej do głowy i nie chciała wyjść. Oboje z Erikiem postanowili nie mieć dzieci, a teraz nuciła głupiotką dziecinną rymowaną. Ojciec śpiewał jej tę piosenkę. Jak tam szło dalej? *Wszystkie pobiegły za żoną farmera, a ona obciąła im łebki nożem do sera? A może inaczej? Wszystkie uciekły przed żoną farmera?* Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć dalszego ciągu piosenki?

- *Małe myszki trzy* - śpiewała cicho. Uklękła na podłodze i próbowała rozsypać węzły na prześcieradłach. Zorientowawszy się, że może przy tym złamać paznokcie, wstała, podeszła do lady po nożyczki przyniesione z góry przez Carrie i odcięła linę od stołowej nogi. - *Małe myszki trzy* - zanuciła.

Napiła się wystygłej herbaty, a potem, wiedząc, że Carrie i Sara czekają na nią z niepokojem, podeszła do otworu w spiżarni i wyrzuciła prześcieradło. Musiały zrozumieć, co to oznacza, bo pozbyła się jedynej drogi ratunku. Usłyszała krzyk jednej z nich - zapewne Sary, bo z nich dwóch Sara miała znacznie miększe serce.

- *Małe myszki trzy...* Do licha, nie mogę się pozbyć tej głupiej piosenki - powiedziała na głos, zamykając drzwi spiżarni. Krzywiąc się na widok bałaganu w kuchni, podeszła do zlewu, napełniła go gorącą wodą z detergentem i pozmywała naczynia. Gdy skończyła zmywanie, poustawiała równo stół i krzesła, przed każdym krzesłem ułożyła świeżą matę, a na koniec zdmuchnęła świece i weszła na schody.

Czuła się strasznie zmęczona, stara i zaniedbana. Uznała, że porządna długa drzemka powinna temu wszystkiemu zaradzić. Najpierw jednak musiała coś zrobić ze swoim fatalnym wyglądem. Nie mogła zrozumieć, jak eleganckie zamożne kobiety, takie jak Carrie i Sara, mogą nosić spodnie od dresu. Podobnie jak dziwiło ją upodobanie do wysiłku fizycznego w rodzaju biegania, przy którym człowiek zlewa się potem. Damy nie powinny się pocić. Tylko pospolite, nieokrzeseane kobiety pozwalały sobie na tak obrzydliwe rzeczy jak pocenie się, bekanie, zakładanie kolczyków w różnych dziwnych miejscach... lub zgadzały się, by lekarze okaleczali ich ciała. Czyż nie tak to ujął jej ukochany Eric? Uwielbiał jej ciało i nie mógł znieść nawet myśli o tym, co chcieli z nim zrobić chirurdzy.

Czując lekki szum w głowie, mocno uczepliła się poręczy i jakoś weszła na górę. Wzięła długi, gorący prysznic, przy użyciu elektrycznej lokówki podkręciła włosy, a potem wyszczotkowała je i spryskała lakierem. Wybranie jednej z nowych dzianinowych garsonek zajęło jej chyba z godzinę. Zdecydowała się na miętowozieloną z pięknymi srebrnymi klamerkami, zarazem elegancką i modną. Wsunęła stopy w perłowo srebrne szpilki, a na koniec założyła ulubione kolczyki z brylantami w platynowej oprawie. Kolczyki były prezentem od Erica na ich ostatnią rocznicę.

Doszła już niemal do końca korytarza, gdy sobie przypomniała, że nie użyła perfum, więc wróciła do pokoju i zwilżyła nimi lekko oba nadgarstki. Zadowolona z siebie, zeszła po schodach, zatrzymując się na ostatnim stopniu. Promienie wschodzącego słońca zmieniły salon w złotą świątynię. Ten niesamowity efekt kolorys-

tyczny dosłownie pozbawił ją tchu. Pomyślała, że Eric powinien być z nią w tym domu, żeby to zobaczyć. Tak, powinien z nią być.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo tam stała. Mogło minąć dziesięć minut, dwadzieścia, może więcej. Druga pigułka przeciwbólowa w końcu zaczęła działać. Anne przeszła zygakiem przez salon, chichocząc, ponieważ wydało jej się zabawne, że nie może prosto stawiać kroków. Czy tak się człowiek czuje po narkotykach? A może właśnie była naćpana? Z trudem skupiając wzrok w jednym punkcie, dotarła do sofy, opadła na miękkie siedzisko i prawie natychmiast zasnęła.

Choć nie przypuszczała, że coś takiego jest możliwe, wiedziała, że płakała we śnie, bo obudziła się z twarzą mokrą od łez. Z trudem podniosła się do pozycji siedzącej i końcami palców otarła policzki. Widząc na dłoniach ślady makijażu, postanowiła wejść na górę, żeby przypudrować twarz, kiedy nagle wydało jej się, że słyszy samochód wjeżdżający na podjazd. Wciąż trochę skołowana, podniosła się z sofy, poprawiła żakiet i nieco chwiejnie przeszła do jadalni, by wyjrzeć przez okno.

Srebrzysty cadillac z piskiem opon wyłonił się zza zakrętu.

- A któż to mógł przybyć o tak wczesnej porze? - zastanowiła się na głos. Sprawdziła czas na eleganckim zegarku, który również był prezentem od ukochanego Erica, i ze zdumieniem stwierdziła, że jest już po dziewiątej.

Samochód stanął; hamowanie było tak gwałtowne, że aż się zakołysał. Anne, ukryta w cieniu, patrzyła, jak drzwi się otwierają i zza kierownicy wyskakuje kobieta o twarzy wykrzywionej złością, zatrzaskuje drzwi i otwiera bagażnik.

Rysy jej twarzy wydały się Anne dziwnie znajome, choć nie umiałaby powiedzieć, gdzie mogła ją wcześniej widzieć. Kobieta najwyraźniej coś mówiła, bo poruszała ustami.

Czyżby to była Jilly? Miała jasne włosy, była wysoka i zgrabna, tak jak opisywała Carrie, ale z całą pewnością nie można o niej było powiedzieć, że jest piękna. Gdyby z jej twarzy nie biła taka

wrogość, gdyby się uśmiechała, chyba można by ją uznać za ładną, ale na pewno nie piękną.

Miała doskonałą cerę. To Anne musiała przyznać. Z daleka wyglądała wręcz nieskazitelnie; Anne postanowiła ją spytać, jakiego toniku do skóry używa, że osiąga tak znakomity efekt. A może to był gruby makijaż? Tak, postara się pamiętać, by ją o to zapytać.

Włosy miała trochę za krótko przycięte i sterczące, ale cudowne w kolorze. Anne zastanawiała się, czy ta niemiła kobieta zgodzi się wyjawić jej nazwisko swojego fryzjera. Wiele by dała za tak położoną farbę. Dotknęła głowy, uświadomiwszy sobie nagle, że jej własna fryzura musiała ucierpieć podczas drzemki.

- O rany - wyrwało się Anne, gdy zobaczyła, że kobieta w jednej ręce trzyma czerwony kanister z benzyną, a w drugiej siekiere. - Co ona wyprawia?

Nieznajoma miała opuszczoną głowę, więc jeszcze nie zauważyła Anne, ale kiedy podeszła do schodów, Anne przypomniała sobie, gdzie ją wcześniej widziała. Jej zdjęcie było w jednym z gazetowych wycinków, które znalazła w skrzyni. Tak, teraz już wiedziała. Ta kobieta walczyła z byłym mężem o prawo własności do tego domu.

Anne pośpieszyła do holu i stanęła przed sięgającym podłogi oknem obok drzwi wejściowych. Stąd już było słychać, co kobieta mówi. Wypluwała z siebie istne potoki obrzydliwych przekleństw. Anne odruchowo uniosła dłoń do szyi, oburzona jej wulgarnością. Chyba z dziesięć razy padło pewne rynsztokowe określenie w odniesieniu do sędziego, który zdecydował o własności domu.

Tak... teraz Anne rozumiała już wszystko. Dom został przyznany mężowi. Anne nie czuła dla złorzeczącej kobiety ani krzty współczucia. Najwidoczniej nie była dobrą żoną. Czyż mąż nie miał prawa podejmować wszystkich ważnych decyzji? Zapłacił za ten dom, więc powinien go zatrzymać.

Kobieta weszła na schody przed drzwiami wejściowymi, wrzeszcząc na cały głos.

- Sukinsyn myśli, że zabierze mi dom i zostawi mnie bez

centa? Pieprzony dureń! Myśli, że tylko go straszę! Powiedziałam mu, że nigdy tu nie zamieszka. Niespodzianka, niespodzianka, draniu. Jak skończę... - Urwała, zauważywszy Anne. A potem ryknęła: - Kim ty jesteś, do cholery, i co robisz w moim domu?

- Witam! - zawołała do niej Anne przez szybę. - Co pani chce zrobić z tą siekierą i kanistrem?

- Nie twój pieprzony interes!

- Byłabym wdzięczna, gdyby pani nie używała wulgarnych słów w mojej obecności. To mnie obraża.

Kobieta odstawiła kanister z benzyną, odrzuciła siekiere i sięgnęła do kieszeni po klucz.

- Ten drań wynajął gosposię?! - zawołała głośno, żeby Anne mogła ją usłyszeć przez drzwi.

- Zapewniam panią, że nie jestem gosposią.

- Otwieraj te pieprzone drzwi!

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Kobieta wetknęła klucz do zamka i próbowała go przekręcić. Przekonawszy się, że to niemożliwe, wrzasnęła:

- Niech go szlag trafi! Jak śmiał zmienić zamki? Wiedział... Miał tego sędziego w kieszeni. Do diabła z nim. - Cisnęła bezużytecznym kluczem o ziemię. - Jeśli nie otworzysz drzwi, użyję tej siekiery. Lepiej mnie nie wkurzaj, suko! Nie dzisiaj!

- Czy pani mi grozi?

- Otwieraj te cholerne drzwi!

Tego było już za wiele. Z oczyma pełnymi łez, Anne otwarła drzwi i zmuszając się do uśmiechu, powiedziała:

- Może pani wejdzie?

Uptnęła sekunda, podczas której kobieta zdążyła odepchnąć Anne na bok i przestąpić próg.

Siła wybuchu oderwała połowę piętra.

## 24

Niełatwo było dotrzymać kroku Jilly, ale Monk wcale nie narzekał. Od lat nie czuł się taki ożywiony. On był tym, który dbał o zachowanie środków ostrożności, podczas gdy Jilly z entuzjazmem nowicjuszki planowała swój wielki spisec, nie przejmując się drobnymi potknięciami, jak choćby tym, że FBI wysłędziło jedną z użytych przez nią kart kredytowych.

Nie winił jej za ten błąd. Sam czuł się winny, jako że powinien był zniszczyć karty zaraz po wykorzystaniu. Trzymał w portfelu wszystkie swoje karty kredytowe, wystawione na różne nazwiska i adresy, i Jilly po prostu wzięła pierwszą, jaka jej wpadła w rękę.

Skutki okazały się jednak nie takie fatalne, jak można było oczekiwać. Do akcji wkroczył John Paul Renard, co Monka bardzo ucieszyło. Wiedział, że Renard próbuje go wysłędzić od ponad roku. Udaremnił kilka śledztw, które Renard wszczął w porozumieniu z różnymi agencjami w Europie, a teraz miał okazję pozbyć się wroga, zanim ten narobi mu prawdziwych kłopotów... i przy okazji sprawić przyjemność Jilly.

Zanim postanowili wykorzystać Utopię do ściągnięcia tych kobiet do Aspen, jego narzeczona dosknała się bawiła, siedząc

godzinami przy stole i robiąc notatki. Och, jak ona kochała intrygi, dreszcz oczekiwania, a przede wszystkim ryzyko. I próbowała nauczyć Monka, jak ma czerpać z tego wszystkiego przyjemność. Ilekroć udało mu się ją zadowolić, na przykład zgodą na wprowadzenie w ostatniej chwili zmian do jej skomplikowanego planu, gorliwie mu to wynagradzała. A wszelkie nagrody miały charakter seksualny. Na samą myśl o tym, co z nim robiła, albo pozwalała mu robić z sobą, rumienił się jak nastolatek.

Pod jej wpływem stawał się prawdziwym romantykiem, ale nie uważał tego za słabość, bo Jilly była jego jedyną obsesją. Z całego serca wierzył, że jeśli nie wycieńczą go na śmierć ich wspólne erotyczne wyczyny, to będą ze sobą i razem się zestarzeją.

Tak, była jego obsesją. Myślał o niej bezustannie, gotów był dla niej zrobić wszystko. Miał świadomość, że dopóki nie straci czujności i będzie naprawiał jej błędy, oboje będą bezpieczni.

Musiał jednak przekonać Jilly do porzucenia jednego z pomysłów. Chciała porwać Avery i powiedzieć jej całą prawdę o Carrie. Była taka naiwna, wierzyła, że zdoła nawrócić córkę. Monk wyjaśnił jej delikatnie, że po latach prania mózgu przez ciotkę Avery nigdy nie da się przekonać, że Jilly jest kochającą matką.

Jilly z pewnością nie była doskonała. Miała wypaczone pojęcie o macierzyństwie, uważała, że skoro Avery dzięki niej pojawiła się na tym świecie, to jest jej własnością. Mówiła o córce nie jak o osobie, lecz jak o cennej rzeczy, którą Carrie jej ukradła. Przez lata gniew na siostrę tkwił w niej niczym ropiejąca rana, lecz Jilly była cierpliwa, gdy chodziło o zemstę. Musiała się odegrać, choćby miała na to czekać bardzo długo.

Upierała się, że to ona musi wcisnąć guzik, wysadzając dom w powietrze. Obiecała Monkowi, że nie uroni ani jednej łzy z powodu śmierci siostry. Carrie sama była sobie winna. To przez nią Jilly nie miała szczęścia w życiu, przez nią Avery jej nienawidziła. To Carrie była przyczyną wszystkich jej niepowodzeń, więc miała prawo patrzeć na śmierć swojej siostry.

Brutalna szczerość Jilly nie odstręczyła Monka. Czy mógł pierwszy rzucić kamieniem? Zaakceptowała go ze wszystkimi jego grzechami, więc należało jej się to samo.

Teraz próbował naprawić błąd, popełniony w opuszczonej kopalni. Jilly była pewna, że Avery i Jean Paul wejdą do szybu, by znaleźć kolejną wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu Carrie, a wówczas on mógłby wrzucić do środka kilka ładunków wybuchowych, zatkać wylot i wrócić z Jilly do domu w górach.

Monk nie wierzył, by Renard zechciał wejść do tej pułapki, i jak się okazało, miał rację. Sądził jednak, że uda mu się zastrzelić go wraz z towarzyszką i wrzucić ich ciała do szybu, ale przegapił swoją okazję, kiedy wspięli się na skałę i skoczyli do rzeki.

Był na ich tropie. Stracił trochę cennego czasu, wracając po samochód i przeprawiając się przez rzekę, ale za to dzięki pojazdowi mógł nadrobić trochę drogi, zmierzając na skróty do miejsca, gdzie powinni byli się pojawić.

Renard nie zostawiał za sobą żadnych śladów, ale Monk mógł się tego spodziewać, znając jego przeszłość. Zbadał dokładnie życiorys swego prześladowcy i trzeba przyznać, że był pod wrażeniem. Wierzył, że w innych okolicznościach mogliby zostać przyjaciółmi. Przecież byli do siebie bardzo podobni. Obaj byli zawodowymi zabójcami. Monk mordował dla pieniędzy, Renard dla idei, co wcale nie czyniło go lepszym. Co najwyżej głupszym.

Nie zmieniało to faktu, że chętnie usiadłby z nim przy zimnym piwie i pogadał o różnych sprawach. Tylko że Renard nigdy by na to nie przystał. Był zbyt honorowy, co wcale nie wychodziło mu na zdrowie. Według utajnionych akt, które Monkowi udało się na własny użytek odtajnić, Renard cierpiał na syndrom wypalenia. Monk nie wierzył w takie bzdury. Był przekonany, że Renard porzucił swoje zajęcie, kiedy sobie uświadomił, że siła, którą czuje, pociągając za spust, zaczyna mu sprawiać przyjemność. Do diabła z honorem.

Czy on także mógł wzbudzać ciekawość Renarda? Czy Renard

wyobrażał sobie, że rozmawia z Monkiem o dreszczu podniecenia podczas polowania, o rozkoszy zabijania? Monk żałował, że nie ma szans się tego dowiedzieć. Może gdyby zdołał go zranić, unieruchomić, wówczas mógłby usiąść obok i pogawędzić z nim po przyjacielsku, dopóki Renard by się nie wykrwawił. To byłoby coś - porozmawiać z równym sobie, pochwalić się...

Monk przywołał się w duchu do porządku. Spojrzył na zegarek i pokręcił głową. Jeśli szybko nie znajdzie tych dwojga, będzie musiał wrócić do samochodu i pojechać tam, gdzie czeka na niego Jilly. Chciała jak najszybciej wrócić do domu w górach, żeby się przekonać, jak sobie radzi jej siostra. Te nieszczęsne trzy kobiety do tego czasu pewnie oszalały ze strachu i teraz skaczą sobie do oczu. Na to w każdym razie liczyła Jilly.

Zły na siebie, że wdaje się w rozmyślenia, zamiast pilnować interesu, podniósł do oczu lornetkę i jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Już skręcał na północ, kiedy dostrzegł wieżę obserwacyjną w odległości mniej więcej półtora kilometra od miejsca, gdzie się znajdował. Właśnie schodził z niej strażnik leśny. Monk obserwował go, dopóki mężczyzna nie stanął na ziemi.

- Jest mojej postury - mruknął zadowolony.

Dokładnie godzinę później, wychylony przez barierkę na szczycie wieży, rozglądał się po zalesionych wzgórzach. U stóp wieży, na tle ciemnych krzewów odcinała się biała plama koszula strażnika, którego zabił strzałem w skroń i odarł z munduru.

Już miał zaniechać pościgu, gdy nagle dostrzegł swój cel. Jasne włosy Avery, tak podobne do włosów jej matki, błyszczały w słonecznym świetle. Monk nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Miał ich jak na dłoni - schodzili z góry, zmęczeni i obzarpani. Zaśmiał się głośno. Niech no tylko powie Jilly... Wiedział, jaką otrzyma odpowiedź. Jilly przyzna, że miał niewiarygodne szczęście.

Zgodzi się z nią, oczywiście, chociaż w istocie szczęście niewiele miało wspólnego z odnalezieniem uciekinierów. Prze-

studiowawszy dokładnie mapę, przewidział, że jeśli przeżyli skok do wody, wyjdą z rzeki przed wielkim uskokiem poniżej Przepawy Tchórza.

Postanowił ich wyprzedzić i zaskoczyć. Zszedł z drabiny, wrócił na ścieżkę; głowę trzymał opuszczoną, a daszek czapki osłaniał mu twarz.

Wyszedł na odkrytą przestrzeń między drzewami i odwróciwszy się wolno udał, że dopiero teraz ich zauważył. Uniósł rękę, żeby do nich pomachać.

Avery usłyszała za sobą głos Johna Paula.

- Padnij, Avery. Natychmiast.

Nie wahała się. Udając, że się potknęła, przykłęknęła na jednym kolanie. John Paul zrównał się z nią i schylił się, żeby ją podtrzymać.

- Udawaj, że się skaleczyłaś.

Leżąc na boku, obiema rękami ścisnęła kostkę, krzywiąc się przy tym przesadnie. Omal nie zalała się łzami, tak bardzo była rozczarowana.

- To nie jest strażnik leśny, prawda?

- Nie.

Zaczęła masować kostkę.

- Skąd wiesz?

- Widziałem jego broń. Strażnicy leśni nie mają karabinów z celownikami optycznymi.

- Zauważyłeś to z takiej odległości?

- Słońce odbiło się akurat w soczewce - wyjaśnił. - Myślę, że to on. Nie twierdzą, że to Monk, ale...

- Sama myśl, że to może być on, już mi wystarczy.

- Dobrze, pomogę ci wstać. Oprzyj się o mnie i pójdziemy dalej, ale skróćmy na zachód. Kiedy znajdziemy się między drzewami, zaczniemy biec ze wszystkich sił.

- On będzie nas gonił.

- Gotowa?

Nie dając jej czasu na odpowiedź, postawił ją na nogi i obejmując ramieniem, pociągnął za sobą.

- Kulej - rozkazał stłumionym głosem. Szli jak pijani. Udając chwiejny chód, stopniowo zbaczali na zachód.

John Paul pilnował, by znajdowali się poza zasięgiem broni Monka. Był już pewien, że człowiek w mundurze strażnika leśnego jest mordercą, bo nie ruszał się z miejsca, a strażnicy leśni zawsze starali się przychodzić z pomocą.

- Czeka, żebyśmy się znaleźli na linii jego strzału - powiedział do Avery.

- O Boże...

- Boisz się?

- Och...

Uśmiechnął się pod nosem.

- To dobrze. No, złotko, biegnijemy.

Natychmiast rzuciła się pędem w stronę drzew. John Paul biegł tuż za nią. Obejrawszy się przez ramię stwierdził, że Monk ruszył za nimi w pogoń. Mieli nad nim sporą przewagę. Avery równym tempem gnała w dół z nadzieją, że uda im się przeciąć drogę poniżej Monka. Przez cały czas modliła się o spotkanie jakichś obozowiczów lub prawdziwych strażników leśnych, którzy by im pomogli.

W uszach jej dzwoniło. Co to za dźwięk? Wiatr gwizdający w gałęziach? A może świst karabinowej kuli? Nie, to nie było to.

Dziwny hałas ustał tak samo nagle, jak się pojawił. Po chwili rozległ się znowu, tym razem głośniejszy, bardziej przenikliwy. Przypominał dźwięk gwizdka.

- Słyszałeś... to...? - wydyszała.

- Yhm.

Usłyszała trąbkę. Czyżby doznawała pomieszania zmysłów? Nie zwalniała w biegu; stopy zapadały się w miękkiej ziemi, płuca paliły ze zmęczenia.

Nogi miała tak zdrętwiałe, że w pewnej chwili straciła równo-

wagę i niechybnie wpadłaby do rowu, gdyby John Paul błyskawicznie nie przyspieszył, żeby ją podtrzymać.

Przez chwilę biegli obok siebie. Całkiem niespodziewanie wyłonili się spomiędzy drzew, przecięli drogę... i wpadli w sam środek 183 Drużyny Skautów. John Paul siłą rozpędu zmiotł jeden z namiotów i powalił na ziemię drużynowego, pozbawiając go tchu. Podczas zderzenia trąbka wypadła mu z ręki i przeleciała do innego namiotu.

- Komórka! - zawołała Avery do rozciągniętego na ziemi człowieka. - Potrzebny nam pański telefon komórkowy.

- Tu nie ma zasięgu - odparł, podnosząc się na łokciach. Twarz miał pąsową ze złości. - Co wy sobie, do pioruna, wyobrażacie...

John Paul nerwowo rozglądał się po drodze. Monk nie miałby żadnych skrupułów, by narażać dzieci, gdyby mu to umożliwiło osiągnięcie celu. Jeden z chłopców aż krzyknął, gdy zobaczył pistolet za paskiem dżinsów Johna Paula, lecz ten uciszył go jednym ostrym spojrzeniem.

Avery opadła na kolana przy drużynowym.

- Proszę posłuchać. Potrzebujemy pomocy. Idzie tu morderca. Macie jakiś pojazd? Proszę mi odpowiedzieć - wyrzuciła z siebie błagalnym tonem.

Jej strach wyraźnie mu się udzielił.

- Mamy tu wóz kempingowy, ale mój ford z napędem na cztery koła stoi pół mili stąd przy drodze. Kluczyki są w mojej kurtce w tamtym namiocie, tym z wymalowanym numerem drużyny.

John Paul pomógł Avery wstać.

- Niech pan zabierze stąd chłopców, najlepiej wsiądźcie do tego wozu kempingowego! - zawołał przez ramię, ciągnąc Avery w stronę najbliższej kępy drzew.

- I niech pan znajdzie jakiś telefon i zadzwoni po pomoc - dodała, biegnąc za towarzyszem.

Nogi jej się trzęsły, czuła, że nie zdoła już długo biec. Skupiła się na uważnym stawianiu stóp, jednej przed drugą. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej przez gardło. I nagle sobie przypomniała, że przecież nie wzięli kluczyków.

- Musimy wrócić... kluczyki od samochodu.

- Nie są nam potrzebne - stwierdził. - Ruszaj się, złotko. Zaczynasz zwalniać.

Marzyła o tym, by się gdzieś ukryć i zaczekać, aż John Paul wróci samochodem. Chyba mogłaby znaleźć miejsce, gdzie Monk by jej nie znalazł?

Skarciła się w duchu. Wytrzyma. Wytrzyma. Powtarzała to sobie w rytm kroków jak komendę, dopóki ból w boku nie stał się rozdzierający. Zastanawiała się, czy można umrzeć w biegu. Pewnie że można.

Łzy nabiegły jej do oczu na widok starego forda, zaparkowanego na poboczu za zakrętem. John Paul wyprzedził ją, rozbił tylną szybę, sięgnął do środka i otworzył przednie drzwi.

Avery obiegła samochód dookoła i padła na siedzenie obok kierowcy. John Paul potrzebował niecałej minuty, by łącząc odpowiednie kable zapalić silnik, wrzucić bieg i ruszyć.

- Byłeś młodocianym przestępcą? - spytała z nutą podziwu w głosie.

Nagle opadło z niej napięcie. Obolała, pozbawiona sił, pozwoliła sobie na ciche chlupanie.

- Płaczesz?

- Nie.

- Byłem pewien, że słyszałem. - Przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Cieszę się. - Szybko otarła łzy z policzków.

Uśmiechnął się szeroko. On także się cieszył... niestety niedługo.

- Cholera - mruknął.

- Co jest?

Droga wiję się serpentynami... on może zejść z góry i gdzieś się przyczaić... cholera, pewnie właśnie tak robi, a nie ma gdzie

zjechać. - Pochylił się, wyjął pistolet zza paska i położył sobie na kolanach. Następnie opuścił szybę w oknie i znów wziął broń do ręki.

Avery zrobiła dokładnie to samo.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - zdziwił się.

- Szykuję się, tak samo jak ty.

- Nie. Schyl się i nie podnoś głowy. Jeśli on się pojawi, to od twojej strony.

Puściła jego polecenie mimo uszu.

- Powiedz mi tylko, kiedy zacząć strzelać. Nie damy mu szansy na strzał, dopóki go nie minimy.

Plan wydawał się świetny i przedstawiła go z upodobaniem tylko dlatego, że nie wierzyła, by Monk mógł tak szybko zejść z góry na drogę.

Myliła się. Dostrzegła go wcześniej niż John Paul.

- Kładź się, do cholery! - krzyknął.

W odpowiedzi odbezpieczyła broń. Wystawiła rękę przez okno i oparła lufę na bocznym lusterku. Czekwała. Starła się przy tym pochylić na tyle, na ile to było możliwe.

- Teraz! - krzyknął John Paul, kiedy Monk przykucnął z karabinem gotowym do strzału.

Strzelając jednocześnie i bez przerwy, przemknęli koło mordercy. Monk zrobił unik, przetoczył się na plecach i znów uniósł broń. Avery nie zdejmowała palca ze spustu, nie dając mu możliwości wycelowania.

Droga niespodziewanie skręciła, prowadząc pod górę. Była tam też inna droga, o miękkiej ziemnej nawierzchni, odchodząca w dół, na południe. John Paul miał jednak świadomość, że gdyby przy tej prędkości próbował w nią zbroczyć, skończyłoby się to wywrotką.

- Nie mam już naboji - stwierdził, opróżniając magazynek.

Nie zdążyła się do niego odwrócić, bo chwycił ją za szyję i pociągnął w dół.

- Na podłogę - rozkazał tuż przed tym, jak tylna szyba rozprysnęła się na kawałki.

Cały czas jechali pod górę. Przed następnym zakrętem Monk trafił w tylną oponę.

Samochód zaczął tańczyć na drodze, otarli się o krzaki, o włos unikając czołowego zderzenia z drzewem, i w końcu utknęli, zaczepiając o skałę.

- Wsiadaj! - zawołał John Paul, wyskakując zza kierownicy i okrążając samochód. Avery nie miała pojęcia, gdzie się znajdują, wiedziała tylko, że znów się wspinają. Krew szumiała jej w uszach niczym spieniona kipiel wodospadu. Dotarła do szczytu stromego zbocza i zamarła.

- Nie - jęknęła z rozpaczą.

John Paul stanął obok niej.

- O cholera.

Miała ochotę zapłakać na widok spienionej wody w dole. Nie. Znowu? Nie ma mowy. Kręcąc głową powiedziała:

- Nie zrobię tego. Nie mogę. A ty nie możesz mnie zmusić.

John Paul sprawiał wrażenie szczerze zasmuconego, kiedy chwytając ją wpół, powiedział:

- Jasne, że mogę.



## 25

Do diabła z taką malowniczością. Avery była przekonana, że na widok następnej spienionej rzeki zacznie krzyżeć i nigdy nie przestanie. W tej chwili również sosny budziły w niej głęboką odrazę. Nienawidziła ich, każdej z osobna. Za Johnem Paulem też właściwie nie przepadała. Zrzucił ją z urwistego brzegu jak odwinęty papierek z cukierka; lecąc w dół, przysięgła sobie, że jeśli przeżyje, zabije go, i to z radością.

Wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie. I co z tego? Już i tak fatalny nastrój jeszcze jej się pogorszył, kiedy rozciąła sobie nogę na ostrym kamieniu. Gdyby się znajdowali w oceanie, krew wypływająca z rany wezwałaby na posiłek okoliczne rekiny. Walcząc o utrzymanie się na powierzchni, próbowała myśleć pozytywnie i cieszyć się, że w pobliżu nie ma żadnych rekinów. A skaleczenie prawie wcale nie bolało w porównaniu ze skurczem w łydce, przez który omal nie utonąła. John Paul doholował ją do brzegu, wniósł pomiędzy drzewa, gdzie nie było ich widać, i upuścił na ziemię. Wylądowała na boku.

On sam padł bez sił obok niej.

- Nie było aż tak źle, co?

Opiła się takiej ilości wody, że wystarczyłoby do napełnienia

przydomowego basenu, więc nawet nie była w stanie odpowiedzieć na to absurdałne pytanie. Odgarnęła tylko włosy z oczu, żeby go zmierzyć wściekłym spojrzeniem.

- Nie było tak źle, jak przy pierwszym skoku. Nie sądzę, żebyśmy opadali dużo więcej niż sześć metrów - ocenił.

- Zepchnąłeś mnie z urwiska.

Właściwie wcale jej nie zepchnął. Z tego, co pamiętał, przerzucił ją nad krawędzią, żeby nie uderzyła o wystające skały, uznał jednak, że lepiej o tym na razie nie wspominać.

- A miałem inne wyjście?

Nie chciała przyznać, że w istocie nie miał wyboru. Ich broń była praktycznie bezużyteczna przeciwko karabinowi z najnowocześniejszym wyposażeniem, a Monk deptał im po piętach.

- Nie chcę o tym mówić.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Marudzimy, złotko? Gdzie się podział twój optymizm?

- Został na dnie rzeki.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź. Wynosimy się stąd.

Nie wiedziała, czy ma dość siły, żeby wstać. Była zmęczona, zziębnięta i mokra. Zmusiła się jednak do wysiłku.

- Dobrze. - Uchwyciła wyciągniętą dłoń. Kiedy ją pociągnął, wpadła na niego. Objął ją ramieniem i przytulił. Przez chwilę zastanawiał się, w którą stronę powinni pójść.

- Ty nie jesteś zmęczony? - spytała.

- Jestem.

Obejrzała się na rzekę.

- Może on już da nam spokój.

John Paul pokręcił głową.

- Nie ma szans. Jest zawodowcem. Zawarł kontrakt i nie przestanie nas ścigać, dopóki...

- Mu się nie uda?

- Albo dopóki ja go nie zabiję.

- Głosuję za tą drugą opcją.

Oboje usłyszeli dziecięcy śmiech. Avery oderwała się od Johna Paula i ruszyła biegiem w kierunku, skąd dobiegał.

- Mam nadzieję, że mają telefon.

- Wątpię, żeby ci się udało połączyć.

- Uwielbiani ten twój pesymizm. Martwisz mnie, John Paul.

Przez minutę byłeś...

- Jaki?

- Pogodny.

- Jak cholera.

Zabrzmiało to lak, jakby go obraziła. Śmiejąc się, biegła w stronę, z której dochodził dźwięk. Powodem jej nagłego dobrego humoru była albo radość, albo histeria. Pięciosobowa rodzina rozbijała namioty nieopodal małego strumyka.

Po krótkich wyjaśnieniach wszyscy wsiedli do turystycznego mikrobusu i wyruszyli do miasta, które rodzina zapamiętała, jako leżące niedaleko celu wycieczki.

W pół godziny dotarli do sennej miejsciny o nazwie Amerson. Centrum stanowiły cztery ulice. Zatrzymali się przed dwupiętrowym murowanym budynkiem. Ledwie Avery i John Paul wysiedli i zamknęli za sobą drzwi, mikrobus odjechał z piskiem opon.

- Chyba go przestraszyłeś - stwierdziła Avery.

- Im szybciej zabierze od nas swoją trzódkę, tym bardziej wszyscy będą bezpieczni.

Na miejscu znajdował się posterunek policji, co było niespodzianką, zważywszy na skąpe rozmiary miejscowości. Posterunek wciśnięty był między ochotniczą strażą pożarną i bar szybkiej obsługi. Wszystkie trzy przybytki znajdowały się w tym samym budynku; każdy z nich miał osobne wyjście na ulicę, a nad nim szylt ze stosownym napisem. Weszli środkowym wejściem do szerokiego holu. Po obu stronach znajdowały się wahadłowe drzwi. Jedne prowadziły do restauracji, drugie do siedziby straży pożarnej. Posterunek policji znajdował się na wprost.

W powietrzu unosił się zapach hamburgerów, cebuli i frytek, który o dziwo wcale nie pobudził apetytu Avery. Przeciwnie, przyprawił ją o mdłości. Brak pożywienia, przebiegnięte kilometry, zimno i strach zrobiły swoje. Czowała się wykończona. Dojście od drzwi do barierek nagle wydało jej się trudniejsze niż pokonanie rwącego prądu w rzece. Stopy jej ciążyły, jakby każda ważyła z pięćdziesiąt kilo, a każdy ruch wydawał się ponad siły.

John Paul widział, co się z nią dzieje; sprawiała wrażenie ledwie żywej.

- Dobrze się czujesz? - spytał, obejmując ją w pasie.

- Czuję się tak, jakbym ulegała stężeniu pośmiertnemu - odparła. - A chyba jeszcze nie umarłam?

- Nadal oddychasz - uspokoił ją z uśmiechem.

Zajrzawszy przez szybę, dostrzegł policjanta siedzącego za biurkiem. Pochylał się nad stertą papierów. Co jakiś czas zerkał na ekran telewizora zamontowanego na ścianie. Był mężczyzną w średnim wieku, ubranym w granatowe spodnie i białą koszulę; na kieszeni miał naszywkę z nazwiskiem Tyler i stopniem służbowym. Właśnie wziął do ręki kolejny arkusz i marszcząc czoło, zaczął czytać.

Za barierką stała siwowłosa kobieta około siedemdziesiątki, odwrócona plecami do drzwi. Sprawiała wrażenie zahipnotyzowanej przez program nadawany w telewizji.

Kiedy John Paul otworzył drzwi, usłyszał jej wzburzony głos:

- Nie mówiłam, że stanie się coś złego? Nie mówiłam, Bud?

- Tak, Verna. Mówiłaś.

- Nie mówiłam, że sam jest sobie winien? - ciągnęła. - Wyrwać te wszystkie piękne drzewa i niszczyć górę tylko po to, żeby sobie wybudować dom dziwoląg? Wygląda na to, że matka natura postanowiła się zemścić, nie uważasz?

Policjant nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego jej uwagami.

- Owszem - mruknął, nie odrywając oczu od kartki, którą trzymał w dłoni.

~ Moim zdaniem, to on jest winien. Szkoda mi jego żony.  
 - Masz na myśli była żonę?  
 - Właśnie. Pozbył się jej, żeby sobie sprawić nowszy model. Moim zdaniem, to zbrodnia. Biedactwo. Przyzwyczał ją do życia w luksusie, a teraz chciał ją pozbawić wszystkiego za jednym zamachem.

Policjant wyraźnie miał dosyć. Opuścił kartkę na biurko i spojrzął w ekran.

- Biedactwo? Nie widziałeś tych wywiadów, których udzielała w zeszłym miesiącu? Musieli wykasować co drugie jej słowo. Według mnie, był stuknięty, że w ogóle się z nią ożenił.

- Ale jak ona sobie teraz poradzi?  
 - Może się gdzieś zatrudnić i pracować jak każdy z nas. Nikt jej nie trzymał pistoletu przy skroni, kiedy podpisywała umowę przedmałżeńską - zauważył sucho.

John Paul i Avery słuchali od progu. Kiedy Verna mówiła, jaka to wielka szkoda, John Paul wszedł do środka. Policjant natychmiast wstał zza biurka.

- Co wam się stało?  
 - To długa historia.  
 - Chętnie posłucham - stwierdził.

Avery podeszła do barierki. Na jej widok Verna wytrzeszczyła oczy i głośno westchnęła.

- Nazywam się Avery Delaney.  
 - Jesteś zupełnie mokra. Co ci się stało? Wyglądasz jak wyciągnięta psu z gardła.

Avery nie wiedziała, od czego zacząć. Widząc, jak John Paul ściska dłoń policjanta i siada na krześle, postanowiła jemu pozostawić wszelkie wyjaśnienia.

- Mogę skorzystać z waszego telefonu? - spytała. - Muszę zadzwonić po FBI.

Verna wyglądała tak, jakby oczy miały jej zaraz wyskoczyć z orbit. Zawołała przez ramię:

- Bud?! Ta pani chce wezwać FBI.  
 - Pozwól jej skorzystać z telefonu - rozkazał policjant. Pochylony nad biurkiem, uważnie słuchał Johna Paula.

Verna postawiła na barierce staroświecki czarny aparat.  
 - Na piętrze nad strażą pożarną są prysznicze i wygodne, czyste łóżka. Proszę dzwonić, a ja pójde po jakieś koce dla was. Usta ci drżą, dostaniesz hipotermii, jeśli się szybko nie ogrzejesz.

- Dziękuję - powiedziała Avery. - Jest pani bardzo miła.  
 Chwyliła za słuchawkę, a potem bezradnie ją odłożyła. Była tak wyczerpana, że nie mogła sobie przypomnieć numeru do nory. Zamknęła oczy, próbując ułożyć w myślach cyfry. Trzy dziewięć jeden czy dziewięć trzy jeden?

Może mogłaby zadzwonić do Cartera? Jaki był jego prywatny numer? Potem usłyszała, jak John Paul pyta policjanta, czy coś mu wiadomo o posiadłości zwanej Krainą Między Jeziorami.

- Każdy w Kolorado słyszał o tej posiadłości.  
 - Czy to daleko stąd?  
 - Spory kawałek drogi, a przez tych wszystkich gapiów nie będziecie mogli tam dojechać. Policja zagroziła dostęp do tego miejsca. Najlepiej obejrzeć wszystko w telewizji.

John Paul nie rozumiał, o czym policjant mówi. Odruchowo spojrzął na ekran.

Dziewięć trzy jeden. Zgadza się. Avery podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer. Słuchawka znajdowała się w połowie drogi do jej ucha, kiedy Avery przypadkiem skierowała wzrok na telewizor. Zamarła; numer znów wyleciał jej z głowy.

Lokalny sprawozdawca oświadczył, że dysponują nowym materiałem dotyczącym katastrofy, uzyskanym od turysty z Aspen, który sfilmował wybuch kamerą video.

- Decyzja sędziego została ogłoszona kwadrans po ósmej dziś rano. Prawo własności do domu zostało przyznane Denisowi Parnellowi. Dla tych, którzy dopiero teraz zaczęli nas oglądać, powtarzamy, że dziś rano posiadłość Parnella, znana jako Kraina Między Jeziorami, wyleciała w powietrze.

Telefon spadł na podłogę. Avery zemdląca.

## 26

Odrętwiała z bólu i rozpaczy Avery nie była w stanie się poruszyć. Carrie nie żyła. Carrie, która darzyła ją bezwarunkową miłością, zawsze, niezależnie od tego, jak bardzo Avery ją złościła swoimi życiowymi wyborami.

Zawiodła ją. Gdyby Avery działała szybciej, gdyby była mądrzejsza, Carrie nadal by żyła. Zmarnowała mnóstwo czasu biegając od punktu do punktu pod dyktando tej szalonej kobiety od telefonu, która mamiła ją kłamstwami, że w ten sposób ocali Carrie. Powinna była znaleźć sposób, żeby uratować Carrie i dwie pozostałe ofiary. Teraz było już za późno.

John Paul trzymał ją w ramionach i słuchał, jak w kółko powtarza, że czuje się winna.

Verna ugotowała zupę i niemal siłą nakarmiła Avery, a potem zaprowadziła ją na górę i czekała niczym więzienny strażnik pod drzwiami, gdy Avery brała prysznic.

- Biedactwo - powtarzała raz po raz starsza kobieta, słysząc żałosne łkanie.

Po kąpieli Verna wręczyła Avery szary męski podkoszulek należący zapewne do policjanta z dołu, i zabrała się do prania jej rzeczy.

Chodziła koło Avery jak zatroskana kwoka. Usadziła ją na polowym łóżku i uklękła obok niej na podłodze z apteczką pierwszej pomocy. Rana na nodze nie była głęboka, ale należało ją oczyścić. Verna obficie polała skaleczone miejsce jodyną i założyła opatrunek z gazy.

Później pomogła Avery się położyć, otuliła ją kocem i postanowiła zejść na dół, żeby jej zaparzyć filiżankę herbaty. Kiedy stojąc w progu, odwróciła się, żeby spytać, czy ma dolać do herbaty trochę mleka, Avery spała.

John Paul czekał u stóp schodów.

- Nic jej nie jest?

- Śpi. To dla niej teraz najlepsze. Jest wykończona.

Przytakując ze zrozumieniem, John Paul wrócił na posterunek. Policjant rozmawiał przez telefon, sprawdzając, czy John Paul rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Uzyskawszy niezbędne informacje, zaczął okazywać więcej przychylności.

- Oddział jest już w drodze - oznajmił. - Pomyślałem, że musi pan być głodny i zadzwoniłem do restauracji. Jeden z pracowników niesie dla pana jedzenie.

- Dzięki.

- Sprawdziłem pana - przyznał. - Był pan w piechocie morskiej.

- Byłem.

- Ja byłem w wojsku -- powiedział. - Ukończyłem West Point, a potem służyłem w Niemczech. Mój najlepszy przyjaciel był komandosem. Zmarł w zeszłym roku. Bardzo mi go brakuje. Był dobrym człowiekiem.

John Paul nie wiedział, czemu policjant mu to wszystko opowiada.

- Słyszałem, że jest pan dobry w posługiwaniu się bronią - mówił dalej Tyler. - Myśli pan, że czekają nas kłopoty? Dopóki FBI się nie zjawi, jesteśmy zdani na siebie.

- Jeśli Monk wie, gdzie jesteśmy, może próbować nas tu

dopaść. Nie sądzę jednak, żeby wiedział. Zapewne przyczał się, żeby przystosować swoje plany do nowej sytuacji. Ja bym tak zrobił.

- Nie możemy ryzykować - stwierdził Tyler, zmierzając do szafki stojącej w kącie pomieszczenia. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył kłódkę. John Paul uśmiechnął się na widok zawartości szafki. Tyler miał do dyspozycji prawdziwy arsenał.

- Lubi pan być przygotowany na każdą okazję? - rzucił z uznaniem.

Policjant uśmiechnął się szeroko.

- Czasami muszę się rozprawić z jakimś dokuczliwym niedźwiedziem.

- Goni pan niedźwiedzie z M 1911?

- Nie, to akurat pozostałość po mojej wojskowej przeszłości. Proszę sobie coś wybrać - zachęcił i zwracając się do swojej asystentki, dodał: - Verna, idź do domu, do córki, i zostań tam, dopóki to się nie skończy.

- Nie chcę zostawiać samej tej dziewczyny na górze. Potrzebuje teraz wsparcia i pociechy. Martwię się, że mogła doznać poważnego wstrząsu.

- Jest twardsza, niż się wydaje - zapewnił John Paul. - Ja ją... będę miał na nią oko.

Chciał powiedzieć, że ją pocieszy, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Co się z nim, u diabła, dzieje? Nie miał pojęcia, co zrobić, żeby Avery poczuła się lepiej, ale nie mógł znieść myśli, że miałyby się wypłakiwać na ramieniu kogoś innego. Przecież to nie miało sensu. Mąciła mu w głowie, budziła jakieś szalone, niedorzeczne myśli. Nie rozumiał, dlaczego stała się dla niego taka ważna, wiedział tylko tyle, że chce ją chronić... za wszelką cenę.

Chronić i służyć. Jeśli nadal będzie myślał w ten sposób, znów wyląduje po stronie prawa i porządku. Aż się wstrząsnął na taką możliwość.

Tyler przerwał jego rozmyślania.

- Mam porządne, mocne drzwi z podwójnymi zamkami. Są też tylne drzwi, z szybą, ale założyłem tam alarm ze względu na służbę przeciwpożarową, więc jeśli ktoś będzie próbował tamtędy wejść, całe miasto zostanie postawione na nogi.

John Paul sprawdził zabezpieczenia. Piętnaście minut później, zadowolony z kontroli, zjadł posiłek, poszedł na górę wziąć prysznic i przebrać się w spodnie i podkoszulek, które dostał od Tylera. Verna czekała przed drzwiami łazienki z plastikową torbą, żeby zabrać jego mokre rzeczy.

- Mój zięć podrzucił je tu razem z rzeczami Avery w drodze z pralni - powiedziała, schodząc po schodach. - Opiekuj się nią, słyszysz?

- Na pewno będę - obiecał.

Kilka minut później Verna odjechała ze swoją córką.

Tyler uparł się, że sam popilnuje posterunku, a John Paul w tym czasie trochę się prześpił.

John Paul nie oponował. Starając się nie robić hałasu, wszedł do pomieszczenia, gdzie spała Avery. Stały tam cztery polowe łóżka ze świeżą pościelą, ustawione pod jedną ścianą. Tyler wyjaśnił mu, że kiedy stawiano budynek, mieszkańcy miasta wierzyli, że będą mieli oddział straży pożarnej z prawdziwego zdarzenia. Miasto jednak nie rozwinęło się tak, jak wówczas planowano, i jego budżet nie był w stanie udźwignąć płac dla zawodowych strażaków. Skończyło się więc na ochotnikach.

John Paul zauważył, że okno nie jest zamknięte. Wychodził na alejkę na tyłach budynku, a w odległości dwóch metrów po lewej stronie znajdowała się drabinka przeciwpożarowa. Zamknął okno i usiadł na łóżku sąsiadującym z pościelą Avery.

Spała ułożona na plecach. Pomyślał, że z czystą twarzą i włosami jeszcze wilgotnymi po kąpieli jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Wyglądała jak anioł, choć jej charakteru nie określiłby jako anielski. Podobało mu się jednak, że umiała mu się postawić

i broniła swojego zdania. Podobało mu się też jej nastawienie do życia. Postrzegała świat podobnie jak on w czasach, kiedy był jeszcze naiwny.

Był zmęczony i pewnie stąd mu się brały takie niemądre myśli. Postanowił wyjechać, gdy tylko zjawi się FBI. Po prostu. Avery była przysięgłą zwolenniczką działań zespołowych, więc jej zespół na pewno odpowiednio o nią zadba.

- Cholera - mruknął, wyciągając się na łóżku.

Przespał pełne dwie godziny, nim Tyler go obudził. John Paul usłyszał jego kroki na schodach i kiedy drzwi się otworzyły, czekał z wymierzoną bronią.

Policjant poczekał, aż John Paul odłoży pistolet. Dopiero wtedy wszedł do środka.

- Mamy towarzystwo - szepnął. - FBI już tu jest. Ich dowódca chce się z panem widzieć.

Avery wciąż spała jak zabita. Przez sen skopała z siebie kołdrę i teraz jedna noga zwiisała jej z łóżka. Nad kostką miała opatrunek: na bandażu widoczne były ciemne plamki krwi. Zastanawiał się, kiedy się skaleczyła. Ostrożnie ułożył jej nogę na łóżku i otulił kołdrą. Dlaczego nic nie powiedziała?

Znał odpowiedź. Nie lubiła narzekać.

Miał taką ochotę ją pocałować, że z trudem się powstrzymał. Poszedł do łazienki i ochlapał sobie twarz zimną wodą.

Ogarnęła go złość na myśl o rozmowie, którą musiał odbyć z federalnymi. Jeśli ich dowódca okaże się podobny do tych, których znał, to czekało go spotkanie z aroganckim, zarozumiałym, tępotnym dupkiem.

Nim skończył wycierać twarz i ręce, był gotowy do walki. Prawdę mówiąc, nie mógł się jej doczekać. Przyłapał się na tym, iż ma nadzieję, że facet będzie dupkiem, ponieważ nie wiedzieć czemu miał wielką ochotę komuś dołożyć.

Niestety, agent Knolte ani nie był dupkiem, ani nawet zarozumiałcem. Był inteligentny, chętny do współpracy, szczerzy i całkiem

sensownie wypowiadał się w tej konkretnej sprawie. Najwidoczniej starannie się przygotował na temat Monka, bo wiedział o nim prawie tyle co John Paul.

John Paul miał tylko dwa zastrzeżenia do agenta Knolte. Po pierwsze, że swą piegowatą twarzą wyglądał na dwunastolatka. Wicherek nad czołem i aparat ortodontyczny jeszcze pogłębiały to wrażenie. Czyżby ostatnio FBI prowadziło rekrutację w podstawówkach? Drugie zastrzeżenie było znacznie poważniejsze: Knolte był agentem wtajemniczonym.

- Panie Renard, to prawdziwy zaszczyt poznać pana - powiedział, wyciągając rękę na powitanie. Czterej pozostali agenci stłoczyli się wokół nich. - Wszyscy słyszeliśmy o odbiciu zakładników w Ameryce Południowej i chcemy, by pan wiedział, że współpracę z panem uważamy za zaszczyt.

John Paul zajrzał w piwne oczy agenta Knolte.

- Nigdy nie byłem w Ameryce Południowej.

- Ale rozmawiałem z...

- Nigdy tam nie byłem.

- Tak, proszę pana. Skoro pan tak mówi - zgodził się skwapliwie Knolte.

- Domyślamy się, że agencja była zachwycona, że postanowił pan wrócić do pracy po długim urlopie - włączył się inny agent.

Nie patrząc na niego, John Paul odpowiedział:

- Nie brałem urlopu. Zrezygnowałem. - I nie dając żadnemu z, nich czasu na zabranie głosu, spytał: - Ile pan ma lat, agencie Knolte?

Pytanie nie wzbudziło widocznego niepokoju adresata.

- Więcej, niż można sądzić po wyglądzie. Pozwoli pan, że przedstawię mój zespół.

John Paul nagle został otoczony przez agentów, którzy chcieli uściskać mu rękę. Nie czuł się z tym najlepiej. Tyler obserwował całą scenę z daleka i John Paul widział, jak kręci głową, mrużąc coś na temat „cholernego fanklubu”.

- Musimy porozmawiać z panną Delaney - powiedział agent o nazwisku Brock.

- Dopiero kiedy się wyśpi - ostrzegł John Paul. - Możecie rozmawiać ze mną.

Rozmowa trwała godzinę. Co chwila przerywały im doniesienia od innego agenta, który znajdował się w miejscu wybuchu. Knolte powiadomił Johna Paula, że sprowadzono psy, które pomagają w poszukiwaniu ciał. Do tej pory znaleziono dwa. Po szczątkach samochodu znajdującego się w pobliżu stwierdzono, że jedną z ofiar jest była żona Dennisa Parnella, właściciela domu.

Oczekiwanie na wiadomość o pozostałych ciałach było trudne i pełne napięcia. Wreszcie Knolte otrzymał następny telefon i od razu podał słuchawkę Johnowi Paulowi.

- Pewnie będzie pan chciał to usłyszeć.

Minutę później John Paul gnał po schodach na górę. Knolte mógłby przysiąc, że ten mężczyzna o kamiennym wyrazie twarzy naprawdę się uśmiechnął.

Kiedy wbiegł do środka, drzwi z hukiem walnęły o ścianę, ale hałas nie obudził Avery.

Chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Skarbie, otwórz oczy. No już, Avery, obudź się.

Nie zareagowała od razu. Miała trudności z zebraniem myśli. W końcu otworzyła oczy i spróbowała usiąść na łóżku.

- Trzeba już iść? - spytała półprzycotnie.

- Carrie żyje.

Wbiła w niego wzrok, potrząsając przy tym głową, jakby nie mogła zrozumieć, co do niej mówi.

- Żyje? Jak to możliwe? Ten dom...

- Wydostała się z niego przed eksplozją. Nie wiem, jak jej się udało, ale jest cała.

Avery zalała się łzami. John Paul usiadł na łóżku i wziął ją na kolana. Przytulał ją do siebie, a ona szlochała rozdzierająco, mocząc mu cały podkoszulek.

Kiedy w końcu była w stanie się trochę uspokoić, zarzuciła go pytaniami:

- Wszystkie kobiety uciekły? Gdzie Carrie jest teraz? Zawiadomili wujka Tony'ego? Biedak pewnie odchodzi od zmysłów. Najpierw mu mówią, że Carrie nie żyje, a potem, że żyje. Mam nadzieję, że jego serce to wytrzyma.

John Paul nie wiedział, w jakiej kolejności odpowiadać na pytania.

- Carrie jest w szpitalu w Aspen.

Poderwała się gwałtownie.

- Dlaczego jest w szpitalu? Mówiłeś, że nic jej się nie stało.

- Nic jej nie jest - zapewnił. - Ale ta druga kobieta jest ranna. Sędzia rozbiła sobie kolano, wpadając do głębokiego wąwozu - wyjaśnił. - Carrie skrzyła kostkę i złamała rękę, ale mimo to była w stanie naściagać suchych gałęzi, pod którymi ukrywały się przez resztę nocy. Znalazł je pies policyjny. Zostały zabrane do szpitala, a sędzia jest właśnie operowana.

- A co z tą trzecią kobietą? Bo przecież było ich trzy... prawda?

- Anne Trapp. Została w domu.

- Dlaczego? Dlaczego została?

- Nie wiem. Będziesz musiała spytać Carrie, a może Knolte zna już powód.

Avery wstała, potykając się o swój plecak i torbę.

- Skąd to się tu wzięło?

- Komendant posterunku zadzwonił do swojego przyjaciela, który uruchomił mój samochód i przyjechał nim tutaj.

Avery była taka szczęśliwa z powodu Carrie, że miała ochotę śmiać się, płakać i całować Johna Paula. Och, naprawdę chciała go pocałować... i nie tylko. Co się z nią działo? Może to przez endorfiny. Tak, z pewnością.

Skarciła się w duchu. Powinna się skupić na Carrie. I na wujku Tony'm.

- Czy ktoś dzwonił do mojego wuja?

- Tak. Jest szczęśliwy i zarazem przestraszony. Chce złapać najbliższy lot do Aspen.

Avery pokiwała głową z zadowoleniem.

- Kto jest na dole? - spytała, przyklękając przy swojej torbie i rozpinając zamek.

- FBI - odpowiedział. - Jest ich tam pięciu i wszyscy rozmawiają przez telefony komórkowe. Zajęli posterunek, czym komendant Tyler nie jest specjalnie zachwycony. Tyler jest w porządku - dodał. - On też nie bardzo lubi FBI.

Avery wzniosła oczy ku niebu.

- Twoje uprzedzenie jest doprawdy dziecinne. - Wyjęła z torby spodnie w kolorze khaki. - Powinam zejść na dół i dowiedzieć się wszystkiego. Wiedza, gdzie może teraz być Monk?

- Nie. - Gapił się na jej nogi, podziwiając ich długość i kształt. W jego głowie jedna myśl goniła drugą, bardziej szaloną, i w końcu wyobraził sobie te nogi owinięte wokół swoich bioder. Wbił wzrok w ścianę ponad głową Avery.

- Nie możesz tak zejść na dół.

- Niby jak? Mam zamiar włożyć spodnie - oznajmiła. - A od kiedy to cię obchodzi, jak wyglądam?

- Nie obchodzi mnie - mruknął. - Ale przez ten cienki podkoszulek wszystko widać na wylot.

- O Boże - szepnęła, spojrzawszy na siebie. Szybko sięgnęła po prześcieradło, z całej siły wrywając jego koniec spod Johna Paula. Zapominając o spodniach, owinęła się prześcieradłem.

- Czemu wcześniej nic nie mówiłeś? - Oblała się rumieńcem.

- A po co miałem mówić? - rzucił z szatańskim uśmiechem.

- Chcę jak najszybciej jechać do Carrie - zmieniła temat. - Musi być okropnie roztrzęsiona po tym, co przeszła.

Przestał się uśmiechać.

- To nie jest dobry pomysł - stwierdził. - Usiądź, Avery. Musimy porozmawiać.

Ton jego głosu świadczył, że chodzi o coś poważnego, więc usiadła obok niego na łóżku.

- Nie sądzisz, że powinnam jechać do Carrie?

- Nie sądzę. Porozmawiaj z nią przez telefon, jeśli potrzebujesz dowodu, że ma się dobrze, ale nie jedź.

- Dlaczego?

- Bo tego chce FBI. Knolte otrzymał wiadomości z Aspen...

- Kto to jest Knolte? - przerwała mu.

- Ten dzieciak na dole. dyrygujący resztą - wyjaśnił. - Przedstawił mi plan działania. Chcą objąć ciebie, Carrie i sędzię ochroną, dopóki nie złapią Monka, a to nie jest dobry pomysł.

- John Paul, oni są dobrzy w tym, co robią.

- Tak? Monk także. Trzymając się razem, znacznie ułatwicie mu zadanie.

Avery nic nie odpowiedziała. W duchu zgadzała się z Johnem Paulem, ale czuła, że byłoby nielojalne wobec Biura przyznać się do wątpliwości. Próbowała wstać, ale John Paul położył jej ręce na ramionach.

- Co robisz?

- Trzymam cię, żebyś nie uderzyła się w głowę, jak zemdlejesz.

- Posłuchaj - zaczęła. - Tam na dole... kiedy upadłam... to mi się zdarzyło pierwszy raz w życiu, że zemdlałam. Nie jestem mimozą. Od dawna nie spałam... i naprawdę byłam zmęczona. Nie zemdleję więcej. Puść mnie. Chcę się ubrać i zejść na dół, żeby porozmawiać z agentem Knolte.

- Za minutę - obiecał. Przytrzymał ją mocniej i powiedział: - Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć.

- Tak?

Nagle zabrakło mu słów. Rozpaczliwie szukał w głowie odpowiedniej formy dla tego, co miał jej przekazać.

- To będzie trudne...

- Wytrzymam. Po prostu mi powiedz. - Opuściła ramiona. - Przepraszam, nie chciałam być niemiła. O co chodzi?



- Carrie wie, kim jest ta kobieta z Monkiem.  
Przekrzywiła głowę, zaciekawiona.
- Zna ją?
- Tak. - Odetchnął głęboko. - Ty też ją znasz.
- Och, John Paul, nie przeciągaj. Mów natychmiast - zażądała.
- To Jilly. Carrie powiedziała, że ta kobieta ma na imię Jilly.  
Reakcja Avery całkowicie go zaskoczyła. Nie zemdląca, nie rozplakała się, nie zaprotestowała ani nie zaprzeczyła.  
Wydała z siebie ryk.

27

mi pistolet, John Paul. Potrzebny mi pistolet. Duży.  
Wyglądała jak anioł zemsty, kiedy tak krążyła wokół niego.  
W końcu stanęła przed nim, pchnęła go w pierś wyciągniętym palcem i powtórzyła swoje żądanie.  
Komendant Tyler stał w drzwiach i przestępując z nogi na nogę, czekał, aż ktoś z nich go zauważy.  
- Będzie martwa na dobre, kiedy z nią skończę! - krzyczała Avery. - Potrzebna mi broń.  
Tyler nie mógł się powstrzymać przed próbą uspokojenia oszalałej kobiety.  
- Ależ panno Delaney, nie powinna pani mówić takich strasznych rzeczy. A jeśli ktoś rzeczywiście zastrzeli pani matkę? Po tych groźbach, jak pani sądzi, kogo policja będzie ścigać? Rozumiem, że jest pani zdenerwowana, ale...  
Odwróciła się gwałtownie do policjanta.  
- Jilly nie jest moją matką. Jest kobietą, która mnie urodziła, ale nigdy nie była i nie będzie moją matką. Czy wyrażam się jasno?  
Tyler skwapliwie przytaknął. Jej gniew był niewyobrażalny, a on, zaskoczony zmianą, jaka w niej zaszła, nie wiedział, jak się zachować. Kiedy ją widział po raz pierwszy, miał do czynienia

z uroczą, łagodną dziewczyną, która teraz dosłownie pluła ogniem. Zwrócił się do Johna Paula, szukając pomocy.

- Czy to ta sama kobieta, którą poznałem na dole? Chyba nie ma siostry bliźniaczki?

- Przykro mi, to nie bliźniaczka - rozwiął jego złudzenia John Paul. - Po prostu ma ostry charakter. - Ta uwaga zabrzmiała w jego ustach jak komplement.

Komendant uznał, że to zbyt łagodne określenie.

- Nie mógłby jej pan jakoś przemówić do rozsądku? Nie może wybiec stąd z pistoletem, żeby zastrzelić swoją mat... - W ostatniej chwili ugryzł się w język. - Jeśli nie jest pani matką...

- Nie jest.

- Zatem jak powinienem ją nazywać?

- Potworem - rzuciła Avery bez wahania. - Zboczoną socjopatką, psychopatką. Do wyboru. Byle nie moją matką.

- Dobrze, proszę pani.

Już trochę spokojniejsza, podciągnęła prześcieradło pod szyję, chwyciła swoją torbę i z wysoko uniesioną głową skierowała się do łazienki.

- John Paul?

- Tak?

- Załatw mi jakiś pistolet.

Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, drzwi się zatrzasnęły.

Tyler podrapał się po szczęce.

- Co pan zamierza zrobić?

John Paul wzruszył ramionami.

- Załatwić jej pistolet.

- Pozwoli im pan zabrać ją do Aspen? Słyszał pan, co mówili. Chcą umieścić ją, jej ciotkę i tę sędzię w jakimś bezpiecznym domu, dopóki nie złapią człowieka, który został wynajęty, żeby je zabić.

- Owszem, słyszałem - potwierdził John Paul.

- Według mnie, próbują upchnąć wszystkie jaja do jednego

koszyka. Domyślam się, że powodem jest ich budżet. Jeśli będą je trzymać razem, wystarczy mniej ludzi do ochrony, ale ten zawodowy morderca... jak on się nazywa?

- Monk.

- Jeśli jest dobry, to je znajdzie. Wystarczy, że będzie krążył wokół szpitala, a potem pójdzie śladem tej sędzi. Ja bym tak zrobił.

John Paul przyznał mu rację.

- Słyszałem, jak Knolte mówił, że będą je trzymać razem.

- Ale nie słyszał pan reszty ich planów, bo poszedł pan na górę, powiedzieć Avery, że jej ciotka żyje. Wiedział pan, że zbliża się ważna rozprawa w sądzie?

- Nie wiedziałem.

Komendant ściszył głos. Choć z łazienki dobiegał szum suszarki i było wątpliwe, by Avery mogła ich słyszeć, przysunął się bliżej Johna Paula.

- Będą ponownie sądzić człowieka o nazwisku Skarrett. Zna go pan?

John Paul zeszywniał.

- Owszem. Słyszałem o nim. Więc będzie ponownie sądzony? Kiedy?

- Za trzy tygodnie. Knolte rozmawiał przez telefon, kłócąc się z innym agentem, który wydaje im rozkazy. W każdym razie odkładając słuchawkę, zauważył mnie i zamilkł. Wtedy powiedziałem, że idę na górę sprawdzić, jak się miewa dziewczyna. - Uśmiechnął się pod nosem. - Oczywiście nie od razu poszedłem na górę. Narobiłem trochę hałasu, tupiąc na schodach, po czym cicho wróciłem i przycisnąłem się w holu, tak że mogłem usłyszeć, co mówią do swoich ludzi. - Zerknął na drzwi łazienki. - Jeśli nie dopadną Monka przed rozpoczęciem procesu, nie pozwolą Avery i jej ciotce zeznawać. A z tego, co się domyśliłem, ich dowódca uważa, że wcale nie byłoby tak źle, gdyby Skarrett wyszedł.

John Paul nie krył zdumienia.

- Mówi pan poważnie?

- Jak najbardziej - zapewnił Tyler.  
 - Czemu, na Boga, mieliby...  
 - Mają nadzieję, że Skarrett zaprowadzi ich do dużego łupu, który gdzieś ukrył. Wygląda na to, że obrabował sklep jubilerski, kradnąc kilka milionów w nieoszlifowanych diamentach. Mają nadzieję je odzyskać.

- Więc zamierzają ułatwić Skarrettowi wyjście na wolność.  
 - Avery jest kluczowym świadkiem - zauważył Tyler. - Jeśli nie będzie zeznawać... - Zawiesił głos. John Paul aż zadrżał na myśl o niezliczonych fatalnych skutkach, jakie mogą z tego wyniknąć.

- Oto plan, którego nie da się nie spieprzyć - stwierdził z gorzką ironią.

Tyler całkowicie się z nim zgadzał.

- Ja to widzę podobnie. Powie pan Avery? Jak już ją zamkną w tym bezpiecznym miejscu, nie będzie miała szans się z niego wydostać.

- Pozwolę, żeby to Knolte jej powiedział. Avery pracuje dla FBI, więc głęboko wierzy w sens działań zespołowych.

- Idealistka, co?  
 - Obawiam się, że tak.  
 - To niedobrze. A pan? Co pan zrobi?  
 - Chyba się stąd zabiorę - odparł John Paul. - Nie mam po co tu siedzieć.

- Myśli pan, że ten Monk się wycofał?  
 - Pewnie tak, ale nie na długo. Przyjął zlecenie, więc kiedy usłyszcy, że Carrie i sędzia nadal żyją, uderzy powtórnie. Musi. Chodzi o jego reputację. Nie przestanie też ścigać Avery.

O tak, będzie próbował do skutku, dopóki robota nie zostanie wykonana.

Tyler jakby czytał w jego myślach.

- Więc uważa pan, że to w porządku zostawić Avery pod opieką tych chłopców z dołu? Myśli pan, że nic jej się nie stanie?

- Jest bystrą, twardą kobietą. Potrafi sobie radzić sama.

Tyler sprawiał wrażenie rozczarowanego jego postawą.

- Jeśli pan uważa, że tak należy... Ale gdyby pan jednak postanowił coś zrobić, to pomyślałem, że panu wspomnę o mojej chacie w górach. Wybierałem się tam na dwa tygodnie, więc niedawno zaopatrzyłem kuchnię. Trzeba tylko uzupełnić zapasy w lodówce, takie jak mleko i jajka, bo poza tym jest wszystko, co potrzebne. Gdybyście jechali w stronę Denver, nie musielibyście bardzo zbaczać z drogi. To dobre miejsce, żeby się ukryć, dopóki nie zdecydujecie, co robić... z tym procesem i w ogóle.

John Paul próbował się wtrącić, ale Tyler nie pozwolił sobie przerwać.

- Jest tam stodoła, w której trzymam samochód. Napiszę wam, jak dojechać, i powiem, gdzie jest schowany klucz... jeśli jest pan zainteresowany. Proszę się zastanowić i dać mi znać przed wyjazdem. Pójdę od razu spisać te wskazówki, tak na wszelki wypadek.

Powiedziawszy to, zawrócił na pięcie i zszedł na dół. John Paul nie wiedział, co robić. Przez kilka minut zastanawiał się nad sytuacją, potem zaklął, wziął swoje rzeczy i zniósł je do samochodu. Asystentka komendanta podrzuciła jego ubrania, wyprane i suche. Leżały schludnie poskładane obok rzeczy Avery na najniższym stopniu schodów. Zapakował swoje ubrania do torby, po czym biegiem wrócił na górę, ułożył rzeczy Avery na łóżku i wyszedł.

Przyjaciel komendanta zaparkował jego samochód w alejce między budynkami, tuż pod oknami sali, w której znajdowały się łóżka. Wrzuciwszy bagaże na tylne siedzenie, John Paul doszedł nagle do wniosku, że powinien się pożegnać z Avery. Nie mógł przecież odjechać bez słowa. Wypadało powiedzieć do widzenia i życzyć jej szczęścia.

Jeśli mnie poprosi, żebym został, to zostanę, postanowił. Ale jeśli nie poprosi, to znikam. Po prostu. Ona mnie nie potrzebuje. Ale jeśli poprosi...

Wszedł na górę i stanął w progu jak wmurowany. Na jej widok omal się nie potknął o własne nogi. Stała przy oknie, z rękami skrzyżowanymi na piersi, czekając na niego.

- Czemu masz taką groźną minę? - spytał niepewnie.

- Widziałam, jak pakujesz swoje rzeczy do samochodu - powiedziała, machając dłonią w stronę okna. - Wyjeżdżasz? - Zrobiła krok w jego stronę, ale zatrzymała się, widząc, jak sztywno wyprostował plecy. - Byłabym wdzięczna, gdybyś odpowiedział.

- Chcesz, żebym został?

- A ty chcesz zostać?

- A cóż to za odpowiedź? Nie jestem w nastroju do słownych gier, Avery. - I zaraz, nie dając jej dojść do głosu, spytał: - Co się stało z twoją twarzą?

Odruchowo dotknęła policzka.

- Coś jest nie tak z moją twarzą?

- Nie. Tylko wygląda... inaczej.

- Umyłam ją, nałożyłam trochę kremu nawilżającego i maki-jażu. To wszystko.

- Makijażu? Po co to zrobiłaś? Chcesz się podobać swoim kolegom z FBI?

Oho, rzeczywiście nie był w nastroju.

- Co się z tobą dzieje?

Nie mógł odpowiedzieć, ponieważ nie potrafił ująć w słowa tego, co się właśnie działo w jego głowie, ani tego, co czuł. Nie rozumiał, dlaczego wszystko się w nim zagotowało. Był wściekły na nią i na siebie, ponieważ działała na niego tak, jak jeszcze nie zdarzyło się żadnej innej kobiecie. A co gorsza, sam jej na to pozwalał.

- Rozmawiałaś już z agentem Knolte?

- Nie, czekałam, aż przyjdiesz na górę. Zamierzałeś odjechać bez pożegnania? - Łobuz. Nie zobaczy jej łez, choćby ją doprowadził do szału. Odetchnęła głęboko, podeszła do niego i wyciągnęła rękę. - Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś.

Nawet nie spojrzął na jej wyciągniętą dłoń.

- Avery... jeśli chcesz...

- Tyler cię tu szukał - przerwała mu. - Chciał z tobą rozmawiać, mówił, że to ważne.

- Rozmawiałem z nim pięć minut temu.

Wzruszyła ramionami.

- Widocznie ma ci jeszcze coś do powiedzenia. Czekaj na ciebie w restauracji.

- Aha. Dobrze.

- Dojedź bezpiecznie do domu. - Odwróciła się i podeszła do okna. - Do widzenia, John Paul.

Nie mógł uwierzyć, że go odrzuca. Przez chwilę wpatrywał się w jej plecy, a potem szybko zszedł na dół. Pożegnała go chłodno, jak obcego. Był zbyt załamany, żeby się zastanawiać, dlaczego nagle tak się zmieniła.

Na szczęście żaden z agentów go nie zatrzymał, kiedy szedł przez posterunek. Knolte i jego kompani studiowali mapę, jednocześnie rozmawiając przez komórki. Jeden z nich próbował go zaczepić, ale John Paul udał, że tego nie widzi. Pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do restauracji. Wprawdzie sala jadalna była pusta, lecz z kuchni dobiegało pogwizdywanie. Na zapleczu znalazł komendanta stojącego przy grillu. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa.

- Gotowy do wyjazdu? - zagadnął Tyler.

- Prawie.

- Chce pan hamburgera na drogę?

- Nie, dziękuję. Gdzie się wszyscy podziali?

- Obsługa mojej restauracji? Przed chwilą odesłałem ich do domu. Jeśli Knolte i jego ludzie będą chcieli coś do jedzenia, sami sobie przygotowują.

- Chciał się pan ze mną widzieć w jakiejś sprawie?

Tyler zmarszczył brwi.

- Już powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Zostawiłem

kartkę z instrukcjami w pańskim samochodzie na wypadek, gdyby pan zmienił zdanie i postanowił skorzystać z gościny w mojej chacie. Powinien pan to przemyśleć - rzekł z naciskiem. - Nie będę mógł się tam wybrać przez następny miesiąc, co zawdzięczam krewnym mojej żony. Oznajmiła mi wczoraj wieczorem, że musimy wziąć udział w dwóch weselach i jednym spotkaniu rocznicowym.

- Pomyślę o tym - obiecał John Paul. - Dzięki za pomoc, jedzenie i łóżko.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł Tyler i przez tylne drzwi wprowadził Johna Paula na alejkę.

- Niech pan na siebie uważa.

- Yhm. - Otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. Zauważył złożoną kartkę na siedzeniu obok. Wziął ją do ręki z zamiarem zwrócenia Tylerowi.

- Jest pan pewien, że tej małej nic nie grozi?

Komendant zadał mu to pytanie po raz trzeci.

John Paul po raz trzeci udzielił mu tej samej odpowiedzi:

- Nic jej nie będzie.

Nie wierzył w to ani przez moment, a po minie Tylera widział, że on także nie wierzy.

- Do zobaczenia! - zawołał Tyler, unosząc w geście pożegnania kuchenną łąpatkę.

John Paul włożył kluczyk do stacyjki, rzucił kartkę na siedzenie i zamyślił się. Sumienie nie dawało mu spokoju. Starał się pamiętać, że Avery dokonała wyboru. Tak, dała mu do zrozumienia z całą jasnością, że go nie chce i nie potrzebuje.

Był tylko jeden problem. On chciał i potrzebował Avery.

Był przekonany, że wyzbył się uczuć już dawno, wraz z utratą ostatnich złudzeń, a teraz sobie uświadomił, że tylko oszukiwał samego siebie, wmawiając sobie, że wszystkich nienawidzi i nikogo nie potrzebuje. Okazało się, że jest tylko człowiekiem i ma swoje słabości jak każdy inny człowiek. Kto by pomyślał?

Czy chociaż lubił Avery? Tak, lubił ją. Przemądrzała żoźza. Jak mógłby jej nie lubić?

Kiwając głową, przekreślił kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał jak najedzony kot.

Choć bardzo się starał, nie miał w sobie dość siły, żeby odjechać. Do licha, ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa. Irytowała go i męczyła niczym swędząca wysypka. Chciała, żeby ją zostawił. Tak? Do diabła, tak. Była pewna, że będzie bezpieczna pod opieką tych supermenów z bożej łaski...

Avery była dzielna i bez wątpienia potrafiła sobie radzić z trudnościami, ale czy mogła mieć wpływ na działania agentów przydzielonych do jej ochrony? Czy była w stanie dopilnować, żeby nie spieprzyli sprawę?

Wyłączył silnik. Co, do cholery, powinien zrobić?

Niech FBI się o nią troszczy. Jasne. To było zdecydowanie najlepsze wyjście. Ponownie włączył silnik, ale tym razem nawet nie dotknął dźwigni zmiany biegów. Siedział nieruchomo, dziwnie zziębnięty w środku, niezdolny do ostatecznej decyzji.

Rozpaczliwie próbował sobie wmawiać, że nie obchodzi go, co się z nią stanie.

Rozśmieszała go. Sprawiała, że pragnął rzeczy, których już nigdy nie spodziewał się mieć.

Stał się bardziej wrażliwy.

Stoczył dobrą bitwę, ale gdy przyszło co do czego, przegrał wojnę. Opuścił głowę, porażony tym odkryciem.

Spójrz prawdzie w oczy, Renard, powiedział sobie. Nigdzie bez niej nie pojedziesz.

Wyłączył silnik i sięgnął do klamki.

Znajomy głos powstrzymał go w pół gestu.

- Ruszysz wreszcie? Na co czekasz, Renard? Duszę się tu, bo twój śpiwór cuchnie zeschniętymi liśćmi.

Odrzucił się na siedzeniu.

- Co ty wyprawiasz?

- Nie zaczynaj, John Paul. Włącz ten cholerny silnik i zabierajmy się stąd. Nie każ mi dwa razy powtarzać.

Uśmiechnął się. Poczł się dziwnie lekki, jakby z ramion spadł mu wielki ciężar. Świat odzyskał barwy. Avery prychnęła na niego jak tygrysica. Cóż, nie było w niej nic z łagodnego kociaka.

Włączył silnik, wrzucił bieg, ale nie ruszył od razu.

- Jeśli ze mną pojedziesz, złotko, to wiedz, że ja będę wydawał rozkazy, a ty będziesz robić, co ci każę. Przełkniesz to jakoś?

Odpowiedziała bez wahania:

- Zeskakując z drabinki przeciwpożarowej, wylądowałam na dachu twojego samochodu i trochę go wgniotłam. Jakoś to przełkniesz.

Uśmiechnięty od ucha do ucha, ruszył alejką przed siebie. Jak mógł nie oszaleć na jej punkcie?

## 28

Jilly czekała niecierpliwie, aż podadzą liczbę ciał. Krażyła po swoim hotelowym pokoju wokół telewizora nastawionego na lokalną stację z Kolorado. Ilekroć puszczano tę cudowną migawkę, pokazującą, jak dom wylatuje w powietrze, przysiadła na brzegu łóżka. Rozentuzjasmowana, łapczywie chłoneła każdą sekundę wspaniałego widoku.

Cóż za szczęście, że jakiś turysta filmował tamtejsze krajobrazy akurat w momencie, gdy dom rozpadał się na kawałki. Jego obiektyw uchwycił całą tylną stronę domu. Gdyby nie mogła obejrzeć tego w telewizji, byłaby niepokieszona. Prawdę mówiąc, była trochę zła, ponieważ chciała osobiście nacisnąć guzik, ale len film, wyświetlany w kółko, w pewnym stopniu jej to zastępował.

Telefon zadzwonił dokładnie w chwili, gdy film się skończył. Przed podniesieniem słuchawki wyłączyła pilotem głos w telewizorze.

- Halo, kochanie.

- Widziałas w telewizji? - rozległo się po krótkiej pauzie. Z tonu Monka odgadła, że jest zdenerwowany, ale też oczekuje pochwały.

- Oczywiście, że widziałam. Czyż to nie cudowne?

- Ta... tak. Do tej pory znaleźli dwa ciała.

- Zostało jeszcze jedno - stwierdziła. - Jesteś zdenerwowany, kochanie. Coś jest nie tak?

- Martwiłem się, że po tym wszystkim może ci być przykro. Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku.

- Przykro z powodu Carrie? Zrujnowała mi życie i ukradła mi córkę. Rozpiera mnie radość.

- Tęsknię za tobą - wyznał. - Chcę...

- Wiem, czego chcesz - przerwała mu zmysłowym szeptem. - Jesteś teraz w samochodzie?

- Tak - odpowiedział również szeptem.

- To lepiej się zatrzymaj - poradziła. A potem, nie szczędząc wymyślnych erotycznych określeń i szczegółów, opowiedziała mu, co z nim zrobi, kiedy już będą razem. Rozśmieszyło ją sapanie wydobywające się ze słuchawki. Przypominało jej ziązanie parzącego się psa. Podniecała ją władza, którą miała nad mężczyznami.

- Będzie ci się podobało? - spytała urywanym głosem, by myślał, że dała się ponieść wyobraźni tak samo jak on.

Przedstawiła mu jeszcze parę fantazyjnych pomysłów, aż w końcu usłyszała gardłowy jęk, po którym zapadła cisza. Wiedząc, co się stało, uśmiechnęła się z satysfakcją. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zrobić błyskotliwą karierę, obsługując sekstelefon, choć z pewnością nie dałoby jej to takich pieniędzy, jakich pragnęła. Jednak świadomość, że ma takie możliwości, była bardzo przyjemna.

- Czujesz się teraz mniej samotny, kochanie?

- Tak - odparł z westchnieniem. - Niedługo będziemy razem. Kocham cię, Jilly.

- Wiem, kochanie. Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę i znów zaczęła się przechadzać tam i z powrotem po pokoju. Czy policja będzie w stanie zidentyfikować ciała, z których zostało tak niewiele? Wiedziała, że robi się to na

podstawie czaszek i zębów, ale jeśli one także rozleciały się w chwili wybuchu?

Hmmm. Co wtedy zrobią?

Na ekranie znów ukazał się znajomy obraz. Jilly przycupnęła na krawędzi łóżka. Och, cudownie, wspaniale.

Po zakończeniu wiadomości w telewizji wyjęła z torby swą bezcenną kasetę wideo. Nigdy się z nią nie rozstawała. Teraz wsunęła ją do odtwarzacza i ukłękła przed telewizorem. Ile razy już ją widziała? Sto? Tysiąc razy? A jednak nigdy nie miała dosyć oglądania tej kasety... i uczuć, jakie w niej wzbudzała.

- Rozumiesz teraz, dlaczego musisz umrzeć? - szepnęła do ekranu.

Przypadkiem zauważyła, że paznokieć jej się nadłamał, i pobiegła do łazienki, żeby go spiłować. Zerkając na zegarek, upewniła się, że Monk powinien wkrótce wrócić. Musiała się przygotować, żeby go odpowiednio powitać. I nagrodzić go, oczywiście, bo będzie się dopominał smacznego kaska niczym pies, który pokazał trudną sztuczkę.

Sięgnęła do torby po bieliznę. Po chwili zdecydowała się na dziewczęcą biel. Spodoba mu się. Przecież wszystko mu się w niej podoba.

Pamiętała o tym, żeby użyć czerwonej szminki. Och, jak bardzo mężczyźni lubili wypukłe czerwone usta.

Uwielbiali jej doskonałe ciało. Uwielbiali jej anielską twarz.

Wszyscy ją kochali.

## 29

Ratownicy powiedzieli Carrie, że jest w szoku. Nie zgadzała się z nimi, ale rozumiała, dlaczego postawili taką diagnozę. Rzeczywiście, jej zachowanie było trochę dziwne. Kiedy wyciągali ją z wozu, zanosila się niepowstrzymanym szlochem. Wiedziała co chce powiedzieć, lecz jakoś nie mogła wydobyć z siebie właściwych słów. Mimo to ich wnioski były całkowicie błędne. Nie byli lekarzami. Co, u diabła, mogli wiedzieć? Jej umysł pracował zupełnie sprawnie i tyle.

Światła kamer świeciły jej prosto w oczy, kiedy niesiono ją na noszach i umieszczano w karetkce obok Sary. Carrie próbowała usiąść, lecz okazało się, że ratownik przywiązał ją do noszy. Mogła jedynie poruszać ręką, więc sięgnęła ponad wąskim prześcieniem i chwyciła dłoń Sary.

Jej współtowarzyszka bardzo cierpiała. Obaj ratownicy zajmowali się jej nogą.

- Nic jej nie będzie? Nic jej nie będzie? - Carrie powtarzała pytanie jak nakręcona. Choć obaj mężczyźni wciąż ją zapewniali, że Sarze nic nie będzie, wciąż pytała ich o to od nowa.

Jeden z nich dał Sarze zastrzyk, po którym zasnęła; Carrie poczuła, jak uścisk Sary wiotczeje. Unieruchomiwszy Sarze nogę,

jeden z ratowników sprawdzał jej ciśnienie, a drugi skupił się na Carrie.

- On zabije Avery. Muszą go powstrzymać. Słyszysz mnie pan? On ją... on ją...

Zemdlała. Groza niedawnych przeżyć i brak snu dały o sobie znać. Ciało po prostu odmówiło posłuszeństwa.

Kiedy ponownie otwarła oczy, znajdowała się już na szpitalnym łóżku. I wszystko ją strasznie bolało. Czuła się tak, jakby ktoś obił ją kijem.

Usiłowała rozproszyć mgłę spowijającą jej umysł. Avery. O Boże, musiała znaleźć Avery, zanim będzie za późno. Widząc po lewej stronie posłania guzik do przywoływania pielęgniarki, próbowała do niego dosięgnąć. Aż krzyknęła, gdy ból przeszył jej łokieć. Nagle dostrzegła gipsowy opatrunek na ręce i przekleństwo samo jej się wyrwało.

Jak to się stało?

W wozie, oczywiście. Wpadła głową naprzód do głębokiej dziury. Pamiętała, że wyciągnęła rękę, próbując się czegoś przytrzymać. Wiedziała, że uszkodziła sobie nadgarstek, ale sądziła, że jest tylko skręcony. Przecież wcale tak bardzo nie bolał. Może straciła wówczas czucie, tak jak w reszcie ciała. Pamiętała, że wylądowała na Sarze. Biedna Sara wiała się z bólu. Carrie dokładnie sobie przypominała, jak zakryła jej dłonią usta, żeby stłumić jęki i krzyki, przerażona, że Monk czai się gdzieś w ciemności, żeby je złapać.

Gdzie była teraz Sara? Carrie słyszała męskie głosy na korytarzu i nie mogła dosięgnąć przycisku dzwonka. Już miała zawołać, kiedy drzwi się otwarły i na salę wszedł młody lekarz, odziany w biały fartuch. W ręce trzymał kartę.

Nazywał się doktor Bridgeport i wyglądał, jakby nie spał od tygodnia. Carrie pomyślała, że to niedobrze. Potem zobaczyła jego ręce. Były tak wielkie, jakby mu je przeszczepiono z większego ciała, razem z rzędem ciemnych kosmyków na czaszce.



- Jest pan moim lekarzem prowadzącym?
- Jestem neurologiem. Przejrzałem wyniki prześwietlenia i to mografii - zaczął.
- Poddano mnie tym badaniom?
- Przytaknął kiwnięciem głowy.
- Przebyła pani łagodny wstrząs. Mam zamiar zatrzymać panią do jutra na obserwacji. Badania nie wykazały niczego niepokojącego - dodał.
- A moja ręka?
- Jest złamana.
- No tak - westchnęła.
- Zapisał coś w jej karcie, po czym, nie podnosząc wzroku powiedział:
- Za chwilę przyjdzie panią zbadać lekarz ogólny. Ponadto cała gromada stróżów prawa czeka, żeby z panią porozmawiać. Wpuszczę tu dwóch... jeśli pani się czuje na siłach.
- Głowa mnie boli. Mogę dostać jakiś środek przeciwbólowy?
- Za chwilę - obiecał.
- Wiedziała, co to znaczy. Kiedy Avery jako dziecko domagała się czegoś, czego nie zamierzała jej dawać, uciekała się do tego samego wykrętu. I tak jak wówczas nie pomagało w stosunku do Avery, tak teraz nie działało na nią.
- Chcę, by mi coś podano.
- Przeszła pani wstrząs, pani Salvetti, więc wolałbym...
- Och, mniejsza z tym - przerwała mu niecierpliwie. - Doktorze, moja przyjaciółka jechała ze mną w karetce. Miała strzaskaną nogę. Wie pan, gdzie ona jest?
- Lekarz pokiwał głową.
- Sędzia Collins właśnie jest operowana - wyjaśnił.
- Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Lekarz schował kartę pod pachę, uśmiechnął się i ruszył do wyjścia.
- Potrzebuje pani odpoczynku - powiedział od progu, wpuszczając do środka dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. -

Dziesięć minut - rzucił do agentów - potem pacjentka musi się trochę przespać.

Poruszali się jak żołnierze na defiladzie - sztywno wyprostowani, z głowami do góry. Byli też podobnie ubrani, tyle że jeden miał krawat w czarno-szare paski, a drugi w białą kratkę.

Agent o nazwisku Hillman był wyższy stopniem. Bystrość jego wejrzenia dodała Carrie otuchy. Pomyślała, że nic nie ujdzie jego uwagi.

Ten drugi, młodszy agent, wciskając stosowny guzik, podniósł wezglowie jej łóżka, nalał jej szklankę wody i czuwał przy jej boku, podczas gdy Hillman ją przesłuchiwał. Wypytał ją o cały przebieg zdarzeń, rzadko przerywając, kiedy milkła dla zebrania myśli. Chciała powiedzieć wszystko od razu, żeby móc mu zadać pytania, które sama miała w zanadrzu, ale Hillman pilnował, by wszystko szło zgodnie z jego planem.

Zwróciła się więc do tego drugiego agenta, prosząc, by odszukał jej kurtkę.

- W kieszeni są listy.

Hillman znalazł kurtkę na wieszaku w szafie. Wciągnął rękawiczki, po czym wrzucił koperty do zasuwanego plastikowego woreczka, który podsunął mu drugi agent.

- Anne dała mi list. Chcę go przeczytać.

- Oddamy go do laboratorium, żeby zebrali odciski - usłyszała w odpowiedzi.

Wcześniej uważała go za mniejszego od Hillmana, ale okazał się równie nieugięty.

- Chcę wiedzieć, co ten sukinsyn udający męża do niej napisał. Wynajął Monka, żeby ją zabił. Musicie go aresztować.

Zupełnie ignorując jej żądanie, Hillman powrócił do przesłuchiwania. Carrie uznała, że tego już za wiele.

- Nie, teraz moja kolej. Chcę wiedzieć, gdzie jest moja siostrzenica.

- Szukamy jej...

- To ją znajdźcie.

Widząc rozdrażnienie chorej, drugi agent przytknął do jej ust szklankę z wodą, żeby się napiła. Odwróciła głowę.

- Proszę mi powiedzieć, co pani wie o... - Hillman jeszcze raz spróbował ją nakłonić do współpracy.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje z sędzią Collins, i to natychmiast. Agenci wymienili między sobą znaczące spojrzenia, po czym Hillman odpowiedział:

- Operacja się zakończyła, jest teraz na OIOM-ie.

- Na razie ma się dobrze - wtrącił jego towarzysz.

Carrie zmierzyła go wzrokiem pełnym złości.

- Jak pan się nazywa?

- Bean, proszę pani. Agent Peter Bean.

Fasola. Nic dziwnego, że się nie przedstawił. Jakby miała takie nazwisko, też by się nim nie chwaliła. Pomyślała nie bez współczucia, że koledzy w szkole musieli go nękać bez litości.

Hillman wrócił do pytań. Męczył ją przez godzinę, w kółko wątkując te same fakty, aż w końcu poczuła się, jakby była kryminalistką, którą próbują zmusić do przyznania się do winy.

Huczało jej w głowie.

- Dosyć - oznajmiła stanowczo. - Nie mogę odpowiadać na więcej pytań.

Hillman sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale pozwolił jej chwilę odpocząć. Carrie nie była w ugodowym nastroju. Kazała im się wynosić i nie wracać, dopóki nie zdobędą jakichś wiadomości o Avery. Żeby ją uspokoić - bo podniosła głos do krzyku - Hillman pozwolił jej zadzwonić do męża. Bean sam wykręcił numer. Usłyszawszy Tony'ego, Carrie wybuchnęła płaczem.

- Potrzebuję cię, Tony. Musisz przyjechać do Aspen.

- Skarbie, zabronili mi - odpowiedział głosem drżącym z emocji. - Powiedzieli, że zaraz po wypisaniu ze szpitala umieszczą cię i sędzię Collins w jakimś bezpiecznym miejscu. Carrie,

kochana, dobrze się czujesz? Chciałbym być teraz przy tobie. Żałuję... Przykro mi, że sama musisz przez to przechodzić.

- Miałeś jakieś wiadomości od Avery?

- Nie. Nie wiedziałem, że ma do ciebie dołączyć w uzdrowisku. Jeden z agentów, którzy do mnie przyszli, powiedział, że spóźniła się na samolot.

- Nie wiem, gdzie ona teraz jest - załkała do słuchawki.

- Znajdziemy ją - obiecał. - Nic jej się nie stanie. Przyrzekam ci. Pilnuję, żeby linia była wolna. Ona zadzwoni. Wiem, że zadzwoni.

- Tony, nie zdawałam sobie sprawy... Przepraszam za wszystko. Możesz sobie wziąć Poławiaczy Gwiazd. Możesz prowadzić firmę, jak zechcesz. Już mnie to nie obchodzi. Powinam była ci ufać. Byłam taka głupia. - Chlipnęła. Była zła, że agenci słyszą każde jej słowo. - Kocham cię - szepnęła. - Naprawdę, Tony. Bardzo cię kocham. Proszę... powiedz, że nie jest za późno.

- Nie, nie jest za późno. Mogę... Ja też cię kocham - wydukał głęboko wzruszony. - Wsiądę w najbliższy samolot. Odbudujemy nasze małżeństwo. Jeśli mnie kochasz, wszystko jest możliwe. Wszystko.

## 30

Nadzieja, że FBI zdoła utrzymać nazwiska ocalonych w tajemnicy przed mediami, została ostatecznie zniweczona, kiedy ekipa wiadomości sfilmowała moment przenoszenia Carrie i sędzi do karetki w pobliżu miejsca wybuchu.

Avery usłyszała o tym przez radio, jadąc z Johnem Paulem przez góry. Gdy tylko opuścili senne miasteczko, przecisnęła się ponad oparciem na przednie siedzenie, zaczepiając przy tym lewą stopą o ramię Johna Paula, tak że but spadł mu na kolana. Pokręcił głową nad jej niezdarnością, a ona grzecznie go przeprosiła.

Słuchali wiadomości, dopóki antena łapała sygnał.

- Czyżby teraz wszyscy w Stanach nosili ze sobą kamen video? - spytał, nie kryjąc niechęci. - Niektórzy ludzie wręcz uwielbiają naruszać cudzą prywatność.

- Ekipy filmowe z telewizji zazwyczaj mają ze sobą kamery - zauważyła.

- Nie musisz być złośliwa, złotko.

- Nie jestem złośliwa. Stwierdziłam tylko fakt. Carrie musiała być wściekła, kiedy podsunęli jej obiektyw pod nos. Ktoś z FBI powinien był zabrać taśmę. Widocznie śledczy nie dotarli na czas na miejsce zbrodni.

- Nie zdążyli, nie mogli - rzucił drwiąco. - To przecież typowe dla FBI.

- Nie próbuj mnie wkurzać.

Roześmiał się.

- Nie próbowałam.

Opuściła szybę, wpuszczając do środka chłodne, nocne powietrze.

- Owszem, próbowałam. W końcu cię rozszyfrowałam.

- Tak ci się zdaje?

Uśmiechnęła się do siebie.

- Na początku, gdy cię poznałam, pomyślałam, że musisz mieć jakiś uraz na punkcie FBI, ale teraz, kiedy cię znam lepiej, wiem, że jest inaczej. Ty cierpisz na prawdziwą obsesję.

- O, czyżby?

Pokiwała głową.

- Nie lubisz wszystkich instytucji państwowych.

- Nieprawda.

- Kiedy rozmawialiśmy o twoim szwagrze, który pracuje w Departamencie Sprawiedliwości, byłeś bardzo krytyczny.

- Sądownictwo ma zbyt dużą władzę.

- A CIA? Wiem, że dla nich pracowałeś.

Nie zaprotestował ani nie zaprzeczył.

- Działają według własnego widzimisię, zostawiając agentów i cywilów na pastwę losu.

- A Urząd Skarbowy?

Wszyscy nienawidzą Urzędu Skarbowego.

Tu musiała mu przyznać rację. Dalej wymieniała różne instytucje, a on zgłaszał zastrzeżenia do każdej z nich.

Chyba dowiodłam, że się nie mylę. Wiesz, jaki jest twój największy problem?

- Nie, ale zapewne mnie oświecisz w tym względzie.

- Yhm. Nie lubisz wszystkich, którzy reprezentują jakąś władzę. Nie czuł się urażony jej oceną.

- Wiesz, co mówią. Władza absolutna absolutnie rodzi korupcję.

- FBI nie ma władzy absolutnej.

- Ale im się wydaje, że mają.

- Wiesz co?

- Co?

- Potrzebujesz intensywnej terapii, która by ci pozwoliła wyzbyć się wrogości.

Nim zdążył powiedzieć, że terapii leż nie znosi, zmieniła temat

- Muszę się dostać do telefonu i zadzwonić do Carrie.

- Czemu nie zadzwoniłaś z posterunku policji?

- Bo odjechałbyś beze mnie. Nadal nie mogę uwierzyć, że chciałeś mnie porzucić. Ilekroć o tym pomyślę, dostaję szału.

Czy powinien jej wyznać prawdę, czy lepiej nie? Słyszał w jej głosie rozczarowanie, wręcz poczucie krzywdy.

- Słuchaj... - zaczął i zaraz urwał.

- Tak?

- Może zamierzałem zostać.

- Może? - Szturchnęła go w ramię. - Co to znaczy?

- To znaczy, że miałem zamiar zostać. Teraz twoja kolej na spowiedź. Jak to możliwe, że postanowiłaś opuścić swoją cudowną drużynę?

- Nie nazywaj ich tak. Jestem pewna, że agent Knolte i ci pozostali są zdolni wykonać całkiem dobrą robotę.

- Doprawdy? Więc czemu postanowiłaś jechać ze mną?

Wzruszyła ramionami.

- Myślałam o tym, co mówiłeś, i przyznałam ci rację. To głupi pomysł, żeby umieszczać nas wszystkie razem w jednym miejscu.

- I...?

- I co? Czekasz na komplementy? - Nim zdążył zapewnić, że nic podobnego nawet nie przyszło mu do głowy, powiedziała: - No dobrze. Myślę, że mam większą szansę na przeżycie, będąc z tobą.

- Co cię skłoniło do przejścia na ciemną stronę? - spytał z uśmiechem. - Czyżby Knolte powiedział albo zrobił coś takiego, że stałaś się zbuntowaną agentką?

- Nie jestem agentką. Jestem analitykiem, a Knolte nic nie zrobił i nic nie powiedział. Nadal mam całkowite zaufanie do FBI. I pozostaję w pełni lojalna.

- Aha - mruknął. - Więc dlaczego wyjechałaś?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Wykazuję inicjatywę. Uczą nas tego w Biurze.

- Jasne. - Wskazał ruchem głowy na znak przy drodze. - Osiem kilometrów stąd jest restauracja. Ja też muszę zadzwonić i ściągnąć jakąś pomoc.

Pan Samotnik zamierzał prosić kogoś o pomoc? Niestłychane.

- I co w związku z tym? - spytała.

- Możesz zadzwonić do Carrie, ale nie mów jej, dokąd jedziemy.

- Przecież nie wiem, dokąd jedziemy.

Pokazał jej złożoną kartkę.

- Tyler ma chatę o dwie godziny jazdy stąd. Jest tam stodoła, w której mogę ukryć samochód. Zatrzymamy się tam na noc.

Wyjrzała przez tylne okno, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy nie są śledzeni. Od dłuższego czasu nie widzieli żadnego innego auta i zdawała sobie sprawę, że trochę przesadza, ale nie potrafiła się wyzbyć czujności. Nigdy dość ostrożności, powtarzała sobie w duchu, żeby usprawiedliwić swoje zachowanie.

- Domyślasz się, gdzie Monk może być teraz?

- Prawdopodobnie nadal jest w Kolorado i już wie, że twoja ciotka i sędzia żyją.

- FBI też będzie nas szukać - zauważyła.

- Nie nas, złotko. Ciebie. Będą szukać ciebie.

Odkręciłam wodę w prysznicu na wypadek, gdyby któryś z agentów wszedł na górę, i zamknęłam drzwi na klucz, ale Knolte w końcu się zorientuje, że mnie nie ma, i podniesie alarm.

I wtedy rozpocznie się prawdziwe piekło. Kiedy Carter dowie się o wszystkim, będzie chciał urwać jej głowę. Miała już przygotowane argumenty na swoją obronę. Będzie się upierać, że to nie była niesubordynacja. Carter był twardy, ale nie brakowali mu rozsądku. Z pewnością doceni powody, dla których przejęła inicjatywę... nie po raz pierwszy.

- Czy Tyler powie Knolte'emu, że zaproponował ci skorzystania z gościny w chacie? - spytała.

- Nie powie. Widział, że wychodzisz przez okno?

- Nie.

John Paul zjechał z drogi i zaparkował na placyku przy restauracji. Migający neonowy napis głosił, że lokal jest czynny.

- Opowiesz mi o Jilly? - Unikał tego tematu aż do tej chwili ponieważ był świadkiem zachowania Avery, kiedy Tyler nazwał tę kobietę jej matką. Nie odpowiedziała. - Będziesz mi musiała powiedzieć, czego mam się spodziewać.

- Czego my możemy się spodziewać - sprostowała. - Tak powiem ci, ale nie na pusty żołądek. Jutro powiem ci wszystko obiecała.

- W porządku.

Wziął ją za rękę i razem weszli do środka. Kolory wnętrza niemal ich oślepiły. Ściany pomalowane były na wściekły fiolet i pomarańcz, stanowiąc tło dla bieli stolików. Tuż za drzwiami stała szafa grająca, z której wydobywał się głos Elvisa Presleya.

John Paul wybrał stolik pod ścianą, skąd mógł obserwować parking. Zaczekał, aż Avery wcisnie się na obitą pomarańczowym skajem ławeczkę, a potem usiadł naprzeciw niej.

Kelnerka była nastolatką, ale poruszała się z ociężałością staruszki. Kolczyk w języku trochę przeszkadzał jej w wyraźnym mówieniu.

- Co podać?

Zamówili kanapki z indykiem i mrożoną herbatę. Gdy tylko dziewczyna zniknęła za ladą, Avery wygrzebała z portfela trochę

drobnych i udała się do telefonu, który zauważyła na końcu sali, między męską i damską toaletą.

Rozmowa z Carrie była dość jednostronna.

- Gdzie jesteś? - spytała ciotka. - Czemu cię tu nie ma? Nic ci nie jest? Słyszysz mnie? Jilly żyje. Ten potwór sfingował własną śmierć. Nie sądziłam, że jest aż taka sprytna. Ona jest jak kot, Avery. Tak, właśnie taka jest. Zdajesz sobie sprawę z tego, że gdybyś się zjawiła w ośrodku na czas, byłabyś z nami w tamtym domu?

- Carrie, uspokój się - wtrąciła Avery, wykorzystując moment, gdy ciotka nabierała oddechu.

Carrie opowiedziała jej pokrótce o tym, co się działo, od chwili gdy wsiadła do samochodu z Monkiem i pozostałymi dwiema kobietami. Avery słuchała, nie odzywając się ani słowem.

- Jak się zobaczymy, to wszystko ci powiem - obiecała Carrie. - A co u ciebie?

- Wszystko dobrze.

- Tak się o ciebie bałam i martwiłam, ale słyszę, że wszystko w porządku.

- Tak. - Spojrzała na Johna Paula. - Carrie, kim jest agent odpowiedzialny za twoją ochronę?

Ciotka odezwała się równocześnie z nią, zagłuszając jej pytanie.

- Powiedzieli, że obejmą nas specjalną ochroną. Domyślam się, że polecimy na Florydę.

- Dlaczego na Florydę?

- Z powodu procesu.

- Jakiego procesu?

- Och, Avery, nie wiesz? Ten drań Skarrett ma wyznaczoną datę procesu. Nikt cię nie zawiadomił? Bo do mnie oczywiście nie zadzwonili.

Wiadomość spadła na Avery jak grom z jasnego nieba. Wiedziała, że istnieje możliwość wznowienia procesu, ale nie spodziewała się, że to może nastąpić tak szybko.

- Nie. nie zostałam powiadomiona.  
Carrie dosłownie wychodziła z siebie.
- Powiedzieli mi, że ten morderca, którego Jilly wynajęła, nie spocznie, dopóki nas nie pozabija.
- Albo dopóki my go nie dostaniemy - powiedziała Avery. - Carrie, proszę, staraj się zachować spokój. Rozmawiałś już z Tonym?
- Głos w słuchawce nieco złagodniał.
- Odchodzi od zmysłów z niepokoju. - Carrie pociągnęła nosem. - Chce, żebyś do niego jak najszybciej zadzwoniła, żeby mógł usłyszeć twój głos. Chcę wracać do domu, Avery, chcę żebyś wróciła ze mną, ale oni nam nie pozwolą. Nie wiem nawet czy pozwolą Tony'emu do mnie przyjechać. Staram się współpracować...
- Jak się miewa sędzia? - przerwała jej Avery.
- Co? Och, Sara. Ma na imię Sara. Jest tutaj. Roztrzaskała sobie kolano i musiała przejść operację, ale teraz już ma się dobrze. Będą ją trzymać na OIOM-ie jeszcze przez kilka godzin z powodu jej wieku, tak na wszelki wypadek. Lekarze pozwolili mi już trochę z nią posiedzieć i porozmawiać. Och, zapomniałam ci powiedzieć. To Sara Collins skazała Skarretta.
- Niemożliwe. Pamiętam tamtego sędziego. Nazywał się Hamilton.
- Tak, sędzia Hamilton prowadził przesłuchania, ale pamiętasz? Wróciliśmy do Bel Air przed ogłoszeniem wyroku.
- Pamiętam.
- Skarrett nie był jeszcze skazany. Hamilton zmarł przed zakończeniem procesu i wyrok wydała sędzia Collins.
- Więc na tym polegał jej związek ze sprawą. A ta trzecia kobieta?
- Anne Trapp to inna historia. Opowiem ci wszystko, jak tylko tu przyjedziesz. Przywiozą cię do szpitala, czy spotkamy się na lotnisku? Jeśli chcą nas wywieźć na Florydę, nie ruszę się bez

ciebie. Będziemy miały całe trzy tygodnie, zanim zdecydują, czy pozwolą nam zeznawać. Jeśli Monk jest wciąż na wolności...

Avery znów jej przerwała.

- Trzy tygodnie? Chcesz powiedzieć, że nowy proces zacznie się już za trzy tygodnie?

- Tak. Jestem pewna, że ulokują nas w jakimś bezpiecznym domu blisko sądu, na wypadek gdybyśmy miały zeznawać.

Od natłoku informacji Avery miała w głowie zamęt.

- Mówisz, że mogą nie pozwolić nam zeznawać?

- Kotku, co z tobą? Nie słuchasz, mnie? Owszem, istnieje możliwość, że nie będziemy zeznawać. Byłybyśmy łatwym celem i Monk miałby świetną okazję, żeby nam zrobić krzywdę.

Avery zacisnęła palce na słuchawce.

- Nikt mnie nie powstrzyma przed złożeniem zeznań.

- Bądź rozsądna.

- Chcesz, żeby Skarrett wyszedł? - Głos jej się trząsł z wściekłości.

- Twoje bezpieczeństwo jest dla mnie ważniejsze.

- Nie pozwolę, żeby wyszedł.

- Będziemy miały mnóstwo czasu, żeby porozmawiać o procesie - stwierdziła ugodowo Carrie. - Czemu nie pytasz mnie o Jilly?

- Nie chcę o niej mówić.

- Mam nadzieję, że kiedy ją złapią, będę miała okazję spędzić z nią pięć minut sam na sam.

- Ona by cię zniszczyła.

- Ale nie ciebie, z tym twoim tai-chi i karate, których cię uczyli. - Carrie westchnęła. - Nie bój się jej.

Avery miała ochotę się rozeźmiać. Po tych wszystkich piekielnych historiach, które słyszała o Jilly, musiałaby być tak samo szalona jak ona, żeby się jej nie bać.

- Widziałaś ją? Była w tym domu?

- Tak. Wszystko ci opowiem, jak się spotkamy.

- Chcę, byś mi obiecała, że zrobisz to, co agenci ci każą. Dobrze, Carrie? Obiecaj mi - poprosiła Avery.

- Oczywiście.

- Nie... utrudniaj im pracy. Wiesz, jaka potrafisz być, kiedy jesteś zdenerwowana albo się boisz.

- Nie boję się, jestem zła. Bardzo, bardzo zła. Czemu, u diabła. Jilly nie mogła pozostać martwa?

- Bo nigdy nie umarła - przypomniała jej Avery.

- Byle tylko nas nie upchnęli w jakiejś zapchlonej chałupie na czas ochrony. To ma być na Florydzie, więc chcę zamieszkać blisko plaży.

- Carrie, to nie zależy od ciebie.

- Jeśli wybiorą nieciekawe miejsce, skorzystaj ze swoich wpływów. Nie mogę się doczekać spotkania z tobą.

Avery zebrała się w sobie. Ciotka łatwo wpadała w gniew, kiedy coś szło nie po jej myśli, a Avery właśnie miała ją rozgniewać.

- Nie przyjadę do ciebie. Nie zamieszkać w tym bezpiecznym miejscu z...

Więcej nie zdążyła powiedzieć. Porażona krzykiem Carrie, odruchowo oderwała słuchawkę od ucha.

John Paul ze swego miejsca przy stoliku usłyszał ten krzyk. Widział, jak Avery błędnie w miarę słuchania. Wstał i podszedł do niej.

- Pożegnaj się, złotko - poprosił łagodnie.

- Jest bardzo zdenerwowana.

- Yhm.

- Kocham cię, Carrie. Wkrótce się zobaczymy - powiedziała szybko. - To na razie.

- Avery Elizabeth, nie waż się odkładać... - zabrzmiało donośnie z drugiej strony.

John Paul odwiesił słuchawkę na widełki.

- Miły głos - stwierdził, próbując zachować obojętny wyraz twarzy.

Kelnerka przyglądała im się z zaciekawieniem, ustawiając talerze na stoliku. Avery weszła do damskiej toalety, żeby umyć ręce. Nim wróciła, John Paul zdążył się uporać z kanapką i dopijał herbatę.

- Nie chcę, żebyś miał błędne wyobrażenie o mojej ciotce. Istotnie, potrafi być trudna, ale jestem pewna, że kiedy ją bliżej poznasz, bardzo ją polubisz.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Czarno to widzę.

Odgryzła kawałek kanapki z indykiem, pomyślała, że smakuje jak prasowane trociny, i sięgnęła po szklankę z mrożoną herbatą, żeby splukać niemiłe wrażenie.

- Chcesz? - podsunęła mu talerz.

Przesunął talerz z powrotem w jej stronę.

- Musisz to zjeść - powiedział, nadgryzając zwiotczącą frytkę. Zauważyła, że obserwuje drogę za parkingiem.

- Nie mają tu chyba wielkiego ruchu - powiedziała.

- Zamykają za piętnaście minut. Może dlatego jesteśmy jedynymi klientami. Powiedz mi, Avery. kiedy wypełniałaś formularz podania o pracę dla FBI, twoim celem było zostanie agentką?

- Tak.

- To dlaczego nią nie zostałaś?

Już miała mu udzielić odpowiedzi, którą zbywała wszystkich pytających o tę sprawę, lecz odczuła nagłą potrzebę całkowitej szczerości. Poza tym była pewna, że John Paul nie da się nabrać na kłamstwo.

- Uważałam, że powinnam chcieć zostać agentką. Pewien agent FBI uratował mi życie i chyba wtedy wbiłam sobie do głowy, że chcę być taka jak on. No wiesz, ratować ludzi.

- Postanowiłaś ratować świat. Ile miałaś lat, kiedy podjęłaś tę doniosłą decyzję?

- Dwanaście. Właśnie skończyłam dwanaście.

- Zdumiewające.

- Co?
- Że nie zmieniłaś zdania, tylko trzymałaś się tego przez całą szkołę i studia.
- A ty pamiętasz, kim chciałaś zostać, kiedy byłeś małym chłopcem?
- Nie pamiętam, ile miałem lat, kiedy uznałem, że fajnie byłoby zostać astronautą. Może dziesięć albo jedenaście.
- Ten plan nie wypalił? - zakpiła.
- Jakoś się nie złożyło. Skończyłem studia inżynierskie w Tu lane, zrobiłem dyplom i zaciągnąłem się do piechoty morskiej.
- Dlaczego do piechoty morskiej?
- Byłem pijany.
- Nie dała się nabrać.
- Podaj mi prawdziwy powód.
- Myślałem, że mogę coś z siebie dać. Lubiłem dyscyplinę i chciałem odmiany po Bowen w Luizjanie.
- Ale teraz mieszkasz w Bowen, prawda?
- Tak - przyznał. - Musiałem się stamtąd wynieść, żeby zrozumieć, czego naprawdę chcę od życia. Właściwie mieszkam poza Bowen, na bagnach.
- Żyjesz na uboczu?
- Lubię samotność.
- Domyślam się, że na bagnach nie cierpisz na nadmiar towarzystwa.
- To też mi odpowiada. Gdzie chodziłaś do college'u?
- Na Uniwersytecie Santa Clara. A potem był Stanford. - Ugryzła jeszcze kawałek kanapki i przełknęła z obrzydzeniem. Chleb był zakalcowaty, sałata zwiędła, a indyk suchy jak wiór. - Żadna z nas nie oddaliła się zbyt od domu. Carrie chciała, żebym studiowała w Los Angeles i w wolnych chwilach pracowała w jej firmie.
- W jakim charakterze?
- Avery oblała się rumieńcem, co jeszcze podsycało jego ciekawość.

- Nalegała, żebym nakręciła więcej reklam. Zgodziłam się wystąpić w jednej, kiedy była w nagłej potrzebie.
- Co musiałaś robić w tej reklamie?
- Pokazywać kostkę mydła, trzepotać rzęsami i śpiewać głupawą piosenkę.
- Nie roześmiał się, ale było widać, że ma ochotę.
- Zaśpiewaj mi ją.
- Nie ma mowy - odburknęła. - Była okropna, nienawidziłam jej. Chyba jestem introwertyczką. - Wzruszyła ramionami. - Ponieważ od tak dawna hodowałam w sobie to marzenie, żeby zostać agentką federalną, Carrie w końcu zrezygnowała i przestała naciskać. Właściwie obie się poddałyśmy.
- Odsunęła od siebie talerz, a John Paul wziął z niego jeszcze kilka frytek.
- W jakim sensie się poddałaś?
- Zwinęła papierową serwetkę i odłożyła na stół.
- Miałam praktyki w szkole w San Jose i okazało się, że bardzo lubię pracować z dziećmi, tak bardzo, że brałam pod uwagę zawód nauczycielki. Byłam w tym naprawdę dobra - dodała tonem, w którym pobrzmiwała nuta zaskoczenia. - Odbyłam nawet dodatkowe praktyki, żeby uzyskać dyplom uprawniający do nauczania. Myślałam o tym, żeby uczyć historii, ale nie przyznałam się Carrie.
- Dlaczego? Ma coś przeciwko nauczycielkom?
- Nie. Tylko nie chciała, żebym została jedną z nich.
- Przyjrzał jej się z uwagą.
- Avery, czegoś mi nie mówisz?
- Ignorując pytanie, zawołała na kelnerkę, żeby przyniosła im rachunek.
- No, dziecinko, odpowiedz. Dlaczego nie chciała, żebyś uczyła?
- Strasznie nędznie płacą.
- Co jeszcze?



- Nauczyciele nie cieszą się zbytnim szacunkiem. Wiesz, jak się mówi: Bodajbyś cudze dzieci uczył. Carrie uważa, że praca nauczyciela... nie cieszy się prestiżem. Moja ciotka nie jest żadną jędzą - dodała szybko. - Wiem, że to może tak wyglądać, ale ona nie jest taka. Naprawdę.

- Tylko tyle? To był powód, żeby się nie brać za nauczanie? Brak prestiżu?

- Carrie uważała, że przebywanie wśród dzieci nie byłoby dla mnie dobre.

- Dlaczego?

Najwyraźniej nie zamierzał odczepić się od tego tematu.

- Bała się, że to będzie dla mnie zbyt trudne.

- Aha.

- Co to miało znaczyć?

Wszystko było jasne.

- Nie możesz mieć dzieci, prawda?

Chciała mu powiedzieć. Czuła nieodpartą potrzebę powiedzenia mu wszystkiego, wyprucia flaków, jak powiedziałyby wujek Tony. Nigdy wcześniej nie miała tej potrzeby, ale też John Paul różnił się od innych mężczyzn. Nie przejmował się takimi głupimi rzeczami jak prestiż. Nie bawił się w żadne gierki ani nie miał ukrytych intencji. Mówił to, co myślał. Może dlatego tak ją pociągał. I dlatego czuła się z nim tak dobrze.

- Nie wiem, jak na to wpadłeś.

- Powiedziałeś mi, że nie zamierzasz nigdy wychodzić za męża, co wydało mi się trochę dziwne.

Aż się poderwała, wzburzona jego uwagą.

- Dlaczego? Bo wszystkie kobiety powinny chcieć małżeństwa? Chyba w to nie wierzysz. Wiele kobiet jest bardzo szczęśliwych, prowadząc samotne życie.

Uniósł rękę w geście poddania.

- Hola. Nie twierdzę, że nie, ale kiedy mi powiedziałaś, że nie zamierzasz wychodzić za męża, zabrzmiało to tak, jakbyś się

broniła. To właśnie było dziwne. Teraz rozumiem. Nie możesz mieć dzieci i dlatego Carrie nie chce, żebyś z nimi pracowała. Zgadza się?

- Tak.

Była gotowa do walki. Pokazała mu swoją słabą stronę i miała świadomość, że jeśli okaże jej choćby odrobinę współczucia, będzie przegrana. Co gorsza, może się nawet rozpłakać. Wiedziała, że jej reakcja jest mechanizmem obronnym, ale to niczego nie zmieniało. Patrząc mu prosto w oczy, czekała, czy ośmieli się ją sprowokować.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- I co? - odezwała się wreszcie, przerywając długą ciszę.

- To po prostu głupie.

Zamrugła.

- Słucham?

- Słyszałaś, złotko. Lubisz pracować z dziećmi, więc powinnaś to robić. Uleganie sugestiom ciotki, żeby ją zadowolić, jest cholernie głupie.

- Ale w mojej pracy też jestem dobra.

- I co z tego? Masz wiele talentów. Możesz być dobra, robiąc mnóstwo różnych rzeczy.

Wstał, żeby zapłacić rachunek, a potem poszedł zadzwonić. Przez cały czas nie spuszczał oka z parkingu. Avery popatrzyła na kelnerkę, która wydmuchała balona dwa razy większego od jej głowy, a potem rozparta na ładzie gapiła się na Johna Paula.

Po pięciu minutach odłożył słuchawkę.

- Chodź. Musimy się stąd zabierać.

Poszła za nim do samochodu. Kiedy otwierał przed nią drzwi, spytała:

- A ty w czym jesteś dobry?

- W wielu rzeczach.

- Wiem, że pracowałeś dla CIA. Z jakiego talentu robiłeś wtedy użytek?

Nie próbował zaprzeczać.

- Ze strzelania. Byłem dobrym strzelcem. Nie, to nieprawda.

Nie byłem dobry. Byłem świetny. Miałem sokoli wzrok.

- Jeszcze coś innego ci tak dobrze wychodzi?

- Yhm - mruknął. Objął ją w pasie i zaczął powoli przyciągać do siebie. - Jestem naprawdę dobry także w kilku innych rzeczach.

- Na przykład jakich?

Przyciągnął ją jeszcze mocniej i dotknął ustami jej ucha.

- Jeśli sprawy ułożą się po mojej myśli, dowiesz się pierwsza - szepnął.

- Och...

Ciekawe, czy wyczuł, że dostała gęziej skórki. Patrząc mu w oczy, domyśliła się, że chyba tak.

Uśmiechając się, lekko dotknął wargami jej ciepłych, miękkich ust. Nie musiał długo czekać, by odwzajemniła pocałunek. Wyraz jej oczu wzbudził w nim bezwstydną zadowolenie.

- Lepiej się stąd zabieramy, zanim mnie poniesie i przekonasz się tu, na miejscu.

Wpuścił ją na siedzenie pasażera, a sam usiadł za kierownicą. Wyjechawszy z parkingu, skierowali się w stronę Denver.

- Musimy się trochę oddalić od tej knajpy - stwierdził. - Ta kelnerka cię zapamięta.

- Tak sądzisz?

- Pewnie. Bez wątplenia rzucasz się w oczy.

- Pomyłka, złotko - rzuciła, przedrzeźniając jego południowy akcent. - Guma Do Żucia gapiła się na ciebie.

Wzruszył ramionami.

- Dotarcie do chaty Tylera zajmie nam co najmniej godzinę. Jeśli napotkamy po drodze jakiś sklep, zatrzymamy się, żeby zrobić trochę zapasów.

- Wątpię, żeby o tej porze coś było otwarte.

- A jakie to ma znaczenie?

- Wstydz się. Naprawdę masz zamiar się włamać?

- Nigdy się nie dowiedzą, że tam byłem.

Nawet nie próbowała go odwozić od tego pomysłu. Głowę miała całkowicie zaprzątniętą jego poprzednią uwagą. Co się wydarzy, jeśli sprawy pójną po jego myśli?

Przejechawszy pięćdziesiąt kilometrów napotkali niewielki sklep spożywczy. W środku było ciemno.

John Paul zademonstrował kolejny ze swoich talentów. Bez najmniejszego hałasu otworzył zamek, obłaskawił czarnego dobermana, który pilnował dobytku, i zaczął buszować między półkami. Avery pomogła mu zanieść dwa kartony mleka i cztery torby sprawunków do samochodu.

Pakując produkty do toreb, na bieżąc podliczał należność. Przed wyjściem wetknął pod kasę cztery banknoty dwudziestodolarowe.

- Jak długo zostaniemy w chacie Tylera? - spytała, kiedy znów ruszyli. - Mamy jedzenia na miesiąc.

- Zostaniemy co najmniej na jedną noc, może na dwie - odparł. - Tyler powiedział, że chata znajduje się w odległości jakichś dwudziestu kilku kilometrów od małego miasteczka. Kazałem Theo sprawdzić kilka rzeczy i kiedy się dowiem, co się dzieje, zdecydujemy, co robić.

- Muszę zdążyć na proces.

- Rozumiem. Mogę cię o coś spytać?

- Tak?

- Czy to przez Skarretta nie możesz mieć dzieci?

- Tak - przyznała. - Kula trafiła w brzuch, ale wiesz co? łą tak nigdy nie chciałabym mieć dzieci. Nie miałabym odwagi ryzykować, że choroba Jilly jest dziedziczna. Więc sam widzisz, że to nie ma znaczenia.

- Przeciwnie, ma znaczenie. Skarrett odebrał ci prawo wyboru. To jest ważne.

Nie ukrywał gniewu, ale nie miała mu tego za złe. Powiedział prawdę.

Zmieniła temat na lżejszy. Opowiadała mu o różnych zabawnych wydarzeniach z dzieciństwa. John Paul odwzajemnił jej się historiami ze swojego życia. Mówiąc o swojej rodzinie, a zwłaszcza o ojcu, kilka razy wybuchnął śmiechem.

- Ludzie naprawdę nazywają go Wielkim Tata?
- Serio. Polubisz go - zapewnił.

Zakładał, że będzie miała okazję poznać jego ojca. To było miłe. Chętnie słuchała o jego rodzinie, o domu, pracy. Chciała wiedzieć o nim wszystko. Przerwali rozmowę, widząc dwie pary świateł samochodów nadjeżdżających z przeciwnika.

John Paul zjechał na pobocze i wyłączył swoje światła.

W milczeniu czekali, aż auta miną ich i się oddalą.

- Kiedy prosiłeś szwagra o pomoc, bałeś się, że może powiadomić FBI, dokąd jedziemy?
- Bo pracuje w Departamencie Sprawiedliwości?
- Właśnie.
- Rodzina jest ważniejsza, złotko. Zawsze.
- Mimo to...
- Nie powie i pomoże. Powiedziałem mu, czego potrzebuję, a on się zgodził.
- Świetnie. Cieszę się, że możemy mu ufać.

Odczekali jeszcze chwilę w ciemności, dopóki John Paul nie uznał, że mogą bezpiecznie jechać dalej.

Avery wciąż krążyła myślami wokół tego, co jej wyszeptał do ucha. Może gdyby przestała się na niego gapić, byłaby w stanie pomyśleć o czymś innym. Od tak dawna nie była z żadnym mężczyzną, że zaczynała się uważać za mistrzynię w blokowaniu tego rodzaju myśli i potrzeb.

Właściwie była mistrzynią, dopóki John Paul nie pojawił się w jej życiu. Nagle tamy puściły i była w stanie myśleć tylko o tym, żeby go dotykać. Wszędzie.

Przez pół godziny zmagala się ze sobą, próbując zająć umysł czymkolwiek innym poza seksem. Podsumowała stan swojego

konta, a potem obliczyła, jak długo mogłaby pozostać w swoim mieszkaniu, gdyby nie otrzymywała wypłaty. Trzy miesiące? Cztery? Gdyby została zwolniona z pracy.

Bezwiednie zaczęła uderzać końcem stopy o podłogę. Kogo próbowała oszukać? Oczywiście, że zostanie zwolniona. Nie mogą jej aresztować za niesubordynację, ale czy Carter nie oskarży jej o utrudnianie śledztwa?

John Paul położył jej rękę na kolanie.

- Czym się tak denerwujesz? - Nim zdążyła wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, oznajmił: - Jesteśmy na miejscu.

Zjechał na pełną drogę. Musiał widzieć w ciemności znacznie lepiej niż ona, bo nawet nie zauważyła łagodnego zakrętu.

- Jesteś pewien?

Wciąż trzymał rękę na jej kolanie, a ona wcale nie chciała, by ją zabrał. Spoglądała przed siebie, udając, że wypatruje chaty, a w wyobraźni zdierała z niego ubranie.

Czyżby stawiała się rozpustnicą? Pokręciła głową. Nie, po prostu miała normalne potrzeby jak każda kobieta, ale ponieważ od dawna jej się to nie zdarzało, nie najlepiej sobie radziła.

- O czym myślisz? - zapytał.

O seksie, do cholery. Myślę o seksie.

- O niczym szczególnym.

- Tak?

Nawet głos miał zmysłowy. Przeczesując włosy drżącymi palcami, uświadomiła sobie, jak bardzo jest spięta i jak strasznie brakuje jej pewności siebie.

Objechali kępę drzew, za którą droga rozpląszczyła się, przechodząc w coś, co wyglądało jak pole. W ciemności trudno było się zorientować. Znów zaczęła stukać nogą o podłogę. Czuła się nieswojo na myśl, że będzie z nim sam na sam w chacie na odludziu.

Podjechał do stopni przed wejściem. Kiedy wyłączył silnik i światła, ogarnęła ich cisza i egipskie ciemności. Nie sposób było zobaczyć końca własnego nosa.

- Siedz tu i nie ruszaj się, dopóki nie znajdę klucza pod schodami na ganku.

Nie ruszyłyby się nawet wtedy, gdyby od tego zależało jej życie. Nogi miała jak z waty, w głowie jej szumiało. Na szczęście, nim otworzył drzwi i włączył światło w chacie, zdążyła się opanować. Dopiero wówczas wysiadła z samochodu i pomogła mu wnieść torby z prowiantem.

Wnętrze chaty było urocze. Pachniało sosną i środkami czystości. Naprzeciw wejścia znajdował się kamienny kominek, a przed nim po obu stronach dwa wiklinowe fotele wyścielone poduchami w czerwono-żółtą kratkę. Zielona sofa najlepsze czasy miała już za sobą, o czym świadczyły wytarte oparcia i wyblakłe obicie, ale sprawiała wrażenie bardzo wygodnej. Na prawo od wejścia stał okrągły sosnowy stół z czterema prostymi krzesłami.

Za stołem była wąska kuchenka z wyjściem na zewnątrz. Postawiwszy torbę na kuchennym blacie, Avery przeszła przez salonik do drugiej części chaty. W niewielkim holu znajdowało się dwoje drzwi; te po lewej prowadziły do łazienki. Otworzyła drugie i przestąpiła próg. W łagodnym świetle padającym z saloniku zobaczyła przestronny pokój, a w nim podwójne łóżko z ozdobnym kutym wezgłowiem, przykryte wielobarwną narzutą.

Im dłużej wpatrywała się w łóżko, tym szybciej biło jej serce. Słyszała, jak John Paul wypakowuje jedzenie, wiedziała, że powinna mu pomóc, ale nie była w stanie się ruszyć.

To tylko łóżko, pomyślała. Do licha, co się ze mną dzieje?

Zła na siebie, chwyciła torbę ze swoimi rzeczami i weszła do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Nie zadała sobie trudu, żeby spakować jakąś ładną nocną koszulę czy szlafrok, więc teraz wysuszyła włosy, umyła zęby i założyła majtki oraz rozciągnięty stary podkoszulek z emblematem Uniwersytetu Santa Clara. Był za duży przynajmniej o trzy numery, wisiał na niej jak namiot i kończył się tuż nad kolanami.

Przejrzawszy się w lustrze, stwierdziła samokrytycznie, że ma duże braki w dziedzinie eksponowania swej kobiecości. Po raz pierwszy w życiu pragnęła ładnie wyglądać. Gdyby Carrie ją teraz widziała... Zawsze krytykowała siostrzenicę za sposób ubierania się i w końcu doszło do tego, że Avery musiała jej przyznać rację.

W tej chwili jednak już nic nie dało się zrobić. Z westchnieniem ustawiła torbę w kącie sypialni, żeby się o nią nie potykać, i wróciła do saloniku. W tym samym momencie John Paul wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi na zasuwę, odwrócił się i osłupiał.

- Co ci się stało? - spytała. - Wyglądasz, jakbyś się wytarzał w kurzu. Co się stało? - powtórzyła.

Nie mógł oderwać oczu od jej nóg. Głowę wypełniały mu najrozmaitsze fantazje.

- Wstawiłem samochód do stodoły i pomyślałem... olej... opony...

- Tak?

- Co?

W końcu zmusił się, żeby spojrzeć jej w oczy. Wiedział, że musi wyglądać jak jeleni złapani w światła reflektorów. Kiedy ją ujrzał stojącą w progu, nogi dosłownie się pod nim ugięły. Wyglądała cudownie, zjawiskowo. Czy zdawała sobie sprawę, jaką ma nad nim władzę?

- Co z tym olejem i oponami?

- W porządku.

Plótł jak idiota, a ona była w pełni odpowiedzialna za jego nagłą tępotę. Minał ją, mamrocząc coś od rzeczy, wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Wzięła z lodówki butelkę wody, pogasiła światła w kuchni i w saloniku i udała się do sypialni. Nakazując sobie spokój, zwinęła narzutę. Na półce w szafie znalazła czystą pościel. Rozłożyła ją na łóżku wraz z cienkim kocem, wyciągniętym z cedrowej skrzyni. Usiadła na środku pościeli, krzyżując nogi w pozycji

lotosu. Starą się oczyścić umysł i skupić na oddychaniu. Kiedy już w wyobraźni miała usiąść na huśtawce na ganku, przerwał jej pytanie:

- Wybierasz się do swojego szczęśliwego miejsca?

Otworzyła oczy. John Paul obserwował ją, stojąc w drzwiach. Miał na sobie jedynie szorty. Nawet nie zadał sobie trudu, by zapiąć guzik w pasie. Zauważyła, że się ogolił i umył włosy. Na opalonej szyi i ramionach miał jeszcze krople wody.

To, że siedziała na łóżku, dawało mu widoczną przewagę. Sytuacja była szczególna, więc żeby czuć pewny grunt pod nogami, zsunęła się z pośłania.

- Tak - przyznała. - Próbowałam się odprężyć.

Ziewnęła głośno.

- Avery?

- Tak?

Oparł się niedbale o framugę, krzyżując nogi w kostkach i ręce na piersi. Starą się nie patrzeć na ciemne włoski wokół jego pępka.

- Mam spać na sofie czy w łóżku?

Czy miała w sobie dość odwagi, by zdobyć się na szczerość? By mu powiedzieć, czego pragnie? Uświadomiła sobie, że nadeszła chwila prawdy.

Odchrząknęła i powiedziała szeptem:

- W łóżku... ze mną, jeśli tego chcesz. - Do licha, w jej głosie przebijała bezbronność i lęk. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. - Jeśli chcesz - powtórzyła cicho.

- Chcę.

Zrobił krok w jej stronę i stanął, kiedy uniosła rękę.

- Nie tak szybko, Renard.

- Co? - wydukał, zbity z tropu.

- Najpierw musimy omówić kilka podstawowych zasad.

Wcale nie żartowała. Pewnie by się roześmiał, gdyby nie była taka spięta.

- Podstawowych zasad? Takich jak zakaz ciosów poniżej pasa? O to ci chodzi? - Nie odpowiedziała od razu, więc dodał: - Mamy się boksować, czy pozwolisz mi...

- Zostaję w podkoszulku. Zgoda?

- W porządku, jeśli tak chcesz, ale jeśli zmienisz zdanie i będziesz chciała go zdjąć, to też dobrze.

- Jeśli będę chciała, to zdejmę, ale nie chcę i prawdopodobnie nie będę chciała. Zgoda?

To było tak skomplikowane, że trochę się pogubił.

- Jasne. - Zrobił kolejny krok w jej stronę.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Tak też myślałem. - Uśmiechnął się. - Dobrze, co jeszcze?

- Musisz używać zabezpieczenia. Wprowadź i tak nie mogę mieć dzieci, ale nie robiliśmy badania krwi i...

- Miałem zamiar użyć zabezpieczenia.

- Miałeś zamiar?

- Yhm. - Wyciągnął z kieszeni prezerwatywę i rzucił na łóżko. - Jeszcze coś?

- Cóż za przezorność...

- Avery, jeśli zaraz cię nie dotknę, to chyba zwariuję, więc pośpiesz się z tymi zasadami.

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Jeśli będziesz rozczarowany...

- Nie będę.

- Ale gdybyś był, zachowasz to dla siebie. Żadnych narzekań.

- Złotko, zawsze jesteś taka zasadnicza przed...

- Zgadzasz się? - przerwała mu.

- Zgoda. Nie będę narzekał.

- To wcale nie jest śmieszne, John Paul. Mówię poważnie.

Dalsze czekanie było ponad jego siły.

- Teraz moja kolej - powiedział, chwytając za fałdy podkoszulka i przyciągając ją do siebie. - Chyba jesteś tam gdzieś pod spodem? - Objął ją w pasie, wsuwając rozpostarte dłonie pod

luźny trykot. Nie próbowała się wyrwać, nawet kiedy jego palce dotknęły blizn. Pochylił się i pocałował ją w szyję tuż pod uchem.

Przebiegł ją dreszcz. Dłonie miała zaciśnięte w pięści, ale kiedy dotknął jej ucha końcem języka, opadło z niej napięcie. Czuła ciepło jego oddechu na skórze i siłę twardych mięśni pod palcami. Jak to możliwe, że ktoś tak silny był jednocześnie taki delikatny? Z westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu.

- Słuchaj uważnie, złotko. Ja też mam kilka podstawowych zasad.

Uniosła głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. Dlaczego wcześniej nie zauważyła, że są takie piękne? Kiedy się uśmiechał, coś się w nich zapalało od środka.

- Tak?

- Ufasz mi?

Czy mu ufała? Była w nim po uszy zakochana. Oczywiście, że mu ufała. Bała się jednak do tego przyznać.

- To nie jest zasada.

Nie pozwolił jej się uchylić przed odpowiedzią, chociaż próbowała odwrócić jego uwagę, tuląc się do niego i całując go namiętnie.

- Znam odpowiedź, ale chcę... nie, muszę usłyszeć, jak sama to mówisz.

- Jesteś najbardziej zarozumiałym, upartym i męczącym facetem, jakiego znam, ale niemal od chwili, gdy cię poznałam, czułam tę dziwną więź. Jakbym czekała całe życie, żeby poczuć, że jestem bezpieczna... i wolna. Nie umiem tego wytłumaczyć - szepnęła.

Unióś jej twarz, chwytając za podbródek, i leciutko dotknął wargami jej ust.

- Więc mi ufaj. To moja zasada. Musisz mi ufać.

Wydawało jej się, że rozumie, o co prosił. Miał rację. Miłość i zaufanie szły ze sobą w parze.

Teraz albo nigdy. Boże, proszę, niech go to nie odstręczy.

Odsunęła się od niego, stając w miękkim świetle nocnej lampki. Nie czekając, aż całkiem opuści ją odwaga, ściągnęła podkoszulek przez głowę i rzuciła na podłogę. I ustawiła się tak, by mógł zobaczyć jej okaleczone plecy.

Najgorzej przedstawiał się dół pleców nad pośladkami. Skóra była pomarszczona przez długą, brzydką bliznę. Bała się odwrócić, żeby mu spojrzeć w oczy.

- Złotko?

W jego głosie usłyszała tłumiony śmiech. Zaskoczona taką reakcją, stała sztywno z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, wpatrując się w ścianę.

- Tak? - szepnęła niepewnie.

Położył jej dłonie na ramionach.

- Chwilowo jestem bardziej zainteresowany przodem.

- Co...

Odwrócił ją do siebie łagodnie i przytulił. Nabrzmiąte sutki dotknęły jego piersi. Zamykając oczy, westchnął:

- Marzyłem o tym. Jest jeszcze lepiej niż w marzeniach. Znacznie lepiej.

- Ale moje plecy... Widziałeś...

- Nimi leż się zajmujemy - obiecał. - Ale mam do dyspozycji spore terytorium - szepnął, osuszając pocałunkiem łzę na jej policzku. - A w moim obecnym stanie muszę przestrzegać kolejności.

Nie zdążyła się obruszyć ani zmartwić, bo zawładnął jej ustami w gorącym, łapczywym pocałunku. Rozchylił jej wargi językiem i wykonywał nim ruchy naśladujące odwieczny miłosny rytuał, dopóki nie zaczęła drżeć z pożądania.

Jego ręce także nie próżnowały - były wszędzie, pieściły, głąskały, drażniły. Nagle opuściły ją wszelkie wątpliwości i zahamowania. Odwzajemniała pieszczoty gorliwie i z radością. Zanurzyła palce w ciemnym zaroście na jego piersi, zachwycona jego sprężystością.

Kiedy przerwał pocałunek i odsunął się o krok, oboje mieli szybki, urywany oddech. Zrzucił z siebie szorty, ani na moment nie przestając patrzeć jej w oczy, napawając się widoczną w nich namiętnością.

Avery opuściła rękę, żeby zdjąć figi. Widząc, jak jest zaskoczona, że leżą już na podłodze, John Paul uśmiechnął się szelmowsko.

- Dobry jesteś - pochwaliła drżącym głosem.

- Jeszcze nic nie widziałaś - powiedział, przenosząc ją na łóżko. Twarz miał napiętą pragnieniem. Pod jego spojrzeniem wstąpiła w nią śmiałość.

- Ty też.

Przesunęła dłońmi wzdłuż jego boków. Ten sam żar, który widziała w jego oczach, rozpałał mu całe ciało.

Uwielbiał jej dotyk. Do diabła, wszystko w niej uwielbiał. Doprowadzała go do szaleństwa. Przyciągnęła go ku sobie do następnego pocałunku. Tym razem pozwolił jej dominować. Ich języki splotły się, podczas gdy dłonie nie ustawały w poznawaniu coraz to nowych obszarów i tajemnic.

Kiedy palce Avery spoczęły na jego męskości, przestraszył się, że zaraz będzie po wszystkim. Próbował ją powstrzymać, ale się nie dała. Ledwie mógł oddychać z wrażenia. Wsunął dłoń między jej uda i pieścił ją, dopóki nie wyprężyła się na posłaniu, wydając z siebie zduszony krzyk.

Powstrzymywał się, jak długo mógł, aż w końcu był pewien, że oszaleje, jeśli natychmiast nie znajdzie się w niej. Całując łapczywie jej miękkie, podatne usta, jednocześnie rozsunął jej nogi kolanem. Wreszcie, chwytając ją za pośladki, wszedł w nią wolnym, lecz nieustępliwym pchnięciem.

Uniosła biodra, jakby wychodząc mu naprzeciw, po czym oplotła go nogami, przyciągając do siebie z całych sił.

Ujął w dłonie jej twarz i przywarł do ust w gorącym, zachłannym pocałunku. Smakował każdą chwilę, nie śpieszył się, choć wiele go to kosztowało. Kropelki potu zrosiły mu czoło. Kochając się

z nią, uświadomił sobie nagle, że jeszcze nigdy podczas miłostnego aktu jego wrażenia nie były tak intensywne, tak niewiarygodnie wyraziste. Nigdy.

Avery dała się ponieść zmysłom. Żądza ogarnęła ją z mocą, jakiej jeszcze nie знаła. Przestały istnieć jakiekolwiek obawy i zahamowania, pragnęła poczuć go w sobie jeszcze bardziej, mocniej, gwałtowniej. Bezwiednie wbijając mu paznokcie w skórę ramion, zachęcała go, by sięgał głębiej, by wypełniał ją sobą jeszcze pełniej.

John Paul próbował zwolnić, pragnąc, by przed nim osiągnęła spełnienie, ale Avery ani myślała mu na to pozwolić. Zachowywała się tak, jakby pękły w niej ostatnie bariery powściągliwości. Rozkołysali się w szalonym, niemal dzikim rytmie.

Avery czuła, jak pękają ostatnie nitki łączące ją ze świadomością, ale to nie budziło w niej lęku. Przeciwnie, rozpieszczała ją radość, że może się bez reszty poddać cudownym doznaniom, wolna i nieskrępowana. Wiedziała, że jest bezpieczna w ramionach Johna Paula. To była ostatnia przytomna myśl, nim jej ciałem wstrząsnęły dreszcze rozkoszy.

Poczuł falę wzbierającą w ciele Avery i dał się jej ponieść, spełniony, oszołomiony, szczęśliwy.

Leżeli wciąż połączeni ze sobą przez długie, rozkoszne minuty. Oddychali ciężko; żadne z nich nie miało siły się ruszyć. Serca biły im jednym rytmem. Ukrył twarz w jej jedwabistych włosach, zamknął oczy i napawał się cudownym zapachem.

- Cholera - szepnął. Wyssała z niego wszystkie moce. Kiedy chciał się przesunąć, żeby jej sobą nie przygniatać, odniósł wrażenie, że kości mu się rozpułyły.

Jego ciężar najwyraźniej jej nie przeszkadzał, bo kiedy próbował zmienić pozycję, przycisnęła go do siebie, szepcząc:

- Jeszcze nie.

Czy przypadkiem nie był zbyt gwałtowny? Ta myśl zniemacka wpadła mu do głowy i natychmiast się tam zadomowiła. Powinien

był się zachowywać delikatniej, ale Avery była tak fantastycznie żywiółowa, że trochę go poniosło.

- Avery? Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się, słysząc w jego głosie lęk.

- Więc o to całe to zamieszanie... - szepnęła jakby do siebie.

A potem wybuchnęła śmiechem, tak radosnym, że mimo wyczerpania, musiał jej zawtórować.

W końcu przetoczył się na bok, wstał i poszedł do łazienki.

Naciągnęła na siebie prześcieradło, poprawiła poduszkę pod głową i ułożyła się wygodnie. Wciąż była trochę oszołomiona po tym, co się wydarzyło. Doszła do wniosku, że od seksu, a w każdym razie od seksu z Johnem Paulem, można się uzależnić.

Sprężyny łóżka jęknęły, kiedy znów wyciągnął się obok niej. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Bezwstydnie zadowolony z siebie, leżał na boku z głową opartą na łokciu i gapił się na nią.

Widać było, że jest wykończona. Oczy wciąż zasnuwała jej mgiełka przeżytej rozkoszy, a usta miała nabrzmiałe od jego pocałunków.

Avery wiedziała, że dała mu satysfakcję, ale i tak chciała to od niego usłyszeć. Czy to nie głupie, że zaledwie przed chwilą czuła swą moc, a teraz znów osaczała ją dawna niepewność. Nie, nie rozczarowała go. Ale czemu jej tego nie mówił?

Poznał po wyrazie jej oczu, że coś ją gnębi. Nie sądził, żeby czegoś żałowała... ale może coś ją martwiło. Upewnił się, że jego przypuszczenia były słuszne, kiedy spytała:

- Co myślisz?

Chwycił prześcieradło, zsuwając je poniżej czubków jej piersi. Szybko podciągnęła je z powrotem pod szyję.

- Założę się, że zdejmę je z ciebie tak szybko, że nawet nie zauważysz - rzekł zaczepnie.

- Oho, bratku. Bardzo jesteś z siebie zadowolony, co?

- Pewnie, że jestem - przyznał, nachylając się, żeby ją poca-

łować. Połaskotał ją językiem po podniebieniu. Kiedy się wreszcie od niej oderwał, brakowało jej tchu. Jemu zresztą także.

Och, jak bardzo kochała tego mężczyznę. Był jakby dla niej stworzony. Wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć mu włosy z czoła - w istocie był to pretekst, żeby go dotknąć. A tego wciąż jej było mało.

- Wielkie nieba - wymruczał. - Tak właśnie powiedziałaś, złotko, odchodząc od zmysłów w moich ramionach. A raczej wykrzyczałaś.

- Nieprawda - zaprzeczyła ze śmiechem.

- Owszem, prawda.

- Wiem, co ty krzyczałaś, ale tego nie powtórzę.

Spojrzał na nią z chytrym uśmieszkiem.

Przesunęła końcami palców po jego szyi, potem wzdłuż barku i ramienia.

- Zgadnij, co się stało.

- Co? - spytała leniwie.

- Nie ma prześcieradła.

Zaskoczona spojrzała na siebie. Prześcieradło leżało zwinięte wokół jej kostek.

- Dobry jesteś.

Nachylił się, żeby ucałować kolejno obie piersi. Delikatnie pogładził skórę wokół pępka. Dół brzucha przecinała zygzakowata blizna. Nieregularne zgrubienie pośrodku było śladem po kuli. Prawdopodobnie kaliber 38, pomyślał. A może 45...

Do diabła, to był cud, że w ogóle przeżyła. Niespiesznie zaczął okrywać pocałunkami to miejsce na jej brzuchu. Uśmiechnął się, kiedy głośno złapała powietrze. A potem ułożył się na boku, żeby móc widzieć jej twarz, i wsunął dłoń w miękkie kędzioły u zbiegu jej ud.

Avery nie mogła złapać tchu.

- Chcesz...

- O tak, chcę.



Pojękując cichutko, zaczęła się poruszać pod jego dotykiem, pocierając palcami stóp o jego łydki.

Próbowała go dotknąć, ale chwycił ją za rękę.

- Spokojnie, złotko. Pozwól mi...

Nie zdołał dokończyć. Była zaskakująco silna. I śmiała. Pchnęła go na plecy i nachyliła się nad nim.

- Spokojnie? Nic podobnego, John Paul. Przecież to jest sport zespołowy.

Nie był w stanie nic odpowiedzieć. Ujęła w dłoń jego męskość i powolną pieszczotą zaczęła go doprowadzać na skraj szaleństwa.

- A ja... - szepnęła, sadowiąc się na nim okrakiem.

- Co ty? - wydusił z siebie chrapliwie.

Spojrzała na niego z błyskiem w oku.

- A ja z całą pewnością jestem graczem zespołowym.

## 31

Ten człowiek był nienasycony. Avery obudziła się w południe. Zwykle nie spała tak długo, ale John Paul niewiele dał jej odpocząć tej nocy.

Leżała na brzuchu, zjedną ręką zwisającą poza krawędź łóżka. John Paul łaskotał ją po plecach; dotyk jego palców był lekki, niczym muśnięcia piórkiem. Próbował ją w ten sposób podniecić czy też starał się być delikatny ze względu na blizny?

O Boże, blizny. Nawet Carrie, która kochała ją jak matka, nie mogła powstrzymać grymasu odrazy, kiedy na nie patrzyła.

- Obudziłeś się już, Avery?

Nie powiedziała mu dzień dobry, tylko od razu spytała:

- Co myślisz?

- O czym?

- O moich plecach.

- Potrafisz znieść prawdę?

Aha. Nie podobał jej się ton jego głosu. Poczwała, jak narasta w niej dobrze znane napięcie.

- Zniosę wszystko. O czym myślisz?

- O twoim ślicznym tyłeczku.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- To pierwsza rzecz, jaką u ciebie zauważyłem, kiedy dumnie wkroczyłaś do recepcji tego ośrodka.

- Nie kroczyłam dumnie - zaprotestowała z uśmiechem.

- Oczywiście, że kroczyłaś.

- Jesteś zboczony.

- A ty głosujesz na liberałów, co na jedno wychodzi. A co do blizn...

- Tak? - Nie przestała się uśmiechać.

- Są po prostu bliznami. Nie decydują o tym, kim jesteś. A teraz wstawaj. Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut. - Podniósł się z łóżka. Był zupełnie nagi i najwyraźniej wcale go to nie krępowało. I był fantastyczny. Muskularny i męski do szpiku kości.

- Włóż coś na siebie.

- Po co?

- Chodzisz tak po swoich bagnach?

- Chciałbym, ale nie mogę ze względu na aligatory i węże.

Porwał z krzesła dzinsy i zniknął za drzwiami. Avery wzięła szybki prysznic, a potem włożyła na siebie granatowe szorty i jasnożółtą bluzkę. Zaczesała włosy za uszy i boszo weszła do saloniku.

John Paul postawił przed nią talerz i wręczył jej butelkę sosu Tabasco. Przyrządził jajecznicę z dużą ilością pieprzu. Po pierwszym kęsie musiała szybko napić się soku pomarańczowego.

- Lubisz pikantne jedzenie - stwierdziła z uśmiechem.

- W Luizjanie pikantne jedzenie należy do stylu życia.

- Jak się dorasta w Bowen, mając ojca, którego wszyscy w mieście nazywają Wielkim Tatą Jakiem?

- Ciekawie. Mój ojciec ma ostry charakter, jeśli wiesz, co mam na myśli. Lubi iść pod prąd, ale ma dobre serce.

Opowiedział jej kilka śmiesznych historii o figlach, jakie płatał razem ze swym bratem Remym, kiedy byli chłopcami. Często wspominał o swoim ojcu i młodszej siostrze, i za każdym razem głos mu łagodniał.

- Mike jest tak samo przemądrzała jak ty. - Uśmiech świadczył, że uważa to za zaletę. - Jest chirurgiem - dodał z dumą. - Ma na imię Michelle, ale wszyscy nazywają ją Mike, wszyscy poza mężem. We wrześnie spodziewają się swojego pierwszego dziecka.

- Theo - przypomniała sobie Avery. - Jej mąż nazywa się Theo, jest prawnikiem i pracuje w Departamencie Sprawiedliwości.

- Zgadza się.

Zabawiał ją opowieściami, dopóki nie skończyła jeść śniadania, a potem razem pozmywali naczynia.

- Rano mocno padało. Chata aż się trzęsła od piorunów.

- Nic nie słyszałam.

- Mocno cię zmęczyłem - stwierdził tonem przechwałki.

Avery postanowiła dać mu należną satysfakcję.

- To prawda - przyznała, odkładając ścierkę na kuchenny blat. - Słuchaj, musimy przyjąć jakiś plan.

- Wiem. - Poszedł za nią do saloniku. Avery zwinęła się w kłębek na sofie. John Paul usiadł w wiklinowym fotelu, zrzucił z nóg buty i oparł stopy na drugim końcu sofy. Był tak rośłym mężczyzną, że ledwie się mieścił w fotelu. - Ale nie dzisiaj - powiedział. - Dzisiaj odpoczywamy i rozmawiamy. Jutro będziemy planować.

- O czym będziemy rozmawiać?

- Nie o czym, tylko o kim - sprostował. - Musimy porozmawiać o Jilly.

Odsuwała do siebie ten temat, jak długo się dało. Pokiwała głową i zaczęła mówić:

- Carrie prowadziła dziennik. Była bardzo młoda, miała jedenaście lat, kiedy zaczęła go pisać. Jednak jej dziennika nie wypełniały nadzieje, marzenia i porażki. Nie, był w całości poświęcony Jilly. Strona po stronie Carrie opisywała straszne wydarzenia, których sprawczynią była jej chora siostra Jilly. Carrie powiedziała mi, że chciała mieć jakiś dowód, w nadziei, że któregoś dnia Jilly zostanie w końcu przyłapaną i zamkniętą.

Sądziła, że kiedy lekarze przeczytają ten dziennik, zrozumieją, jak bardzo Jilly jest niebezpieczna, i dopilnują, by pozostała za kratkami przez resztę życia. Ja jednak myślę, że chodziło o coś więcej. Wydaje mi się, że Carrie była przekonana, że któregoś dnia Jilly ją zabije.

- Koszmarne dzieciństwo - wtrącił John Paul.  
Avery przyznała mu rację.

- Carrie przestała robić zapiski w dzienniku, kiedy Jilly wyjechała, ale zachowała go, na wypadek gdyby Jilly wróciła. Wiedziałam, gdzie był schowany, lecz Carrie nie pozwoliła mi go czytać.

- Ale i tak go przeczytałaś?

- Przeczytałam. I bardzo tego żałowałam. Byłam na tyle duża, że mi się zdawało, iż wszystko zniosę, ale były w nim takie przerażające, ohydne rzeczy...

- Ile miałaś lat?

- Czternaście. Przeczytałam każde słowo, a potem przez długie miesiące miałam koszmarne sny. Carrie w swych opisach dbała o szczegóły, więc dowiedziałam się wszystkich strasznych rzeczy na temat Jilly.

Kurczowo przyciskała do siebie poduszkę. Serce mu się krajało na widok smutku w jej oczach.

- Nie cierpię o niej mówić - szepnęła.

- Rozumiem.

Ramiona jej opadły.

- Po tym świecie chodzą różne potwory. Jilly jest jednym z nich. Wiesz, co mnie najbardziej przerażało po tym, jak przeczytałam ten dziennik?

- Co?

- Że któregoś ranka obudzę się i będę taka jak ona. Wiesz, Doktor Jekyll i Mr. Hyde. Genetycznie jestem z nią związana na zawsze.

- To się nigdy nie zdarzy, Avery.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Ty masz sumienie. Ono cię nie opuści. W niczym nie jesteś do niej podobna.

- To samo powiedział mi doktor Hahn - przyznała.

- Kto to jest?

- Psychiatra. Budziłam się z krzykiem każdej nocy, więc Carrie zabrała mnie do doktora Hahna. Kazała mi przyrzec, że nikomu o tym nie powiem, bo nie chciała, by ludzie uważali mnie za wariatkę.

- Przejmowała się tym, co pomyślą ludzie? - Starał się uniknąć krytycznego tonu.

- Doktor Hahn był cudowny, pomógł mi... jakoś sobie z tym radzić. Chyba tak to mogę określić. Carrie nie wiedziała, dlaczego mam nocne koszmary, bo nie powiedziałam jej, że przeczytałam dziennik. Dopiero na trzeciej lub czwartej wizycie doktor Hahn wezwał ją do gabinetu i powiedział jej, co zrobiłam. Oczywiście najpierw wpadła w gniew, ale kiedy już się trochę uspokoiła, lekarz spytał ją, czy on także może przeczytać ten dziennik, a ona się zgodziła. Zrobiłaby wszystko, żeby mi pomóc wyzwolić się z tych, jak je nazywała, nocnych lęków. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że po lekturze doktor też miał koszmarne sny. Dorastałam, wiedząc, że Jilly jest szalona, poza tym Carrie opowiadała mi różne rzeczy, ale wszystko to bladło w porównaniu z zawartością dziennika.

- Co Hahn powiedział o Jilly po tym, jak go przeczytał? Jaka była jego reakcja?

- Był podniecony.

- Podniecony? - powtórzył John Paul, wyraźnie nie rozumiejąc.

- Był przekonany, że Jilly jest czystej wody socjopatką i żałowała, że nie miał okazji przestudiować jej przypadku. Opierając się na tym, co przeczytał, doszedł do wniosku, że Jilly jest moralnie i emocjonalnie upośledzona i dlatego niezdolna do pocucia winy czy wyrzutów sumienia. Ból innych ludzi z pew-

nością jej nie wzruszał. Przeciwnie, bawiło ją krzywdzenie ludzi bez powodu. Po prostu to lubiła. Była mistrzynią w obwinianiu innych i przekręcaniu faktów, a do tego umiała sprytnie oszukiwać.

John Paul oparł łokcie na kolanach.

- To było... niewiarygodne, do jakiego stopnia potrafiła manipulować ludźmi - mówiła dalej Avery. - Wszyscy ją uwielbiali, niezależnie od tego, co robiła. Była piekielnie sprytna.

- Podaj mi jakiś przykład.

- Jeszcze jako dziecko lubiła się znęcać nad zwierzętami. Oblała kota Carrie benzyną i podpaliła. Przyznała się Carrie, co zrobiła, ale przed matką zalała się łzami, mówiąc, że bardzo kochała tego kota. Jeden z sąsiadów zabrał ją na lody, żeby poczuła się lepiej. Z czasem pozwalała sobie na coraz więcej. W szkole średniej była oczywiście najpopularniejszą dziewczyną. Wszyscy kochali Jilly. Dziewczyna o nazwisku Heather Mitchell została wybrana na królową na zbliżający się zjazd absolwentów, a Jilly miała być jej pierwszą damą dworu. Z tego, co pisała Carrie, Jilly w szkole udawała, że bardzo się cieszy, ale po powrocie do domu przez kilka godzin miotała się z wściekłości, siejąc wokół spustoszenie. Najbardziej ucierpiała sypialnia Carrie, nie pokój Jilly, ma się rozumieć. Po kolacji uspokoiła się i udawała, że wszystko jest w porządku, lecz miała dziwny wyraz oczu.

Avery odetchnęła głęboko. Mięśnie ramion zupełnie jej zdętwiały; uświadomiła sobie, że z całej siły przyciska do siebie poduszkę.

- Następnego dnia z pracowni chemicznej zginęło naczynie z kwasem siarkowym. Po lekcjach Jilly przyłapała Heather sam na sam, a po chwili Carrie zobaczyła, jak bierze ją pod rękę i prowadzi ulicą. Jilly poradziła Heather, żeby się nie pokazywała na zjeździe, bo pożałuje. Heather była miłą dziewczyną, a w tym czasie przechodziła ciężkie chwile. Jej matka zmarła dwa tygodnie wcześniej na tętniaka i biedna dziewczyna jeszcze się nie otrząsnęła z szoku. Po rozmowie z Jilly Heather zamknęła się w swoim

pokoju, ale ojciec w końcu nakłonił ją, by mu powiedziała, co się stało. Otóż Jilly przyznała się jej, że ukradła kwas. Zagroziła, że będzie czekać na Heather któregoś dnia po szkole i obleje jej kwasem twarz.

- Dobry Boże...

Avery pokiwała głową.

- To, co Carrie napisała, to nie były plotki, bo sama rozmawiała z Heather.

- Co zrobił ojciec tej dziewczyny?

- Następnego dnia rano poszedł do dyrektora i zażądał, by Jilly została usunięta ze szkoły. Poszedł też na policję.

- I co oni zrobili?

- Nic. Komendant policji był bliskim znajomym mojej babki i nie zamierzał robić niczego, co by ją rozgniewało. Poza tym mieli jedynie słowo jednej dziewczyny przeciwko słowu drugiej. Jilly, oczywiście, wszystkiego się wyparła. Moja babka z Jilly zostały wezwane do gabinetu dyrektora jeszcze tego samego popołudnia. Babka zmusiła Carrie, żeby poszła z nimi.

- Jilly została wyrzucona?

- Nie - powiedziała Avery z oburzeniem. - Nie wspominałam, że dyrektor był mężczyzną? Nazywał się Bennett i był nieszcześliwie żonaty. Jego żona była zimną kobietą i do tego trudną we współżyciu. Tak przynajmniej napisała Carrie.

- I co się stało? - wtrącił John Paul, naprowadzając ją z powrotem na główny wątek.

- Carrie patrzyła, jak Jilly uwodzi Bennetta. Jilly wpadła w histerię. Zalała się łzami, ale to było jedynie wykalkulowane przedstawienie. Dyrektor podbiegł do kanapy, na której siedziała Jilly, i usiadł obok niej. Objął ją w geście pocieszenia. Mowa ciała Jilly i reakcja Bennetta zafascynowały Carrie. - Zadumała się na moment. - Widziałeś kiedyś, żeby kobieta poruszała się jak kot? Carrie mówiła, że Jilly była właśnie taka. Kiedy Bennett ją objął, otarła się o niego bezwstydnie.

- Co na to twoja babka?  
 - Według Carrie, jak zwykle o niczym nie wiedziała. Wyszła po szklankę wody dla Jilly, ale nawet gdyby została, niczego by nie zauważyła, ponieważ nie chciała zauważać. Carrie napisała, że Jilly, płacząc, tuliła się do Bennetta. Trzymała głowę na jego ramieniu, ale patrzyła na Carrie, która stała za plecami dyrektora, i uśmiechała się do niej tym swoim przewrotnym uśmiechem. Skończyło się na tym, że Bennett zagroził Heather zawieszeniem w prawach uczennicy za rozpowszechnianie kłamstwa.

- Jezu...

- Jak już mówiłam, Jilly miała swoje sposoby na mężczyzn. Niektórzy z nich popadali w obsesję na jej punkcie. Wydzwaniali o każdej porze dnia i nocy. Co jakiś czas Carrie zakradała się do sypialni babki Loli i podsłuchiwała z drugiego aparatu. Ci mężczyźni płakali i błagali, a Jilly odkładała słuchawkę i wybuchała śmiechem. Och, uwielbiała poczucie władzy. Kochała manipulowanie innymi i posługiwała się seksem, żeby dostać to, czego chciała. Jej specjalnością było rujnowanie życia żonatym mężczyznom. Założę się, że zgadniesz, kto był jednym z nich.

- Bennett.

- Właśnie.

- To wszystko się działo, kiedy była w szkole średniej? - Nim Avery zdążyła odpowiedzieć, spytał: - A co się stało z Heather?

- Nie pojawiła się na zjeździe absolwentów i Jilly została królową. Ale to jej nie wystarczyło. Heather jej podpadła i musiała ponieść karę. Jilly ją torturowała. Minał miesiąc i Heather już zaczęła myśleć, że Jilly dała jej spokój. Pewnego dnia wróciła ze szkoły i znalazła swojego starego pluszowego misia, którego zawsze trzymała na łóżku, oblanego kwasem. Zrobiła to Jilly.

John Paul słuchał uważnie, odruchowo gładząc się po podbródku.

- Carrie usłyszała o tym następnego dnia w szkole. Poszła do ojca Heather, który został w domu, żeby pilnować roztrzęsionej córki. Carrie powiedziała mu, że Jilly nie przestanie dokuczać

Heather, więc powinien wywieźć córkę z miasta, nie mówiąc nikomu, dokąd ją zabiera. Heather była bliska załamania nerwowego. Chodziła na terapię i terapeuta uznał, że będzie dla niej najlepiej, jeśli wyprowadzi się z Sheldon Beach. Wyjechała podczas ferii bożonarodzeniowych i nigdy nie wróciła.

- Czy to się kiedyś skończyło?

- Och, nie. Ojciec Heather dwa miesiące później złożył doniesienie na policję, że ktoś kradnie jego pocztę. Pewnego sobotniego popołudnia przypadkiem wyrzął przez okno i zobaczył, jak Jilly otwiera jego skrzynkę. Szukała listów od Heather, żeby zdobyć jej adres.

- Nigdy się nie poddaje?

- Nigdy. Nigdy się nie przespała z żadnym chłopakiem ze szkoły. Wszyscy jej znajomi wierzyli, że jest uroczą, dobrze ułożoną dziewczyną. Carrie słyszała kilka plotek na temat Jilly, ale nie od osób ze szkoły. To Heather spotkała się z ogólnym potępieniem, nie Jilly.

Wstała i wyciągnęła ręce do góry, żeby się rozprostować.

- Chcesz coś do picia?

Po tym wszystkim, co usłyszał, miał ochotę na coś mocniejszego, ale poprzestał na dietetycznej coli. Dla siebie Avery przyniosła z kuchni butelkę wody Evian.

John Paul otworzył puszkę, pociągnął spory łyk i spytał:

- Czy twoi dziadkowie nie próbowali jej jakoś pomóc, kiedy była mała. Wiedzieli już wtedy, że coś z nią jest nie tak?

- Dziadek odszedł, kiedy Carrie i Jilly były małymi dziewczynkami, a babka Lola żyła, jak to określiła Carrie, w krainie fantazji. Znajdowała usprawiedliwienie dla każdej niegodziwości, jakiej Jilly się dopuściła.

- Kiedy Jilly zaszła z tobą w ciążę?

- W ostatnim roku szkoły. Carrie uważała, że ciąża uratowała Heather, ponieważ Jilly zaczęła myśleć o innych sprawach. Próbowała się poddać aborcji, ale lekarz się nie zgodził, bo ciąża

była zbyt zaawansowana. Urodziła i trzy dni później wyjechała. I to był ostatni zapiszek w dzienniku - dodała Avery. - Porzucenie mnie przez Jilly było dla babki ostatnią kroplą goryczy. Wystawiła wszystkie jej rzeczy na chodnik dla śmieciarzy. Opróżniając jej szafę, znalazła pudełko po butach pełne listów od Heather i zgadnij, co jeszcze?

- Kwas?

Avery pokiwała głową.

- Naczynie było opróżnione do połowy, ale tego, co zostało, było aż nadto, żeby pozbawić Heather życia. Myślę, że Jilly nie zapomniła o tej dziewczynie. Myślę, że odlicza jej czas.

Rozległ się grzmot pioruna. Avery wzdrygnęła się, wstała i podeszła do okna. Nad chatą wisały ciemne, złowrogie chmury. Błyskawica rozdarła niebo, a po niej znów przetoczył się grzmot. Nie odwracając się, powiedziała:

- Carrie wcale nie uważała Jilly za mądrą. Posługiwała się ciałem, żeby osiągnąć swój cel. Z biegiem lat najwyraźniej zrobiła się jeszcze bardziej przewrotna i sprytna. Carrie twierdziła, że nie ma takiego mężczyzny, który by się oparł jej urokowi.

- Wierzysz w to?

- Skarrett oszalał na jej punkcie i wiadomo, gdzie skończył. Kiedy miałam pięć lat, Jilly i Skarrett przyjechali do domu babki. Jilly powiedziała babce, że jeśli chce mnie zatrzymać, musi zapłacić. Na szczęście Carrie była wtedy w domu. Powiedziała Jilly, że nie ma do mnie żadnych praw, i wypchnęła ją za drzwi. To było okropne, ale Skarrett trzymał się z daleka... wtedy. Jilly wrzeszczała: „Już nie żyjesz, Carrie! Już jesteś martwa!”.

- Gdzie byłaś, kiedy to się działo?

Wreszcie na niego spojrzała.

- Nic z tego nie pamiętam, ale Carrie powiedziała mi, że znalazła mnie schowaną pod łóżkiem. Kiedy odjechali, Carrie obiecała mi, że już nigdy nie wróci.

Napiła się wody i z powrotem zakręciła butelkę. Utkwiła wzrok

w swojej dłoni; widać na niej było wyraźny ślad po ściskanej z całej siły nakrętce.

- Ale wrócili?

- Tak.

Przyglądał się jej, kiedy zamknąwszy oczy opowiadała mu o tym, co się wydarzyło czternastego lutego, przed wielu laty. Na koniec stwierdziła:

- Skarrett jest jej marionetką. I sądzę, że Monk także działa pod jej dyktando. Jilly wykorzystuje ich, żeby dostać to, czego chce. - Odstawiła butelkę na stół i podeszła do Johna Paula. - Teraz już wiesz.

- Teraz wiem...

- I co? - zawiesiła głos. - Powiedz mi, co myślisz.

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że masz rację. Jilly jest wariatką.

Przejechała włosy palcami i zbliżyła się do niego jeszcze o krok.

- Nie, nie o to pytałam.

- A o co?

Stanął tuż przed nim.

- Nie żałujesz?

Poczuł się tak, jakby grali w dwadzieścia pytań.

- Czego? - spytał bezradnie.

- Że się ze mną zadałeś. To wprawdzie przejściowa sytuacja, ale mimo to...

- Do diabła, pewnie, że nie.

Cofnęła się.

- Przecież musi cię choć trochę odrzucać...

- Obawiam się, że nie.

- Dlaczego nie? - Podniosła głos. - Nie pochodzę z normalnej rodziny. Z genetycznego punktu widzenia jestem śmieciem.

- Złotko, po co tak melodramatycznie i po co tak głośno? Mam całkiem niezły słuch.

- Jak możesz się uśmiechać po tym, co usłyszałeś? Jak możesz...

- Avery, przecież nie ty to wszystko zrobiłaś, tylko Jilly.  
 Wydawało mu się, że rozumuje logicznie, ale Avery najwyraźniej nie chodziło o logikę.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nigdy nie wyjdę za mąż?  
 Nim zdążyła się jeszcze bardziej od niego odsunąć, chwycił ją za biodra i wolno przyciągnął do siebie.

- Nie. Nie rozumiem.  
 Próbowwała odepchnąć jego ręce, ale były jak przymurowane.

- Będziesz musiała mi to wytłumaczyć. Boisz się, że kichniesz i zamienisz się w socjopatkę?  
 - Oczywiście, że nie, ale nie mogę mieć dzieci, a nawet gdybym mogła...

- Wiem - przerwał jej łagodnie. - Bałabyś się ryzykować.  
 - Mężczyźni chcą mieć dzieci.  
 Stała pomiędzy jego kolanami, przestępując z nogi na nogę. Patrzyła na niego spod ściągniętych brwi.

- Niektórzy chcą - przyznał. - A niektórzy nie chcą.  
 - A ty?  
 Nie miał zamiaru kłamać.

- Zawsze sobie wyobrażałem, że kiedyś się ustatkuję i będę miał kilkoro dzieci. Właściwie mógłbym - stwierdził. - Ale przecież na świecie jest mnóstwo dzieci, które potrzebują dobrego domu.

- Sądzisz, że przy takim pochodzeniu mogłabym się nadawać?  
 - Tak sądzę.  
 - Nie wyjdę za mąż.  
 Wjej głosie znów pojawiła się nuta przekory. Próbowwała ukryć swoją bezbronność, ale jej się nie udało. Wiedział, że cierpi.

- A prosiłem cię, żebyś za mnie wyszła?  
 - Nie.  
 - No widzisz. Myślę, że na jakiś czas wystarczy poważnych rozmów. Myślę też, że trzeba ci poprawić nastrój.  
 Uświadomiła sobie, że John Paul zachowuje się tak samo jak

wówczas, gdy pokazała mu swoje plecy. Blizny wcale go nie odstręczyły. Wyglądało na to, że opowieści o Jilly również nie.

Dlaczego był taki?  
 - Powinnaś się odprężyć. - Uniósł jej bluzkę i schylił się, żeby pocałować brzuch.

- Od tego jest joga. Pomaga mi się zrelaksować.  
 - Odkryłem lepszy sposób.  
 Rozpiął guzik w jej szortach i sięgnął do zamka. Chwyciła go za rękę.

- Co ty wyprawiasz?  
 Uśmiechnął się tak, że serce zabiło jej szybciej. Puściła jego dłoń i patrzyła, jak rozpina zamek. Odpowiedział jej, kiedy już leżeli na podłodze.

- To jasne, złotko. Zmierzam do mojego szczęśliwego miejsca.

## 32

Sekretami najlepiej jest się dzielić w sypialni. Kochali się, a kiedy już ucałował i obdarzył pieścizotami każdy punkt na jej pięknym ciele, była kompletnie wyczerpana.

- Mówiłem, że dojdę i do twoich pleców - powiedział, odsuwając się od niej.

Zaśmiała się, bo rozbawił ją jego zarozumiały ton. Wciąż zdyszana po żywiołowym zbliżeniu, westchnęła:

- Jesteś niezmordowany.

- Tak, przy tobie. - Uśmiechnął się bezczelnie.

Miło było to usłyszeć. Zabrzmiało prawie jak komplement.

- Posuń się - poprosiła. - Spadam z łóżka.

Choć łóżko było podwójne, nie bardzo miał się gdzie ruszyć.

- Będziemy musieli kupić łóżko w największym rozmiarze.

Nastrój jej się zmienił w okamgnieniu.

- Dlaczego? - spytała z wyczuwalnym napięciem.

- Bo jestem za duży na zwykłe podwójne łóżko - odparł spokojnie. - Stopy mi zwisają. Co masz przeciwko wielkim łóżkom?

- Obydwoje wiemy, że nie mamy szans na trwałą związek.

- A proponowałem?

- Nie, ale sugerowałeś...

- Złotko, za bardzo się przejmujesz.

W duchu musiała się z nim zgodzić. Rzeczywiście się przejmowała... wszystkim. Jednak najbardziej ze wszystkiego przerażała ją myśl, że może coś zepsuć. Uświadomienie sobie, że kocha Johna Paula, już wprawiło ją w lekką panikę. A co będzie, kiedy się rozstaną? Czy zdoła się z tego jakoś podnieść?

- Nie wierzę w instytucję małżeństwa. Spójrz, jak wpływa na niektórych ludzi.

- Na jakich?

- Takich jak Parnellowie...

- Złotko, oni nie są typowymi ludźmi.

- A wskaźnik rozwodów?

- A pary, które żyją razem szczęśliwie?

- Wszystko bym zepsuła - wyrwało jej się.

Nie odpowiedział, więc uniosła się na łokciu, pochyliła nad nim i czekała. Czyżby zasnął?

- Słyszałeś, co powiedziałam?

Leżał przed nią zupełnie nagi, uśmiechał się i wręcz promieniował pewnością siebie. Nie przejmował się tym, co inni pomyśla. Avery przez całe dotychczasowe życie starała się wszystkich zadowolić. John Paul był pod tym względem jej przeciwieństwem. Nie próbował nikogo zadowalać.

- Nie masz zbyt wiele pewności siebie, co? W porządku - dodał, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. - Ja mam jej dość na nas dwoje.

Położyła rękę na jego płaskim brzuchu, obrysowała końcami palców wgłębienie pępka. Dla niego wszystko było takie proste...

Wciąż miała ochotę go dotykać, nie mogła się przed tym powstrzymać. Czują się bijącą z jego mięśni, ale ta siła wcale jej nie onieśmielała. Przeciwnie, jego siła jakby jej się udzielała. To było dla niej zupełnie nowe, niewiarygodne doznanie - nie martwić się tym, czy go zadowoliła, wiedzieć, że cokolwiek by zrobiła,



jemu i tak się spodoba. Jeszcze nigdy nie czuła się taka wolna i wyzwolona. Ufała mu bezgranicznie i miała świadomość, jak cudowny jest dar, który od niego otrzymała.

- John Paul?

- Hmm?

- Śpisz?

- Trochę.

- Chcę...

- Dobrze, złotko. Daj mi tylko kilka minut, żebym...

Jeszcze nie doszła do siebie po poprzednim razie. Zachichotała.

- Nie o to mi chodzi. Chcę, żebyś mi coś powiedział.

Ziewnął.

- Byłaś świetna, Avery, ale musisz wiedzieć...

Uszczypnęła go.

- Nie proszę o sprawozdanie. Chcę wiedzieć, dlaczego zrezygnowałaś. - Nie dając mu czasu na umyślne przekręcenie sensu, dodała: - Zdradziłam ci moje sekrety, a przynajmniej większość z nich, więc teraz twoja kolej. Czemu odszedłeś ze służby?

- Bo było nudno.

Znów go uszczypnęła.

- Mów.

Otworzył oczy. Wyraz twarzy Avery nie pozostawiał wątpliwości, że nie uda mu się wykręcić od odpowiedzi. Poza tym należała jej się szczerść.

- Nie dlatego, że jakieś jedno zadanie poszło źle - zaczął. - Zdarzyło się mnóstwo drobnych potknięć, które kazały mi... na nowo się zastanowić, czego chcę od życia. Miałem poważny problem.

- Jaki?

- Zaczęłam zbyt dużo myśleć. Miałem na to wiele czasu, oczekując na kolejne zadania. Zwykle chodziło o jakichś generałów - tłumaczył nonszalanckim tonem. - Małych nadętych dyktatorów, którzy otaczali się bandytami. Nie miałem nic przeciwko

zabijaniu ich, dla wyższego dobra - dodał z ironią. - I lubiłem odbijanie zakładników. To były słuszne akcje, ale pewnej nocy, odmrażając sobie tyłek na czatach, zauważyłem, że na palcu robi mi się zgrubienie. Na palcu, którym pociągałem za spust - dodał cicho. - To mnie cholernie przstraszyło.

- I co zrobiłeś?

- Skończyłem zadanie, powiedziałem, że mam dosyć, i wróciłem do domu.

- To było takie proste? Nie próbowali cię nakłonić, żebyś zmienił zdanie?

- Tak i nie - odparł z namysłem. - Wtedy było proste, ponieważ pracowałem dla dobrego, przyzwoitego człowieka. On wiedział, że mam dość. Znalazł rozwiązanie, dając mi przedłużony urlop.

- Ale nadal próbują cię namówić na powrót?

- Co jakiś czas - przyznał. - Ale nie wrócę. - Opuściwszy powieki, wyznał: - Robiłem cholernie złe rzeczy, Avery.

- Wyobrażam sobie - szepnęła. - I nie wierzyłeś, że to, co robisz, cokolwiek zmieni, prawda?

Trafiła w samo sedno.

- Nie wierzyłem. Dyktatorzy są jak chwasty. Wyrwasz jednego z ziemi, a przez noc w tym samym miejscu wyrastają dwa nowe.

Znów otworzył oczy i nie spuszczać z niej wzroku, opowiedział o jednym ze swych bardziej krwawych zadań. Zauważył, że nie cofnęła ręki, nadal gładziła go po piersi. Jej dotyk działał kojąco.

- Zatem teraz jesteś stolarzem - powiedziała.

- Właśnie.

- Jesteś w tym dobry?

- Pewnie. Nadal używam rąk, ale teraz buduję rzeczy, które są trwałe. Nie skręcam karków. To jest dziwne.

- Co?

- Potrzeba zabijania. Nigdy wcześniej tego nie miałem. Teraz mam.

Oczy zrobiły jej się okrągłe. Powiedział to tak zwyczajnie, jakby chodziło o błahostkę.

- Kogo chcesz zabić?

- Skarretta.

Aż się wzdrygnęła.

- Nie - zaprotestowała. - Nie chcę jego śmierci.

- Chyba żartujesz.

- Mówię poważnie. Chcę, żeby spędził resztę życia za kratkami.

- Cóż, jednak gdybym miał sposobność...

- Nie - powtórzyła stanowczo.

- W porządku - rzekł pośpiesznie, nie chcąc jej denerwować.

- Naprawdę tak myślę.

- Powiedziałem, że w porządku.

- Nie miałabym natomiast nic przeciwko temu, żebyś zabił Monka - oznajmiła nieoczekiwanie. - Mam jednak nadzieję, że dostaną go żywego. Wyobrażasz sobie, co mógłby im powiedzieć?

John Paul pokręcił głową.

- Nie będzie mówił. Nie należy do tych, którzy lubią się chwalić. Może gdyby prowadzący śledztwo nad nim popracowali, gdyby go potraktowali jak zawodowca, to coś by im powiedział, ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to prawdopodobne. - Wzruszył ramionami i dodał: - Uważam, że powinni go zgnieść jak robaka.

- A Jilly?

- Ty powiedz.

- Musi być zamknięta w ośrodku dla psychicznie chorych przestępców i musi tam pozostać do końca życia.

- Nie chcesz jej śmierci?

- Nie chcę. Według mnie ona nie potrafi być inna. Chcę tylko być pewna, że już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Delikatnie przejechał kciukiem po jej ustach.

- Masz miękkie serce - stwierdził.

- Tak jak ty.

- Akurat - mruknął. - Ale mam zręczne ręce - dodał już innym tonem, sięgając po nią.

Dostał po łapach.

- Już się o tym zdażyłam przekonać. - Z szelmowskim błyskiem w oku wsunęła się na niego. - Teraz ja ci pokażę, jaka jestem zręczna - zanuciła.

Nie była to czcza przechwałka. Avery miała bogatą wyobraźnię, a to, co z nim robiła, posługując się rękami i ustami, było doprawdy magiczne i zapewne nielegalne w niektórych stanach, ale o tym, rzecz jasna, nie zamierzał jej przypominać.

Tej nocy spali wtuleni w siebie, choć oboje wiedzieli, że rano czar pryśnie. Nie mogli bowiem dłużej zapominać o rzeczywistości.

Avery zbudziła się przed Johnem Paulem. Szybko wzięła prysznic i ubrała się w łazience, żeby go nie budzić. Potem przeszła do saloniku, cicho zamykając za sobą drzwi, i sprawdziła czas na cyfrowym zegarze nad stołem. Miała nadzieję, że jest dokładny. W Kolorado była za kwadrans szósta, co oznaczało, że w Wirginii jest siódma czterdzieści pięć.

Kiedy sięgała po telefon, zdawało jej się, że słyszy szum wody pod prysznicem.

- Margo, trzymaj się starych zwyczajów - szepnęła. - Żadnych nowych pomysłów akurat teraz.

Zadzwoiła do informacji, gdzie podano jej numer, którego potrzebowała, po czym odłożyła słuchawkę i czekała, z napięciem wpatrując się w tarczę zegara.

Dokładnie o siódmej pięćdziesiąt wybrała właściwy numer. Odebrano po trzecim sygnale.

Avery zmyśliła jakieś nazwisko i mówiąc pracownikowi, że sprawa jest pilna, poprosiła o wezwanie Margo do telefonu. Opisawszy przyjaciółkę, dodała:

- Przychodzi do was codziennie za dziesięć ósma.

- Aha. To ta niska dziewczyna, tak?

- Zgadza się.
- Właśnie wyszła.
- Proszę za nią wybiec! - zawołała błagalnie. - Szybko! Proszę ją zawrócić.

Po drugiej stronie upuszczona słuchawka stuknęła o ścianę. Avery usłyszała najpierw, jak pracownik wykrzykuje imię Margo, a potem samą Margo, mówiącą podniesionym głosem:

- Nikt nie wie, że tu jestem. Co to znaczy pilne? Halo.
- Margo, to ja, Avery.
- O mój Boże, Avery. Skąd wiedziałas, że tu będę... skąd... - Była wyraźnie roztrzęsiona.
- Zawsze wstępujesz po paczki w drodze do pracy.
- Zdajesz sobie sprawę, w jakich jesteś opałach?
- Nie zrobiłam nic złego - najeżyła się Avery.
- Czemu uciekaś z tego posterunku policji w Kolorado? Ci agenci są tam po to, żeby cię chronić.
- Mam ochronę.
- Renarda?
- Tak - potwierdziła niecierpliwie. - Powiedz mi, co wiesz.

Drzwi sypialni otwarły się i stanął w nich John Paul. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Ruszył w jej stronę, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Zaczekaj, Margo. - Zakrywając dłonią słuchawkę, zwróciła się do Johna Paula: - Zaufaj mi. - Znów podniosła słuchawkę do ucha. - W porządku, Margo. Możesz mówić.
- Proces zaczyna się dziesiątego lipca. Avery, sprawa zwolnienia warunkowego jest ciągle otwarta. Skarrettowi może się tym razem udać. Może wyjść na wolność.
- Po moim trupie.
- Jezu, nie mów tak.
- Przesłuchanie nadal przewidziane jest na szesnastego?
- Tak sędzę.
- Jesteś pewna czy nie?

- Jestem pewna. Nie wściekaj się na mnie, Avery. Oni wiedzą o Jilly. Twoja ciotka im powiedziała. To musiał być straszny szok. Przykro mi...

Avery nie chciała współczucia.

- Wiedzą choć w przybliżeniu, gdzie Monk i Jilly mogą teraz być? - weszła przyjaciółce w słowo.
- Nie mają pojęcia.
- A moja ciotka? Zabrali ją już ze szpitala?
- Jeszcze nie. Nie martw się o nią. Nawet komar się tam nie prześliznie. Podjęli niesamowite środki ostrożności.
- Nie martwię się - zapewniła. - Monk nie może być w dwóch miejscach naraz.
- Co to znaczy?
- Mam zamiar go zatrzymać. Będzie musiał się trochę postarać, żeby mnie powstrzymać przed zeznawaniem w sprawie Skarretta.
- A co go może obchodzić Skarrett?
- Nie obchodzi go, ale on teraz pracuje dla Jilly, a ona chce, żeby Skarrett wyszedł z więzienia. Założę się, że jeśli sprawdzisz rejestr widzeń z ostatnich kilku lat, odkryjesz, że Skarretta niejedną raz odwiedziła kobieta. Myślę, że Jilly zawarła z nim jakiś układ.
- Za te miliony w nieoszlifowanych kamieniach, które ukradł - domyśliła się Margo.
- Skarrett z pewnością sądzi, że podzielił się łupem i będzie żył z Jilly długo i szczęśliwie. Ale kiedy Jilly już dostanie to, czego chce, pozwoli Monkowi go zabić.
- Avery, wpadłaś po uszy.
- Być może, ale teraz nie mogę się już wycofać. A co do procesu...
- Tak?
- Sprawdź, kto jest oskarżycielem i upewnij się, czy jestem na liście świadków.
- Zrobione - obiecała Margo. - Mogę powiedzieć Carterowi, że z tobą rozmawiałam?

I tak mu powiesz, pomyślała Avery. Margo była jej przyjaciółką, ale Avery wiedziała, że w najlepszej wierze powiadomi Cartera.

- Tak, zrób to.
- Gdzie teraz jesteś? Będzie o to pytał.
- W Alabamie - skłamała Avery. - Muszę już iść. Powiedz Carterowi, że do niego zadzwonię.
- Zaczekaj! - krzyknęła Margo. - Co masz zamiar zrobić?

Avery wiedziała, co chce zrobić. Nie wiedziała tylko jeszcze jak. Nagle przypomniała jej się rozmowa telefoniczna z Jilly. Co Jilly wówczas powiedziała na zakończenie? No jasne, jak mogłaby zapomnieć?

- Mam zamiar zepsuć zabawę.

John Paul jej ufał. Inaczej wyrwałby jej słuchawkę z ręki i odłożył na widełki. Siedząc obok niej na sofie niecierpliwie czekał na koniec rozmowy. Nie krył ulgi, kiedy mu powiedziała, że udało jej się złapać Margo w sklepie z pączkami.

- Sprytne - pochwalił.
- Ona ma stałe nawyki.

Opowiedziała mu o wszystkim, czego się dowiedziała od przyjaciółki.

- Obiecałam, że zadzwonię do Cartera - dodała - kiedy już dotrzemy na Florydę.
  - Ale nie wcześniej.
  - Lepiej dobrze to przemyśl, zanim się zaangażujesz, John Paul. Może się zrobić...
  - Gorąco?
- Pokiwała głową.
- Już się zaangażowałem. Na dobre. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował, namiętnie i zaborczo. - Słyszysz? Zaangażowałem się na dobre. I ty też, dziecinko, czy ci się to podoba, czy nie.
  - Dopóki nie dostaniemy Monka i Jilly.

Puścił ją.

- Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli.

Odsunęła się od niego i wyszła do kuchni. Przygotowała śniadanie, owsiankę i grzanki, a potem zmyła naczynia. Była niepokojna, nie mogła sobie znaleźć miejsca. John Paul studiował mapę, wytyczając drogę do Sheldon Beach.

- Ustawiała czyste talerze w kuchennej szafce, kiedy ją zawołał.
- Mamy towarzystwo.

Odrzuciwszy ścierekę, pobiegła do saloniku. John Paul stał przy oknie, ostrożnie wyglądając na zewnątrz. W opuszczonej wzdłuż uda rękę trzymał pistolet.

Jakiś samochód wyjechał zza kępy drzew i zwolnił.

- Lepiej się pakuj - powiedział, wsuwając broń za pasek dzinsów na plecach. - Nasz kierowca już tu jest.
- Spodziewałeś się kogoś?

Przytaknął. Nie mógł dostrzec osoby za kierownicą, bo słońce odbijało się w przedniej szybie, ale marka i model się zgadzały. To była nowa, szara honda.

- Kto to jest?

Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem Theo, że potrzebuję jakiegoś środka transportu. Policja będzie szukać mojego samochodu, a rozumiem, że nie chcesz, żeby nas zatrzymali, dopóki FBI nie obejmie cię opieką.
- FBI nie zrobi tego, jeśli nie uzyska mojej zgody.

Parsknął lekceważąco. Zrozumiała to jako wyraz zupełnie odmiennego zdania.

- Nie będą deptać moich praw obywatelskich.
- Jasne, że będą - rzekł spokojnie. - I jeszcze będą ci wmawiać, że robią to dla twojego dobra.

Nie miała ochoty na kłótnię na temat FBI. Poza tym w głębi duszy czuła, że w tym, co powiedział, tkwi ziarno prawdy. Nie miała zamiaru ryzykować.

- Theo przyjechał tu aż z Luizjany? - zdziwiła się.

- Nie. Chciał przyjechać, ale mu to wyperswadowałem. Przypomniałem mu, że ma zostać ojcem i że jest beznadziejnym strzelcem. Gdyby się dał zabić, ja musiałbym ojcować temu dzieciakowi. Uprzedziłem go, że w razie czego wychowam jego syna czy córkę na swoje podobieństwo.

- I to go przeraziło?

- Jasne - odparł bez wahania. - Poza tym, jak już wspominałem, jest fatalnym strzelcem. Pewnie by się postrzelił, wyciągając broń z kabury.

- A ty nie chcesz, żeby mu się coś stało. Lepiej uważaj, zaczynasz się robić miły.

Zmrużył oczy, próbując rozpoznać człowieka w hondzie.

- Theo powiedział, że zna kogoś, kto nie będzie za dużo gadał i pomoże. I zgodzi się złamać kilka przepisów. O cholera -jęknął, kiedy w końcu udało mu się zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. - Tylko nie on. A to sukin...

- Kto?

- Theo. Mój szwagier ma zboczone poczucie humoru.

- John Paul, o czym ty mówisz?

- Theo przysłał jego - warknął, pokazując palcem na samochód.

- Kogo? - Zaczynało jej się mącić w głowie.

- Clayborne'a. Przysłał Noaha Clayborne'a. - Wypowiedział nazwisko z takim obrzydzeniem, jakby zostawiło mu w ustach paskudny smak.

- Przecież sam dzwoniłeś do Noaha z ośrodka. Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon. Więc dlaczego się teraz złościysz?

- Owszem, dzwoniłem do niego, ale nie przypuszczałem, że będę musiał go oglądać. - Odwrócił się, zmierzył ją od stóp do głów surowym spojrzeniem i warknął: - Włóż coś na siebie, do cholery.

Avery przyjrzała się sobie ze zdziwieniem. Przecież była ubrana. W białe tenisówki, granatowe szorty i biały podkoszulek.

- Co ci się nie podoba w moim stroju?

- Odstania za dużo ciała. Ach, do diabła, choćbyś była ubrana jak zakonnica, i tak wpadłabyś mu w oko. Jakby co, będę musiał drania zastrzelić. - Podeszedł do drzwi, szarpnął nimi tak, że omal nie wyleciały z zawiasów, i wyszedł na ganek. - Możesz mi wierzyć.

- Sprowadził dla nas samochód - przypomniała mu. - Przestań narzekać.

- Masz rację! - odkrzyknął. - Każemy mu tu zostać albo wziąć moje auto. Nie ma potrzeby, żeby jechał z nami.

Avery wróciła pod okno. Uwagi Johna Paula sprawiły, że była ciekawa gościa. Wiedziała, że Noah nie może być aż taki okropny, jak sugerował John Paul. Nikt nie mógł być aż taki okropny.

Honda zatrzymała się przed chatą. Noah Clayborne otworzył drzwi i ukazał się w pełnym słońcu.

Avery miała ochotę zagwizdać. Wysoki, barczysty, jasnowłosy mężczyzna ubrany był zwyczajnie, w dżinsy i szary podkoszulek. Miał też na sobie staroświecki pas z kaburą i przeciwsłoneczne okulary. Uśmiechnął się w odpowiedzi na kwaśną minę Johna Paula. Miał dołek w policzku i bez wątpienia otaczała go aura zmysłowości.

Oczywiście nie była nim zainteresowana, nie w tym sensie. John Paul był bardziej pociągający - wszystko ją w nim pociągało - ale Noah, przynajmniej z wyglądu, w innych okolicznościach miałby u niej szanse. Były to jednak czysto teoretyczne rozważania. Nigdy wcześniej nie zwracała uwagi na takie rzeczy, a jeśli już, sama przed sobą się do tego nie przyznawała. Czyżby fakt, że znów uprawiała seks, spowodował u niej rozmiękczenie mózgu?

- Jak to się skończy, będę potrzebowała terapii - mruknęła pod nosem. - Solidnej terapii.

Wyprostowawszy ramiona, wyszła z domu na spotkanie gościa, który już miał wejść na schody, gdy stanął jak wmurowany, widząc ją na ganku.

Maniery Johna Paula zdecydowanie wymagały dopracowania. Avery czekała chwilę, żeby ją przedstawił, ale szybko się zorientowała, że nie ma takiego zamiaru. Chciała zejść ze stopni, żeby się przywitać, ale John Paul objął ją i zaborczym gestem przyciągnął do siebie.

Noah odpowiedział na tę demonstrację szerokim uśmiechem. Zdjął okulary i spojrzał na nią. Miał niebieskie oczy. Intensywnie niebieskie. Pomyślała, że musiał złamać wiele serc, i w tym samym momencie poczuła, że uścisk Johna Paula staje się jakby mocniejszy.

Ciekawe, czy był żonaty? Miała nadzieję, że nie, bo przyszły jej do głowy co najmniej trzy koleżanki, z którymi mogłaby go wyswatać, zakładając rzecz jasna, że nie jest typem odmłodzonego osiłka. Margo by to specjalnie nie przeszkadzało, ale Peyton, jej przyjaciółka z dzieciństwa, z pewnością wołałaby faceta z mózgiem.

- Na co się tak gapisz, Clayborne? - warknął John Paul.

Avery postanowiła zakończyć to żałosne przedstawienie. Odepchnąwszy ramię Johna Paula, stanęła na schodach.

- Dziękujemy za przybycie - zaczęła. - Nazywam się Avery Delaney. - Wyciągnęła rękę.

Noah wszedł po stopniach, ujął jej dłoń, przedstawił się, a potem stwierdził:

- Muszę wiedzieć.

- Co?

- Jak to możliwe, że taka urocza istota trafiła na niego? - Zerknął z ukosa na Johna Paula.

- Miała szczęście - warknął John Paul. - Puść ją już.

Noah uśmiechnął się do Avery, wciąż trzymając jej rękę w uścisku. Dobrze się bawił, umyślnie prowokując Johna Paula. Najwyraźniej wiedział, jak go wyprowadzić z równowagi. Prawdę mówiąc, nie było to takie znowu trudne.

- Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc, prawda, John Paul?

Musiała go szturchnąć łokciem pod żebro, by wydusił z siebie odpowiedź:

- Jasne.

- Proszę, wejdz do środka. Chcesz coś do picia? - spytała, zmierzając prosto do kuchni.

- Jak mu się chce pić, to niech sam sobie weźmie - powiedział John Paul. - Nie musisz odgrywać gospodyni, Avery.

Odwrociła się na pięcie.

- Przestań - zażądała krótko. - Starałam się być uprzejma, ale to dla ciebie obce pojęcie. Przestań się zachowywać jak kogut.

- W porządku - ustąpił od razu.

Noah stłumił w sobie śmiech.

- Ma temperament - powiedział John Paul z głupawą miną.

- Aha - rzucił Noah znaczącym tonem.

- Słuchaj, to nie to, co...

- Owszem, to. Nigdy nie sądziłem, że wpadniesz. Niech to diabli, nigdy nie sądziłem, że jakaś kobieta by chciała...

- Odwal się, Noah.

- Hej, jestem tu, bo zgodziłem się oddać przysługę Theo. Nie wyzywaj się na mnie. - Tak naprawdę Noah lubił Johna Paula i go szanował. Może nawet trochę podziwiał za to, że miał odwagę odejść z zawodu, który zwykle łamał człowiekowi charakter.

Avery poszła do kuchni po zimny napój dla Noaha. Wracając, zatrzymała się w progu. Mężczyźni stali razem na ganku; z daleka nie słyszała, o czym rozmawiają. Wstawiła butelkę z powrotem do lodówki i postanowiła się spakować.

Dobiegło ją parę soczystych przekleństw, a potem śmiech. Pomyślała, że obaj są stuknięci, weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Łóżko wyglądało, jakby akrobaci odbywali na nim ćwiczenia. Szybko zdjęła pościel, założyła nowy komplet, a używany wrzuciła do kosza na brudną bieliznę.

Niewiele miała do pakowania. Włożyła spodnie khaki i sięgnęła do torby w poszukiwaniu różowej bluzki. Ubrania, które kobieta

z posterunku zabrała do wyprania, leżały schludnie poskładane po jednej stronie torby.

To było bardzo miłe, że uprała jej rzeczy. Avery pomyślała, że kiedy wszystko się skończy, będzie musiała podziękować wielu ludziom za ich życzliwość. Zwłaszcza komendantowi Tylerowi. Udostępnienie im swojej chaty nie należało do jego obowiązków.

Weszła do łazienki, żeby zebrać przybory toaletowe. Zerknąwszy w lustro, zdumiała się, że aż tak widać po niej zmęczenie. Nałożyła lekki makijaż, żeby ukryć cienie pod oczami, a po namyśle dodała trochę różu i błyszczyku na usta. Potem wyszczotkowała włosy i wrzuciła do kosmetyczki szczoteczkę i pastę do zębów. Na wierzchu ułożyła szczoteczkę Johna Paula.

Była gotowa do wyjścia, kiedy w sypialni zjawił się John Paul. Zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i popatrzył na Avery.

Dopięta zamek w torbie, wyprostowała się i nerwowo przesunęła dłońmi po nogawkach spodni, jakby chciała rozprasować jakieś załamania czy zmarszczki.

- Coś nie tak? - odezwała się pierwsza.
- Nie chcę wyjeżdżać - powiedział, spoglądając na łóżko.
- Ja też nie chcę - przyznała.
- Chodź tu. - Głos miał niski i dziwnie szorstki.

Bez wahania podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i go pocałowała.

Kiedy się wreszcie od siebie oderwali, miała łzy w oczach. Czuła się okropnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Bała się, że zaraz wybuchnie płaczem. Jak do tego doszło? Przecież miłość zwykle nie przychodziła tak szybko. Dlaczego się nie broniła? Wszystkie te głupie piosenki zachwalały to cudowne uczucie. A ona czuła jedynie ból i lęk, lęk, że może mu się stać coś złego. Do licha, nie wolno jej było go kochać.

- Powinieneś jechać do domu - powiedziała. Cofnęła się, pokiwała głową i powtórzyła jeszcze raz, tym razem bardziej zdecydowanie: - Naprawdę chcę, żebyś wracał do domu.

- Dlaczego?

Zadał oczywiste pytanie, ale udzieliła wykrętnej odpowiedzi.

- Po prostu powinieneś. Mogę sama jechać na Florydę. Ani ty, ani Noah nie musicie mnie niańczyć.

Im dłużej trwały wyjaśnienia, tym jej głos przybierał na sile. John Paul rzucił torbę na łóżko i zaczął w niej upychać swoje rzeczy.

Noah stał przy kuchennym blacie i pił mleko prosto z kartonu. Zrobił sobie ogromną kanapkę i właśnie się do niej zabierał, kiedy Avery go minęła, niosąc plecak. John Paul szedł za nią z obiema torbami.

- Chodźmy! - zawołał do Noaha.
- Zaraz do was dołączę.

John Paul otworzył od środka bagażnik, wrzucił torby i zatrzasnął kłapę, przez cały czas popatrując na Avery spod zmarszczonych brwi.

- John Paul, ja naprawdę...

Potrząsnął głową.

- Nie rób tego.

- Czego? - spytała bezradnie.

- Nie obrażaj mnie więcej. Mówiłem ci przynajmniej trzy razy, że jestem zaangażowany. Nie słuchałaś?

Zerknęła przez ramię na drzwi, żeby się upewnić, czy Noah nie słyszy, i powiedziała:

- Nie chcę, żeby ci się coś stało. Rozumiesz? Nie zniostabym, gdyby coś... Chybabym...

- Ja też cię kocham, Avery.

- Jest za wcześnie... nie możesz...

- Mogę.

- Jak możesz mnie kochać? - szepnęła.

Wyciągnął rękę, objął ją za szyję i wolno przytulił do siebie.

- Mam zacząć wyliczać?

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Nie zamierzał być rozsądny.

- Jesteś uparty.
- Ty też.
- To nam nie wyjdzie.
- Postaramy się. żeby wyszło.
- Głosuję na liberałów - chlipnęła żałośnie.  
Pocałował ją czule.
- Z tym mogę jakoś żyć, ale nie mogę żyć bez ciebie. Po prostu, zlotko.

Znów dotknął wargami jej ust. Nie przytłaczał jej swą siłą, nie wywierał na nią żadnego nacisku. Był nieskończenie delikatny. Mogła się cofnąć, oderwać od niego, ale wcale tego nie chciała. Żarliwie odwzajemniła pocałunek.

Jego drżące westchnienie zachęciło ją do większej śmiałości. Gdy w końcu uniósł głowę, oparła się bez tchu na jego piersi.

Usłyszeli ruch na ganku.

Noah zamknął za sobą drzwi chaty i rzucił Johnowi Paulowi kluczyki.

- Ty prowadź, a ja się trochę zdrzemnę.

John Paul złapał kluczyki w locie, nie odrywając wzroku od Avery.

- Wyjdiesz za mnie.
- Nie mogę za ciebie wyjść.
- A proponowałem?
- Właśnie powiedziałeś...
- Proponowałem? - powtórzył cierpliwie.

Noah przyjrzał im się z zaciekawieniem, pokręcił głową, a potem rozłożył się na tylnym siedzeniu.

- Sprzeczka zakochanych? - spytał.
- Nie - odpowiedzieli oboje jednocześnie.

Noah wyjął Johnowi Paulowi kluczyki z ręki.

- Ja prowadzę.

Nie kłócił się z nią. Noah był szczerze zafascynowany tym, co widział. Kto by przypuszczał, że ten niedźwiedź się kiedyś zako-

cha? Stare przysłowie jednak mówiło prawdę, że każda potwora znajdzie swego amatora. Bratnią duszę. Niech no tylko Theo się dowie... Też nie będzie mógł uwierzyć. Niedźwiedź był zakochany po uszy. Nie mogąc się powstrzymać, Noah parsknął śmiechem.

- Co, do cholery, tak cię bawi? - odezwał się gderliwie John Paul.

- Ty. Jesteś zabawny. Hej, Avery, słyszałaś kawał o koman-dosie...

John Paul opuścił oparcie siedzenia i zamknął oczy. Czekała ich długa, bardzo długa podróż.



## 33

Plany ciągle się zmieniały. Carrie nie lubiła zmian, wszelkiego rodzaju zmian, poza tymi, ma się rozumieć, które sama wprowadzała. Agent Hillman był szefem, a agent Bean był jego chłopcem na posyłki. Kiedy Hillmana zrobiono odpowiedzialnym za ochronę Carrie, jego pierwszym posunięciem było wysłanie Beana, by ją powiadomił, że podjęto decyzję o zatrzymaniu jej w Kolorado.

Agent Bean poinformował o tym panią Salvetti, przyjął na siebie wybuch jej gniewu, po czym wróciwszy do agenta Hillmana zagroził wręczeniem swej rezygnacji, jeśli jeszcze raz otrzyma podobne zadanie.

- Złożę podanie o dodatek kombatancki - oświadczył Bean.

Obaj słyszeli krzyki Carrie, dobiegające z poczekalni.

- Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, że w szpitalu są chorzy ludzie? - mruknął Hillman, wyraźnie oburzony zachowaniem podopiecznej.

- Nic jej to nie obchodzi - powiedział Bean. - Żąda przewiezienia na Florydę i umieszczenia jej w bezpiecznym domu wraz z siostrzenicą.

- Wnoszę z tego, iż jej nie powiedziałaś, że nie możemy znaleźć jej siostrzenicy?

- Nie. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli pan sam jej to wyjaśni.  
- Na litość boską, człowieku. Jesteś agentem FBI. Chyba umiesz sobie poradzić z kapryśną babą.

- Z całym szacunkiem, to nie jest zwykła kapryśna baba. Ona jest...

- No kim? - ponaglił Hillman.

Bean miał ochotę powiedzieć, że diabolicą, ale się nie ośmielił. Hillman by mu nie uwierzył. Zresztą wkrótce sam miał się przekonać, do czego zdolna jest ta Salvetti, kiedy jej się coś nie podoba.

- Nie nazwałbym jej normalną kobietą. Normalne kobiety nie zieją ogniem.

Hillman nie krył irytacji.

- Zrobi to, co jej każemy.

Chcesz się założyć? - zapytał w duchu Bean. Wciąż jeszcze dzwoniło mu w uszach.

- Tak, proszę pana. Jestem pewien, że pana usłucha. - Udało mu się to powiedzieć bez uśmiechu, co uznał za spore osiągnięcie.

- Kierujemy się najlepiej pojętym interesem tej kobiety. Chyba wyjaśniłeś jej nasze motywy, Bean?

- Nie dała mi szans na jakiegokolwiek wyjaśnienia.

- Kiedy się uspokoi...

Usłyszeli kolejny krzyk. Bean tylko się skrzywił, a Hillman zapytał ostro:

- Kto tam z nią jest?

- Gorman. Widocznie jej powiedział, że nie udało się nam znaleźć jej siostrzenicy.

Drzwi do poczekalni się otworzyły i wyszedł z nich Gorman. Hillman z Beanem patrzyli z odległego końca korytarza, jak Gorman pośpiesznie zamyka je za sobą. Twarz miał czerwona jak burak.

Zauważywszy Hillmana, Gorman wyprostował się sztywno i ruszył w ich stronę.

- Tobie też się dała we znaki? - zagadnął go Hillman.

Bean z trudem hamował śmiech. Oczywiście, że tak. Wystarczyło popatrzeć na biedaka.

- To jest... trudna kobieta - powiedział Gorman dyplomatycznie. - Odmawia współpracy. Powiedziała mi, że pojedzie na Florydę z wami albo bez was. - Gorman odchrząknął. - Zażądała też domu na plaży.

- Domu na plaży? Chce domu na plaży? - powtórzył Hillman z niedowierzaniem.

Bean rzucił mu spojrzenie typu „a nie mówiłem?”. Może teraz zwierzchnik mu uwierzy, że ta Salvetti jest nieznosna.

- I co odpowiedziałeś na jej żądanie?

- Powiedziałem jej, że to niemożliwe, że jej zeznanie nie jest konieczne, więc zostanie w Kolorado. Wyjaśniłem, że adwokat obrony ma kopię protokołów z pierwszego procesu Skarretta i nie zwracał się o wezwanie pani Salvetti, więc nie ma potrzeby, by jechała na Florydę.

- Co ona na to? - wtrącił się Bean, szczerze zaciekawiony.

- Próbowwała mi odebrać pistolet.

- Jestem pewien, że blefowała - stwierdził Hillman. - Dajmy jej kilka minut na ochłonięcie - zaproponował.

Carrie potrzebowała więcej niż kilku minut, żeby dojść do siebie. Jej gwałtowne zachowanie było wyrazem lęku, jaki skręcał jej trzewia. Co, u diabła, Avery zamierzała zrobić? Czyżby jej się wydawało, że może tak po prostu wmaszerować na salę sądową i zeznawać przeciwko Skarrettowi? Carrie nie mogła się pozbyć natrętnej wizji, w której siostrzenica pada postrzelona na sądowych schodach.

Jeśli Monk... lub Jilly... znajdują ją... Carrie pobiegła do telefonu i zamówiła rozmowę z Tonym na jego koszt. Modliła się, żeby jeszcze nie wyjechał na lotnisko.

Musiał widocznie siedzieć przy aparacie, bo odebrał po pierwszym sygnale.

Nie traciła czasu na wstępne grzeczności.

- Mają zamiar umieścić mnie w jakimś domu i zatrzymać tu, w Kolorado - wyrzuciła z siebie.

- Gdzie w Kolorado? - spytał.

- Nie powiedzieli mi, ale słyszałam, jak jeden z nich rozmawiał przez komórkę. Nie wiedział, że słucham, i wspomniał o miejscu zwanym Wedgewood. To musi być jakieś przedmieście.

- Aspen jest za małe, żeby mieć przedmieścia - stwierdził rzeczowo Tony.

- Nie wiem, gdzie to jest, do licha. Sprawdź w Internecie, na litość boską. Rusz głową. W Kolorado może być tylko jedno przedmieście o nazwie Wedgewood. - Wybuchnęła płaczem. - Jeśli będę musiała zostać pod ochroną przez długi czas, co się stanie z moją firmą? Nie mogę za długo pozostawać...

- Skarbie, ja się wszystkim zajmę. Już kiedyś prowadziłem firmę.

- Ale ciebie potrzebuję tutaj. Tony, musisz przyjechać.

- Dobrze, przyjadę - obiecał. - Nie pozwolę, byś przechodziła przez to sama. Chcesz, żebym przyjechał do szpitala? Mogą zaczekać z przenoszeniem cię, dopóki nie przyjadę?

- Zmuszę ich, żeby poczekali. Sarę już przenieśli do nowego skrzydła fizykoterapii. Jeszcze nie zostało oficjalnie otwarte, więc ochrona ma ułatwione zadanie. Będę tam z nią, zanim nas obu nie przeniosą. Nie pozwolę się nigdzie zabrać, dopóki nie przyjedziesz.

- Dobrze - powiedział z ulgą.

- Wiesz, że nie mogą znaleźć Avery? Kiedy do mnie dzwoniła, powiedziała, że nie dołączy do mnie w tym chronionym miejscu. Rozmawiałaś z nią?

- Nie, jeszcze nie. Krążę wokół telefonu i czekam. To niepodobne do Avery, że mnie tak martwi. Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniła.

- Wie, że będziesz zły za to, że mnie rozgniewała - powiedziała Carrie. - Nie lubi rozczarowywać żadnego z nas.

- Wiem, skarbie, ale bardzo się o nią martwię.
- Ja też. Ona zadzwoni i wtedy jej powiedz, żeby nie jechała do Sheldon Beach. Uświadom jej, jakie to niebezpieczne.
- Dobrze, uświadomię - obiecał. - Nie pozwolę, żeby jej się coś stało.
- A jeśli Avery zadzwoni po twoim wyjeździe na lotnisko?
- Skarbie, ona zna numer mojej komórki.

No tak, oczywiście. Carrie była tak roztrzęsiona, że trudno jej było jasno myśleć.

- Do zobaczenia wkrótce.

Odłożywszy słuchawkę, Carrie postanowiła zadzwonić pod służbowy numer Avery, żeby sprawdzić, czy jej koledzy mają jakieś wiadomości, ale niestety jej się nie udało, bo do pokoju wszedł agent Hillman z informacją, że sędzia Collins chce się z nią widzieć.

- Przeniesiemy panią do nowego skrzydła za kilka minut.
- W porządku. Co tylko pan każe.

Hillman był mile zaskoczony jej przychylnym nastawieniem. Nie bez zrozumiałości uznał, że miał rację. Powiedział Beanowi i Gormanowi, że gdy tylko pani Salvetti trochę się uspokoi, będzie współpracować, i właśnie tak było.

Może to zadanie nie miało być jednak takie straszne.

## 34

Po masażu całego ciała Jilly leżała na plecach, owinięta bawełnianym prześcieradłem z logo Utopii na lamówce. Miała zamknięte oczy, bo kosmetyczka właśnie nakładała jej na twarz maseczkę z avocado. Głupia kobieta nie przestawała gadać, zasypując Jilly komplementami na temat jej nieskazitelnej cery i doskonałej figury.

Jilly zawsze chętnie słuchała komplementów padających z męskich ust, ale niewiele ją obchodziło, co inne kobiety o niej sądzą. Już miała powiedzieć kosmetyczce, żeby się zamknęła, kiedy zabieg dobiegł końca i usłyszała:

- Pozostawimy to na piętnaście minut.

Wreszcie została sama. Odwinęła prześcieradło, by chłodny powiew pieścił jej skórę. Dobrze było się odprężyć, zwłaszcza po wstrząsie, jakiego doznała, dowiedziawszy się z telewizji, że Carrie i sędzia przeżyły wybuch. Na szczęście, kiedy nadali tę straszną wiadomość, Monka nie było, więc mogła dać upust swej wściekłości. Dotąd jeszcze nie był świadkiem ataku jej furii i nie wiedziała, jak zareaguje, a nie chciała go przestraszyć, przynajmniej jeszcze nie teraz, ponieważ był nadzwyczaj użyteczny. Pozostało bardzo wiele do zrobienia, więc utrzymanie Monka na pozycji karnego pieska było absolutną koniecznością.

Carrie nazywała jej ataki odlotami, ale Jilly z biegiem lat nauczyła się nad sobą panować. Nie do końca, ale zawsze trochę, jak sama oceniała. Musiała jednak przyznać, że gdyby komuś z personelu zdarzyło się wejść do jej pokoju tuż po tym, jak się dowiedziała o Carrie, doszłoby do ostrego spięcia. Prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciwko temu.

Jilly nigdy nikogo osobiście nie zabiła. To mężczyźni rozwiązywali jej problemy. Czyż nie do tego właśnie służyli? Często się jednak zastanawiała, jak by to było zabić kogoś strzałem z pistoletu albo nawet gołymi rękami. Gdyby ktoś ją unieszczył – liwił. zadanie mu śmierci byłoby całkiem usprawiedliwione i chętnie by to zobaczyła. Dlaczego miałyby sobie odmawiać tej przyjemności? Doszła do wniosku, że Monk miał rację. Chciał zabić każdą z tych kobiet osobno, pozorując wypadek, ale Jilly tak go prosiła i namawiała, że w końcu zgodził się działać pod jej dyktando. Swoją drogą, jak to możliwe, że taki cudowny plan nie wypalił? Był doskonały, taki prosty, taki... wspaniały.

Carrie. To przez Carrie plan się nie powiódł. Ta samolubna suka wszystko zepsuła.

Jilly rzuciła się na łóżko, waląc pięściami w poduszki. Nagle zastygła w bezruchu, słysząc spikera z CNN, zapowiadającego powtórkę nagrania. Usiadła na posłaniu i otarłszy niecierpliwie łzy z oczu wbiła wzrok w ekran. Pierwsze ujęcia dotyczyły głównie sędzi, ale ona nie interesowała Jilly, niezależnie od tego, jaka była sławna. Czekwała, aż kamera pokaże jej przekłętą siostrę, wnoszoną na noszach do karetki. Jacyś mężczyźni, zapewne ratownicy, ale jednak mężczyźni, otaczali ją ciasnym kręgiem. Jak śmieli poświęcać jej uwagę? Jak śmieli? Jilly bardziej złościło ich zachowanie niż sam fakt, że Carrie nadal żyje.

Pokazano w zbliżeniu twarz Carrie. Jilly miała wrażenie, że siostra się uśmiechnęła. Tego było już za wiele. Wyrzucając z siebie potok najobrzydliwszych przekleństw, porwała lampę i cisnęła nią o ścianę.

Carrie zniszczyła wszystko.

Potrzebowała godziny, żeby się uspokoić. Potem zadzwoniła do ośrodka i kazała sobie przysłać masażystę. Masaż pomógł i teraz była w stanie zastanowić się nad nowym planem. Postanowiła, że już nie będzie tak skomplikowany.

Dlaczego nie zabiła Carrie od razu, używając nożyczek? Ponieważ to by nie było takie zabawne. Po tym wszystkim, co siostra jej zrobiła, zasługiwała na długie cierpienia przed śmiercią. To było niesprawiedliwe. Jacyś mężczyźni troszczyli się o nią, otaczali ją opieką. Czy nie widzieli, jaka jest podła?

Jilly znów poczuła, że wstępują w nią siły. Maseczka na twarzy zaczynała ją swędzieć. Kosmetyczka weszła do pokoju równocześnie z dźwiękiem telefonu komórkowego.

- Proszę odejść - poleciła ostro Jilly. - Sama to zmyję. I proszę zamknąć za sobą drzwi.

Sięgając po telefon, wyrzuciła stertę ręczników.

- Tak?

- Pomyślałem, że zechcesz usłyszeć dobre wiadomości. Wiem, gdzie Carrie i sędzia się teraz znajdują.

Natychmiast się ożywiła.

- Wiesz? Gdzie, kochanie? Miałam rację? - spytała, nie dopuszczając go do głosu. - Jadą do Sheldon Beach? Tam mają zamiar ukryć Carrie do rozpoczęcia procesu?

- Twoja siostra nie jedzie na Florydę, ponieważ nie będzie zeznawać w sądzie.

Jilly roześmiała się radośnie.

- Boi się.

- Tak.

Maseczka na twarzy popękała, kiedy Jilly rozciągnęła usta w uśmiechu.

- To rzeczywiście wspaniała wiadomość. Powiedz mi wszystko. - Słuchała cierpliwie, a kiedy skończył, kazała mu się nie martwić i obiecała, że wkrótce wymyśli nowy, jeszcze lepszy

plan. - Coś mniej skomplikowanego tym razem - powiedziała i dodała uwodzicielskim głosem; - Tęsknię za tobą, kochanie.

- Zobaczymy się wkrótce?

- Oczywiście.

- Kocham cię.

Znów się uśmiechnęła.

- Wiem.

Rozłączyła się, zrzuciła z siebie ręcznik i weszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Owinęła się aksamitnym szlafrokiem i weszła do pokojówki, żeby posprzątała skutki jej wcześniejszego ataku złości. Koszt zniszczeń miał być pokryty z jej karty kredytowej.

Dwie godziny później, kiedy Monk wszedł do pokoju, była gotowa, żeby go przywitać. Miała na sobie czarną szyfonową sukienkę i szpilki. Zrezygnowała z bielizny. Wiedziała, że kiedy stanie w progu na tle światła padającego z łazienki, Monk będzie miał dobry widok. Na wszelki wypadek sprawdziła to wcześniej.

Monk był zmęczony, ale gdy tylko ujrzał kobietę swego życia, natychmiast odzyskał wigor. Wiedział, że specjalnie się postarała, by mu sprawić przyjemność. A Jilly wiedziała, że będzie musiała mu dogodzić, więc zawczasu przygotowała sypialnię. Dla wywołania nastroju zapaliła świece i włożyła jego ulubioną sukienkę, taką samą jak ta czerwona, którą kiedyś na niej podarł.

Podchodząc do Jilly, postanowił uważać, żeby tej sukienki nie zniszczyć. Wpatrywał się w jej usta. Wolno wodziła koniuszkiem języka po górnej wardze. Wiedziała, że on to lubi.

Kochali się dziko i gwałtownie, dopadli do siebie niczym zwierzęta w rui. Sukienka opadła w strzępach na podłogę. Zaspokojony, zsunął się z niej i zamknął oczy.

Zadowolona go i teraz przyszła jego kolej, by sprawić jej przyjemność.

- Myślę, że powinniśmy zaczekać kilka dni - odezwała się. - Jak trochę odpoczniesz, możesz się zająć Carrie i sędzią. Przyzwyczajają się do sytuacji i będą się czuły bezpiecznie. Zgadzasz

się ze mną? Nie powinno ci sprawić trudności dostanie się gdzie trzeba i wykonanie roboty.

- Potrzebuję przynajmniej dwóch tygodni, żeby wszystko zorganizować i zaplanować.

- Było ci ze mną dobrze?

- Wiesz, że tak, kochanie.

- To teraz postaraj się, żebym ja była szczęśliwa. Mogę czekać tydzień, ale chyba bym oszalała, gdybym musiała czekać dłużej. Carrie się uśmiechała, kiedy ją nieśli do karetki. Nie znoszę, kiedy ona się uśmiecha.

- Rozumiem.

- Powiedziała o mnie policji. Teraz wiedzą, że żyję, i będą mnie szukać. Miałaś rację - szepnęła. - Nie trzeba było się upierać przy listach i się jej pokazywać, ale myślałam, że zginie podczas wybuchu, i chciałam, żeby wiedziała...

- Nie płacz, Jilly - powiedział, biorąc ją w ramiona. - Wszystko będzie dobrze.

- Tak - chlupnęła, wtulając się w niego. - Jak tylko Carrie umrze, wszystko będzie dobrze. Od tak dawna byłam przez nią nieszczęśliwa. Obiecuj mi, że wkrótce ją zabijesz.

- Obiecuję. Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko.

Uśmiechnęła się do siebie. Nie widział tego, bo twarz miała ukrytą na jego szyi. Zaczęła wprawnie wodzić rękami po jego ciele.

- A potem pojedziemy do Sheldon Beach.

Pragnienie Monka, żeby ją zadowolić, graniczyło z szaleństwem, lecz jednocześnie dawało mu poczucie, że wszystko się uda, skoro Jilly tak w niego wierzy. Często chwaliła go za mądrość i wyrażała zdziwienie, że dotąd siebie nie doceniał. W końcu uwierzył, że Jilly ma słuszność. Uda mu się tego dokonać. Może tam wejść i stamtąd wyjść niepostrzeżenie, choćby w pobliżu było nie wiem ilu agentów FBI.

Może nawet stać się niewidzialny.

## 35

Podróż na Florydę zajęła im trzy dni. Mogliby ją przyspieszyć, ale ponieważ mieli czas, wybrali bardziej malowniczą trasę bocznymi drogami przez Georgię.

Spędzili dwie noce w małych miasteczkach, w schludnych, choć pozbawionych luksusów motelach. Pierwszą noc każde z nich przespało w osobnym pokoju. Avery nie zapraszała Johna Paula, a on się nie narzucał. Rozpaczliwie starała się wprowadzić między nimi jakiś dystans, wierząc, że to zmiejszy ból nieuchronnego rozstania. Nic z tego. Tylko się oszukiwała. Kochała Johna Paula i nie wiedziała, co z tym zrobić. Pierwszej nocy nie zmrużyła oka, miotając się na łóżku aż do wyczerpania, a następnego ranka była jak osa. Drugiej nocy John Paul o nic nie pytał. Po prostu wynajął dwa pokoje, kiedy Noah rozmawiał przez telefon z którymś ze swoich zwierzchników, a potem poszedł za Avery i położył swoją torbę obok jej bagażu.

Nie protestowała, powiedziała tylko:

- Będziemy spać. Żadnego seksu.

Uśmiechnięty zrzucił z siebie ubranie i skierował się pod prysznic.

- A proponowałem? - spytał, zamykając za sobą drzwi łazienki.

Klimatyzator w oknie działał z pełną mocą, w pokoju było zimno, a około drugiej nad ranem Avery obudziła się w ramionach Johna Paula miło rozgrzana i w nastroju do miłosnych igraszek. Nie sposób było mu się oprzeć. Kochali się i było nawet lepiej niż poprzednio, bo znali już nawzajem swoje upodobania i wystarczyły minuty, by osiągnęli w tym względzie pełną harmonię.

Ściana oddzielająca ich pokój od sypialni Noaha była cienka jak papier. Avery starała się być cicho, ale czując pierwsze dreszcze zwiastujące rozkosz, musiała ugryźć Johna Paula w ramię, żeby powstrzymać krzyk ekstazy.

Było tak cudownie, że gdy ponownie obudziła się o szóstej, bez namysłu przywarła do Johna Paula i, jakby powiedziała Margo, wycisnęła z niego ostatnie soki.

John Paul znowu zasnął. Avery weszła do łazienki, wzięła prysznic, a potem stanęła przed lustrem. Policzki miała zaczerwienione od ocierania się o jego zarost, a usta spuchnięte od pocałunków.

- Cześć. Nazywam się Avery i jestem seksoholiczką - powiedziała szeptem.

Mogła winić tylko siebie. Przysięgła sobie w duchu, że zostawi go w spokoju, wzięła do ręki szczoteczkę do zębów i zajęła się poranną toaletą, próbując o nim nie myśleć.

John Paul rozpoczął dzień w znacznie lepszym nastroju. Był prawie miły dla Noaha. Nie do końca, ale prawie. Avery odnosiła wrażenie, że obaj zachowują się jak przeciwnicy w jakichś dziwnych zawodach. Szybko się zorientowała, że panowie świetnie się bawią, wymieniając uszczypliwości.

Po postoju na lunch umościła się wygodnie na tylnym siedzeniu, osłoniła oczy od słońca daszkiem czapki i postanowiła się trochę zdrzemnąć.

Panowie ściszyli głosy, żeby jej nie przeszkadzać. Noah wiedział o Jilly. Zapoznał się z aktami Avery i włączył do akcji odpowiednio przygotowany.

Snuli różne przypuszczenia na temat powiązań Jilly z Monkiem. Noah wiedział też, oczywiście, o Skarretcie, i uważał, że to właśnie on może pociągać za sznurki. John Paul nie zgadzał się z nim. Przypomniał, że Monk, biorąc zlecenie, zawsze działał po swojemu.

Jeden temat przechodził płynnie w drugi.

- Stracisz pracę przez to, że nam pomagasz? - spytał John Paul. - Avery jest poszukiwana przez FBI.

- Nie pracuję dla FBI. Można powiedzieć, że jestem wolnym strzelcem.

- Właśnie że pracujesz dla FBI - stwierdził John Paul z pewnym zniecierpliwieniem. - Niby od czego jest ta odznaka?

- Ułatwia parkowanie. Tylko po to ją noszę.

- Bądź poważny.

- Brakuje ci tego czasem?

- Niby czego?

- Akcji.

- Do diabła, nie.

- Nadal mieszkasz na bagnach?

- Mieszkam w Bowen.

- Na bagnach.

- No, niby tak.

- Myślisz, że ona będzie chciała tam zamieszkać?

John Paul udał, że nie rozumie.

- Kto?

Zapomniał, że Noah potrafi być bezpośredni aż do bólu.

- Kobieta, z którą sypiasz. Kobieta, od której nie możesz oderwać oczu, nawet kiedy prowadzisz. Patrzysz w górne lustro co dziesięć sekund, odkąd usiadłeś za kierownicą. Pozabijasz nas, jeśli nie będziesz zwracał uwagi na drogę.

John Paul nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać z nim o Avery.

- Jak daleko jest do tej miejsciny, w której mamy się zatrzymać na nocleg? Jak się nazywa? Walden Point?

- Ja to się chyba nigdy nie ustatkuję. Za dużo ryb pływa w morzu - stwierdził z zadumą Noah.

- Gdzie leży to Walden Point? Trzydzieści czy pięćdziesiąt kilometrów od Sheldon Beach?

- Nie sądziłem, że znajdziesz kiedyś kobietę, która by z tobą wytrzymała, ale chyba się myliłem.

John Paul nie mógł dłużej udawać, że nie słucha.

- Noah, nigdy mnie nie znałeś i nie znasz.

- Jasne, że znam. Wiem o tobie wszystko.

- Czytałeś moje akta? - Nie dając mu czasu na odpowiedź, mruknął: - Utajnienie już niczemu nie służy?

- Chyba nie - rzucił niedbale Noah. Nie miał dostępu do akt Johna Paula, ale rozmawiał o nim z Theo. Ponieważ jednak myśl, że jego akta są dostępne dla każdego, kto ciekawy, wyraźnie Johna Paula złościła, Noah nie powiedział mu prawdy. Lubił go denerwować.

- Więc sądzisz, że spodoba jej się życie w Bowen?

Rozmowa zatoczyła koło i wróciła do początku. John Paul zacisnął dłonie na kierownicy, żeby się opanować.

- Nie musimy się zatrzymywać na tankowanie?

Noah wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Człowieku, ale cię wzięło. Robisz się czerwony na twarzy.

John Paul miał ochotę mu przyłożyć.

- Wcale nie o to chodzi.

- Czyżby? Nic poważnego was nie łączy?

Nie miał zamiaru dyskutować na temat swojego związku z Avery.

- Nie.

- Żadnych planów na przyszłość?

Rzucił Noahowi mordercze spojrzenie.

- Nie - warknął. - Możemy porozmawiać o czymś innym?

- Jasne - zapewnił go spokojnie Noah. - O czym chcesz rozmawiać?

- Nie waż się przystawiać do Avery. - Pożałował tych słów, ledwie wyszły mu z ust.

Noah parsknął śmiechem.

- A czemu nie miałbym spróbować? Dopiero co sam powiedziałeś...

- Do cholery, wiem, co mówiłem.

- Poza tym jest piękną kobietą.

Johnowi Paulowi przyszło do głowy, że mógłby szybko wyciągnąć rękę, otworzyć drzwi od strony Noaha i wypchnąć go w biegu. To powinno go skutecznie uciszyć.

- Jest też piekielnie sexy.

- Wiesz co, odczep się od niej, do cholery. Jak daleko jest to Walden Point?

- Nie wiem. - Noah opuścił oparcie fotela, poprawił na nosie ciemne okulary i zamknął oczy.

- Jesteś pilotem, do diabła. Spójrz na mapę.

- Jasne.

Kilka sekund później smacznie spał.

Reszta popołudnia minęła w błogosławionym spokoju. Do Walden Point dotarli około szóstej. Senne miasteczko oddalone było dokładnie o pięćdziesiąt kilometrów od Sheldon Beach.

Jeśli nawet Avery była w Walden Point jako dziecko, zupełnie tego nie pamiętała. Po obu stronach ulic rosły palmy, trawa była zbrązowiała od słonej wody i słońca, a domy przy bocznych uliczkach nosiły ślady ubóstwa i zaniedbania. Miejsce wydawało się przynębiająco nieciekawe, dopóki nie wjechali w starszą, gęściej zabudowaną część miasta. Tu okazałe domy stały przy reprezentacyjnych alejach, trawniki pyszniły się bujną zielenią, a świeżo odmalowane ganki zdobiły ceramiczne donice pełne kwiatów.

Przy głównej ulicy prowadzącej do morza stało kilka ładnych pensjonatów, ale Noah nie chciał się w żadnym z nich zatrzymać. Znalazł jakiś motel odległy o dwanaście przecznic od plaży i kazał Johnowi Paulowi wjechać na parking.

Avery myślała, że Noah stroi sobie żarty. Motel o nazwie Flamingo Milta był betonowym kłocem o wściekle różowych ścianach i wymagającym naprawy dachu. Na zielonych drzwiach wymalowane były ręcznie flamingi w różnych kolorach. Całość zbudowana w kształcie litery U składała się z dwunastu osobnych kwater i zwirowego placu do parkowania. Osoba decydująca o kolorystyce tego obiektu bez wątpienia musiała być ślepa.

W pobliżu nie było żadnych innych samochodów. Avery pomyślała, że nieszczęsny Milt pewnie uciekł, porzucając szkaradny przybytek.

- Na pewno jest otwarte?

- Widziałem, że jakiś człowiek nam się przyglądał, kiedy wjeżdżaliśmy - powiedział Noah. - Łatwo tu wejść i wyjść, a jak zaparkujemy od tyłu, to samochód będzie niewidoczny z ulicy. Co ty na to?

Ponieważ pytanie skierowane było do Johna Paula, Avery zatrzymała dla siebie opinię o motelu. Mijali piękne pensjonaty, stojące w zadbanych ogródkach, okolone szerokimi werandami, na których czekały bujane fotele, a Noah wybrał takie paskudztwo. Czekwała w milczeniu, aż John Paul zaprotestuje.

- Podoba mi się - stwierdził, niwecząc jej nadzieje. - Przypomina trochę bar mojego ojca. On też ma dużego flaminga na dachu.

- Faktycznie, pamiętam. Myślałem, że to pelikan. Pójdę nas zameldować.

- Kawałek dalej jest pensjonat - nie wytrzymała Avery. - Wygląda miło i schludnie. Na podwórzu stał znak, że są wolne miejsca. Widziałam.

- Tu też jest nieźle, prawda? - rzucił John Paul.

Gdyby nie było z nimi Noaha, wyraziłaby swoje zdanie, ale nie chciała narzekać w obecności agenta.

- Tak, jest świetnie.

Uśmiechnął się, rozbawiony jej zniechęceniem.

- Nie tak miło jak w chacie Tylera?



- Jest świetnie - powtórzyła.

Noah wysiadał właśnie z samochodu, kiedy zadzwoniła jego komórka. John Paul udał się do recepcji, a Avery została z Noahem. Rozprostowała ramiona i nogi zdrętwiałe po długiej jeździe.

Noah oddalił się z opuszczoną głową, najwyraźniej nie chcąc, by usłyszała rozmowę. Po jego minie poznała, że coś jest nie w porządku. Czekala w napięciu.

Rozmowa trwała dość długo. John Paul wrócił z dwoma kluczami i spojrzawszy na Avery spytał:

- Coś się stało?
- Stało się - potwierdziła, przytulając się do jego boku.

Noah zakończył rozmowę i podszedł do nich. Popatrzył na Avery.

- Twoja ciotka i sędzia mają się dobrze.
- Co się stało? - ponaglił go John Paul.
- Była dostawa, jakieś zbiorniki do zainstalowania za skrzydłem fizykoterapii.
- Cholera - westchnął John Paul. Już wiedział, o co chodzi. -

Był wybuch, tak?

Noah potwierdził skinieniem głowy.

- Ogień strawił większą część budynku.
- Jak Monkowi udało się przejść przez ochronę? - zastanowiła się na głos Avery.
- Nie musiał - wyjaśnił Noah. - Dostawca zginął podczas rozładunku. Monk dobrał się do tych zbiorników wcześniej.
- Ile ofiar? - spytał John Paul.
- Dwóch zabitych. Agent o nazwisku Gorman został ranny, ale wyjdzie z tego. To wszystko, co wiem.
- Jak to się, u diabła, mogło stać? - jęknął John Paul.
- Powiem ci, jak się stało. Monk przez cały czas był na terenie szpitala. Patrzył i czekał. Musiał wiedzieć, że nie mogą przewieźć sędzi tak szybko po operacji. Kiedy agenci wsadzili podstawione

osoby do samochodu i odjechali, prawdopodobnie coś zauważył i wiedział, że to nie Carrie i sędzia.

Noah zaprowadził ich do pokoi. Znajdowały się w odległym końcu budynku i były wewnątrz połączone drzwiami.

Ich pokój okazał się zaskakująco czysty. Umeblowanie stanowiło podwójne łóżko z kwiecistą narzutą, dwa krzesła przy oknie wychodzącym na parking, a pomiędzy nimi stół z lampą. Nie było szafy, tylko wieszaki na ścianie, a obok nich wbudowane półki.

Gdy tylko Noah postawił nogę na progu ich pokoju, Avery spytała:

- Carrie i sędzia nie zostały ranne? Na pewno mówisz mi wszystko?

- Tak. Twoja ciotka właśnie wiozła sędzię na wózku do łazienki, kiedy to się stało. Ściany zawaliły się, tworząc nad nimi coś w rodzaju jaskini, i uchroniły je przed spalaniem.

Avery poczuła mdłości. Komórka Noaha znów zadzwoniła. Kiedy zniknęła w swoim pokoju, Avery podeszła do Johna Paula, objęła go w pasie i mocno się przytuliła.

Czuł, jak drży.

- Ten koszmar wkrótce się skończy - obiecał. Nie odzywała się, więc spytał: - Chcesz stąd wyjść?

- Tak.

- Dokąd chciałybyś pójść?

- Nie wiem - szepnęła. - Nie mogę myśleć... muszę...

Pocałował ją w czoło.

- Potrzebujesz huśtawki na ganku, prawda?

Przytaknęła skinieniem.

- I bzów - dodał.

Ucieszyła się, że zapamiętał, jak wygląda jej szczęśliwe miejsce.

- Nie mogę ci dać bzów, huśtawki na ganku też nie wyczaruję, złotko, ale woda... Możesz jej mieć całe mnóstwo.

Dwadzieścia minut później, trzymając się za ręce, spacerowali

plażą. Oboje przebrali się w szorty, a buty zostawili na schodach, gdzie siedział Noah.

Ciemne chmury gnały po niebie, zasłaniając słońce. Plaża była niemal całkowicie opustoszała. Kiedy Avery usiadła, przyjmując pozycję kwiatu lotosu, John Paul jej nie przeszkadzał. Wrócił na schody i usiadł obok Noaha.

- Co ona robi? - zdumiał się Noah, patrząc na Avery, siedzącą od kilku minut zupełnie nieruchomo.

- Myśli.

- W porządku.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, John Paul wstał i podszedł do Avery. Miała zamknięte oczy. Usiadł przed nią i czekał, wiedząc, że wyczuwa jego obecność.

Dopiero po chwili uniosła powieki i spojrzała mu w oczy. Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. Wzięta głęboki oddech i powiedziała:

- Muszę zadzwonić.

## 36

**Monk** był gotowy do działania.

W oknie recepcji znajdowała się tabliczka z napisem *Brak wolnych miejsc*, a do drzwi przybita była druga: *Zamknięte do odwalania*.

Monk wiedział, że cele znajdują się w środku. Dobrze zbadał teren, znał go jak własną kieszeń. Na tyłach motelu stały zaparkowane trzy samochody. Był pewien, że dwa z nich należą do agentów federalnych, oddelegowanych do pilnowania Avery. Właścicielem trzeciego pojazdu był Renard.

Monk przewiózł Jilly obok motelu, żeby zobaczyła, gdzie rzecz się rozegra. Z trudem panowała nad podnieceniem, widząc światło sączące się przez ciasno zsunięte zasłony w oknie, które Monk jej wskazał.

- Ona tam jest - szepnęła drżącym głosem.

Zjechał z ulicy w pewnej odległości od motelu Milta. Wybrany przez niego parking służył zarówno bywalcom kinoteatru w starym hiszpańskim stylu, jak i wiernym miejscowego kościoła. Ustawił samochód przodem do ulicy, po czym wręczył Jilly swoją lornetkę, a sam napił się mrożonej herbaty.

- Teraz oficjalnie stoisz na czatach.

- Super - zachichotała Jilly.
- Jej entuzjazm go zachwycił.
- Dobrze się bawisz?
- Och, cudownie - przyznała. - To lepsze, niż sobie wyobrażałam. Znacznie lepsze.

Szybko opuściła lornetkę, gdy na parking wjechał jakiś samochód.

- Na pewno jesteśmy tu bezpieczni?
- Oczywiście. Zawsze dbam o twoje bezpieczeństwo.

Wymienili uśmiechy, po czym Jilly znów uniosła lornetkę do oczu. Patrząc w okno, próbowała sobie wyobrazić, co dzieje się w środku.

Nadjechało kolejne auto i zaparkowało trzy rzędy za nimi. W kościele odbywało się jakieś nabożeństwo, a w kinie tego dnia sprzedawano bilety po mocno zniżkowych cenach. Nic więc dziwnego, że parking był prawie pełny.

Jilly podsunęła mu lornetkę, ale Monk nie musiał patrzeć. Poświęcił całą dobę na przeprowadzenie rozpoznania. Niezbyt długo, ale musiało wystarczyć. Normalnie śledził swoją ofiarę co najmniej przez dwa tygodnie, poznawał jej zwyczaje, ale to nie była normalna sytuacja. Czas uciekał, a Jilly była zbyt niecierpliwa, by dłużej czekać. Jak dziecko domagała się natychmiastowej nagrody.

- Ilu policjantów jest tam z nimi? - spytała.
- Agentów - sprostował. - Nie policjantów. Czterech.
- I zabijesz ich wszystkich?
- Tak.

Miał ich na widelcu.

Poprzedniej nocy obserwował, jak Renard wymyka się tylnymi drzwiami, wsiada do samochodu i odjeżdża. Nie miał możliwości celnego strzału, ale nawet gdyby miał, i tak by nie strzelał, bo nie chciał, żeby jego główny cel znów się przemieścił. Zaplanował dla nich coś specjalnego. Szkoda, że nie będą wiedzieli, co ich zabiło.

Renard wrócił do motelu po półgodzinie, niosąc cztery duże pizze i reklamówkę, w której, jak Monk się domyślił, musiało być piwo lub coś innego do picia.

Nieostrożność Renarda go oburzyła. Był pewien, że ten człowiek nie ma pojęcia, iż jest obserwowany, bo zachowywał się z godną pożałowania bez troską. Tak, Renard go rozczarował. Spodziewał się czegoś więcej po swoim przeciwniku, popełnił błąd, uznając go za profesjonalistę. I równego sobie. Uświadomił sobie, jak nedorzeczna była jego nadzieja. Nikt nie mógł się z nim mierzyć. Jilly jednak miała rację. Był legenda.

- Myślę, że to byłby dobry pomysł, żeby zrobić to dzisiaj - odezwała się Jilly.

- Jesteś napalona.
- Jestem.
- Jutro - obiecał.
- Nie chcę dłużej czekać.
- Wiem.

- Wyobrażasz sobie, jak Carrie i Avery muszą się teraz czuć, zamknięte całymi dniami i nocami w tej zapchlonej dziurze? Pewnie od tego wariują.

- Specjalnie czekałem - wyjaśnił - żeby agenci się znudzili i... zgnuśniali. Tak, to właściwe słowo. Zgnuśniali.

- Godzina za godziną w tym małym pokoiku... W ogóle ich nie wypuszczali, prawda?

- W każdym razie nie wtedy, kiedy obserwowałem.

- Cieszę się, że nie zginęła w tym szpitalu - powiedziała

Jilly. - Tak jest lepiej, bo będę mogła patrzeć.

Monk pokiwał głową.

- Carrie domagała się przewiezienia na Florydę.

- Chce umrzeć razem z Avery.

- Ona nie wie, że jutro umrze - przypomniał. - Myśli, że zjawi się z Avery w sądzie, kiedy proces się rozpocznie.

Jilly znów sięgnęła po lornetkę.

- Do trzech razy sztuka - powiedziała rozradowana.

Monk stłumił ziewnięcie. Był zmęczony, ale nie odważył się narzekać. Jilly uważała go za istotę o nadludzkich możliwościach, a on wcale nie chciał tracić w jej oczach tego wizerunku. Wiedział, że podejmuje ryzyko, na jakie nigdy wcześniej by się nie zdecydował, ale trudno było zachować ostrożność, gdy Jilly ciągle stawiała mu jakieś wymagania. Wierzyła, że jest zdolny do wszystkiego, co więcej, sprawiała, że i on w to wierzył.

Co jakiś czas zaczynały go nurtować jakieś wątpliwości. Nigdy wcześniej nie wycofał się z wykonania zlecenia. Raz dane słowo było dla niego święte. Gdyby stracił wiarygodność, jego przyszłość stanęłaby pod znakiem zapytania, a reputacja legła w gruzach. Jednakże ta myśl wcale go nie przerażała. Miał dość pieniędzy, żeby zapewnić Jilly poziom życia, na jaki zasługiwała. Może mógłby tym razem odpuścić...

- Wiesz, kochanie, że nie potrzebujemy pieniędzy - zaczął z wahaniem.

Jilly wiedziała, do czego zmierza.

- Wiesz, co myślę?

- Co?

- Kiedy będziemy to mieć za sobą, wymknijmy się do Meksyku i weźmy ślub. Proces potrwa przynajmniej tydzień. Dale nigdzie się nie wybiera. Co ty na to?

Wiedziała, jak bardzo pragnął ślubu. Zmęczenie ustąpiło, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Tak, tak - podchwycił. Aż się zawstydził własnej gorliwości. - Znam doskonałe miejsce - dodał szybko. - Spodoba ci się, obiecuję.

- Skoro mam cię poślubić, wszystko inne nie jest ważne.

Położyła mu rękę na udzie, pochyliła się w jego stronę, podając usta do pocałunku. Jej dłoń zaczęła się wprawnie poruszać w intymnej pieszczocie.

Natychmiast poczuła odzew jego męskości. Zadowolona z siebie, cofnęła rękę.

- Czemu by się z nimi nie rozprawić już dzisiaj? - rzuciła, wydymając usta.

Monk potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, o co jej chodzi. Oprzytomniawszy nieco, powiedział:

- Jutro sama wszystko zobaczysz. Przy dziennym świetle. Poza tym muszę dokonać kilku zmian, zadbać o kilka szczegółów, nim będę gotowy. Przecież chcesz, żeby poszło dobrze, prawda, kochanie?

- Oczywiście. Dlaczego dzieńne światło jest lepsze?

- Nikt się nie spodziewa ataku, kiedy świeci słońce, a ponadto w przeszłości zawsze starałem się podkradać nocą. Tym agentom się wydaje, że znają mój sposób działania.

- Myślisz, że studiowali twoje dokonania?

- Oczywiście. Po ciemku mają się na baczności.

Jilly westchnęła.

- No dobrze. Będę musiała zaczekać do jutra. Pamiętasz, obiecałeś, że będę mogła popatrzeć. Nie zmienisz zdania w tej sprawie?

- Nie zmienię - zapewnił ją solennie. - Będziesz bezpieczna w cudownym miejscu, z którego wszystko będzie widać. I mam dla ciebie niespodziankę. Miałem z nią zaczekać do jutra, ale...

- Powiedz mi teraz. Błagam.

- Dobrze. Wiem, jaka byłaś rozczarowana, kiedy zobaczyłaś, jak wybuchła ten dom w Kolorado. Tym razem będzie inaczej. Mam zamiar pozwolić tobie wcisnąć guzik.

Roześmiała się zachwycona.

- Chcesz mnie zaskoczyć?

Przytaknęła.

- O tak. Jestem legendą, zapomniałaś? Mam zamiar wszystkich zaskoczyć tak, że oniemiają.

## 37

Po odwiezieniu Jilly z powrotem do hotelu na drugim końcu Walden Point Monk ponownie wsiadł do samochodu i pojechał do willowej dzielnicy, oddalonej o milę od motelu Milta. Biegiem wrócił do swojej kryjówki i cicho wspinał się po schodach. Musiał jeszcze raz sprawdzić przewody i dopilnować ostatnich szczegółów. Zajęło mu to znacznie więcej czasu, niż się spodziewał, pewnie dlatego, że był zmęczony, ale kiedy wreszcie skończył, był zadowolony ze swego dzieła. Tym razem nic nie mogło pójść źle.

Było po trzeciej nad ranem, gdy wreszcie mógł się położyć. Ostrożnie, żeby nie budzić Jilly, usiadł na łóżku i przyglądał się śpiącej. Tak bardzo ją kochał. Była taka piękna, niezwykła... idealna. Położył się obok niej, myśląc o tym, że jest najszczęśliwszym mężczyzną na świecie. Usnął, trzymając ją w objęciach, wdychając zapach jej perfum i marząc o wspólnym miesiącu miodowym.

Bajki jednak mogły się spełniać. On i Jilly mieli żyć długo i szczęśliwie.

Następnego ranka Jilly ubrała się wyjątkowo starannie. Ostrożnie szła do kościoła, więc włożyła białą spódniczkę, białą

dzianinową bluzkę i ażurowe sandałki na wysokim obcasie. Kiedy szcztokowała i układała włosy, Monk pakował do samochodu ich bagaże.

- Nie zapomnij mojej kasy - upomniała go.

- Nigdy bym nie zapomniał - zapewnił ją, choć prawdę mówiąc, zupełnie wyleciała mu z głowy. Jilly dostałaby szału, gdyby taśma zginęła. Miała obsesję na punkcie tego dowodu, jak nazywała kasetę z nagraniem, i zawsze nosiła go przy sobie. Pogodził się z tym dziwactwem, tak jak ona tolerowała niektóre jego cechy. W końcu na tym polegał dobry, trwały związek, czyż nie? Żeby dawać i brać.

Wyciągnął kasetę z magnetowidu, zapakował do pudełka i położył na łóżku obok jej torebki.

Jilly stała przed lustrem. Patrząc, jak maluje usta czerwoną szminką, uśmiechnął się, bo wiedział, że używała tego koloru, by mu zrobić przyjemność. Sama mu to powiedziała.

Wrzuciła do torebki szminkę i kasetę, włożyła na głowę słomkowy kapelusz z białą wstążką i stanęła na środku pokoju. Okręcając się dookoła, spytała:

- Wyglądam odpowiednio do kościoła? - Twarz miała zarumienioną z podniecenia.

- Wyglądasz pięknie - szepnął. - Zawsze wyglądasz pięknie.

Podeszła do niego, niczym troskliwa, kochająca żona poprawiła mu węzeł na krawacie i powiedziała:

- A ty wyglądasz wspaniale w garniturze. Powinieneś się częściej tak ubierać.

- Jeśli ci się podoba, to będę.

Wzięła go za rękę i razem wyszli do samochodu. Podobały mu się takie drobne gesty. Trzymała go za rękę. To była oznaka zaufania. To że patrzyła na niego z podziwem, też mu się podobało.

- Zaparkowałem drugi samochód kawałek za kościołem - oznajmił. - Na wszelki wypadek. Kluczyki są w schowku.

~ Nie będzie nam potrzebny - odparła. - Przygotowałeś się na każdą ewentualność.

Był o tym przekonany, więc potwierdził, jednakże wciąż dokuczał mu lekki niepokój w związku z przewodami. Poprzedniego wieczoru był tak zmęczony, że zrobił tylko jedną próbę. Ale tak czy inaczej powinna wystarczyć.

Wiatr przybrał na sile. Skręcając za róg, Monk spojrzął na wieżę przy kinoteatrze. Wjechał na plac i zaparkował przy końcu pierwszego rzędu, by Jilly miała dobry widok na wszystko. Nikt nie mógł go zastawić od przodu, więc gdyby musiał przejechać przez krawężnik, żeby się wydostać na ulicę, mógł to zrobić bez trudu. Wyłączył silnik.

- Jesteś gotowa?

- Tak.

- Pilot jest w schowku na rękawiczki.

Ostrożnie wyjęła urządzenie.

- Wygląda jak te do otwierania bramy w garażu.

- Bo to jest pilot do otwierania garażu - powiedział. - Oczywiście trochę przerobiony.

- Kiedy mam wcisnąć guzik?

- Pomyślałem, że miło będzie poczekać, aż zabrzmia kościelne dzwony.

Jilly odwróciła się na siedzeniu, żeby popatrzeć na kobiety i dzieci śpieszące do kościoła. Widać było, że nie chcą się spóźnić. Przedstawienie odbędzie się na zewnątrz. Szkoda, że go nie zobaczą.

- Która godzina?

- Zostało pięć minut.

- Nie chcę czekać. Chcę to zrobić już teraz.

Monk sięgnął pod siedzenie i podał jej lornetkę.

- Kiedy tylko będziesz gotowa.

Podniosła lornetkę do oczu, zwilżając językiem wargi. Poprawiła ostrość, kierując soczewki na okna pokoju, w którym poprzedniej nocy paliło się światło.

- Spełniam swoje marzenie - szepnęła.

Nacisnęła guzik. Nic nie nastąpiło, więc nacisnęła jeszcze raz. Potem znów, mocniej.

- Niech to szlag - zaklął Monk. - Wiatr musiał odłączyć któryś z przewodów. Przestań naciskać, kochanie. Będę musiał tam pójść i naprawić. Czekać tu na mnie. Dobrze? - Delikatnie wyjął jej z dłoni pilota. - Gdyby coś poszło nie tak...

- Za bardzo się przejmujesz. Umocuj przewody - poleciła, nieco ostrzej, niż zamierzała. - Przepraszam. Nie powinnam być taka niecierpliwa. Mogę poczekać jeszcze kilka minut.

- Dobra dziewczynka - pochwalił. - W razie czego pamiętasz, co robić?

- Wchodzę do kościoła, wychodzę bocznymi drzwiami i wsiałam do drugiego auta.

- I odjeżdżasz boczną uliczką, którą ci pokazałem. Nie przejeżdżaj przed motelem.

- Nie odjadę bez ciebie.

Lojalność Jilly szczerze go wzruszyła. Pogładził ją po dłoni, ostrożnie położył pilota na podłodze obok siedzenia i wysiadł z samochodu. Z ręką w kieszeni, niedbałym krokiem przemierzył parking i wszedł po schodach do kościoła. W tym samym momencie rozległo się bicie dzwonów. Pół minuty później wyszedł przez boczne drzwi, przeciął ulicę i przeszedł trzy przecznice na północ. Dopiero wówczas gdy był pewien, że nikt go nie śledzi, zawrócił w stronę kinoteatru.

Tylne wejście było oczywiście zamknięte. Posłużył się swoimi narzędziami, żeby wejść do środka. Stał w korytarzu na zapleczu. Drzwi prowadzące na wieżę i na markizę znajdowały się po drugiej stronie holu. Na kilka minut przycupnął w cieniu bufetu, nasłuchując; upewniwszy się, że jest zupełnie sam, przekradł się do drzwi. Te również były zamknięte, tak jak je zostawił, ale poradził sobie z nimi równie sprawnie jak z wejściowymi. Brązowy sznurek, który rozciągnął na trzecim stopniu, był nienaruszony.

A więc nikt nie znalazł jego małej kryjówki. Przekroczył sznurek i powoli, z najwyższą ostrożnością, ruszył na górę, pamiętając, że piąty stopień skrzypi. Wiedział, że jest sam - kinoteatr miał zostać otwarty dopiero o drugiej - lecz mimo to opuścił skrzypiący stopień.

U szczytu schodów zamontowany był przewód, cieńszy od nici i ledwie widoczny gołym okiem. Monk odczepił go z dźwigni, żeby nie wylecieć w powietrze przy otwieraniu drzwi.

Dobrze, że właściciel nie zechciał tego dnia zmienić napisów na markizie, pomyślał z uśmiechem. Nowe filmy wprowadzano tylko w środy, ale Monk na wszelki wypadek i tak zastawił pułapkę. Nigdy dość ostrożności, niezależnie od tego, w co wierzyła jego kochana Jilly.

Uchylił drzwi, tylko odrobinę, i zajrzał do środka. Karabin z celownikiem był na swoim miejscu w kącie, oparty o kolumnę. Skupił wzrok na mechanizmie spustu poniżej własnoręcznie wykonanego pocisku. Tak jak podejrzewał, jeden z przewodów się poluzował. Wprawdzie wiatr naruszył go tylko trochę, jednak dość, by połączenie zostało przerwane.

Potrzebował dwóch sekund, żeby wszystko naprawić. Wszedł do środka i przykleknął na jednym kolanie.

I skamieniał.

Głos rozległ się po jego lewej stronie.

- Masz tu niezłe fajerwerki.

Monk był zbyt osłupiały, żeby się poruszyć. Myśli wirowały mu w głowie. „Nie, nie, nie. Przewód... sznurek... nic nie było naruszone. Jakim cudem...”

Kolejny głos dobiegł z prawej.

- Chyba ma kłopoty z rozpoczęciem pokazu.

Rzucił się w stronę karabinu. Nikt nie próbował go powstrzymać. Tocząc się po podłodze, kilka razy nacisnął spust.

Nic nie nastąpiło. Karabin nie był nabity.

Noah wyszedł z cienia. Na jego widok Monk aż się cofnął.

- Ty? - szepnął. - Znam cię.

John Paul wynurzył się z ciemności.

- Skąd wiedzieliście? - Twarz Monka wykrzywiła wściekłość, głos mu się trząsał.

- To było łatwe. Jesteśmy od ciebie mądrzejsi.

Pistolet Noaha mierzył w czoło Monka. Widząc wyraz oczu Noaha. John Paul wiedział dokładnie, co myśli jego towarzysz.

- Skuj go - rozkazał. - A potem odczytaj mu jego prawa.

Noah pokręcił głową.

- Najpierw go zabiję. Potem mogę go skuć i mu poczytać.

- Obawiam się, że nie możesz.

- Sukinsyn. - Noah schował broń. Zbliżał się do Monka z kajdankami, gdy nagle jakiś agent zawałał do nich z dołu.

Monk błyskawicznym kopnięciem pozbawił równowagi Noaha, który potknął się, zasłaniając mordercę i uniemożliwiając Johnowi Paulowi strzał.

Agenci biegli już po schodach na górę, kiedy Monk próbował wyciągnąć pistolet przyczepiony do kostki. John Paul przewidział taką ewentualność. Z całej siły kopnął go w nogę, powalając na ziemię.

- Nie zasłaniaj! - zawałał. - Odsuń się, do diabła, żebym mógł go zastrzelić.

- Sam go zastrzelę! - krzyknął Noah. Uderzył Monka w twarz i aż chrząknął z radości, słysząc odgłos wybijanej szczęki. Potwórzył cios, mierząc dokładnie w to samo miejsce, żeby bardziej bolało.

Drzwi trzasnęły o kolumnę, kiedy wpadł w nie pierwszy z nadbiegających agentów. Monk wykorzystał okazję. Z całej siły odepchnął Noaha i rzucił się z wieży głową naprzód.

Wylądował na spadzistym blaszanym dachu. Przetoczył się i na czworakach, niczym goryl, przesunął się na markizę. Znalazłszy pewne oparcie dla stóp, natychmiast sięgnął po broń. Nie zdążył jej użyć, bo John Paul i Noah zeskoczyli na dach i równocześnie

zaczęli strzelać. Trafiony gradem kul Monk zatańczył jak marionetka, okręcił się wokół własnej osi i w końcu upadł twarzą w dół w poprzek markizy.

Dyszac ciężko. Noah schował broń i powiedział:

- Miałeś rację, żeby siedzieć cicho...
- Cholerną rację - mruknął John Paul.

Któryś z agentów, wychylając się z okna wieży, zawołał do nich:

- Obiekt się porusza!

Noah wyciągnął zza paska walkie-talkie i powtórzył to, co usłyszał od agenta.

- Roger.
- Czy to był głos Avery? - spytał John Paul podejrzliwie.
- Avery? Czy to ty, skarbie? - rzucił Noah do mikrofonu.

Specjalnie użył tego zwrotu, żeby dopiec Johnowi Paulowi. Uśmiechnął się z satysfakcją, widząc jego reakcję. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, leżałby na markizie obok Monka.

John Paul wyrwał mu aparat z ręki.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz, Avery? Miałaś...
- Nic wam się nie stało?
- Nie, obaj mamy się dobrze. Gdzie jesteś?
- Roger. Bez odbioru.
- Cholera. Ona jest w jednym z samochodów w ogonie.

Leżeli obaj rozciągnięci na dachu. Noah parsknął śmiechem.

- Poznałeś to po tym: „Roger. Bez odbioru”?

Ignorując jego zaczepki, John Paul jeszcze raz wcisnął guzik.

- Kelly?

Agent odpowiedzialny za całą operację zgłosił się natychmiast.

- Tu Kelly.

- Czy Avery jest w jednym z samochodów w ogonie? - spytał ostro John Paul. - Cholera, wiem, że jest. Powiedziałem jej, żeby została na tej cholernej łodzi.

- Roger. Bez odbioru.

Noah nie przestawał się śmiać.

- Wygląda na to, że Avery ma swój rozum. - Wychylił się poza krawędź, żeby sprawdzić odległość od ziemi. - Jak my się stąd...

John Paul zepchnął go z dachu, a potem sam skoczył i wylądował obok niego na kępie zeschłych krzaków.

Kelly znów się odezwał:

- Aresztowaliście Monka?
- Niestety, nie - odpowiedział John Paul.
- To gdzie on jest?

John Paul spojrzał na markizę.

- W kinie.



## 38

Jilly niecierpliwiła się, że Monk tak długo nie wraca do samochodu. Co go zatrzymywało? Podniosła z podłogi lornetkę i obserwowała wieżę. Gdzie on się podziewał? Wiedziała przecież, że nie cierpi czekania.

- Napraw to wreszcie - mruknęła gniewnie. - I pośpiesz się.

Nagle go zobaczyła. Aż wstrzymała oddech z niedowierzania, kiedy wykonawszy w powietrzu salto spadł na dach. Pomyślała, że skręci sobie kark, ale wylądował jak kot, na czterech łapach. Przesuwając się na czworakach po dachu na moment stracił równowagę, lecz zdołał ją odzyskać.

Dwaj mężczyźni wyskoczyli za nim, trochę powyżej niż on. Poruszali się tak szybko, że nie rozróżniała ich twarzy.

- Zabij ich - szepnęła do Monka. - Zabij ich! No, już!

Rozległa się istna kanonada. Wydawało się jej, że słyszy, jak Monk krzyczy jej imię. Obserwowała całą scenę z ciekawością, jakby wcale jej nie dotyczyła. Monk spadł, miotając się brzydko, i zawisł na markizie; jego krew spływała po świecącym neonie. Umarł z tyłkiem sterczącym do góry. Przeklęła go w duchu za nieudolność.

Jak śmiał jej to zrobić? Łzy rozczarowania zapiekły ją pod

powiekami. Pilot. Odnalazła go szybko i wcisnęła guzik. Raz, potem drugi i trzeci. Nic nie nastąpiło.

Niech to diabli. Jak mógł być tak bezmyślny? Wiedziała przecież, jak ważne są jej marzenia. Tupiąc ze złości, przeklinała go za to, że wszystko zepsuł. To przez niego była nieszczęśliwa.

- Niech cię piekło pochłonie - wycedziła przez zęby.

Zostawił kluczyki w stacyjce. Nie zważając na jego polecenie, by w razie kłopotów użyła drugiego samochodu, przesiadła się za kierownicę. Jacyś ludzie, z pewnością agenci FBI, biegli do budynku kina, a z kościoła wysypywali się gapie, ciekawi, o co chodzi w tym całym zamieszaniu. Uznała, że uda jej się opuścić parking niepostrzeżenie. Wyjechała na ulicę i żeby nie zwracać na siebie uwagi, jadąc przez miasto, trzymała się przepisowej prędkości.

Gdy tylko włączyła się do ruchu na autostradzie, nacisnęła pedał gazu aż do oporu. Miotając przekleństwa, waliła dłońmi w kierownicę, próbując dać upust wściekłości.

Miała kogoś innego, kto był gotów jej pomóc. Nie pozwoli odebrać sobie marzeń. Nikomu. Wiedziała też, że w bagażach Monka jest zapakowana broń. Postanowiła, że zabije Carrie i Avery własnoręcznie, jeśli będzie musiała.

- Głupi Monk - syknęła wściekle. - Głupi, głupi.

Samochody pościgu trzymały się w sporej odległości za Jilly. W sedanie oprócz Avery znajdowało się trzech agentów. Kelly prowadził, a Avery siedziała za nim. Starła się nie okazywać niepokoju, ale przychodziło jej to z trudem.

Kiedy usłyszała strzały, serce dosłownie jej zamarło. Nie mogła złapać tchu, dopóki nie usłyszała głosu Johna Paula przez radio. Z ulgi zrobiło jej się słabo, a zaraz potem znów zaczęła się martwić.

- Myśli pan, że nas zauważyła? - zwróciła się do Kelly'ego.  
- Jestem pewien, że nie ma pojęcia, iż jest śledzona - uspokoił ją.

Jilly była tak daleko przed nimi na autostradzie, że Avery ledwie widziała tył jej głowy.

- Czy ona przyspiesza?
- Przyspiesza - potwierdził agent. - Jedzie przynajmniej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.
- Czy na drodze jest blokada prędkości?
- Nie ma - zapewnił.
- Skąd pan wie?
- Wiem.
- Nie powinniśmy się zbliżyć? - zmieniła temat.
- Nie zgubię jej, panno Delaney. Proszę usiąść wygodnie i się odprężyć.
- Ona skręca.
- Widzę ją.

Avery nakazała sobie milczenie. Nie wypadało mówić kierującemu akcją agentowi, co ma robić. Powtarzała sobie w duchu, że za kilka minut będzie po wszystkim. Gdyby tak umiała przez te minuty zachować spokój, mogłaby potem przez miesiąc odreagowywać.

Jilly o mało nie przegapiła wjazdu do motelu Windjammer. Avery widziała, jak zwalnia, bierze zakręt i przejeżdża przez parking. Straciła ją z oczu, kiedy Kelly nagle przyspieszył. Wjechał pod prąd, okrążył motel i zatrzymał samochód obok restauracji przylegającej do parkingu.

- Zaparkowała na wprost schodów - powiedział Kelly.

Avery przyjrzała się budynkowi. Wszystkie drzwi wychodziły na ulicę. Potem przeniosła wzrok na Jilly. Żałowała, że nie stoją bliżej, by mogła się dobrze przyjrzeć jej twarzy.

- Co ona robi? - spytała, wychylając się do przodu.
- Szczotkuje włosy - odpowiedział Kelly.

Avery zmrugała oczy przed słońcem. Widziała, jak Jilly otwiera puderniczkę.

- Szminkuje usta?

- Jak najbardziej - potwierdził Kelly. Wyłączył silnik i opuścił szybę w oknie. - Niech pani tylko spróbuje wysiąść z tego auta, panno Delaney, a przysięgam...

Nie pozwoliła mu dokończyć groźby.

- Nie ruszę się na krok.

Avery znów spojrzała na Jilly, która musiała być zadowolona ze swego wyglądu, bo w końcu zdecydowała się wysiąść.

- Przedstawienie się zaczyna - szepnął Kelly.

Jilly wbiegła na schody, a potem przeszła zewnętrzną galerią, szukając właściwego numeru. Avery patrzyła, jak zatrzymuje się, rozchyła kołnierz bluzki, żeby było widać przedziałek między piersiami, wygładza spódniczkę, a potem stuka do drzwi.

- Kochanie, to ja, Jilly! - zawołała. Na dźwięk jej głosu Avery poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Drzwi otworzył Tony Salvetti.

## 39

Proces w Sheldon Beach nie ciągnął się długo. Oskarżyciel był kompetentny i skuteczny, a posiadając mocne dowody, mógł przekonać ławę przysięgłych, że Dale Skarrett włamał się do domu Loli Delaney z zamiarem porwania Avery Delaney. W trakcie popełniania przestępstwa spowodował przedwczesną śmierć Loli Delaney.

Skarrett upierał się, że będzie zeznawać, co było poważnym błędem. Kluczył i kręcił, a skończyło się na tym, że obrzucił oskarżyciela wyzwiskami za to, że przekręca wszystkie jego wypowiedzi.

Uporczywie twierdził, że wcale nie użył Avery jako tarczy i że tylko pomagał dziewczynce wstać, kiedy jej babka wystrzeliła. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ściągnął pas i zbił nim Avery niemal na śmierć; powtarzał w kółko, że próbował nakłonić dziecko, by poszło z nim i spotkało się z matką.

Zdjęcia z pobytu Avery w szpitalu dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że Skarrett porzucił ją na pewną śmierć. Ława przysięgłych potrzebowała zaledwie godziny na uzgodnienie wyroku i Skarrett wrócił do więzienia, gdzie było jego miejsce.

John Paul pozostawał z Avery w Sheldon Beach przez cały czas

trwania procesu, a Carrie doleciała w dniu, kiedy Avery miała zeznawać. Po piekle, którego ciotka doświadczyła, Avery spodziewała się zobaczyć zdruzgotaną kobietę. Carrie wcale nie sprawiała takiego wrażenia. Jeśli nawet zdrada męża ją bolała, nie pokazywała tego po sobie.

Johnowi Paulowi udało się, pomiędzy licznymi telefonami, jakie Carrie wykonywała do personelu swojej firmy w Bel Air, powiadomić ją, że zamierza ożenić się z Avery. Carrie nie chciała o tym słyszeć. Uważała, że jeśli siostrzenica ma zamiar wyjść za mąż, to powinna sobie znaleźć człowieka z pozycją... i pieniędzmi. Jakie życie ją czekało przy boku stolarza?

O tak, Carrie to był twardy orzech do zgryzienia, a kiedy coś szło nie po jej myśli, potrafiła być gorsza od krokodyla.

Naprawdę ją polubił.

## 40

Pan Carter przyjmie panią teraz.

- Dziękuję. - Avery wygładziła spódnice i uśmiechając się do sekretarki, podeszła do drzwi.

- Chcesz, żebym z tobą wszedł? - spytał John Paul.

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

- Zaczekasz tu?

- Tak długo, jak będzie trzeba.

Weszła do lodowatego gabinetu. Tego ranka specjalnie włożyła żakiet z długimi rękawami.

- Dzień dobry.

- Proszę usiąść, Delaney.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale też nigdy wcześniej nie widziała, by Carter się uśmiechał, więc nie potrafiła ocenić, czy nadal jest na nią zły, czy już mu przeszło.

Usiadła na krześle naprzeciw jego biurka, złożyła ręce na kolanach i powiedziała:

- Jeśli ma pan zamiar mnie zwolnić, chciałabym mieć możliwość uprzedzenia tego faktu i złożenia rezygnacji.

- Dlaczego? - zdziwił się.

Gdy weszła, wstał, ale teraz zajął miejsce w fotelu za masywnym biurkiem.

- Rezygnacja będzie lepiej wyglądała w moim życiorysie.

-- Ależ ja panią pytam, dlaczego pani sądzi, że zamierzam panią zwolnić?

- Ponieważ nie przestrzegałam procedury - odpowiedziała.

Ręce jej się trzęsły; nie wiedziała, czy z powodu zimna panującego w gabinecie, czy ze zdenerwowania. Carter miał dziwną moc - samo jego spojrzenie odbierało jej pewność siebie.

- Powinłam się domyślić wszystkiego znacznie wcześniej, ale musiałam się bronić, skacząc do wodospadów i uchylając się przed kulami. Nie miałam czasu na analizę faktów, choć powinnam ten czas jakoś znaleźć - dodała szybko, by wiedział, że bierze pełną odpowiedzialność za swoje błędy. - Posłużyłam się też pańskim nazwiskiem, by skłonić agenta Kelly'ego do zabrania mnie w pościg, a powiedział pan bardzo wyraźnie, że nie powinnam nigdy więcej tego robić. Złamałam służbową hierarchię. Nie pozwoliłam agentom wyznaczonym do zapewnienia mi ochrony na wykonywanie ich zadań. Uciekłam im. Aha, i jeszcze zwracałam panu głowę podczas comiesięcznych rozgrywek pokera, dzwoniąc do pana tamtej nocy z Walden Point, a przecież wszyscy u nas w biurze wiedzą, jak ważne są dla pana te rozgrywki.

Wydawało jej się, że kącik ust Cartera lekko się uniośł. Ciekawe, czy miał zamiar się uśmiechnąć, czy zrobić drwiącą minę?

Pochylił się nad biurkiem, opierając dłonie na blacie.

- Jak pani wie, miałem dom pełen ludzi, Delaney, ale użyła pani kodu pierwszeństwa, więc musiałem wyprosić towarzystwo. Czemu pani zadzwoniła do mnie, zamiast skorzystać ze służbowych kanałów?

Nie miała nic do stracenia, więc równie dobrze mogła mu powiedzieć prawdę.

- Wiedziałam, że pan mnie wysłucha i powie mi, czy mam rację. Wiedziałam też, że mi pan pomoże, a musieliśmy działać szybko. Ponieważ wyraził pan zgodę, mogliśmy to zrobić.

- Proszę mówić dalej - zachęcił.

- Kiedy agenci przygotowywali wszystko na Florydzie, zadzwoniłam do ciotki Carrie i powiedziałam jej, że John Paul i ja mieszkamy w motelu Milta w Walden Point i że ona też zostanie tam przywieziona, żeby zostać z nami do procesu Skarretta. Wiedziałam, że Carrie zadzwoni do swojego męża Tony'ego i poprosi go, żeby tam przyjechał. A agenci monitorowali telefony Tony'ego i jego pocztę elektroniczną.

- A gdyby do niego nie zadzwoniła? - spytał Carter.

- Ja bym to zrobiła. Ale zadzwoniła i tak jak przypuszczałam, Tony skontaktował się z Jilly, by przekazać jej wiadomość, że ja i Carrie będziemy razem na Florydzie. Potem zarezerwował sobie bilet na samolot. - Wzięła głęboki oddech. - Zanim agenci ustalili miejsce pobytu Jilly, zniknęła wraz z Monkiem, ale oczywiście wiedzieliśmy, dokąd zmierzają.

- Do Walden Point.

- Właśnie - potwierdziła. - Nie podobało mi się, że okłamuję ciotkę, ale tylko tak mogłam postąpić. Kiedy akcja się rozpoczęła, dzięki wyznaczonemu przez pana agentowi Tomowi Kelly'emu, znów zadzwoniłam do Carrie, powiedziałam jej, że zostanie jeszcze przez jakiś czas w Kolorado i wytłumaczyłam dlaczego.

- Jak przyjęła wiadomość o swoim mężu?

Ta wiadomość złamała jej serce, pomyślała Avery.

- Było jej... trudno. Ale jest silną kobietą - dodała szybko. - Jakoś to przeżyje.

- To John Paul Renard domyślił się, w jaki sposób Monk zaatakuje, prawda?

- Tak. Przeprowadziliśmy się do mieszkalnej łodzi, a w motelu zastawiono pułapkę. Agenci stworzyli pozory, że nadal tam jesteśmy. To John Paul znalazł przewód na schodach prowadzących na wieżę i razem z agentem Clayborne'em odpowiednio się przygotowali.

- No dobrze, chcę wiedzieć, jak pani do tego doszła.

- Dzięki „politykom”.

Carter uniósł brew. Avery pokiwała głową.

- Siedziałam na plaży, rozmyślając nad sytuacją, i przypomniał mi się tamten przypadek. Mieli swój program, pamięta pan? Chcieli, żeby wszyscy myśleli, że kierują nimi motywy polityczne, a tak naprawdę chodziło tylko o pieniądze. To kazało mi się zastanowić nad motywami. Uświadomiłam sobie, że nie widzę lasu spoza drzew. Zrobiłam więc to samo co wówczas, gdy pracowałam nad przypadkiem „polityków”. Rozłożyłam wszystko na części i przyjrzałam się każdej z osobna. Każdy miał swój własny cel - Monk, Jilly, Skarrett i Tony Salvetti. - Nie potrafiła nazwać tego drania wujkiem po tym, co zrobił. - Każde z nich bardzo czegoś chciało. A to, czego chciała Jilly, pozwoliło mi złożyć wszystko w całość. Carrie powiedziała mi o liście zostawionym dla niej przez Jilly, w którym oskarżyła ją o to, że ukradła jej marzenie. To mi nie dawało spokoju. Czytałam pamiętnik Carrie i wiedziałam, do czego Jilly jest zdolna. Wiedziałam też, jaka potrafi być cierpliwa. Była gotowa czekać całe lata, żeby się zemścić. Zadałam sobie pytanie, czego pragnęła najbardziej. Pieniądzy? Zemsty? I wtedy mnie olśniło. Jilly marzyła o tym, by być gwiazdą. Nade wszystko pragnęła uwielbienia i uwagi. Carrie odebrała jej to marzenie. Carrie wyjechała do Hollywood, odniosła sukces i zdobyła wpływy. Dzięki niej ludzie stawali się gwiazdami. W rozumieniu Jilly, siostra odebrała jej marzenie. Winiła ją za wszystkie swoje klęski. Kiedy agenci skonfiskowali należące do niej rzeczy, znaleźliśmy dowód jej obsesji.

Carter pokiwał głową.

- Agent Kelly wspominał mi, że znaleźli w torebce Jilly kasetę. To było nagranie reklamy, w której pani wystąpiła jako nastolatka.

- Tak. Myślę, że od tej reklamy wszystko się zaczęło. Jilly zobaczyła ją w telewizji i mogę sobie wyobrazić, że wpadła w furję. Zaczęła planować i spiskować już wtedy. Wiedziała, kim jestem. Najwidoczniej uważała, że Carrie mnie oddała jej marzenie. Chciała się zemścić.

- Trzymała się tego marzenia przez dwadzieścia lat? - zdziwił się Carter.

- Ależ tak. Miała skrzywione wyobrażenie o sobie. Zadałam sobie pytanie, kto według Jilly mógłby jej to marzenie zwrócić? Kto mógłby zrobić z niej gwiazdę?

- Tony Salvetti.

- Właśnie. Nadal był współwłaścicielem Poławiaczy Gwiazd. Nie chciałam uwierzyć, że Tony jest w to zamieszany. John Paul uważa, że w głębi duszy jednak musiałam wiedzieć, bo nigdy nie zadzwoniłam do Tony'ego, żeby mu powiedzieć, gdzie jestem. - Opuściła wzrok na swój pierścionek zaręczynowy i z czułością poprawiła go na palcu. - To było dla Jilly całkiem łatwe. Kiedy poznała Tony'ego, był zgorzkniałym człowiekiem. Carrie i on połączyli dwie firmy. Kiedy się pobrali, mieli prowadzić interesy jako równorzędni partnerzy, ale Carrie zaczęła osiągać większe zyski. Stopniowo odsuwała Tony'ego od większych operacji, aż w końcu nie miał żadnej władzy. Powiedział agentowi Kelly'emu, że Carrie próbowała pozbawić go męskości. Wiedział, że straciłby wszystko, gdyby się z nim rozwiodła, a to było nieuniknione, ponieważ coraz mniej mu ufała, zwłaszcza po tym, jak odkryła, że z ich kont ubyło ponad sto tysięcy dolarów. Tony twierdził, że pieniądze są w banku i nastąpiła pomyłka w księgowości, ale Carrie z pewnością sprawdziła wszystko w księgach firmy. Jilly powiedziała Tony'emu, że ma znajomego, który może rozwiązać ten problem z korzyścią dla nich obojga. Znała człowieka odbywającego wyrok w więzieniu na Florydzie, który mógłby im pomóc w wynajęciu płatnego zabójcy.

- Dale'a Skarretta?

- Tak. Pojechała do Skarretta i obiecała mu pomoc w wydostaniu się z więzienia. Zasugerowała, że gdyby dał jej namiary na płatnego zabójcę, mogłaby się pozbyć Carrie i mnie. Wtedy nie miałyby kto zeznawać przeciwko niemu. Powiedziała mu, że Tony Salvetti jest gotów wyłożyć pieniądze, żeby się pozbyć swojej

żony. Jilly obiecała też Skarrettowi, że będzie na niego czekała. On wciąż miał na jej punkcie obsesję. Jestem pewna, że udałoby jej się przekonać Skarretta, że go kocha, i wyłudzić od niego skradzione diamenty. Obiecała mu również, że pozbędzie się sędzi, która wydała na niego wyrok.

- I to nas prowadzi do Monka - wtrącił Carter.

- Spotykając go, Jilly znalazła płatnego mordercę, a przy tym samotnego mężczyznę. Nie musiała się wysilać, żeby go omotać. Jak się okazało, nie musiała mu nawet proponować pieniędzy, które dał jej Tony. Monk zakochał się w niej i był gotów zrobić wszystko, czego żądała. A pieniądze mogła zatrzymać dla siebie.

- Kto wpadł na pomysł, żeby umieścić wszystkie trzy ofiary w tym domu w Kolorado?

- Jilly - odparła Avery bez wahania. - Lubi wszystko komplikować. Spodobał jej się pomysł, a dodatkową zachętą była myśl o cierpieniu Carrie. Monk zawarł już kontrakt na zabicie Anne Trapp, a także wziął pieniądze od Dennisa Parnella, za które miał wysadzić dom w górach. Parnell był przekonany, że sędzia przyzna posiadłość jego byłej żonie - wyjaśniła. - Mogę sobie wyobrazić, co poczuł, kiedy się dowiedział, że sędzia jednak przyznał dom jemu.

- Pracowity chłopak z tego Monka.

- O, tak - przyznała Avery.

- Widziała pani wiadomości w telewizji? - spytał. - Eric Trapp w końcu się załamał i przyznał do winy. Długo posiedzi. Gdyby pani ciotka nie dała nam listu od Anne, nie mielibyśmy dowodu. Trapp powiedział śledczym, że jego żona zbyt wolno umierała.

- Zupełnie jak w przypadku „politików” - przypomniała Avery. - Wszystkimi kierowała chciwość.

- Zdumiewające - rzekł Carter z zadumą - jak Jilly manipulowała Salvettim, Monkiem i Skarrettem. Tańczyli, jak im zagrała, i żaden z nich nie miał pojęcia, o co jej naprawdę chodzi. Niedawno rozmawiałem z agentem Kellym - dodał. - Skarrett nadal niewiele mówi, ale Salvetti się rozgadał. Najdziwniejsze, że...

- Tak?
- Żaden z nich nie powie złego słowa na Jilly. Nadal ją wychwalają pod niebiosa.

Wcale jej to nie zdziwiło.

- Założę się, że ona sama nic nie mówi.
- Rzeczywiście, milczy jak grób. Byłby z pani świetny agent operacyjny, Delaney.
- Możliwe, że przy odpowiednim wykszoleniu byłabym dobra, ale nie chcę, już nie. Ostatnie tygodnie nauczyły mnie, że życie jest zbyt krótkie, i nie chcę tracić nawet minuty, uganiając się za ludźmi, dla których już nie ma nadziei. Chcę zmieniać świat, póki jeszcze zmiana jest możliwa.

Wstała i czekała, aż Carter okrzyki biurko. Uścisnęła mu rękę.

- Dziękuję panu.
- Naprawdę chce pani zrezygnować? Nie przekonam pani, żeby została?
- Już podjęłam decyzję. Muszę odejść.
- I co pani będzie robić?
- Proces już się zakończył, a Skarrett wrócił tam, gdzie jego miejsce, więc planuję spędzić kilka tygodni z ciotką, a potem przeprowadzam się do Luizjany i mam zamiar wykorzystać swoje uprawnienia do nauczania.

- Będzie mi pani brakowało. Powodzenia.
- Dziękuję panu.

Otworzył przed nią drzwi, a kiedy mijała go w progu, powiedział:

- Jeszcze jedno, Delaney.
- Tak?
- Dobra robota.

## 41

Detektyw poprowadził Avery i Johna Paula długim korytarzem do pomieszczenia, które nazwał pokojem oględzin.

- Będzie ją pani widzieć przez szybę, ale ona pani nie zobaczy - wyjaśnił, odsuwając się, by przepuścić Avery do środka.

Nie poruszyła się.

- Ona teraz jest w pokoju przesłuchań z dwoma detektywami - dodał spokojnie.

Avery nadal stała w miejscu jak wmurowana.

Przewodnik zerknął na Johna Paula.

- Dam pani trochę czasu - powiedział, a potem odwrócił się i odszedł.

- Nie musisz tego robić - odezwał się John Paul.

- Muszę.

Odczekała jeszcze minutę, po czym wyprostowała ramiona i weszła do środka. Pomieszczenie miało wielkość szafy. Zaciskając dłonie w pięści, stanęła przed lustrzaną szybą i spojrzała na kobietę, która dała jej życie, a potem za wszelką cenę chciała je jej odebrać.

John Paul wziął ją za rękę.

- Pamiętasz ją? - spytał.

- Nie. Miałam pięć lat, kiedy się zjawiła w domu - szepnęła. -  
To było tak dawno.

Jilly siedziała przy metalowym stoliku, naprzeciw dwóch detektywów. Miała wyprostowane plecy, nogę założoną na nogę, dłonie oparte na blacie. Trzy górne guziki jej bluzki były rozpięte; dekolt rozchyłał się za każdym razem, gdy choćby nieznacznie się poruszyła. Nagle odwróciła się i spojrzała prosto w lustro. Avery głośno wciągnęła powietrze i cofnęła się odruchowo.

- Popatrz - szepnęła, pokonując dziwny ucisk w gardle.

- Patrzą - odpowiedział również szeptem John Paul.

Avery pokręciła głową.

- Nie na nią. Spójrz na detektywów. Spójrz, jak na nią reagują.

Obaj mężczyźni pochylali się nad stolikiem, jakby nieświadomie próbowali się do niej zbliżyć. Jeden z nich coś powiedział, a potem dotknął jej dłoni.

- Ona nimi manipuluje - powiedziała Avery.

Jakiś policjant wszedł do pokoju przesłuchań. Jilly popatrzyła na niego i wstała, przeciągając się leniwie jak perski kot. Idąc za policjantem do drzwi, obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do detektywów. Obaj skwapliwie odwzajemnili uśmiech. Nie odrywali od niej wzroku, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

Avery spojrzała Johnowi Paulowi prosto w oczy.

- Teraz jestem gotowa.

Wyszła z budynku policji, nie oglądając się za siebie.

## Epilog

Avery najbardziej lubiła zmierzch. Wychodziła na ganek i siadała na huśtawce, którą zrobił dla niej John Paul. Słyszała wodę chlupiącą o pomost za domem, a kiedy zamykała oczy, niemal czuła zapach bzów, które John Paul dla niej zasadził.

Skrzypnęły drzwi i po chwili usiadł przy niej mąż. Objął ją ramieniem i odchylił się, wprawiając huśtawkę w łagodne kołysanie.

- Jesteś przygotowana na jutro do szkoły, złotko?

- Tak.

- O czym myślałaś? - spytał. - Zmierzałaś do swojego szczęśliwego miejsca?

Z uśmiechem złożyła głowę na jego ramieniu.

- Nie potrzebowałam. Już tam jestem.